

Dariusz

Domagalski

Gniewny

← pomruk burzy →



fabryka słów  
www.fabrykaslow.pl

**Dariusz Domagalski**

*Gniewny*

**pomruk burzy**

*księga trzecia cyklu krzyżackiego,*

*w którego skład wchodzi:*

*\* Delikatne uderzenie pioruna \**

*\* Aksamitny dotyk nocy \**

*\* Gniewny pomruk burzy \**



# Rozdział 1. Werble wojny

Lato zbliżało się w rytm grzmotów wygrywanych na werblach burzy i w świetle błyskawic rozdzierających niebo raz za razem. Ulewny deszcz chłostał maźnięte soczystą zielenią liście drzew, wątle konary jabłoni i grusz. Wezbrane potoki podtopiły górskie łąki, a rzeki zalały pola uprawne. Gwałtowny wiatr szarpał układające się w złocistą grzywę kłosał zbóż, burzył pieczołowicie ułożone stogi siana, zrywał strzechy z drewnianych chat. Wyrwane z korzeniami drzewa zalegały na drogach i nie miał kto ich usunąć, gdyż niewielu decydowało się na podróż w tych niebezpiecznych czasach.

Ludzie z niepokojem spoglądali w niebo, modląc się, żeby miłościwy Bóg odpędził upiorne, czarne chmury wiszące złowieszczo nad ziemią. Pragnęli słońca, które ciepłym blaskiem ogrzałoby ich serca, tchnęło nową nadzieję. Tęsknili do brzęczących w powietrzu pszczoł, cieszących oczy kolorowych kwiatów, kwitnących lip i ciepłych, letnich wieczorów. Niestety, każdy czerwcowy dzień roku 1410 zaczynał się i kończył nawałnicą.

Jednak prawdziwa groza miała dopiero nadejść.

Dwa potężne mocarstwa szykowały się do boju ostatecznego, do wojny, która odmieni losy świata. Zwycięzca, mając przed sobą świetlaną przyszłość, przez stulecia będzie wiódł prym w Europie. Przegrany przestanie istnieć, na zawsze zostanie wykreślony z map i pozostanie po nim jedynie wspomnienie na kartach historii. Nadszedł czas, gdy połączone sojuszem Polska i Litwa<sup>1</sup> miały stawić czoło zakonowi krzyżackiemu<sup>2</sup>.

Polaków nie trzeba było zachęcać do walki, cały kraj pragnął tej wojny. Za lata cierpień i bólu, za pożogi czynione przez rycerzy z krzyżem na płaszczach, za wszystkie okrucieństwa, ludzie pragnęli pomsty i byli gotowi uderzyć na znenawidzonego wroga.

Król Polski, Władysław Jagiełło<sup>3</sup>, na czerwiec wyznaczył koncentrację pospolitego ruszenia w Wolborzu, ale już w kwietniu wzmocnił załogi Bydgoszczy, Inowrocławia, Brześcia Kujawskiego rycerzami konnymi, nadwornymi, a także najemnikami z Czech i Austrii. Zamek bydgoski powierzył Januszowi Brzozogłowemu, który budził strach w sercach Krzyżaków większy, niżli ogień piekielny.

Na rozkaz króla koronowski klasztor zajął zaciężny oddział Czechów i Morawian pod dowództwem Jana Sokoła w liczbie tysiąca pięciuset zbrojnych. Zaniepokoiło to panów pruskich, gdyż Koronowo leżało tuż przy ich granicy, nieopodal ważnego pod względem strategicznym Świecia.

Na pograniczu Krajny<sup>4</sup> z Pomorzem czuwała szlachta ziem nadnoteckich w sile ponad dwóch tysięcy jezdnych, której zadaniem było nie przepuścić krzyżackich posiłków z Nowej Marchii<sup>5</sup>. Rycerze powiatu sądeckiego, szczyrzyckiego i ziemi bieckiej, pod wodzą Jana ze Szczekocin, zabezpieczyli południową granicę od strony Węgier, bowiem obawiano się ataku, sprzymierzonego z zakonem, Zygmunta Luksemburskiego<sup>6</sup>. Swoje chorągwie szykowali również książęta mazowieccy<sup>7</sup> i nie ulegało wątpliwości, że także oni przystąpią do wojny z Krzyżakami.

Witold, wielki książę Litwy<sup>8</sup>, rozstawił tatarskie posterunki na rubieżach Zadnieprza, na granicy inflanckiej oraz obsadził załogi zamków w Wilnie i Kownie, zaś sam wyruszył z wojskiem na zachód. W poprzednim roku przysiągł Jagielle stawić się latem w wyznaczonym

miejscu, żeby wspólnie uderzyć na wroga. Nadszedł czas spełnienia obietnicy.

Tymczasem wielki mistrz krzyżacki, Ulryk von Jungingen<sup>9</sup>, otrzymał niepokojące wieści od swoich szpiegów, jakoby Polacy z niezrozumiałych względów spławiali Notecią olbrzymie ilości drewna. Podejrzewając, że chcą wybudować promy, przeprowić się nimi przez rzekę i ruszyć na Pomorze, rozkazał zostawić hufce w Nowej Marchii i Świeciu. Resztę wojsk skupił w okolicach Torunia.

Nadszedł 24 czerwca, dzień świętego Jana Chrzciciela, dzień wygaśnięcia rozejmu pomiędzy Polską a zakonem krzyżackim, dzień, w którym ponownie miała rozpętać się wojenna zawierucha.

\* \* \*

Słońce leniwie chyliło się ku zachodowi, lecz jeszcze promieniami otulało okolicę. Dogasały ogniska rozpalone w wigilię świętego Jana, podczas której tańczono, bawiono się, urządzano rytualne kąpiele, a nawet wróżono. Dostojnikom Kościoła nie udało się wytępić pogańskiego święta zwanego nocą kupały<sup>10</sup>, więc uczynili zgodnie z porzekadłem, że czego nie można pokonać, należy okiełznać i uczynili je świętem chrześcijańskim.

Jurga, młody giermek Mszczuja ze Skrzyńska, siedział oparty o pień wysmukłej sosny, maślane, rozmarzone oczy wbijając w przestrzeń i rozmyślał o niebieskookiej dziewczynie, która - zdawało się - na zawsze zawładnęła jego sercem.

Wczoraj polski oddział zatrzymał się w niewielkiej osadzie przy krzyżackiej granicy i woje zostali zaproszenie na sobótkową noc. Wraz z ostatnimi promieniami słońca wszyscy zebrali się nad brzegiem rozległego jeziora i obchody święta rozpoczął sołtys od rytualnego skrziesania ognia. Po chwili zapłonęły stosy wzniesione z drewna

jesionów, brzoź i dębów. Grajkowie chwycili za piszczałki i woda poniosła skoczną muzykę, w rytm której zaczęły się tańce. Niewiasty w samych tylko koszulach płaśały wokół ognisk, bosy stąpając po mokrej od deszczu trawie. Młodzieńcy skakali przez płomienie, chępiąc się tężyzną i odwagą. Stare baby wróżyły z zebranych zawczasu kwiatów polnych, z dzikiego bzu, z cząbrku, ze szczypiorku, z bylicy, z siedmioletniego krzewu kocierpki, przepowiadając dobrobyt, a rzadziej smutki. Do ognia wrzucano zebrane wcześniej kwiaty, do wody zioła, wszystko po to, aby zapewnić sobie zdrowie, a ziemi urodzaj.

Wszystkiemu towarzyszyły radosne śmiechy i żarty, bo ludzie pragnęli choćby na chwilę zapomnieć o wojnie, która miała rozpętać się już następnego dnia. Tej nocy nie myśleli o czekającym ich cierpieniu, o płonących strzechach, tratowanych przez jeźdźców zbożach i gwałtach czynionych przez żołdaków. Tej nocy chcieli się bawić i radować.

Gdy nieznośny dym z ognisk zaczął drażnić oczy, a piski dziewcząt boleśnie ranić uszy, Jurga postanowił się przejść. Ruszył brzegiem niewielkiego strumyka, obserwując płynące z nurtem kwietne wianki, oświetlone nasadzonymi nań świeczkami. Młode panny puszczały je na wodę, w ten sposób wróżąc sobie pomyślność w miłości. Ta, której wianek zostanie wyłowiony przez kawalera, szybko wyjdzie za mąż, jeśli zaś daleko popłynie z nurtem, długo będzie czekać na swojego wybrańca. Najgorzej miały dziewczęta, których wiązanki utonęły, spłonęły lub zaplątały się w sitowie. To zwiastowało nieuchronne staropanieństwo.

Spotkał ją na zakolu, gdzie strumyk zniknął w gęstym, ciemnym borze. Stała zalana łzami, wpatrzona w płonącą kwietną plecionkę, która zajęła się ogniem od źle osadzonej świecy. Dobrosułka, bo tak brzmiało imię dziewczyny, miała oczy błękitne niczym letnie niebo,

włosy jasne, pachnące rumiankiem i usta koloru jarzębiny. Jurga najpierw zaczął ją pocieszać, tłumacząc, że to tylko zabobony, że tak śliczna dziewczyna na brak zalotników narzekać nie będzie, że on sam zaraz jest gotów do niej w konkury uderzyć. A później, gdy już udało mu się wywołać uśmiech na jej piegowatej twarzy, poszli do lasu szukać kwiatu paproci. Oczywiście, tej legendarnej, kwitnącej raz w roku rośliny nie znaleźli, ale za to ich miłość zakwitła w zachłannych pocałunkach i pieszczotach.

O świcie, gdy kmiotkowie wyciągnęli z ognisk żagwie, obchodząc z nimi swoje domostwa, co miało odpędzić złe duchy, Jurga i Dobrosułka obudzili się na mchu, wtuleni w siebie, szczęśliwi. Po namiętnej nocy delikatnie smakowali się pocałunkami, dotykali drżącymi palcami, szepcząc czułości. On przysiągł, że jak tylko wojna się skończy, wróci do niej i staną na ślubnym kobiercu. A później ona urodzi mu tuzin rozwrzeszczanych dzieciaków, tak samo niesfornych i niepokornych jak on. Dobrosułka natomiast obiecała czekać i każdego dnia wypatrywać go na gościńcu.

Tak było jeszcze dzisiejszego poranka, a teraz, siedząc pod drzewem i przygryzając źdźbło trawy, Jurga oczyma wyobraźni widział siebie wracającego z wojny. Marzył, że odziany w kirys zdjęty z jakiegoś znaczniejszego Krzyżaka, ze złotym rycerskim pasem, o którym śnił, wjeżdża na pięknym białym ogierze do wioski swojej ukochanej, a wiwatom na jego cześć nie ma końca...

- Jurga! - usłyszał wołanie zdawałoby się oddalone o całe staje<sup>11</sup>. -  
No ogłuchł, niezguła jeden.

Giermek poczuł silne kopnięcie w pośladek i ból, który sprawił, że marzenia prysły jak bańka mydlana, a zamglone oczy odzyskały ostrość widzenia. Zerwał się zaraz na równe nogi, widząc surowe

oblicze pana.

- Rzeknij mi Jurga, na cóż mi taki sługa jak ty? - skrzywił się Mszczuj ze Skrzyńska, rycerz noszący białą jakę<sup>12</sup> z wizerunkiem srebrnego łabędzia. - Darmozjad z ciebie i próżniak. Chcesz pas rycerski przywdziać, ale zamiast rękę w mieczu ćwiczyć, ku niewiastom ją jeno wyciągasz. Obaczysz, kiedyś przez białkę głowę stracisz.

Młodzieniec już chciał odpowiedzieć, że przecież sam Mszczuj swego czasu o mało życia nie postradał, gdy zawładnęła nim namiętność do pewnej rudowłosej niewiasty, ale na szczęście w porę ugryzł się w język. Pan jego był odważnym, prawym człowiekiem, jednak porywczym i strasznym w chwilach gniewu. Jurga twierdził, że każdy z ludzi ma dwa oblicza i w równym stopniu zdolny jest do czynienia dobra, jak i zła, a rycerz ze Skrzyńska był tego najlepszym przykładem. Ścieżka jego życia raz wiodła doliną pełną mroku, innym razem wznosiła się na szczyty szlachetności. Giermek często modlił się za swojego pana, prosząc Boga miłosiernego, aby w dzień Sądu Ostatecznego ulitował się nad nim, bowiem nie był pewien, czy w przypadku Mszczuja dobre uczynki przeważą te złe.

- Rycerz winien zawsze okazywać szacunek niewiastom, ich cnotę mieć w poważaniu i czyste w tym względzie zamiary. - Pan herbu Łabędź marszczył groźnie brwi, a Jurga robił coraz większe oczy, zdumiony tak nagłą obroną czci niewieściej. - Sołtys mi się skarżył...

- A cóż sołtys ma do tego? - zdziwił się giermek.

- To, żeś jego córkę zbałamucił!

- Panienko Przenajświętsza - przeżegnał się młodzieniec.

- Dałem słowo, iż z wojny cało wrócisz i nadobną Dobrosułkę poślubisz. A jak tego nie zechcesz uczynić z własnej woli, tedy w



kajdany każę cię zakuć i pod ołtarz doprowadzić. - Rycerz pogroził palcem, ale w jego oczach tańczyły iskiereczki rozbawienia. - Jednakże nie fraszuj się na zapas, bowiem niewiasta zmienną jest i tylko patrzeć, jak zaraz nowego sobie zalotnika znajdzie, a o tobie zapomni...

- Nieprawda to! - odburknął Jurga. - Ona mnie miłuje i wierność mi przyobiecała.

- Mniemam, iż ty uczyniłeś to samo?

Giermek skinął głową. Mszczuj westchnął ciężko i wznosił oczy ku niebu.

- Ze wszystkich sług na tym ziemskim padole trafił mi się najgłupszy.

Jurga miał w tym względzie zupełnie odmienne zdanie, ale przezornie zachował je dla siebie.

- A teraz rusz swój leniwy zadek i konie siodłaj - rycerz wydał rozkaz, podkreślając jego wagę kopniakiem. Na szczęście młodzian zdążył odskoczyć. - Starosta Borowiec właśnie przywiódł oddziały z Brzeźcia Kujawskiego i Inowrocławia. Zbyt wiele czasu zmitrężyliśmy w tych borach. Czas ruszać!

- Dokąd, panie?

Mszczuj ze Skrzyńska podkręcił węża, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Pod Toruń! Napsujemy nieco krwi panom pruskim.

\*

Dźwięki melodii popłynęły ze strun lutni muśniętych wprawna dłońią Oswalda von Wolkensteina, jednookiego barda pochodzącego z Tyrolu i wzbily się pod sklepienie refektarza zamku toruńskiego. Inni artyści nie śmieli do niego dołączyć. Fidlisci<sup>13</sup> i piszczałkowie zastygli z instrumentami w rękach, szpilmani<sup>14</sup> przerwali odgrywanie sztuki i zasłuchani przykucnęli na zimnej podłodze.

Ulryk von Jungingen odsunął talerz z owsianką, żałując, że z

Malborka nie zabrał własnych kucharzy. Od tygodnia jadał tylko ryby, jajka i właśnie owsiankę. Jan von Sayn, komtur toruński i gospodarz zamku twierdził, że to jedyne dania, jakie przystoją zakonnikom. Wielki mistrz po kilku dniach takiej diety oddałby wszystko za kawałek dziczyzny lub słodycze, które tak uwielbiał. Westchnął ciężko, sięgając po kielich z winem. Na szczęście, w tym względzie hrabia von Sayn zachował rozsądek i nie rozcieńczał trunku nad miarę<sup>15</sup>.

Spojrzał na współbiesiadników. Wspomniany komtur toruński, niemłody już mężczyzna, ze smakiem zajadał owsiankę, jakby to były najlepsze delicje. Obok siedział potężnej postury, rudowłosy marszałek zakonu, Fryderyk von Wallenrode. Po drugiej stronie stołu zasiedli wysłannicy Zygmunta Luksemburskiego: ciemnowłosy palatyn Mikołaj Gara, mężczyzna o wydatnym orlim nosie Krzysztof Gersdorff i wojewoda siedmiogrodzki Ścibor ze Ściborzyc. Król Węgier, zobowiązując się przed papieżem do przywrócenia pokoju pomiędzy zwaśnionymi stronami, chciał chociaż pozór w tym względzie zachować i wysłał swoich posłów zarówno do Jagiełły, jak i Ulryka von Jungingen.

- Z dniem dzisiejszym wygasa rozejm, jaki zawarliście z Polakami na jesieni minionego roku<sup>16</sup> - mówił Mikołaj Gara. - Niechaj wasza dostojność rozważy propozycję jego przedłużenia o dni dziesięć. Tuszę, iż w tym czasie dojdziecie do porozumienia z królem Władysławem i wojny da się uniknąć.

Wielki mistrz zamyślił się, gładząc posiwiałą brodę. Dobrze wiedział, że wbrew temu, co mówił poseł, wojna była nieunikniona i nic nie mogło jej powstrzymać, jednak zyskanie kilku dni byłoby dla zakonu zbawienne. Do Prus właśnie zdążyło pięćset kopii<sup>17</sup> zwerbowanych zaciężników, najemne oddziały Szwajcarów, a także rycerze ze Śląska, Moraw i Czech. Dopiero w następnym tygodniu miała się zebrać rada

komturów inflanckich pod wodzą Konrada von Vietinghoffa, mistrza zakonu Kawalerów Mieczowych<sup>18</sup> i zdecydować o wysłaniu posiłków dla swoich krzyżackich braci.

Jednak to nie siła oręża miała zdecydować o zwycięstwie lub porażce, a moc istniejąca od zarania dziejów. Moc pochodząca od samego Boga.

Ulryk von Jungingen był jednym z Przebudzonych, znał więc prawdziwą naturę Stwórcy. Nie miała ona nic wspólnego z wyobrażeniami uczonych teologów, zamykających się przed światem na uniwersyteckich katedrach, ani prawdami głoszonymi przez wioskowych klechów. Oni wszyscy chcieli Boga wpasować w ramy ludzkich wyobrażeń, oswoić, wykorzystać do realizacji własnych celów. Gdyby wiedzieli, jak potężne siły rządzą światem i jak cienka jest granica chroniąca ich przed zagładą, z przerażenia pochowaliby się do najgłębszych nor.

Nielicznym, takim jak on, została objawiona prawda o dziele stworzenia, o Dziesięciu Obliczach Stwórcy i wiecznej wojnie, jaką toczą ze sobą Emanacje na Drzewie Życia<sup>19</sup>. Wszystko, co dzieje się w świecie materialnym, ma swoje odbicie w świecie duchowym i dlatego wynik wojny zaważy na losie całego Uniwersum. Najwyższy dostojnik zakonu krzyżackiego, Przebudzony w świetle Sefiry Binah, nie wątpił w zwycięstwo, jednak musiał działać rozważnie.

- Jestem jeno pokornym sługą bożym i zawsze przedkładam różaniec nad oręż, dym z kadzidła nad dym wystrzałów armatnich, pokój nad wojnę - wielki mistrz wzorem braci-kapłanów przybrał zmartwioną minę. - Jednakże moi wywiadowcy donieśli, iż Jagiełło stanął z wojskiem w Wolborzu i niczym dziki zwierz kły swoje szczyrzy, gotów na zakon uderzyć.

- Królowi Władysławowi zapewne równie nienawistna jest myśl o przelewie chrześcijańskiej krwi i rad będzie wstrzymać zamierzoną wojnę - odparł Węgier. - Nie pozwól, wielki mistrzu, aby na zakon spadła wina za rozpętanie tego piekła, które niechybnie nadejdzie, gdy dwie tak wielkie potęgi zetną się ze sobą. Rzeknij słowo, a wnet ruszymy do Wolborza i najsamprzód rozejm na dziesięć dni wyjednamy, a potem pokój na wieki.

Ulryk von Jungingen, zmrużywszy oczy, wnikliwie przyglądał się postom.

Palatyn Mikołaj Gara wydawał się być szczery w tym, co mówił i teraz z nadzieją oczekiwał na odpowiedź. W pokojowe rozwiązanie konfliktu na pewno nie wierzył Krzysztof Gersdorff, który z drwiącym uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie. Ślązak od dawna wiernie służył zakonowi i sownie był za to wynagradzany. W poufnej rozmowie zwierzył się wielkiemu mistrzowi, że gotów jest choćby i zaraz stanąć na czele chorągwi świętego Jerzego, złożonej z rycerzy niemieckich, którzy już przybyli do Prus walczyć z Polakami. Wreszcie wzrok krzyżackiego dostojnika zatrzymał się na siwowłosym Ściborze ze Ściborzyc, który przez cały wieczór słowem się nie odezwał.

- Milczycie, wojewodo siedmiogrodzki, a rad byłbym ciebie posłuchać. Rzeknij mi, boś Polak i swoich rodaków znasz jak żaden z nas, cóż zamierzają? Czy zechcą ziemię dobrzyńską z rąk naszych wydrzeć? Czy ruszą na Nową Marchię? A może staną jeno na granicy, aby mieć na nas baczenie?

- Trudno nazywać mnie już Polakiem - odparł szorstko rycerz ze Ściborzyc. - Przed wielu laty opuściłem swój kraj i teraz Węgry są mi ojczyzną. Służę jeno królowi Zygmunтови, któremu zawdzięczam cały majątek i zaszczyty.

Zamilkł, sięgnął po kielich z winem.

- Jednakże znam dobrze Polaków, wielu z nich do niedawna było moimi przyjaciółmi i wiem, że nie po to wojsko zbierają, żeby się jeno bronić. Odwagi im nie brakuje, bowiem pod kirysami lwie serca skrywają, a głowy u nich gorące. Tuszę, iż wprost na Prusy pójda...

- Przed miesiącem, gdym posłował u księcia Witolda, widziałem, jak do Wilna zjeżdżały hufce zbrojne - wszedł mu w słowo Gersdorff. - Zapewne armia litewska też na zakon uderzy. Nie ma szans na pokój.

Wielki mistrz pokiwał głową. Nie dalej jak przed trzema dniami otrzymał list od komtura ostródzkiego, w którym dostojnik donosił, że nad Narwią widziano oddziały złożone z Litwinów, Żmudzinów, Rusinów i Tatarów. W każdej chwili wojska Witolda mogły przejść granicę, wziąć szturmem Ostródę, a potem, zdobywszy przyczółek, ruszyć dalej na północ. Jeśli w tym samym czasie zaatakują Polacy, zakon będzie zmuszony toczyć wojnę na dwa fronty.

Ulryk von Jungingen wiele by dał, żeby dowiedzieć się, co planuje Jagiełło. Pomogłoby mu to podjąć właściwe decyzje. Niestety, w najbliższym otoczeniu króla nie miał już żadnych szpiegów.

Przymknął powieki i przywołał obraz Czarnej Madonny. Pojawiła mu się przed oczami niemal natychmiast. Miała na sobie suknię koloru obsydianu, na głowie czepiec, pod którym ukryła czarne niczym noc włosy. Na upiornie bladej twarzy malował się smutek. Pragnął zanurzyć się w jej matczynej miłości, czułości, wchłonąć moc dającą siłę, jednak poczuł jedynie pustkę i serce wypełnił mu żal. Binah go odrzuciła.

Trzecia Emanacja Stwórcy nadal patronowała zakonowi, który był przecież jej narzędziem w świecie materialnym i orężem do walki z siłami prawej strony Drzewa Życia, ale on sam popadł w niełaskę. Zbyt wiele razy ją zawiódł. Teraz potrzebował czasu, żeby odzyskać jej

zaufanie.

- Niechaj tak będzie - otworzył oczy. - Jedźcie do Wolborza i powiedzcie królowi Władysławowi, że zgadzam się na dziesięciodniowy rozejm.

Nagle drzwi komnaty otworzyły się z hukiem i do środka wpadł wysoki, chudy mężczyzna odziany w szarą tunikę sługi zakonu. Był to pokojowiec wielkiego mistrza, Stasske von Bolmen, człowiek zazwyczaj opanowany, można nawet rzec, że ospały i powolny. Jednak teraz w kilku zaledwie susach przemierzył całą salę i stanął przed wielkim mistrzem.

- Nieszawa i Murzynków płonie! - rzekł roztrzęsiony. - A także inne wsie wzdłuż brzegów Wisły!

Biesiadnicy poderwali się z miejsc i dopadli okien. Widok z najwyższego piętra zamku toruńskiego był zarówno piękny, jak i zatrważający. Noc wybuchła szkarłatem. Pożary ogarniały coraz większe tereny wokół miasta, a płomienie lizały aksamitnie czarne niebo. Z tej odległości mogłoby się wydawać, że to niewielkie ogniska rozpalone przez wieśniaków w sobótkową noc, ale to płonęły wsie należące do zakonu.

- Jak widać, Jagiełło wojnę już rozpoczął. - Ulryk von Jungingen zacisnął mocno pięść i zwrócił się do węgierskich posłów: - I na cóż układy, do których mnie nakłaniacie? Spójrzcie! Polacy wzniesają pożary kraj mój pustoszące, a ja mam o pokoju rozprawiać?

- Wasza dostojność - odparł spokojnie Mikołaj Gara. - Wojna ma swoje prawa, a oręż przywileje swoje. Pomnij krzywdy, morderstwa i pożogi, których sami się dopuściliście na ziemi dobrzyńskiej należącej wtenczas do Królestwa Polskiego. Zważ, iż niewielkie szkody Polacy ową napaścią uczynili...

- Zakon nie puści płazem żadnej zniewagi - wycedził purpurowy z gniewu Fryderyk von Wallenrode. - Zaraz każę ścigać szubrawców.

- To nic nie da - odparł komtur toruński. - Zapewne już zapadli w gęste bory i wracają do Inowrocławia.

- W takim razie ruszajmy na Inowrocław!

- Nie, Fryderyku - von Jungingen wzniosł w górę dłoń, tym gestem powstrzymując rozgorączkowanego marszałka zakonu. - Gniew jest złym doradcą. Przyjmiemy warunki rozejmu.

Ten spojrział zdumiony na swojego przyjaciela, który jeszcze rok temu pierwszy chwyciłby za miecz. Teraz jednak miał przed sobą człowieka o zgasłych oczach, zmęczonego i słabego. Nie wyczuwał w nim tego zapachu co kiedyś, tej aury Binah, którą tak emanował. Pierwszy raz zwątpił, że Ulryk von Jungingen zdoła poprowadzić zakon krzyżacki do zwycięstwa.

Wielki mistrz odwrócił się i bez słowa opuścił refektarz.

\* \* \*

Gdy na niebie zawisły ciężkie, deszczowe chmury, a w oddali słychać już było gniewne pomruki zbliżającej się burzy, zerwał się gwałtowny wiatr i na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. W polskim obozie położonym nad niewielkim stawem w Sejmicach przerażone konie zarżały głośno, przeczuwając nadchodzącą nawałnicę.

Nie trzeba było długo czekać.

Pierwsza błyskawica była niczym pęknięcie na glinianym naczyniu. Rozdarła nieboskłon z ogłuszającym trzaskiem jeszcze długo niosącym się echem po okolicy. Po chwili gromy waliły już w ziemię raz za razem i wydawać by się mogło, że ciskają je ręce dawno zapomnianych bóstw.

Nagle piorun uderzył w sam środek obozu, zabijając kilka koni i dwoje ludzi. Zapanował popłoch. Pachołkowie uciekali do pobliskiego lasu, ścigani przekleństwami nadzorców, rycerze uspokajali konie, giermkowie zbierali porwany wiatrem dobytek, klerycy padli na kolana, klepiąc różaniec, a oboźni krzykami i batem próbowali zaprowadzić porządek.

Tymczasem w samym sercu całego zamieszania stał nienaruszony namiot Dobiesława z Oleśnicy i niczym w oku cyklonu panował tam beztroski spokój. Wewnątrz, przy masywnym, dębowym stole, spożywało posiłek czterech rycerzy, którzy, nie przejmując się szalejącą w obozie nawałnicą, śmiali się i żartowali.

- Musieliście niezłego stracha napędzić wielkiemu mistrzowi swoją wycieczką pod Toruń, skoro ten zaraz do naszego króla posłów wysłał, aby rozejm wyjednali - rzekł Dobiesław z Oleśnicy do Mszczuja ze Skrzyńska, szturchając go przyjacielsko w ramię. Ten skrzywił się z bólu, bowiem nawet lekkie klepięcie rycerza herbu Dębno mogło powalić tura.

- Prawda! - odparł, masując przedramię. - Jednakże kontent nie jestem, bowiem po spaleniu wsi krzyżackich, ja chciałem zamek toruński szturmem dobywać, ale starosta Borowiec nakazał odwrót.

- A cóż innego mogliście uczynić? Przecież mieliście ledwie cztery setki zbrojnych - zdziwił się rudowłosy Tomasz Kalski, na którego śnieżnobiałej jace widniała szkarłatna róża, wyhaftowana dłońmi pięknej Anny. Córka Jana z Ligęzy słynęła z urody nie tylko w ziemi łęczyckiej, ale również w całej Polsce i Tomasz potrafił godzinami prawić o wdziękach oraz zaletach swojej narzeczonej, jednak do żeniaczki nie było mu spieszno. Ojciec dziewczyny, który zjechał do Wolborza ze swoją chorągwią, wypominał mu, że Annę w lata zaciąga i pilnował



młodzieńca, żeby się za dziewczkami nie uganiał.

- To samo powiedział starosta i rzekł jeszcze, żem człek szalony. - Mszczuj zadumany pogładził wąsa. - Doprawdy, nie wiem czemu?

- I rację miał Borowiec - odparł Zawisza Czarny, rycerz o kruczoczarnych włosach i łagodnych, miodowych oczach. - Jednakże zdolny jesteś do czynów pełnych chwały, jak i tych najgłupszych.

Rycerze roześmieli się głośno, nic sobie nie robiąc z huku piorunów, deszczu z łoskotem uderzającego o płachtę namiotu i porywistego wiatru szarpiącego jego poły Dobiesław rozdzielił między kamratów chleb i postawił na stole misę z rybami, wśród których znaleźć można było płocie, leszcze, oliwkowozielone miętusy, szczupaki, a nawet jednego wielkiego suma.

- Spójrzcie na tego olbrzyma! - krzyknął gospodarz. - Głowa wielkością ludzką dorównuje. Wąsiska ma wytrawnego woja, a pysk szeroki niczym u lewiatana...

- Tyś widział kiedy lewiatana? - zapytał drwiąco Tomasz Kalski.

- Ażebyś wiedział, że widziałem!

- Zapewne jeno na rycinach w uczonych księgach - prychnął rudowłosy rycerz. - Rzeknij mi, Dobiesławie, po cóż w ogóle do nich zaglądałeś, skoro czytać nie umiesz?

- A cóż ja, skryba, żeby pióro nad miecz przedkładać? - odparł pan z Oleśnicy. - Słowa są dobre dla błaznów, którzy królów żartami bawią, dla fircyków niewiasty poezją mamiących, albo dla snujących intrygi dworaków. Prawdziwy mąż jako oręża jeno żelaza używa, bo słowo niczym pył na wietrze: raz jest, a raz go nie ma.

- Z naszego Dobiesława filozof się zrobił - rzekł Mszczuj, wydłubując rybę ości z zębów. - Jeszcze gotów go król Władysław do rady wojennej powołać, pozbawiając nas tak zacnego towarzystwa.

Rycerze ponownie wybuchli śmiechem.

- Lepiej rzeknij, gdzieś ty tego lewiatana obaczył - zagadnął Zawisza.

- Ongiś, z pewnym żeglarzem, niejakim Marcinem Bornholmem, który wstawiał się ujęciem słynnego Klauza Störtebekera<sup>20</sup>, wybraliśmy się na wyprawę po futra. W pewien wiosenny dzień wraz z poranną bryzą nasza niewielka koga wyruszyła z Gdańska ku dalekiej północy. Minęliśmy Gotlandię, wtenczas należąca jeszcze do Krzyżaków, a potem wzdłuż piaszczystych inflanckich plaż popłynęliśmy na Rewel.

Dobiesław odsunął od siebie talerz, sięgnął po kubek z winem i upił spory łyk.

- Tam uzupełniliśmy zapasy żywności i pożeglowaliśmy dalej, aż po skute lodem skały. Ziąb był tak wielki, że gdy mewa, chcąc odpocząć, przysiadła na kasztelu, to przymarzła biedaczka. Powiadam wam, iż tam zamiast deszczu lodowe igły z nieba leciały...

- Bajdy nam prawisz - prychnął Tomasz.

- Nie chcesz, to nie wierz, twoja sprawa - rycerz z Oleśnicy wzruszył ramionami. - Ja tylko mówię, jak było.

- Nie bocz się. Opowiadaj dalej.

- Razu pewnego, gdy stałem na dziobie okrętu, spoglądając w toń i zastanawiając się, czy morze ma w ogóle dno, czy sięga samych czeluści piekła, ujrzałem cień przemykający pod wodą. Wpierw pomyślałem, że wzrok płata mi figle, jednakże, gdym lepiej się przyjrzał, obaczyłem, że to stwór jakiś przeogromny ku nam płynie. Nieraz marynarze opowiadali o potworach trzykrotnie przewyższających największe hulki<sup>21</sup>. Ponoć zębiska u nich straszliwe, szczęki olbrzymie i posiadają rozwidlone języki, którymi zręcznie z pokładu ludzi porywają, żeby ich potem przez wieczność w swoim

wnętrzu trawic. Niektóre mają skrzydła, inne przypominają ni to rybę, ni jaszczurkę. Najgorsze zaś są gigantyczne węże, w uścisku mogące zmiażdżyć całą nawet flotę.

Pochłonięci opowieścią rycerze zupełnie zapomnieli o jedzeniu i z szeroko otwartymi oczami spoglądali na Dobiesława, który starał się przekrzywić szalejącą na zewnątrz nawałnicę.

- Tymczasem ja ujrzałem samego lewiatana. Z morza wynurzył się szary grzbiet z zielonym porostem, pysk z tysiącem ostrych niczym puginały zębów i tylko oczka miał małe, jakieś takie kaprawe. Ruszył ku okrętowi, rozbryzgując wokół wodę. Marynarze ze strachu pochowali się za kasztelami, a ja chwyciłem za miecz, gotów stanąć do śmiertelnego boju z bestią. I gdy już się na lewiatana zamierzyłem, chcąc go jednym cięciem łba pozbawić, on, zapewne z bojaźni przed tak sławnym rycerzem jak ja, dał nura w głębiny. Na koniec jeszcze, szydząc ze mnie, plunął wysoko w górę strumieniem wody. Od tamtej chwili więcej go nie obaczyłem. Zapewne odpłynął do piekła.

- Nie mógł to być lewiatan - stwierdził z przekonaniem Tomasz Kalski. - Ma on bowiem siedem głów, a nie tylko jedną. Ponadto nadal jest więziony w podziemiach Lateranu<sup>22</sup>.

- A skąd wiesz?

- Bowiem końca świata nie było.

- Jakże to?

- Ponoć w trzysta lat po narodzeniu Chrystusa sam papież Sylwester ujarzmił potwora i wtrącił do rzymskich lochów. Przepowiednia mówiła, że w roku tysięcznym lewiatan wyrwie się z więzienia, niszcząc niebo i ziemię<sup>23</sup>. Nic takiego nie nastąpiło, co znaczy, że stwór nadal w podziemiach zakuty siedzi.

- Szkoda - mruknął rycerz z Oleśnicy. - Z chęcią bym się z nim

zmierzył.

- Waż słowa, Dobiesławie - zmarszczył czoło Zawisza Czarny. - Dla własnej chwały chcesz moce piekielne wyzywać?

Rycerz z Oleśnicy prychnął lekceważąco.

- Niestraszny mi lewiatan, behemot, moloch i inne demony. I choćby sam szatan we własnej osobie stanął mi na drodze, nie uląkłbym się...

Wtem rozległ się przeraźliwy huk i nagły blask oślepił rycerzy. Przerażeni rzucili się na ziemię, zakrywając głowy rękoma, pewni, że Dobiesław swoimi przechwałkami diabły z piekła sprowadził. Uplętnęło kilka chwil, zanim wstali i trwożnie rozejrzeli się wokół. Na szczęście demonów żadnych nie spostrzegli, ale za to na stole leżała zniszczona przez piorun misa z rybami.

- A niech to! - zezłościł się Dobiesław. - Jadła szkoda.

\*

Król Polski, Władysław Jagiełło, odchylił płachtę namiotu i przyglądał się szalejącej na zewnątrz burzy. Widok bijących z nieba gromów napawał lękiem, ale także urzekał pięknem. Na twarzy monarchy pojawiły się głębokie zmarszczki. Wiedział, że już za kilka dni wszystko się rozstrzygnie. Nie tylko losy wojny, ale również istnienie całego świata. On, sługa Chokhmah, najpotężniejszy z Przebudzonych po prawej stronie Drzewa Życia, wiedział o tym najlepiej.

Emanacja Binah spaczyła światło płynące wprost od Najwyższego, tchnęła w nie zło i przekazując na niższe poziomy, zachwiała Równowagą. Jeśli Sefira nie zostanie powstrzymana, a wraz z nią zakon krzyżacki, to świat czeka zagłada. Wojna toczyć się będzie nie tylko tu na ziemi, ale również w sferze ducha. Widząc szaleństwo żywiołów, można było się domyślić, że na wyższym poziomie już się zaczęła. Monarcha szczelnie zasłonił płachtę namiotu, żeby wiatr nie

wdzierał się do środka i wrócił do stołu, na którym leżały porozrzucane mapy. Dla większości wodzów były dziwactwem, jednak Jagiełło przywiązywał do nich olbrzymią wagę. Na długo przed kampanią rozkazał wywiadowcom naszkicować wszystkie rzeki, jeziora, wzgórza i lasy znajdujące się na trasie marszu.

Spojrzał po zebranych. Na puciołowatym obliczu podkanclerzego królewskiego Mikołaja Trąby<sup>24</sup> dostrzec można było niepokój. On również był Przebudzonym w świetle Chokhmah i doskonale rozumiał powagę sytuacji.

Obok stała Aine, z rozpuszczonymi płomiennymi włosami, w ulubionej zielonej sukni ujętej pasem ze złotymi ogniwami. Jako jedyna kobieta uczestniczyła we wszystkich królewskich naradach, co nie podobało się wielu dostojnikom uważającym się za godniejszych od niej. Traktowali ją jednak z szacunkiem, bo miała w sobie coś, co wzbudzało mimowolny respekt. Ponadto obawiali się spojrzenia jej zielonych oczu, gdyż podejrzewali, że wzrokiem czyta w myślach. Nawet nie wiedzieli, jak blisko byli prawdy, gdyż moc Emanacji Malkuth pozwalała jej zaglądać do ludzkich serc.

Marszałek koronny Zbigniew z Brzezia zasępiony spoglądał na mapę. Nie był Przebudzonym i nie zdawał sobie sprawy, o jak wielką stawkę toczy się gra, ale równie mocno jak pozostali pragnął zagłady zakonu krzyżackiego.

- Czy wszystko idzie zgodnie z planem? - zapytał król Władysław.

- Tak, wasza miłość - rzekł Zbigniew z Brzezia, wskazując punkt na mapie. - Książęta mazowieccy Janusz i Siemowit wraz ze swoimi chorągwiami stanęli już pod Czerwińskiem. Lada dzień powinny tam dotrzeć hufce z Wielkopolski i rycerze zaciężni z Czech, Moraw, Miśni, Śląska, Austrii, a nawet Szwajcarii...

- Żołdacy - prychnął pogardliwie Mikołaj Trąba. - Są niczym porzecz osadzony na drzewcu i tam się skierują, gdzie wiatr powieje. Temu będą jeno służyć, kto więcej zapłaci.

- Ale lepiej, żeby nam służyli.

- Obaczycie! Przy pierwszej okazji nas opuszczą. Nadzieję należy pokładać jeno w Polakach, którzy wierni ojczyźnie pozostaną - podkanclerzy spochmurniał. - Ponadto wydatki na wojnę pochłonęły prawie wszystkie złoto z królewskiego skarbcza. Czym im zapłacimy?

Zbigniew z Brzezia położył rękę na ramieniu duchownego.

- Serce i rozum u was wielkie, jednakże nie wyznajecie się na prawie wojennym. Rycerz cudzoziemski jest dla nas lepszy i korzystniejszy, bowiem jeśli z wojny wyjdziemy zwycięsko, nie z naszego skarbcza, ale z łupów nieprzyjacielskich mu zapłacimy. Jeśli zaś ulegniemy, nie będzie tych, którzy by się o żołd upominali, ani tych, od których by się go dopominano.

- Zgrabnieś to ujął - roześmiał się król. - W tym względzie w pełni się z tobą zgadzamy.

- Dziękuję, panie - marszałek ukłonił się. - Ponadto wśród zaciężnych znajdą się tacy, co nie tylko dla żołdu na Krzyżaków pójdą. Wspomagają nas lucerneńcy, którzy do panów pruskich wielką żywią nienawiść za to, że im przed laty zburzyli zamek w Tannenfels. A wielu rycerzy z zagranicy złość do Niemców nosi, jak choćby Jan Žižka. A co powiecie o walecznym Dagobercie z Saint-Amand? Wszak to Burgundczyk, a już tyle dla sprawy Polski uczynił, zaś złota za to nie wziął.

Aine drgnęła na dźwięk imienia mężczyzny, którego kochała. Minął rok od ich pierwszego spotkania, a uczucie, które ich połączyło, nadal płonęło pewnym i mocnym żarem. Każdy poranek, gdy mogła budzić

się w jego ramionach, napawał ją szczęściem. Uwielbiała spoglądać w oczy Dagoberta i dostrzegać w nich siebie taką, jaką chciała być, bo dla kobiety najlepszym zwierciadłem są oczy ukochanego. Nagle zapragnęła znowu poczuć jego zapach, dotyk, zatracić się w doznaniach i wybuchnąć spełnieniem.

Burza przybrała na sile, jakby wyczuwała jej narastające podniecenie. Aine przygryzła wargę, lekko unosząc brew. Nosiła w sobie potężną moc i nieraz zdarzało się, że siły natury zespały się z jej namiętnością. Ale tym razem szalejąca nawałnica nie była jej dziełem. Stanowiła zwiastun nadchodzącej wojny.

- Zbyt pochopnie oceniłem rycerzy zaciężnych - zgodził się Mikołaj Trąba. - Wiem, iż wśród nich są czestni ludzie, ale zawsze znajdą się tacy, którym jeno chęsa miła. I tym trzeba na ręce patrzeć.

- Tym już ja się zajmę - podkręcił węża marszałek koronny. - Większość z nich sam zwerbowałem i wiem, jak z nimi postępować. A musicie wiedzieć, że choć wyglądam na łagodnego człeka, rękę mam twardą.

- Wcale na łagodnego nie wyglądacie - mruknął podkanclerzy, spoglądając na niego spode łba. - Rzekłbym nawet, że wyglądacie jak ci zaciężnicy. W kolczudze chadzacie od świtu do nocy, miecza nie odkładacie ani na chwilę i czuć od was dymem z ogniska.

- Marszałek nie może w niczym się różnić od zwykłego woja. Winien to samo jeść i to samo pić. Jeśli jego ludzie głodują, on również będzie głodował. Jeśli marzną, on wraz z nimi. A gdy ich w bój posyła, sam winien stanąć na czele chorągwi. Tylko tak można zaskarbić sobie szacunek - rycerz uśmiechnął się szyderczo. - Może duchowni powinni brać przykład z wojskowych?

Mikołaj Trąba już chciał coś powiedzieć, ale król podniósł rękę.

- Czy są jakieś wieści od Witolda? - zwrócił się do Aine, wiedząc, że ona najszybciej będzie wiedziała o zbliżaniu się litewskiej armii.

- Niestety nie, miłościwy panie - pokręciła głową. - Jednakże zwiadowcy donieśli, że widzieli wojska przy ujściu Narwi do Wisły. Dagobert wraz z Jakubem z Kobylan pojechali to sprawdzić.

Na czole monarchy pojawiła się głęboka zmarszczka. Fortel z podpaleniem krzyżackich posiadłości pod Toruniem powiódł się i Ulryk von Jungingen, przekonany, że Polacy są gotowi do walnej rozprawy, poprosił o dodatkowych dziesięć dni rozejmu. Nawet nie wiedział, jak bardzo Jagiełło potrzebował tych kilku dni. Czekał na Litwinów, a oni się spóźniali.

- Jak tylko będą jakieś wieści o Witoldzie, pierwsi chcemy o tym wiedzieć.

\* \* \*

Rącza kasztanka pędziła na przełaj przez pola i łąki, leśnymi traktami i zdawało się, że nie dotyka kopytami ziemi. Z zadziwiającą lekkością przeskakiwała strumyki, zwalone drzewa, a nawet niewysokie, drewniane płoty. Ścigać by się mogła z samym wiatrem, jeśli ten chciałby stanąć z nią w zawody.

Dagobert z Saint-Amand cieszył się pędem powietrza, swobodą, widokiem soczystej zieleni liści na drzewach, a nawet burzy, która ich ścigała. Odwrócił się w siodle i dostrzegł stalowe chmury unoszące się tuż nad ziemią. Pomyślał, że nawałnica dotarła już nad Sejmice i zmarszczył czoło w obawie o pozostawionych w obozie bliskich. Wstrząsnął nim zimny dreszcz na myśl, że Aine i Gilbertowi mogła stać się krzywda. W pierwszej chwili chciał zawrócić konia i wracać, ale rozsądek wziął górę nad lękiem. Cóż mogło im grozić? Gdy odjeżdżał, Aine brała udział w kolejnej naradzie zwołanej przez króla, a chłopiec



czyścił broń, która to czynność pochłaniała go tak bardzo, że nie wychylał nosa z namiotu.

Burgundczyk zwolnił i poczekał, aż czarny ogier jadącego za nim Jakuba z Kobylan zrówna się z jego kasztanką.

- Dokąd ci tak spieszno? - zapytał Grzymalita, a w jego orzechowych oczach zatańczyły iskierki rozbawienia.

Wiedział, że Dagobert potrafi zatracić się podczas konnego galopu, ale dzisiaj jeszcze mogli pozwolić sobie na beztroskę. Wątpliwe było, żeby Krzyżacy zerwali rozejm i wkroczyli na ziemię mazowiecką. Na dzisiejszy zwiad nawet nie zabrali pocztu. Mieli za zadanie sprawdzić pogłoski o oddziałach widzianych po drugiej stronie Narwi. Zapewne były to litewskie hufce, zdążające na spotkanie z armią polską, ale mimo wszystko rycerze ubrali kolczugi.

- Raduję się życiem, Jakubie - roześmiał się Burgundczyk, a jego jasne włosy rozwiął wiatr, ukazując oblicze młodzieńcze wprawdzie, ale już naznaczone piętnem doświadczenia. Na prawym policzku widniała niezagojona jeszcze blizna, pamiątka po wydarzeniach w Kieżmarku. - Kto wie, co będzie jutro?

Tak naprawdę żaden z nich nie bał się śmierci, oswajali się z nią od dziecka, od chwili gdy pierwszy raz podnieśli miecz. Ćwiczyli się w zabijaniu, a walka i rozlew krwi stanowiły dla nich istotę życia. Często ryzykowali ponad miarę, aby udowodnić swoje męstwo, siłę, a nierzadko również i szczęście. Odwaga była najważniejszą z cnót rycerskich, wzbudzającą podziw i szacunek. Wojna napełniała ich radością, oczy błyszczały na samą myśl o szaleńczych szarżach, skrzyżowanych kopiach, szczęku oręża i bitewnym zgiełku. Wtedy krew szybciej krążyła w żyłach, serce łomotało. To było silniejsze od nich, nieujarzmiona siła, pierwotna żądza drzemiące w każdym z nich.

Dlatego zostawiali rodziny, tych, których kochali i pędzili na spotkanie przeznaczenia.

Jednak każdy z nich gdzieś głęboko żywił obawę, że nadejdzie dzień, gdy nie otrząśnie się z bitewnej furii, zawładnie nim szaleństwo i już nie zdoła powrócić do zwyczajnego życia. Stanie się demonem w ludzkiej skórze rozsmakowanym w przelewie krwi. Podczas wojny każdy z rycerzy balansował na granicy obłądu, bo w morzu okrucieństwa łatwo zatracić siebie.

Jakub potrząsnął głową, próbując odegnać ponure myśli i dał koniowi ostrogę. Po chwili dołączył do niego Burgundczyk i wspólnie pognali w stronę rzeki. Deszczowe chmury rozwiął wiatr, a burza, która ich ścigała, skręciła na północ. Rycerze szybko znaleźli płyciznę, przepawili się przez Narew i dalej pojechali leśną ścieżką, uważnie rozglądając się po okolicy. Nagle Dagobert wstrzymał konia, pochylił się w siodle i rzekł:

- Jeźdźcy. Trudno rzec, ilu.
- Ślady są płytkie, zatem to nie ciężkozbrojni.
- Może lekka jazda Witolda?
- Albo struterzy<sup>25</sup>.

Ci pochodzący z plemion pruskich wojownicy, często urządzali wyprawy łupieżcze na Mazowsze, a w czasie wojny wysyłani byli przez Krzyżaków na zwiady. Do ich grona przyjmowano morderców, gwałcicieli, rozbójników, którzy podczas służby dla zakonu mieli odkupić dawne grzechy i uzyskać odpusty. Ale nie stawali się przez to lepsi, a wręcz odwrotnie. W ich szeregach roiło się od zwyrodniałców gotowych do najgorszych zbrodni.

Dawniej, gdy Krzyżacy podbijali plemiona Bałtów, struterzy byli przewodnikami przeprowadzającymi ich przez bagna, ale szybko uczyli

się od swych nowych panów. Zaczęli działać na własną rękę. Wielokrotnie napadali jaćwieskie i żmudzkie wioski, łupiąc je, mordując mężczyzn, a dzieci i kobiety uprowadzając w niewolę.

O ich okrucieństwie było głośno w całym chrześcijańskim świecie. Teraz, gdy już nie było kogo nawracać, na rozkaz zakonników nękali polskie ziemie.

Jakub z Kobylan uśmiechnął się zawadiacko.

- Zatem przekonajmy się, z kim mamy do czynienia.

\*

Marcin z Golina<sup>26</sup>, zwany Szramą od paskudnej blizny biegnącej przez pół twarzy, przeciągnął dłonią po krótko ściętych, białych jak śnieg włosach. Liczył pięćdziesiąt lat, co jak na Prusa oznaczało siłę wieku, a doświadczeniem życiowym i cierpieniem, jakiego zaznał, mógłby obdzielić setkę ludzi. I to właśnie stało się celem jego życia.

Tylko przelana krew potrafiła ugasić gniew płonący w jego sercu, jednak zaledwie na chwilę, bo zaraz wybuchął ze zdwojoną siłą. Marcin z Golina nienawidził wszystkiego i wszystkich, a tam gdzie się pojawiał ze swoimi struterami, pozostawały popioły i zgliszcza.

- Powiadasz Hans, że jest ich tylko dwóch? - Utkwił zimne, bladoniebieskie oczy w ryżym chłopaku, który, mimo młodego wieku, ścigany już był w Meklemburgii za gwałt i morderstwo na dziewięcioletniej dziewczynce. Hans skulił się w sobie, czując, jak strach pełźnie mu po plecach. Szrama był jedynym człowiekiem na świecie, którego się bał.

- Tak - wydukał, opuszczając wzrok. - Zdaje mi się, że to polscy rycerze.

- Zdaje ci się? - wysyczał Marcin z Golina, a jego głos nabrał złowrogich tonów. - Nie po to posyłam cię na zwiad, żeby ci się

zdawało.

- Nadjechali z południowego zachodu, a przecież tam Polacy obozem stoją. - Na czole młodzieńca pojawiły się kropelki potu. - Zatem któż inny to być może?

Dowódca struterów w zamyśleniu pokiwał głową, a Hans odetchnął z ulgą. Tym razem udało mu się załagodzić sytuację, ale musiał się mieć na baczności. Szrama za mniejsze przewiny karał śmiercią.

- Urządzimy zasadzkę. - Prus uśmiechnął się krzywo i rozejrzał po okolicy. Znajdowali się w gęstwinie leśnej, przez którą przebiegała jedyna przejezdna droga. Doskonałe miejsce na pułapkę. - Konie ukryjcie głęboko w lesie. Drogę zablokujcie kłodami drewna i schowajcie się po obu stronach traktu. Przygotujcie sieci i czekajcie w gotowości.

Gdy młodzieniec odszedł, Marcin rozsiadł się wygodnie pod rozłożystym bukiem, oparł się plecami o pień drzewa i przymknął oczy. Nie musiał pilnować swoich ludzi, wiedzieli, jak się zasadzić na wroga. Co prawda dwaj Polacy byli zapewne lepiej opancerzeni, ale on pod swoją komendą miał dziesięciu struterów.

Na wyprawę wyruszył z tuzinem, ale w pewnej osadzie tuż nad Wisłą, którą chcieli złupić, natknęli się na niespodziewany opór. Kmiotkowie, zamiast swoim zwyczajem schować się w najgłębsze zakamarki chat i zanosić modły w nadziei, że gdy już oprawcy pofolgują sobie z ich żonami oraz córkami, zrabują zapasy żywności, to odjadą zostawiając ich przy życiu, chwycili za widły. W potyczce stracił dwóch ludzi.

Zemsta była straszliwa.

Wszystkich mieszkańców wioski zgromadził na placu, żeby na własne oczy przekonali się, co znaczy zdrzeć ze struterami. Sołtysa

przybił do drzewa za jelita i kazał mu biegać dookoła, a sam w tym czasie gwałcił jego córkę. Mężczyzna krzyczał z bólu, z wściekłości, poniżenia. Nie wytrzymał długo i zanim Marcin skończył zabawiać się z dziewczyną, padł martwy. Na koniec Szrama kazał spalić osadę. Wiedział już, że ci ludzie nigdy więcej nie podniosą ręki na sługi zakonu.

Podobnie jak zbuntowani Żmudzini z pewnej osady niedaleko Miedników. Krzyżacy, nie mogąc sobie z nimi poradzić, wysłali tam jego struterów. Przybyli tuż przed świtem, gdy mieszkańcy pogrążeni byli w głębokim śnie. Wzięci z zaskoczenia, nie stawiali oporu. Struterzy zamknęli wszystkich mężczyzn i chłopców w jednej chacie, a potem ją podpalili. Żmudzini płonęli żywcem, błagając swoich pogańskich bogów o cud. Ale cud się nie zdarzył, a w osadzie do dnia dzisiejszego mieszkają same kobiety, zdane na łaskę i niełaskę grasujących w okolicy łupieżców.

Innym razem, przekroczywszy granicę z Litwą, uderzył na gospodarstwo znacznego bojara, który zbrojnie wspomagał żmudzkie powstania. Traf chciał, że odbywało się akurat wesele jego córki. Marcin z Golina wydał rozkaz wymordowania wszystkich przyjezdnych gości, a oszczędzenia miejscowych. Wieści o tym zdarzeniu szybko się rozeszły i od tamtego czasu już nikt do bojara nie przyjeżdżał, a on stracił poważanie na Żmudzi.

Szrama zabijał nie tylko na rozkaz, ale czynił to również dla zysku. Niejednokrotnie mordował możnowładców na zlecenie, kupców na traktach, żeby ograbić ich ze złota, a pewnego razu zagarnął nawet statek na Bugu i odprowadził jako przyz do Torunia. Wyszło wtedy z łupów po dwadzieścia grzywien na głowę dla każdego z jego ludzi.

Ale tak naprawdę Marcin z Golina zabijał z zemsty za swój okrutny los.

Nie zawsze tak było. Kiedyś był szczęśliwy. Kiedyś pamiętał jej twarz.

- Nadjeżdżają - usłyszał stłumiony krzyk Hansa.

Czas zadać kolejną śmierć.

\*

Zwalone drzewo zalegało na trakcie i Jakub już chciał je ominąć, wjeżdżając w las, gdy poczuł dłoń Dagoberta na ramieniu. Burgundczyk wskazał nacięcie na pniu, uczynione ostrzem topora. Wstrzymali konie, uważnie rozglądając się dookoła, ale nic podejrzanego nie zauważyli. Gałęzie drzew lekko uginały się pod wpływem wiatru, cicho szeleściły liście, ukryty w gęstwinie dzięcioł wystukiwał swój własny rytm, a w oddali szumiała rzeka.

Jednak coś było nie tak. Burgundczyk, wiedziony wojennym instynktem oraz mocą Emanacji Netzach, sięgnął po miecz. Niemal wyczuwał unoszącą się w powietrzu, przytłaczającą aurę nienawiści.

- Zawracamy! - krzyknął i szarpnął za wodze.

Za późno. Z koron drzew spadła sieć, szczelnie ich oplatając. Wierzchowce zarżały przerażone, zwalając rycerzy na ziemię. Dagobert i Jakub próbowali uwolnić się z matni, ale wszelkie wysiłki okazały się daremne. Po chwili zaprzestali starań i bezradnie spoglądali w stronę zbliżających się mężczyzn.

Dagobert ujrzał obdarte ubrania, brodate, naznaczone okrucieństwem oblicza, błysk obnażonego oręża i wiedział już, że ma do czynienia ze struterami. Nie mógł uwierzyć, że tak to się skończy. Zginie rozsiekany przez zbójów niegodnych nawet dźżyć miecze. Wielokrotnie stawał oko w oko ze śmiercią, ale zawsze czuł, że jego czas jeszcze nie nadszedł. Teraz jednak, widząc kroczącego ku niemu potężnego mężczyznę o białych jak śnieg włosach, ze szramą na

twarzy i strasznych oczach, w których ujrzał zimną nienawiść, porzucił wszelką nadzieję. Oto napotkał demona, który zaraz odbierze mu życie, a wraz z nim wszystko, czego jeszcze nie zdążył doświadczyć.

Nie będzie mu dane zestarzeć się z Aine, nie zobaczy, jak Gilbert dorasta, staje się mężczyzną, otrzymuje rycerski pas i ostrogi. Tak wiele chciał go jeszcze nauczyć, przekazać mu całą posiadaną wiedzę, która teraz umrze wraz z nim.

Człowiek ze szramą wzniosł w górę oręż.

\* \* \*

Dla Szramy nie miało znaczenia, kim są rycerze, których zaraz wyprawi na tamten świat, ale w głębi serca chciał, żeby to byli Polacy. Nienawidził ich tak samo mocno, jak własnych rodaków. Marcin z Golina był Prusem z dziada pradziada i w młodości z dumą nosił to miano. W przeciwieństwie jednak do swoich ziomków nie postrzegał Krzyżaków jako ciemiężców, ale świątłych panów, którzy wybudowali drogi, kanały nawadniające oraz twierdze z kamienia mogące się oprzeć każdej nawałnicy.

Przed dwudziestu laty miał żonę, precudnej urody niewiastę o dużych niebieskich oczach i włosach koloru zboża. Spodziewali się dziecka, ale niestety, to były złe czasy i głód zajrzał do ich chaty. Marcin w trosce o rodzinę poszedł do zakonników na służbę, a że był wyśmienitym tropicielem, szybko zdobył poważanie wśród braci-rycerzy, którzy chętnie zabierali go na rejzy<sup>27</sup>. Prowadził więc Krzyżaków przez mateczniki, bory, knieje wprost na żmudzkie i litewskie osady. A wtedy rycerze z imieniem Jezusa Chrystusa na ustach siali zniszczenie, wzniecali pożary i mordowali. Nie miał wyrzutów sumienia. Wszak ci, co ginęli, byli poganami i tylko poprzez śmierć mogli dostąpić odkupienia, a on otrzymywał zapłatę w

brzęczącej monecie.

Po jednej z wypraw wracał do domu z pełną sakiewką, rozważając, czy lepiej kupić żonie suknię, taką czerwoną, zwężaną w talii, jaką widział u bogatych niewiast, czy może wyprawkę dla dziecka, gdy nagle ujrzał dym nad swoim domostwem. Targany złymi przeczuciami pobiegł, ile sił w płucach i trafił na pogorzelnisko.

Ze łzami oczach wzywał ukochaną, rękoma odwalając tłące się jeszcze kłody, aż wreszcie ją znalazł, przywaloną przez jedną z belek. Złote włosy rozrzucone były w nieładzie, krew zakrzepła na pokrytej sadzą skórze, a błękitne oczy pozbawione życia. Z gardła dobył mu się krzyk rozpacz. Chwycił martwą żonę w ramiona i siedząc w niewygasłym żarze popiołów, łkał przez długie godziny. Żal rozdzierał mu duszę, ból - serce. Przeklinał Boga, świat i ludzi. Przeklinał samego siebie. Próbował odebrać sobie życie, ale nie był w stanie tego uczynić. Wreszcie po jego policzku spłynęła ostatnia w życiu łza, włosy stały się białe jak śnieg, a on sam zamienił się w skałę.

Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Pozostała mu zemsta. Wiedział, kto stoi za jego nieszczęściem: szlachcice z Towarzystwa Jaszczurczego<sup>28</sup>, którym nie w smak były rządy zakonu. Wydali wojnę zdrajcom, postanawiając ich zgładzić. Marcin z Golina znalazł się na czele ich listy. Na północy żyją ludzie twardzi, przyzwyczajeni do okrucieństwa, więc kara musiała być nader okrutna. Wszyscy mieli zapamiętać nauczki i przestrogi, żeby już żaden Prus nie wstąpił na służbę do Krzyżaków. A cóż mogło być straszniejszego niż spalenie żywcem ciężarnej żony?

Na wytropienie wszystkich sprawców mordu potrzebował prawie dwóch lat. Pierwszemu rozciął brzuch, włożył do środka kamienie i wepchnął do rzeki. Drugiemu przed śmiercią wyłupił oczy, obciął uszy,



wyciął wargi. Trzeciego powiesił na drzewie nogami do góry i rozpałił pod nim ognisko. Nieszczęśnik żył jeszcze, kiedy towarzysze zdejmowali go z gałęzi, lecz widząc ogrom obrażeń, litościwie dobili. Kolejnego rozerwał koźmi, a ostatniego, po wcześniejszym wykastrowaniu, wbił na pal.

Ale gniew w sercu Marcina nie wygasł, wręcz odwrotnie, wybuchł z jeszcze większą siłą. Do własnych rodaków, bo Prusak Prusakowi taką rzecz uczynił, i do Polaków, bo uważał, że oni są wszystkimu winni. Uwierzył Krzyżakom, którzy twierdzili, że to Jagiełło podjudza jaszczurkowców do buntu, chcąc zagarnąć dla siebie ziemię pruską.

Zatem widząc rycerzy pochwyconych w sieć, Szrama uśmiechnął się krzywo, wyciągając zza pasa nadziak. Chwycił mocno stylisko, uniósł w górę żeleźce z zakrzywionym dziobem i zamierzył się na pierwszego z mężczyzn. Wiedział, że zaraz krew chluśnie mu na twarz, spłynie po zmarszczkach i głębokiej bliźnie, a on poczuje jej słodki smak i przez chwilę znajdzie ukojenie.

Nagle zamarł.

Ziemia zadrżała pod stopami, rozległo się donośne dudnienie. Zaskoczony spojrzał na drogę i ujrzał chmarę jeźdźców. Zrozumiał, że czeka go śmierć. Odetchnął z ulgą. Może wreszcie ponownie ujrzy jej twarz.

\*

Przerażone krzyki umierających struterów niosły się echem po okolicy. Niektórzy próbowali uciekać, ale padali rażeni strzałami, inni podejmowali walkę, ale zakrzywione szable cięły ich po twarzach, a groty włóczni przebijały pikowane kaftany. Nie minęły dwa pacierze, a na trakcie pozostały tylko trupy krzyżackich zwiadowców.

Dagobert i Jakub wyplątali się wreszcie z sieci, a teraz ze

z dumieniem przyglądali się zbrojnym krążącym wokół nich na niewielkich, ale rącznych koniach. Jeźdźcy ubrani byli na modłę wschodnią w wołokowe kubraki, filcowe spodnie i spiczaste, futrzane czapki.

- Tatarzy - wyszeptał poblady Jakub z Kobylan, dostrzegając ich szerokie twarze, płaskie nosy i małe skośne oczy. Wzniósł w górę miecz.

- Czekaj! - Burgundczyk chwycił go za rękę. - To witoldowa chorągiew.

- Skąd wiesz?

- Znam ten buńczuk - wskazał coś na kształt sztandaru trzymanego przez jednego z jeźdźców. Był to pęk końskiego włosa barwionego na ciemnozielony kolor, zebranego w kulę i przytwierdzonego do drzewca, ze swobodnie zwisającym drugim końcem.

Rycerze usłyszeli krótkie rozkazy w szczekliwej mowie i Tatarzy rozjechali się, odslaniając dowódcę dosiadającego dorodnego siwka. Mężczyzna miał na sobie długą, aksamitną koszulę opasaną szkarłatnym pasem, narzucony na nią kaftan z owczej wełny, a na głowie nosił ozdobną, spiczastą czapkę zakończoną, podobnie jak buńczuk, końskim włosem.

Tatar podjechał do Dagoberta, wnikliwie mu się przyglądając.

- Nie sądziłem, że cię jeszcze żywym obaczę - rzekł w chrapliwej mowie. - Zawždy krocysz szlakiem, po którym i śmierć kroczy.

- Jak każdy z nas - odparł Burgundczyk. - Dobrze znów cię widzieć, Dżalal ad Dinie<sup>29</sup>.

- Allah akbar, przyjacielu. - Mężczyzna zeskoczył z konia i mocno uściskał Dagoberta. - Nie mogłem dać wiary oczom, gdym cię pochwyczonego ujrzał.

- Na szczęście w samą porę przybyłeś z ratunkiem.  
- Zawsze do usług. - Tatar skłonił się lekko. - Gdybym tego nie uczynił, naraziłbym się na gniew pięknej Aine, a tego lękam się nawet ja, przyszły władca Złotej Ordy.

Dagobert roześmiał się i wskazał towarzysza.

- To przyjaciel mój, Jakub z Kobylan, którego serce rwie się do walki tak samo mocno, jak do miłowania białek.

- Przyjaciel mojego przyjaciela jest i moim przyjacielem - rzekł Tatar.

- Miło powitać tak znamienitego gościa. Dufam, iż los wam będzie przychylny i wkrótce zasiądziecie na tronie Złotej Ordy.

- W tym względzie pokładam ufność w Allahu, nie w losie, który bywa przewrotny niczym złośliwe duchy stepu.

- Prawdę rzekłeś - pokiwał głową rycerz z Kobylan. - Los czasem, przywdziewając maskę błazna, szydzi z ciebie, innym zaś razem nakłada na ramiona purpurę, wynosząc ponad miarę.

Jakub dobrze pamiętał, że jeszcze rok temu, niesłusznie oskarżony o romans z królową Anną, świat oglądał zza krat lwowskiego lochu, a teraz był jednym z najbardziej zaufanych rycerzy Jagielly.

- Wattad<sup>30</sup> z całą swoją armią stoi w miejscu, gdzie Narwia wpływa do Wisły - rzekł Dżalal ad Din. - Mnie wysłał przodem, abym padł do stóp Jogaiłły prosić o kilka chorągwi dla osłony przeprawy przez rzekę.

- Król Władysław rad będzie wieściom, które przynosisz i zapewne przychylił się do prośby księcia. A teraz jedźmy, żeby przed nocą do obozu zdążyć - powiedział Dagobert, wskakując na koń.

Po raz ostatni spojrzął na pobojowisko i dostrzegł martwego strutera z potężną szramą na twarzy. Teraz oczy mężczyzny, których tak się wystraszył, wypełnione były spokojem, jakby w śmierci odnalazł ukojenie.

\* \* \*

Niebo znów się zachmurzyło. Tego lata zdążyło już przyzwyczać ludzi do swoich kaprysów. W dali słyhać było groźne pomruki, jakby jakiś olbrzym właśnie przebudził się i dawał wyraz swojemu niezadowoleniu. Tatarzy ze stepów twierdzili, że to żaden wielkolud, tylko nga - zwierzę będące całym światem. Północ to jego głowa, południe - nogi, las jest sierścią stwora, a ludzie są niczym wszy na jego potężnym cielsku. Śmiecą, brudzą i dlatego nga czasem otrząsa się jak pies, gniewnie przy tym warcząc.

Gilbert liczył sobie już trzynaście lat i powinien wyrosnąć z dziecięcych strachów, lecz siedząc na koźle wozu, z przerażeniem nasłuchiwał odgłosów burzy. Wczoraj do późna w nocy, przycupnięty przy obozowym ognisku, przysłuchiwał się opowieściom Tatarów o strasznych stepowych duchach, gigantach, demonach oraz węzach o setkach głów. Z każdą kolejną legendą jego ufne niebieskie oczy robiły się coraz większe, a ciarki przechodziły po plecach. Jednak nie ruszył się do czasu, gdy przyszła po niego Aine i kazała mu kłaść się spać. Na szczęście obyło się bez ostrej reprimendy. Nakrzyczała tylko na Tatarów, że karmią chłopca niestworzonymi historiami, a ci dzicy i okrutni wojownicy ze Wschodu pospuszczali potulnie głowy. Jednakże Gilbert i tak całą noc śnił koszmary.

- No, rusz się, chłopcze! - krzyknął puciołowaty woźnica. - A chyżo! Nie mamy całego dnia.

Młodzieniec smagnął pociągowego siwka, ruszył do przodu, lecz zaraz znowu się zatrzymał. Przed sobą ujrzał uszykowany w kilku kolumnach tabor ciągnący się aż po horyzont. Prawie dziesięć tysięcy wozów obładowanych zapasami żywności, paszą dla zwierząt, bronią, beltami do kusz, odzieżą, bombardami<sup>31</sup> i kulami do nich wielkości

ludzkiej głowy, zdążało na przeprawę. Zamożniejsi wieźli jeszcze namioty i naczynia, a jedynie broje uwiesili na grzbietach koni. W oddali Gilbert dostrzegł wozy rzemieślników, dygnitarzy, duchownych i medyków. Wszyscy oni jechali na wojnę, jednak tylko piąta ich część stanie twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Czeladź będzie rozstawiać namioty, rymarze naprawiać siodła, pancernicy łączyć zerwane ogniwa w kolczugach, kowale kuć konie, a puszkarze rychtować plujące ogniem maszyny. Sporo pracy czeka również płatnerzy, szewców, krawców, mieczowników i kucharzy. Wojna to wprowadzona w ruch wielka i kosztowna maszyna, której siłą napędową nie są wcale brojni rycerze, a zwykli rzemieślnicy. Czym byliby owi odziani w kirysy śmiałkowie, dzierżący w rękach najlepszej jakości oręż, dosiadający wspaniałych wierzchowców, gdyby nie trud ludzi, którzy im to zapewniają? Ale ich imion historia nie zapamięta.

Wozy znowu ruszyły, zmierzając na olbrzymi most wiszący niemal w powietrzu. W rzeczywistości konstrukcja wsparta była na stu sześćdziesięciu ośmiu łodziach kołyszących się na Wiśle. Wszyscy już od kilku dni o nim rozprawiali, zastanawiając się, jak może wyglądać. Ponoć w wielkiej tajemnicy, przez pół roku most budowany był pod Kozienicami, gdzie łatwo o dobre drewno z Puszczy Radomskiej. Gilbert z lękiem, a jednocześnie z podziwem spoglądał na dzieło mistrza Jarosława, który stał na wzgórzu, bacząc, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem. Wyznaczył zbrojnych do pilnowania porządku i opatrzył krańce mostowe oporami z drewna, aby nikt poza kolejnością nie zbliżał się do brzegu. Dzięki temu cały tabor wjeżdżał na most w równych szykach, zachowując bezpieczne odstępny.

Mistrz Jarosław skinął głową i pilnujący ładu rycerze wpuścili na most kolejną grupę wozów. Chłopiec zaczął szeptać modlitwy, których

nauczył się jeszcze podczas swojego pobytu w Malborku. Od zawsze drzemała w nim dusza odkrywcy i gdy jego ówczesny pan dawał mu wolne, zwiedzał wszystkie zakamarki krzyżackiego zamku. Niepostrzeżenie przemykał przez krużganki, przekradał się korytarzami, wędrował magazynami, jednak czasem, żeby ruszyć dalej, musiał przeczekać mszę ukryty pod ławą w kościele Najświętszej Marii Panny. Wtedy, znudzony, bezgłośnie powtarzał pacierze za zakonnikami. Teraz zaś wolałby znowu oglądać brudne stopy w mnisich sandałach niż jechać po chybotliwym, kołyszącym się moście.

Spojrzał w lewo, potem w prawo, ale z kozła wozu zdołał dojrzeć tylko bystry nurt rzeki i poblady skierował wzrok przed siebie. Z trudem powstrzymywał łzy, marząc o tym, by znaleźć się już na przeciwległym brzegu. Co prawda, bywał już w większych opałach, ale wtedy zawsze mógł liczyć na swoją zręczność, szybkość, lub silne ramię Dagoberta i mądrość Aine. Teraz był sam, zagubiony w wielkim tłumie, mrowiu krzyków, zgiełku i hałasie.

Nagle znów utworzył się zator. Gdzieś z przodu wybuchła kłótnia i do uszu chłopca doleciały przekleństwa. Podniósł głowę i zobaczył, że zderzyły się dwa wozy, a pacholkiwie szarpią się za płócienne koszule i okładają pięściami z taką zajadłością, jakby byli najgorszymi wrogami. Na szczęście szybko przybyła straż, rozdzielając walczących. Na ponurych twarzach zbrojnych malowało się zmęczenie. Nie przypuszczali, że służba porządkowa może być bardziej uciążliwa niż bitwa.

Tabor ruszył dalej, a strach chłopca, jak to często bywa ze strachem, zamienił się w złość. Na pana Dagoberta, za to, że zostawił go samego. A przecież na wozie znajduje się jego dwuręczny miecz, kopie, rękawice z kolczej plecionki, tarcze, naramienniki. Na panią Aine,

za to, że mu pozwoliła. A przecież obok rzeczy Burgundczyka leżą jej suknie, sakiewki z ziołami i garnce do mieszania wywarów. Tymczasem Gilbert wiózł jedynie koszulę na zmianę. W tej chwili, zły i rozgoryczony, gotów był ich całą chudobę utopić w rzece, a samemu odejść, gdzie go oczy poniosą.

Uspokoił oddech, przypominając sobie nauki Aine. Opanował gniew, odrzucił złość i poczucie krzywdy, żeby dostrzec, jak sprawy naprawdę wyglądają. A prawda była taka, że pan Dagobert powierzył mu ważne zadanie, pewny, że chłopiec sobie poradzi. Jego opiekunowie musieli jako pierwsi przejść przez rzekę, żeby u boku króla powitać w Czerwińsku chorągwie mazowieckie, wielkopolskie i przybyłe właśnie wojska Witolda. Dzisiaj zebrali się tam najważniejsi i najmądrzejsi ludzie, jakich ziemia nosiła, a Gilbert nie wątpił, że Dagobert i Aine do nich należeli.

\*

Nadciągnęli ze wschodu, kolumną długą prawie na milę. Przybyli z Trocka, Wilna, Grodna, Kowna, Miedników, Połocka, zbrojni o ponurych twarzach odziani w pikowane kaftany, kolczugi przetykane płatami, w rękach dzierżąc tarcze i włócznie. Nad ich głowami powiewały niebieskie sztandary z wizerunkiem jeźdźca z uniesionym do ciosu mieczem oraz czerwone chorągwie ze Słupami Giedymina<sup>32</sup>.

Na czele pochodu jechał wielki książę Litwy, Witold, otulony bogato zdobionym, purpurowym płaszczem. Tuż za nim podążał mężczyzna mający na sobie kolczugę, na głowie wysłużony szłom z czepcem kolczym, a za pasem niewielki jeździecki topór. Niczym nie wyróżniał się od zwykłego woja i nikt by nie powiedział, że jest to słynny książę Semen-Lingwen Olgierdowicz, brat i wierny sojusznik króla Władysława. Na wojnę przywiódł trzy pułki smoleńskie, najbardziej

bitne chorągwie w witoldowej armii. Dalej jechali inni wschodni przywódcy, wśród nich książę Iwan Żedewida Koriatowicz, Piotr Gasztoł, Moniwid i żmudzcy bojarzy.

- Jawnuta! - krzyknął Dagobert, który wraz z Aine przyglądał się wojsku wkraczającemu do Czerwińska.

Brodaty, potężny mężczyzna uśmiechnął się szeroko i wyłamując się z kolumny, podjechał do nich. Zeskoczył z konia, radośnie uściskał Burgundczyka i z szacunkiem, ale również z pewną rezerwą skłonił się Aine.

- Rad jestem w zdrowiu was widzieć - powiedział bojar. - Brat Hieronim rzekł, iż przed rokiem oboje poszliście do Malborka na pewną śmierć. Okrutnie się z tego powodu srożył i powiadał, że nie po to Dagoberta od kostuchy uchronił, aby laźł prosto w łapy Krzyżaków. Ciebie, pani Aine, też mu było żal, bo choć wiary chrześcijańskiej nie wyznajecie i po barbarzyńsku ludzi leczycie, to zacna z was niewiasta...

- Zacna niewiasta? - skrzywiła się. - Mnich wie, jak białkę komplementować.

Roześmieli się, lecz po chwili Dagobert spowaźniał i rzekł:

- Dobrze, że wspomagasz naszą sprawę. W tej wojnie każdy mężny człek jest na wagę złota.

- Bojar ze mnie prosty, lecz swój rozum mam. Wiem, iż tak długo zakon swoje chciwe łapska po Żmudź będzie wyciągał, aż nie padnie na kolana. Przed rokiem Krzyżaków pobiliśmy, uczynimy to i teraz.

- To nie będzie prosta sprawa - westchnął Burgundczyk. - Wtenczas na Żmudzi walczyliśmy z załężnionymi knechtami, teraz zaś przyjdzie nam się zmierzyć z najprzedniejszymi hufcami Ulryka von Jungingen i nie w lasach, gdzie mogliśmy się skryć w gęstej kniei, a na otwartym polu.



- Siła naszego oręża nie gorsza - rzekł Jawnuta, poklepując topór zatknięty za pasem. - Ponadto gniew serca nasze rozpała i za wszystko, co uczynili nam rycerze z krzyżami na płaszczach, weźmiemy srogą pomstę. Powiadam ci, Dagobercie, chorągiew miednicka pierwsza ruszy do boju i ostatnia zejdzie z pola bitwy.

Aine westchnęła ciężko, bo wiedziała, że zaraz zaczną się wojenne opowieści. O ile jeszcze potrafiła zrozumieć radość płynącą z zabijania, bo natury ludzkiej nie sposób oszukać, o tyle zupełnie nie mogła pojąć, jak jeszcze można o tym godzinami rozprawiać i przechwalać się, kto jest w tej materii sprawniejszy.

Pozostawiła mężczyzn i ruszyła w stronę królewskiego namiotu, gdzie niedługo miała się rozpocząć narada wojenna. Uśmiechnęła się pod nosem. Kto by przypuszczał, że zwykła zielarka będzie doradzać władcom tego świata?

\*

Władysław Jagiełło stał wraz Witoldem na klasztorным wzgórzu, z którego rozciągał się najlepszy widok. Król Polski oparł dłoń o wysadzaną klejnotami rękojeść miecza zatkniętego za złotym pasem i rozejrzał się po okolicy.

Na południu płynęła Wisła, przez którą od samego rana przeprowały się wojska małopolskie. Na wschodzie namioty rozbili gospodarze tej ziemi, księżę warszawski Janusz<sup>33</sup> i płocki Siemowit<sup>34</sup>. O ile ten pierwszy był lojalnym lennikiem i sojusznikiem króla, to brat jego, chcąc zasiąść na tronie, przez lata spiskował z Krzyżakami. Na szczęście uświadomił sobie daremność swoich starań i dzisiejszego ranka ukląkł w pokorze przed Jagiełłą, oddając mu swój miecz. Podobnie biskup płocki Jakub, ten sam, który przed rokiem odmówił zbrojnej pomocy oblężonym miastom ziemi dobrzyńskiej, teraz nawet

pomógł wystawić chorągiew swojemu ubogiemu krewniakowi Zaklice z Korzkwi.

Tuż obok Mazowszan obozem stanęli Litwini, natomiast na zachodzie czescy i morawscy rycerze pod dowództwem Jana Sokoła z Lamberku. Można było podziwiać, jak dobrze opancerzeni jeźdźcy zebrani pod znakiem świętego Jerzego<sup>35</sup> ćwiczą jazdę w szyku. Jagiełło wierzył, że nie zawiodą go podczas zbliżającej się bitwy. Najdalej, bo aż na północnych przedmieściach Czerwińska, obóz rozbili Wielkopolanie. Marszałek Zbigniew z Brzezia, wiedząc o waśniach między nimi a Małopolanami, obawiając się wybuchu bratobójczych walk, rozkazał rozłożyć im się jak najdalej od rzeki.

Monarcha, spoglądając na sztandar chorągwi poznańskiej, na której widniał biały orzeł na czerwonym tle, stwierdził, że niczym on się nie różni od flagi krakowskiej. Czemu zatem wybuchały zatargi i małe wojny między rycerzami należącymi do tego samego narodu? Może dlatego, że orzeł poznański nie miał korony? Wielkopolanie nie mogli zdzierżyć, że to Kraków, a nie Gniezno jest obecnie stolicą Polski. Natomiast Małopolanie zazdrościli im rozległych i żyznych ziem oraz bogactwa plonów. Król jednak miał nadzieję, że jedni i drudzy gotowi byli schować urazy i zewrzeć szyki w obliczu wroga.

- Jesteśmy gotowi - rzekł Jagiełło i spojrzał na Witolda. Zdziwił się, widząc jego pogodny uśmiech, twarz pozbawioną bruzd i łagodne oczy. Zazwyczaj zagniewany i nadąsany księżę Litwy, teraz był spokojny, jakby wreszcie w pełni zrozumiał wypełniającą go moc Emanacji Chokhmah. A może odmienił go zamach w Kieżmarku, w którym mało życia nie stracił?

- Czasem do zrozumienia prowadzi daleka i wyboista droga - rzekł Witold, wpatrzony w dal. - Czasem trzeba kilka razy zbłądzić, aby

odnaleźć tę właściwą. Wielokrotnie występowaliśmy przeciw wam, mój bracie, myśląc jeno o własnej chwale. Zaślepiła nas duma, pycha i zawiść. Jednakże tym razem stanę u waszego boku.

- Zatem uczynimy to, do czego obaj zostaliśmy powołani - odparł król. - Za dwa dni ruszamy.

- Tuszę, iż Ulryk von Jungingen nadal nie wie, gdzie uderzymy?

- Zadbaliśmy o to, by cały czas otrzymywał sprzeczne wieści - uśmiechnął się Jagiełło. - Ponadto mam szpiega w jego bliskim otoczeniu...

\* \* \*

W skromnie urządzonej komnacie stała jedynie duża skrzynia na ubrania, wąskie łóżko i stół, za którym siedział Ulryk von Jungingen. Dopiero co wrócił z nabożeństwa w kaplicy toruńskiego zamku i ubrany był jeszcze w houppelande z okazałym złotym krzyżem na piersiach, przynależnym jedynie wielkiemu mistrzowi zakonu. Przez chwilę gładził siwą brodę, nieobecny wzrokiem spoglądając na swojego pokojowca. Stasske von Bolmen wiedział, że w takich chwilach należy cierpliwie czekać.

- Jesteś pewny, że wieści, które przywiózł Piotr Świnka są prawdziwe?

- Tak, wasza dostojność - odparł sługa. - To samo mówił Oswald von Wolkenstein, który wczoraj powrócił. Mimo że bard jedno ma tylko oko, to wiele widzi, ponadto wiele słyszy, bowiem słuch z racji swojej profesji ma wyostrzony.

Dostojnik krzyżacki przetarł zmęczone oczy. Stasske wiedział, że wielki mistrz od dawna cierpiał na bezsenność. Nocami, blady niczym duch, włóczył się zimnymi korytarzami toruńskiego zamku, szepcząc coś do siebie. Czyżby szaleństwo, które od lat władało jego rozumem,

wreszcie zawładnęło ciałem? A może strach przed wojną tak go odmienił? Pewne było, że Ulryk von Jungingen to nie ten sam człowiek, co jeszcze rok temu. Wtedy, wypełniony zapałem i wiarą we własne siły, gotów był bez wahania zmierzyć się z każdym wrogiem. Dzisiaj jednak bardziej przypominał znużonego starca niż pełnego wigoru przywódcę.

Wielki mistrz oderwał wreszcie dłonie od pobrużdżonej twarzy, westchnął ciężko i rzekł:

- Sprawdźmy zatem, co powie pan Skoraczowski.

Pokojowiec skłonił się nisko i otworzył drzwi komnaty, za którymi czekał młody rycerz o długich czarnych włosach opadających lokami na ramiona. Zamaszystym krokiem wszedł do środka, ale nie klęknął przed krzyżackim dostojnikiem. Skłonił się tylko lekko.

- Chcieliście mnie widzieć, wielki mistrzu, chociaż doprawdy nie wiem, co mógłbym rzec więcej ponad to, co już wcześniej mówiłem w obecności Mikołaja Gary i Ścibora ze Ściborzyc.

Skoraczowski nie był zadowolony z tego wieczornego zaproszenia, jak również ze swojej obecności w Toruniu. Jak większość polskich rycerzy, czuł niechęć do Krzyżaków i źle się czuł w murach ich zamków. Na polecenie swego pana, Ścibora, pojechał do Jagiellły umówić miejsce spotkania z posłami węgierskimi. Monarcha gotów był spotkać się z wysłannikami Luksemburczyka szóstego lipca, lecz miejsca, niestety, podać nie mógł, bowiem nie wiedział, którądy iść mu wypadnie. Skoraczowski dokładnie przekazał słowa króla i nie rozumiał, czego jeszcze może chcieć wielki mistrz.

- Rzeknij mi, gdzie stoi wojsko Jagiellły?

Młodzieniec zmrużył oczy, zastanawiając się, czy zdradzić dostojnikowi krzyżackiemu miejsce pobytu polskiej armii, jednak po

chwili stwierdził, że nie wyrządzi tym nikomu krzywdy i rzekł:

- Król Władysław z wojskiem przekroczył Wisłę i jakem go opuszczał, obozem stał pod klasztorem czerwińskim.

Ulryk von Jungingen wzniósł w górę brew, jakby nie dowierzał temu, co mówi rycerz.

- A Witold? Dołączył do niego?

- Gdy przebywałem w królewskim obozie, wielki książę Litwy nadciągnął z licznym, dobrze uposażonym wojskiem.

- Przecież oni odziani są jeno w skóry - roześmiał się Ulryk von Jungingen.

- Wierzaj mi, wielki mistrzu, że wojsko Witolda jest nie tylko liczne i potężne, ale również dobrze ubrane. Zbrojni noszą nabijane ćwiekami kaftany przetykane folgami żelaznymi, mają naramienniki, nagolenice, a wielu z nich posiada nawet kolczugi...

- Dość! - Dobry nastrój Krzyżaka prysł w mgnieniu oka. - Wiemy lepiej niżli ty, jakie jest ich uzbrojenie. Podczas rejsów na Litwę widywaliśmy wojów na poły jeno odzianych, którzy pierzchali na sam widok krzyżackich hufców. Litwini rękę mają wprawioną do łyżki, nie zaś do miecza.

- Rzeknijcie mi zatem, jak im się udało zakon ze Żmudzi wygnać?<sup>36</sup> - rzekł kąśliwie Polak, odważnie patrząc w oczy dostojnika. Ulryk von Jungingen poczerwieniał ze złości i Skoraczowski wiedział, że gdyby nie był poddanym króla Węgier, niechybnie trafiłby do krzyżackich lochów.

Wreszcie, po wydawało się wieki trwającym milczeniu, kiedy dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem niczym zastygłe w czasie posągi, odezwał się stojący przy drzwiach Stasske von Bolmen:

- A opowiedzcie, panie Skoraczowski, o owym moście, który ponoć

Polacy w powietrzu zbudowali.

- Widziałem ten most i rzec wam mogę, iż nie jest w powietrzu zawieszony, bo powietrze jeno ptactwu do latania służy. Został on sprytnie na statkach zbudowany i na moich oczach całe wojsko królewskie suchą nogą przez Wisłę przeszło. Nawet gdy bombardy oraz wozy obładowane rynsztunkiem przezeń przejeżdżały, ani drgnął.

Ulryk von Jungingen ponownie się roześmiał, a jego głos poniósł się ciemnymi już o tej porze korytarzami zamku i wystraszył sługę rozpalającego łuczywa, który myśląc, że to duch nieczysty z niego się naigrawa, przeżegnawszy się, pognął do swej komnaty.

- Bajdy tu jeno prawicie - odparł Krzyżak, gdy już opanował śmiech.  
- Szpiedzy donieśli, że Jagiełło po Nawiślu się błąka i dopiero usiłuje przeprowić się przez rzekę. Ponoć wielu jego rycerzy, brodu szukając, śmierć znalazło w wodnej kipieli. Witold zaś, stojąc nad Narwią, w strachu przed naszą potęgą nie śmie rzeki przekroczyć.

- Wszystko, o co byłem pytany, najrzetelniej wam zeznałem - rzekł Skoraczowski przez zaciśnięte zęby. - Jeśli fałsz zadajesz moim słowom, raczże, wielki mistrzu, posłać ze mną którego z zaufanych ludzi, a rychło przekonasz się, że nic nie zełgałem.

Najpotężniejszy człowiek w zakonie krzyżackim uważnie przyglądał się rycerzowi. Pięćdziesiąt przeżytych lat oraz moc Binah nauczyła go rozpoznawać, gdy ktoś mówi nieprawdę, a w oczach młodzieńca, drobnych grymasach twarzy, nie dostrzegł kłamstwa. Czasami człowiek tak bardzo chce w coś wierzyć, że staje się to dla niego rzeczywistością i Ulryk von Jungingen miał nadzieję, że tak było w przypadku Skoraczowskiego.

- Ty mówisz jako Polak i potęgę twojego króla nad miarę wynosisz, my zaś wiedzę swą opieramy na sprawdzonych wywiadowcach. Czas

pokaże, kto rację miał, a kto się mylił.

Rycerz, zrozumiał, że to koniec audiencji, skłonił się i w towarzystwie pokojowca opuścił komnatę.

Dopiero gdy pozostał sam wielki mistrz, przymknął piekące ze zmęczenia oczy i podparł dłonią czoło. Jakże pragnął teraz zanurzyć się w mocy Binah, wtulić się w matczyne ramiona i poczuć w sobie jej siłę. Miał nadzieję, że Emanacja ponownie zwróci na niego łaskawe spojrzenie i w odpowiednim czasie obdarzy łaską. Na razie jednak czuł pustkę.

Nadal nie wiedział, gdzie Jagiełło zaatakuje. Czy spróbuje odzyskać ziemię dobrzyńską? Czy ruszy na Pomorze? A może uderzy na Prusy, w samo serce zakonu?

Nie! W taką zuchwałość polskiego króla nie wierzył.

\*

- Król Władysław idzie na Prusy! - krzyczał młody chłopak, wspiąwszy się na wał obronny.

Maćko z rodu Szczygłów, wracający z polowania, uśmiechnął się ciepło na widok syna. Dorastał mu Paszko i tylko patrzeć, a zacznie się za białkami uganiać. Pomyślał, że warto go na nauki do miasta posłać, żeby trochę świata zobaczył, zanim obejmie po nim dziedzictwo. Mężczyzna wiedział, że jego czas dobiega końca, ale niczego nie żałował. Całe swoje życie poświęcił, aby z niewielkiego rodowego grodu Żeromino uczynić dużą, słynącą z dobrobytu osadę. Ziemia tutaj była urodzajna, okoliczne lasy pełne zwierzyny, nic więc dziwnego, że ludzi przybywało. Maćko kazał otoczyć osadę drewnianym murem, usypać wał obronny, a teraz nawet myślał nad fosą. Czasy były niespokojne i ostrożności nigdy za wiele.

Mocniej chwycił upolowane zające i poprawił łuk przewieszony

przez ramię. Łęczysko broni było konstrukcją wybrzuszoną na zewnątrz, sklejoną z warstw drewna, kości i ścięgien zwierzęcych, co pozwalało strzelać na znaczną odległość, przy czym sam łuk był lekki niczym piórko. Otrzymał go w darze od wodza Pieczyngów, którego niegdyś uratował od niechybnej śmierci z rąk rycerzy zakonnych. Teraz nie wyobrażał sobie, jak mógłby polować przy pomocy innej broni.

Tymczasem chłopiec podbiegł do niego i zdyszany szarpał za rękaw płóciennej koszuli. Błyszczące oczy oraz wypieki na twarzy świadczyły, że był czymś wyraźnie poruszony.

- Tatko, tatko... - próbował łapać oddech. - Królewskie wojska Wkrę przekroczyły i niechybnie na Krzyżaków idą.

Maćko rzucił na ziemię zające i chwycił syna za ramiona.

- Skąd to wiesz? - Mocno nim potrząsnął. - Mówże!

- Powiem, jeno puście mnie, tatko, bo rozum mi wytrząśnicie i zapomnę, com miał rzec.

Mężczyzna puścił syna i spojrzał w niebo, na którym zbierały się ciemne chmury. Zapowiadało się na kolejną burzę. Pogoda tego lata nie oszczędzała Zawkrza.

- Wracajmy do osady. - Podniósł z ziemi zające i ruszył w stronę bramy. - W drodze wszystko opowiesz.

- Niedługo po tym jak poszliście w las, przybył wuj Bogusław ze Szreńska. - Paszko szedł obok ojca, próbując dorównać mu kroku. Mimo że liczył już piętnaście wiosen, nadal nie nadażał za siwym już, ale nadal roslym i silnym mężczyzną. - Przysięgał na Maryję i Pana naszego w niebiosach, iż na własne oczy widział mrowie zbrojnych zdążających na północ. Na ich sztandarach powiewał biały orzeł.

- Nie może to być - pokręcił głową Maćko, ale nadzieja zapłonęła w jego sercu niczym łuczywo nasączone smołą. Czyżby po latach



cierpień, upokorzeń przyszło wreszcie wybawienie? Przed laty ksiązę Siemowit oddał ziemię zawkrzeńską w zastaw Krzyżakom za pięć tysięcy grzywien i od tamtego czasu jej mieszkańcy z lękiem spoglądali na północ, skąd przybywali zakuci w stal wojownicy, żądając coraz większych danin. A gdy ludzie nie mieli już czym płacić, zakonnicy zakuwali ich w żelaza i wlekli do Prus, gdzie pracowali od świtu do nocy. Ładniejsze niewiasty wywozili do Malborka, aby w zamtuzie spełniały wyuzdane żądze mnichów.

- To prawda! - przekonywał Paszko. - A wraz z królem na wroga idą ksiązęta mazowieccy i Litwini. Ponoć siła naszych. Obaczycie, tatko, teraz nasz los się odmieni.

Paszko nie przypuszczał, jak bardzo się mylił. Jeszcze tego samego dnia, tuż po zachodzie słońca, gdy na niebie pojawią się pierwsze gwiazdy, Żeromino zostanie zaatakowane przez tatarski om<sup>37</sup>. Ordyńcy, pewni, że żadna kara ich nie spotka za požogi uczynione na ziemi wroga, łupili, palili, a ludzi mordowali lub brali w niewolę.

Maćko zginął wraz z tuzinem innych mężów, dzielnie broniąc obwarowań osady. Jego łuk, zbudowany na wschodnią modłę, powrócił w ręce człowieka ze Wschodu, naznaczonego bliznami Tatara.

Okrutni ordyńcy, rozgniewani tym, że ktoś śmiał im stawić opór, wymordowali wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci zawiedli w kajdanach do obozu, niepomi na to, że ci błagali o litość w tym samym języku, w jakim mówili panowie, którym służyli.

\* \* \*

Zakwitły lipy, pokrywając okolice Jeżowa złotym kobiercem z kwiatów i niemal wszędzie unosił się ich słodkawy zapach. Choć był to już szósty dzień lipca, po raz pierwszy tego lata niebo cieszyło oczy nieskalanym błękitem.

Stojący na wzgórzu Krzysztof Gersdorff z przyjemnością wciągnął w płuca rześkie powietrze i przymknąwszy powieki, wystawił twarz ku słońcu.

- Czujesz woń kwiatów? Słyszysz, jak szumią liście? Jak wiatr w koronach drzew szepcze tajemne zaklęcia? - rzekł do stojącego obok potężnego mężczyzny. - Zupełnie jak w Trocnovie, prawda Janie?

Na twarzy Jana Žižki, czeskiego rycerza w służbie króla Jagiełły, pojawił się grymas bólu.

- Kwiaty wszędzie pachną jednako - odparł, siląc się na obojętny ton. - A wiatr jak to wiatr, czasem komuś życie, czasem śmierć może wyszeptać.

- Grozisz mi? - Gersdorff raptownie otworzył oczy. - Pamiętaj, żem poseł.

- Bóg da spotkać cię w boju, a przysięgam, że po raz wtóry cię nie oszczędzę. Przed dziesięcioma laty szczelbyś, gdyby nie ona...

- Milcz! - Śląski rycerz poczerwieniał ze złości, chwytając za rękojeść miecza.

- Chcesz to zakończyć? - Žižka uśmiechnął się szyderczo. - Tu i teraz?

- Nie - mężczyzna pokręcił głową. - Przybyłem tu jako poseł króla Zygmunta i nie zhańbię jego imienia czynem niegodnym.

Krzysztof Gersdorff przeniósł spojrzenie na czterdziestotysięczną armię rozciągniętą po całej dolinie. Jagiełło rozkazał, aby w dniu przybycia węgierskich posłów wszystkie chorągwie stanęły pod bronią. Uszykowani w hufce stali obok siebie rycerze z Polski, Litwy, Czech, Moraw i Rusi. Dosiadali dorodnych wierzchowców, w rękach dzierżyli tarcze z wymalowanymi godłami swoich rodów, a nad ich głowami powiewały kolorowe proporce. W słońcu błyszcząły hełmy, kirysy,

końskie ladry<sup>38</sup>, żelazne groty wycelowanych w niebo kopii i zdawało się, że morze stali zalało dolinę. Król Władysław chciał pokazać swoim wrogom, z jaką potęgą przyjdzie im się zmierzyć.

Ślązak uważnie obserwował to widowisko, wiedząc, że Ulryk von Jungingen będzie go wypytywał o każdy szczegół.

- Jagiełło zebrał okazałą armię - mruknął. - Jednakże Polacy nie zdzierzą ćwiczoną w boju rycerzom zakonnym i gościom przybyłym ze Śląska, Francji, Anglii oraz Niemiec, zaś Litwini, Rusini i Tatarzy rozpierchną się na sam dźwięk bojowych kotłów.

- O odwadze prawisz, Krzysztofie, a zapomniałeś, jak w Pradze czmychnąłeś przede mną wraz ze swoimi krzyżackimi kompanami? - zadrwił Žižka.

- To nie byli rycerze, jeno kiepy<sup>39</sup> - Gersdorff prychnął wściekły, że przypomniano mu ten nieszczęsny epizod. - Wnet będziemy mieli okazję sił popróbować, bowiem otrzymałem dowództwo zacieężnej chorągwi świętego Jerzego, a ręczę ci, że ci ludzie w zbliżającej się bitwie pola nie ustąpią.

- Będę modlił się o rychłe nasze spotkanie - odparł lodowato Jan Žižka.

Rycerz ze Śląska zadrżał. Jakże ten Czech musiał go nienawidzić. Nie było w tym jednak nic dziwnego, wszakże Gersdorff odebrał mu wszystko, co w życiu kochał.

- Dość już ujrzałem - rzekł poseł i zaczął spieszenie schodzić ze zbocza. Wiedział, że Mikołaj Gara i Ścibor ze Ściborzyc po skończonych rozmowach z Jagiełłą będą chcieli czym prędzej wracać do Torunia.

W drodze powrotnej obaj rycerze milczeli. Dopiero w obozie Gersdorff przystanął i chwycił Žižkę za ramiona.

- Kochałem ją - rzekł, spoglądając mu prosto w oczy.
- A jednak uczyniłeś to, co uczyniłeś.
- Nie miałem wyboru.
- Zawsze jest jakiś wybór.
- Wybaczysz mi kiedyś?
- Nigdy - odparł Czech. - Zabiję cię przy pierwszej okazji.

\*

Przed królewskim namiotem zebrali się zagniewani możnowładcy, duchowni, kasztelani i rycerze, a Jagiełło spoglądał na ich zachmurzone oblicza, w pałające wściekłością oczy i słuchał żalów oraz złorzeczeń.

Był wśród nich niewysoki, lecz silny niczym tur Florian z Korytnicy, który przywiódł na wojnę całą chorągiew rodu Jelitczyków, Piotr Szafraniec z Pieskowej Skąły za herb posiadający konia z czarną przepaską, Marcin ze Sławaska, który - choć młody wiekiem - już przywiódł własną chorągiew, Krystyn z Kozichgłów szczyjący się najwyższym wzrostem pośród wszystkich rycerzy i Jan Mężyk z Dąbrowy mający w herbie dwie ryby. Legenda głosiła, że gdy jego przodek wracał z Danii, okręt utonął, a rycerz cudem się uratował. Król Bolesław Chrobry, żartując, że ten szczęśliwie nie został zjedzony przez wodne stwory, dał mu właśnie dwie ryby za herb. Jan z Tarnowa stał ramię w ramię z Andrzejem z Tęczyna, a wszem wobec było wiadomo, że rody, do których należeli, Starża i Leliwa, rywalizowały ze sobą tak zaciekle, że w Małopolsce często wybuchały między nimi wojny. A wściekły Siemowit Mazowiecki mocno zaciskał zęby, bo choć ziemię zawkrzeńską lekką ręką oddał pod zastaw Krzyżakom, to ludzi tu mieszkających nadal uważał za swoich poddanych. I dlatego teraz potakiwał każdemu słowu biskupa poznańskiego, Wojciecha Jastrzębca:

- Raczcie wysłuchać, miłościwy królu, skarg, z którymi do was przychodzimy. Nadstaw uszu na błagania nasze, bowiem żal chrześcijańskie serce ściska, widząc niegodziwości czynione przez okrutnych Tatarów i Litwinów, których przywiódł ze sobą książe Witold.

Siwe włosy dostojnika rozwiały wiatr, w jego oczach błyszcząły łzy, a on sam rękę wyciągał ku Jagielle. Nie był to jednak gest błagalny, lecz pełen groźby. W obecności jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie, króla Polski i Litwy, władcy, przed którym drżeli monarchowie i kark zginali papieże, na taką czelność mógł się poważyć tylko człowiek o charakterze mocnym jak dąb.

- Jakże to, wasza wysokość może pozwolić, aby Tatarzy srodze i po barbarzyńsku Zawkrze pustoszyli, ludzi plemienia polskiego mordowali, nie oszczędzając niewiast, dzieci, ani kwilących w kolebkach niemowląt? Nie możemy już zdzierżyć, słysząc lament matek i żon pomordowanych. Nie możemy już zdzierżyć, słysząc dochodzące z obozu ordyńców krzyki gwałconych dziewic. Nie możemy zdzierżyć...

Głos biskupa załamał się od zbyt silnych emocji, ale król nie śmiał przerywać ciszy. Przymknął tylko powieki, czując, jak zalewa go fala ludzkiego cierpienia, wdziera się do jaźni, żeby wyryć kolejną bliznę. Monarcha został obdarzony przez swoją Sefirę darem odczuwania i teraz każdą cząstkę jego ciała rozrywał ból, po policzku pociekła łza. Czasami odpowiedzialność za poddanych, za cały świat, o który toczył bój, przytłaczała go tak bardzo, że pragnął zdjąć z czoła koronę, odrzucić ją daleko, a samemu wskoczyć na koń i pognać w dzikie ostępy leśne. Ileż by dał, żeby znowu poczuć pęd wiatru we włosach, krople rosy na twarzy i beztruską radość.

Zaraz jednak się opanował. Nie mógł sobie pozwolić na słabość teraz, gdy był zaledwie o krok od wypełnienia misji.

Tymczasem Wojciech Jastrzębiec przełknął ślinę i nie opuszczając oskarżycielsko wyciągniętej ręki, zbliżył się do króla.

- Jakże to, panie, możecie pozwolić, aby Litwini, co za waszą sprawą wiarę Chrystusową przyjęli, teraz kościoły plądrowali, relikwiami sakwy swoje napełniając? Nie możemy zdzierżyć, że w domu bożym sponiewierany i zelżony został Przenajświętszy Sakrament, a duchowny, który próbował go bronić, żywcem spalony.

Wzniosły się okrzyki oburzenia, rycerze wygrażali pięściami, chwytały za rękojeści mieczy, gotowi w każdej chwili uderzyć na wojska Witolda. Jagiełło zbladł, uświadamiając sobie, że zaraz może wybuchnąć bratobójcza walka i wszystkie plany, wszystkie zamierzenia obrócą się wniwecz. W duchu podziękował opatrznosci, że węgierscy posłowie już odjechali, bo Ulryk von Jungingen, wiedząc o niesnaskach w obozie wroga, niechybnie wykorzystałby okazję.

- Zatem zaklinam was, miłościwy królu, powściągnijcie okrucieństwa czynione przez tych bezbożników, a winnych ukarście surowo. Bowiem stary polski obyczaj wojskowy powiada, że kościół kto by złupił, ma być na gardle karan. Dziewicę albo niewiastę kto by zgwałcił, ma być na gardle karan<sup>40</sup>. Bóg sprawiedliwy wszystko widzi i niechybnie spuści plagi na nas i całe nasze wojsko za nieprawości czynione przez Tatarów i Litwinów.

- Ukarście winnych! - zakrzyknął Krystyn z Kozichgłów, postępując do przodu i stając zaledwie krok przed majestatem króla. Ale Jagiełło nie cofnął się, odważnie spoglądając w oczy rycerza. - Jeśli tego nie uczynicie, zwiniemy nasze chorągwie i opuścimy obóz, samych was ostawiając. Przybyliśmy tu wojować z Krzyżakami, nie zaś z kmiotkami, niewiastami i dziećmi. Przybyliśmy ich uwolnić, a nie jeszcze większy gwałt zadawać. Ponoć już teraz nasze znaki wzbudzają większy strach

niżli czarne krzyże.

Zamilkł, czekając na odpowiedź króla. Na twarzy monarchy uwypukliły się zmarszczki, wzniosł oczy ku niebu, spoglądając na czarne chmury zbierające się nad jego głową. Gdzieś w dali dał się słyszeć grzmot, nadciągała burza.

- Rozumiemy wasz słuszny gniew, bowiem i nam nie są miłe owe uczynki - przemówił głosem mocnym i władczym. - Z naszego rozkazu mają zostać uwolnieni wszyscy jeńcy. Dopilnuje tego Zyndram z Maszkowic, którego od tej chwili wyznaczamy na oboźnego.

Przed szereg wyszedł brodaty mężczyzna w niebieskiej jace z wyszytym słońcem na piersiach.

- Dziękuję, miłościwy królu - rzekł, kłaniając się nisko.

- Będiesz miał również baczenie, aby podczas marszu nie dochodziło do rabunków i gwałtów.

- Ubiję każdego, kto poważy się na gwałt i rękę odrąbię każdemu, kto poważy się ją po dobra innych wyciągać.

Jagiełło pokiwał głową. Rycerz z Maszkowic znał dobrze okrucieństwo Litwinów, gdyż przed dwudziestu laty walczył przeciw nim, najpierw zdobywając, a potem broniąc Kamieńca Litewskiego i monarcha mógł być pewny, że sumiennie wypełni obowiązki.

- Teraz rozejdźcie się i powiedzcie swoim ludziom, żeby mieli baczenie, bowiem już blisko jesteśmy granicy krzyżackiej. A winni zbrodni, o których mi donieśliście zostaną wysłędzeni i surowo ukarani.

\*

Uwolniony z niewoli tatarskiej Paszko przemierzał obóz, spoglądając w wąsate, zasępione oblicza polskich rycerzy. Wielu z nich z zawstydzeniem odwracało wzrok. Mimo że to nie oni palili osady, gwałcili niewiasty i rabowali, czuli się winni zbrodni dokonanych przez

sojuszników.

W oczach chłopca pojawiły się łzy, ale nie były to łzy smutku czy żalu, ale gniewu. Ojciec zawsze mu powtarzał, że pewnego dnia na Zawkrze przybędą Polacy i wypędzą Krzyżaków. Teraz jego ojciec nie żył, zabity przez tych, którzy mieli przynieść wyzwolenie, a serce chłopca wypełniała gorycz.

Co prawda biskup poznański, Wojciech Jastrzębiec, poruszony do głębi nieszczęściem tatarskich jeńców, zaoferował wszystkim schronienie oraz opiekę, jednak Paszko nie chciał zostawać w obozie. Nie wiedział jeszcze, dokąd pójdzie, więc ruszył traktem na południe.

Niebo poczerniało, zerwał się silny wiatr, liście drzew niespokojnie zaszumiały w oczekiwaniu na kolejną burzę. Chłopiec poczuł pierwsze krople deszczu, ale nie zwolnił kroku i nie szukał schronienia. Było mu wszystko jedno.

Minął ostatnie z obozowych namiotów i nagle ujrzał zbrojnych zebranych na niewielkiej polanie. W milczeniu otaczali kręgiem prowizoryczną szubienicę, na której stało dwóch przerażonych mężczyzn, którzy sami sobie wiązali na szyi pętle. Jednemu z nich tak trzęsły się ręce, że nie był w stanie zawiązać supła na linie przeciągniętej przez poprzeczną belkę konstrukcji, na co drugi syknął ze złością:

- Chybko, bo książę gotów nas jeszcze na męki posłać.

Poblady skazaniec uspokoił oddech i teraz już pewnie zawiązał sobie na szyi węzeł.

Widząc to, jeden z rycerzy pokiwał zadowolony głową i rzekł:

- Za grabież kościoła i pohańbienie Przenajświętszego Sakramentu, z rozkazu księcia Witolda zostajecie skazani na śmierć.

Przestępcy, wiedząc, że mogą ich czekać rzeczy gorsze niż śmierć,



nie ociągając się, niemal natychmiast zeskoczyli z drewnianego podestu. Paszko usłyszał nieprzyjemny trzask i ujrzał kołyszące się na linach dwa martwe ciała. Ruszył dalej, nie oglądając się za siebie.

Brnął w strugach deszczu, chcąc splukać z siebie całą ohydę tego, czego doświadczył. W ciągu jednego zaledwie dnia śmierć i cierpienie wdarły się do jego życia, pozostawiając na zawsze swoje piętno.

Paszko, po latach tułania się po świecie, wróci w rodzinne strony. Najpierw usypie wielki kurhan ku czci ojca, a potem zabierze się za odbudowę grodu. Otoczy Żeromino olbrzymim murem i nauczy ludzi, jak bronić się przed najeźdźcami. Do końca swoich dni mądrze i szczęśliwie będzie rządził osadą, rozslawiając ród Szczygłów w całej Polsce, a przez ten czas nikt nie poważy się podnieść ręki na jego mienie.

\* \* \*

Pod sklepienie refektarza tym razem nie wznosiły się dźwięczne tony melodii, lutnia Oswalda von Wolkenstein pozostawała przewieszona przez ramię, a on sam siedział w ponurym milczeniu, pocierając czarną skórzaną opaskę na pustym oczodole. Zafrasowani dostojnicy krzyżaccy tym razem nie czekali na pieśń, ale na wieści, jakie bard przywoził ze Świecia.

Trubadur westchnął ciężko i stalowym, zimnym spojrzeniem jedyne oko przyjrzał się zebranym, wśród których byli najwyżsi dostojnicy zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Rudowłosy marszałek Fryderyk von Wallenrode zniecierpliwiony stukał palcami w stół, w przeciwieństwie do Kunona von Lichtenstein, który utkwivszy spojrzenie w ścianę, zdawał się być pogrążony w myślach. Nie było tajemnicą, że z wiekiem jego niezdrowe upodobania do młodych chłopców odbierały mu rozum,

przez co przedkładał własne chucie nad powinności. Szeptano, że pobłażliwość Ulryka von Jungingen już się wyczerpała i lada dzień wielki komtur zostanie znaleziony gdzieś w zaułkach Torunia z poderżniętym gardłem. Na razie jednak nadal piastował stanowisko, kierował sprawami administracyjnymi państwa, intendenturą wojska i oddawał się wyuzdanym orgiom z młodzieńcami przyuczonymi na kleryków.

Werner von Tettingen, błady jak pergamin komtur elbląski, a zarazem wielki szpitalnik, niespokojnie skubał brzeg śnieżnobiałej jaki, wielki jałmużnik Albrecht von Schwarzburg szeptał coś na ucho komturowi grudziądzkiemu Wilhelmowi von Pinzenau, natomiast posunięty w latach hrabia Jan von Vende, komtur z Gniewa, wydawał się drzemać.

Spojrzenie Oswalda przesunęło się po twarzach pozostałych dostojników i spoczęło na Ulryku von Jungingen. Jeszcze kilka dni temu, gdy trubadur opuszczał Toruń, na zmęczonym obliczu wielkiego mistrza widać było brak nadziei, jakby olbrzymi ciężar, który nosił na barkach, wreszcie go przygniótł. Teraz zaś ujrzał człowieka czynu, gotowego choćby zaraz ruszyć na wojnę. Krzyżak wydawał się podobny sokołom, które tak ubóstwiał: czujny i drapieżny, pałający żądzą mordy. Może przeczuwał, że jego czas dobiega końca i wykrzesał z siebie resztki sił, żeby po raz ostatni zabłysnąć niczym gwiazda na nocnym niebie, a potem zgasnąć na zawsze?

- Mówże, mistrzu Oswaldzie.

- To było we czwartek, nazajutrz po święcie Nawiedzenia Najświętszej Marii<sup>41</sup> - trubadur rozpoczął śpiewnie, jakby wygłaszał poemat, a nie składał meldunek o tym, czego był świadkiem przed kilkoma dniami. - Uczynił to ten zbrodzień, krwiożerczy demon, inaczej go nazwać nie mogę, gdyż jeno czyha, aby pokorne sługi zakonu ducha

pozbawić. Ponoć kielnie krwią chrześcijan napełnia i niczym wąż pierz ją potem chłopcze. Kielce ma wielkie niczym dzik, wzrostem o głowę przewyższa najwyższych mężów, a włosy siwieją mu kępkami, co czyni łeb jego do brzozy podobnym...

- Toż to starosta bydgoski Janusz Brzozogłowy - rzekł von Jungingen. - Prawda, że niczym czart jest przebiegły, ale to zwykły człek, którego można, a nawet należy ubić.

- Nie mnie, prostemu bardowi, zaprzeczać słowom waszej miłości. - Wolkenstein łypnął okiem na dostojnika. - Rzekłem jeno, co knechci na zamku o nim szepczą.

- Czasem słowa posiadają moc większą niżli oręż - westchnął wielki mistrz, zdając sobie sprawę, że jeśli strach wedrze się do serc jego ludzi, wróg stanie się dwukrotnie silniejszy. - I cóż ten zbrodzień uczynił?

- O zmroku przybył pod mury Świecia ze swoim nielicznym zastępem, rozpuszczając go na łupiestwa oraz pożogi. Strażnicy, widząc, co się dzieje, wnet w dzwony uderzyli i bardziej wyrzyni bracia zakonni, dosiadłszy koni, puścili się w pogoń za Polakami.

Trubadur sięgnął po kielich z winem i duszkiem go wychylił. Otarł usta grzbietem dłoni i kontynuował opowieść:

- Gdy dowiedział się o tym Henryk von Plauen, wpadł w straszny gniew, słusznie się domyślając, iż to fortel. Poprzez umyślnego wezwał ich do odwrotu, jednakże było już za późno. Brzozogłowy, cofając się spiesznie, sprowadził braci-rycerzy do miejsca, gdzie wcześniej uszykował pułapkę.

- A to bękart, co wypadł suce spod ogona! - krzyknął rozwścieczony Fryderyk von Wallenrode. - Zasadzki niegodne są rycerskiego rzemiosła.

- Podczas wojny cel uświęca środki - odrzekł spokojnie Ulryk von Jungingen.

- Wojna zawżdy była sprawą ludzi honoru, szlachetnie urodzonych i pełnych cnót rycerskich. Przeciwnicy winni okazywać sobie szacunek, kodeks zabrania atakowania bezbronnego, uderzania od tyłu i zastawiania pułapek...

- Głupiś, Fryderyku! Świat, który znamy przemija, odchodzi wraz ze swoimi ideami, pustymi, nic nieznaczącymi gestami. Nadchodzi nowe i powiadam ci, że za kilka lat na polach bitew zamiast nacierających na siebie jeźdźców z pochylonymi kopiami, ujrzymy knechtów strzelających z rusznic i bombard!

Rudowłosy zakonnik już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale wielki mistrz powstrzymał go gestem i zwrócił się do Oswalda von Wolkenstein:

- Co było dalej?

Bard otarł pot z czoła, czując, jak ogarnia go znużenie. W ciągu ostatnich dziesięciu dni odbył kilka już podróży, dostarczając tajną korespondencję do przygranicznych komturii i przywożąc od nich wieści. Czas wojny był gorącym okresem dla wywiadowców, ale złoto rekompensowało mu trudy tułaczki.

- Ukryci w kniei Polacy wypadli z zasadzki, otaczając braci zakonnych i za nic mając honorową walkę, niczym zbrodniarze chasę na gościńcu czyniący, cięli mieczami w plecy i rąbali toporami w czerepy. Wasi towarzysze, choć dzielnie walczyli, nie mieli szans. Po starciu cały leśny jar po brzegi wypełniony był truchłem rycerzy krzyżackich.

- Zła to wróżba na początek wojny - rzekł Ulryk von Jungingen. - Dziękuję wam, mistrzu Oswaldzie, za wierną służbę.

Bard wstał od stołu, skłonił się nisko i odszedł. Wielki mistrz odprawił sługi i gdy w refektarzu zostali tylko zakonnicy, spojrzął na nich, próbując w ich oczach odnaleźć dawną siłę, ale dostrzegł tylko zwątpienie. A przecież w tej sali zebrali się najpotężniejsi z Przebudzonych Emanacji Binah, którzy jeszcze niedawno posiadali potężną aurę. Teraz pozostało ledwie wspomnienie tamtej mocy. Ulryk von Jungingen zastanawiał się, czy uda mu się tchnąć w nich nową nadzieję, przywrócić blask i chwałę zakonu.

- Słyszeliście, co rzekł mistrz Oswald - rozpoczął mocnym głosem, który echem rozniósł się po refektarzu, zawibrował w uszach i sercach zebranych. - Wróg wykorzysta każdą sposobność, aby nas zniszczyć.

Wstał od stołu, poprawił płaszcz i zamyślony zaczął się przechadzać, a kroki jego okutych w żelazo butów dudniły po sali.

Dostojnicy krzyżaccy w milczeniu wodzili wzrokiem za swoim przywódcą.

- Dzisiaj o poranku z obozu polskiego przybyli posłowie węgierscy i rzekli, że wbrew temu, co donosili nasi szpiedzy, Jagiełło przekroczył Wisłę i połączył swoje siły z wojskami litewskimi - mówił, nie przerywając marszu. - Nie ma już żadnych wątpliwości, że zmierza ku nam ponad trzydziestotysięczna armia.

W refektarzu zawrzało. Dostojnicy przekrzykiwali się, dyskutując zawzięcie, jaką należy obrać strategię, ale wszyscy byli zgodni w jednym: trzeba natychmiast zebrać wojsko i wyruszyć ku nieprzyjacielowi. Tylko hrabia Jan von Vende ponuro wpatrywał się w wielkiego mistrza.

- Wasza dostojność! - jego starczy głos rozbrzmiał z niespodziewaną siłą. - Rzeknijcie nam, na czym stanęły rokowania pokojowe?

- Rozum wam odjęło?! - Fryderyk von Wallenrode spojrział zaskoczony na komtura z Gniewa. - Po tym, co Polacy uczynili w Świeciu, hańbą byłoby się z nimi układać.

- Uważam, że najlepszą rzeczą będzie puścić w niepamięć krzywdy przez Polaków uczynione i odkładając zemstę, przystąpić do układów. Włosy na głowie mam białe jak śnieg, a za sobą długie życie i wiem z doświadczenia, co pokój, a co wojna za sobą niesie.

Marszałek prychnął wściekły, kilku dostojników się roześmiało, inni kręcili z niedowierzaniem głowami.

- Jeszcze nie jest za późno - kontynuował von Vende. - Przecież bywało, że choć uszykowane do boju wojska stały już naprzeciw siebie, przychodziło do ugody. Zważcie, że los wojny jest wątpliwy i lepszy pewny pokój, niżli niepewne zwycięstwo.

- Trzeba wam było w Gniewie pozostać, gdyż zdatniejsi jesteście do pilnowania braci, żeby na nieszporach nie przysypiali, niżli do spraw wojennych - rzekł drwiąco von Tettingen.

- Jeśli dojdzie do krwawej rozprawy, mężnie stawię czoło. Niestraszna mi śmierć i z utęsknieniem wypatruję dnia, gdy dostąpię łaski zjednoczenia ze światłem Binah - odparł spokojnie starzec. - Bacz, abyś ty, komturze, który do wojny tak ochoczo wzywasz, potem jak tchórz z pola bitwy nie czmychał.

Rozgniewany Werner von Tettingen w jednej chwili zerwał się z siedziska, sięgając do rękojeści miecza.

- Spokój! - krzyknął Ulryk von Jungingen. - To nie czas i miejsce na swary między braćmi.

Komtur elbląski opanował się, ale nadal z wściekłością patrzył na hrabiego von Vende. Przyszłość miała pokazać, który z tych dwóch rycerzy wykaże się większą odwagą w obliczu wroga.

- Wasza dostojność - starzec błagalnie złożył dłonie, zwracając się do wielkiego mistrza. - Poniechajcie wojny, bowiem odkupienia nam trzeba.

- Odkupienia?

- Nie czujecie mroku, który spowija nasze serca i obleka dusze? - Powiódł spojrzeniem po twarzach dostojników. - Nie czujecie, że matczyna miłość Binah stała się zaborcza, zachłanna, nienasycona...

- Milcz!

W ciszy, jaka zapanowała, niemalże można było usłyszeć trzepot skrzydeł czarnego motyla, który wleciał przez okno refektarza. Może był złą wróżbą dla hrabiego von Vende, a może tego, co miało w przyszłości czekać zebranych tu zakonników?

- Nie chciałem was rozgniewać, wielki mistrzu - skłonił się starzec. - Zastanawiam się jeno, ile prawdy jest w słowach, że Trzecia Emanacja Stwórcy spaczyła światło pochodzące od Niego? Może rację mają ci, którzy twierdzą, że grzech wdarł się do zakonu?

- Grzech? - roześmiał się von Jungingen. - To jeno puste słowo, którym straszy się kmiotków. Liczy się tylko odwieczna walka na Drzewie Życia...

- Bzdura! - bezceremonialnie przerwał hrabia von Vende. - Najważniejsza jest Równowaga.

- Nie czynimy nic, żeby nią zachwiać!

- Czyżby?

- Sefira Binah pragnie jedynie zachować przynależne jej miejsce. To dominująca moc Chokhmah zmusza ją do działania, a nas do wojny.

Komtur z Gniewa westchnął ciężko, opuścił głowę i rzekł smutno:

- Dufam, wielki mistrzu, iż nie pomyliliście się w swojej ocenie. Jesteście najwyższym Przebudzonym w świetle Binah i widzicie więcej

niż ja, stary i schorowany już człek. Raczcie mi wybaczyć, gdyż wiek zaślepia mój umysł.

- Nie frasuj się, bracie, bowiem nie jest złą rzeczą mieć wątpliwości - rzekł łagodnie już Ulryk von Jungingen. - Istotne, żeby mimo wszystko dokonać słusznego wyboru.

- Już dokonałem - rzekł starzec. - Służę Binah i zakonowi.

Wielki mistrz skinął głową, a następnie podszedł do stołu i chwycił zwinięty pergamin.

- Chciałeś wiedzieć, hrabio, jakie warunki pokoju zaproponował nam król Władysław. - Dostojnik rozwinął pismo, które rano wręczył mu Mikołaj Gara. - Żąda, aby zakon zwrócił Polsce ziemię dobrzyńską, zrzekł się pretensji do Żmudzi, a ponadto wynagrodził poczynione szkody wojenne. Sumę odszkodowania w złocie łaskawie zostawia pod osąd Zygmunta Luksemburskiego.

- Żadną miarą nie możemy na to przystać! - krzyknął Fryderyk von Wallenrode, a reszta dostojników go poparła.

- Zatem postanowione - stwierdził wielki mistrz. - Wojna!

- Wojna! - zakrzyknęli rycerze zakonni.

- Zapewne wszystko rozstrzygnie jedna bitwa. To my musimy wybrać odpowiedni czas i miejsce.

Ulryk von Jungingen klasnął w dłonie i do sali wszedł Stasske von Bolmen. Odsunął naczynia i na stole rozwinął mapę, nad którą zaraz pochylili się zakonnicy. Podziwiali starannie naniesione rzeki, drogi, wzniesienia. Wywiadowcy dobrze wykonali swoje zadanie.

- Niechaj całe nasze wojsko wycofa się za Drwęcę - von Jungingen wskazał pofałdowaną linię kreśloną węglem. - Z armią Jagiełły zmierzmy się na własnym terytorium.

- A co, jeśli od Bydgoszczy uderzy Janusz Brzozogłowy? - zapytał



Arnold von Baden. - Wówczas znajdzie się na tyłach naszej armii.

Wielki mistrz zmarszczył czoło, uważnie spoglądając na mapę. W poprzednim roku obmyślił plan ataku na Polskę, który przyniósł powodzenie w pierwszych miesiącach wojny i zebrani dostojnicy, wierząc w kunszt strategiczny wodza, z nadzieją czekali na jego słowa. Niestety, umysł Ulryka von Jungingen był zmacony. W głowie kłębiły mu się myśli, rozwiązania, ale żadne z nich nie było tym właściwym. Oczy wielkiego mistrza rozbłyły gniewem, uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały naczynia, a z kielichów polało się wino. Już chciał wrzasnąć, cisnąć klątwy, żeby ukoić wściekłość, ale nagle poczuł przyływ mocy.

Niewidzialne ramiona otoczyły go czule, ukołysały w pełnym wyrozumiałości, miłosnym rytmie. Wypełniło go matczyne ciepło Binah, przywracając siłę i jasność umysłu. Nie wiedział, dlaczego akurat teraz Trzecia Emanacja obdarzyła go znowu zaufaniem, ale najważniejsze, że wiedział już, co ma zrobić.

Wyprostował się dumnie, powiódł drapieżnym wzrokiem po zebranych, a oni zrozumieli, że oto mają przed sobą wodza, który powiedzie ich do kolejnego zwycięstwa.

- W Świeciu pozostanie Henryk von Plauen wraz ze swym hufcem i będzie miał na tego psa baczenie - rzekł donośnym głosem, a następnie pochylił się, wskazując niewielki punkt na mapie. - Tutaj uszykujcie armię! Teren umocnijcie palisadą i nasypami, ustawcie bombardy tak, aby łącznie mogły razić wroga. Najpierw zdziesiątkujemy armię Jagiełły ogniem z dział, następnie ostrzelamy pociskami z kusz, a wreszcie, gdy w szeregach królewskich powstanie popłoch, uderzymy ciężką jazdą i ostatecznie zdepczemy to litewskie ścierwo.

Ulryk von Jungingen wyciągnął miecz i wzniósł go sztychem w górę,

przykładając brzeszczot do ust. Za jego przykładem inni uczynili to samo. Przymknęli oczy i skupili się na mocy, która ich otaczała, która w nich drzemała. Poczuli przyływ potężnej energii.

Zakon krzyżacki był gotów do wojny.

\* \* \*

Zmierzchało. W oddali słyhać było grzmoty nadchodzącej burzy. A może to anioły wygrywały werble zbliżającej się wojny? Wojny, która miała odmienić świat.

Na szczycie wzgórza pojawił się jeździec w czarnej aksamitnej jace, przepasanej złotym pasem, za którym tkwił wysadzany klejnotami buzdygan. Powiódł spojrzeniem po pogrążonej w mroku dolinie, przyglądając się poskręcany w karykaturalnej pozie wierzbom. Zdawały się być karłowatymi potworami, wyciągającymi szpony ku śmiałkowi bezceremonialnie wkraczającemu do ich domeny.

Król Polski przymknął oczy i pozwolił, żeby wiatr ukoił chłodem zmęczoną, pokrytą zmarszczkami twarz. Stając na ziemi państwa zakonnego, poczuł się jak Cezar przekraczający Rubikon. Nie było już odwrotu. Za późno na układy, pakt, rokowania. Teraz poprowadzi swoją armię do zwycięskiego boju, o którym będzie się mówić przez wieki. Tylko dlaczego ogarnął go smutek, żal wypełnił serce, a łzy zatańczyły pod powiekami?

Przelane zostanie morze krwi, tysiące ludzi straci życie. Niektórzy walczyć będą o wolność, inni o sławę i łupy, nie mając pojęcia, że zależą od nich losy całego świata. Nawet on, najpotężniejszy z Przebudzonych nie wiedział, co może się stać, gdy zostanie zachwiana Równowaga. Pewien mędrzec rzekł kiedyś, że materia przestanie istnieć, Ain Sof<sup>42</sup> wchłonie *tehir*<sup>43</sup>, na zawsze porzucając myśl o kreacji. Nastanie nicość.

Nagle ziemia zadrżała, narastający huk echem przetoczył się przez dolinę. Jagiełło spojrzał w górę, ale choć niebo zasnuwane było czarnymi chmurami, to nie burza stanowiła przyczynę hałasu. Odwrócił się w siodle i jego serce wypełniła duma. Ujrzał trzydzieści tysięcy zbrojnych wjeżdżających na wzgórze. Zatrzymali się i czekali w milczeniu. Rycerze o ponurych twarzach i gniewnych spojrzeniach, uszykowani w chorągwie wedle ziemi, rodów, miast, gotowi byli choćby zaraz ruszyć na znenawidzonego wroga. Nad ich głowami, targane przez wiatr, powiewały różnokolorowe sztandary i tylko ich łopot wypełniał ciszę.

Jagiełło spiął konia, ruszył wzdłuż ciągnących się prawie trzy mile szeregów wojska. Uważnie przypatrywał się rynsztunkowi, oceniając hełmy, kolczugi, zbroje i tarcze z wymalowanymi godłami. Spoglądał na dzierżone w rękach rycerzy kopie, sulice i kusze. Ucieszył go widok dobrze odżywionych, okrytych kropierzami<sup>44</sup> wierzchowców bojowych.

Mijając chorągiew poznańską, ujrzał stojącego na czele Mikołaja z Czarnkowa, który uśmiechał się pod sumiastym wąsem zadowolony, że już niedługo dojdzie do starcia, którego tak pragnął. W walkach z Krzyżakami zginął jego ojciec i młodszy brat. Wierzył, że teraz dokona zemsty, utoczy niemieckiej krwi, zetrze pychę z twarzy zakonników, a przy okazji zdobędzie znaczne łupy.

Władca Polski przeniósł spojrzenie na stojącą obok chorągiew ziemi kaliskiej. Nad głowami rycerzy powiewał sztandar przedstawiający głowę tura ozdobioną koroną. Dzierżył go potężny rycerz herbu Belina, z głęboko wciśniętym kapalinem na czoło, więc nie było widać płonących wściekłością oczu. On nie pragnął ani łupów, ani okupów. Wiadomym było, że żaden Krzyżak nie ujdzie żywy spod jego miecza. Zakonnicy podczas jednej z rejsów na Litwie porwali jego żonę, która jechała w odwiedziny do księżnej Anny<sup>45</sup>. Trzymali ją przez tydzień w

pewnej żmudzkiej twierdzy, hańbiąc na różne sposoby. Wreszcie wypuścili na wpół żywą, obłąkaną i rycerz z Belina już nigdy nie ujrzał radości w oczach żony.

Jagiello pozdrowił zbrojnych z Podola, minął chorągwie sieradzką, lubelską, łączycką, halicką i przez moment jego spojrzenie zatrzymało się na młodym rycerzu z Rusi. Zwał się Iwanko Suszyk. Wcześniej nie darzył króla sympatią, mając mu za złe przyłączenie ziemi halickiej do Polski. Jednak teraz, gdy ujrzał oczy monarchy, dostrzegł w nich niezgłębioną mądrość i zrozumiał, że wszystko jest częścią wielkiego planu, którego on, prosty chłopak, nie jest w stanie ogarnąć. W zbliżającej się wojnie dokona wielkich aktów odwagi, za które zostanie szczerze wynagrodzony.

Król Władysław zbliżył się do rycerzy z Mazowsza, uśmiechnął się zadowolony, widząc stojące ramię w ramię hufce książąt Janusza oraz Siemowita i pojechał dalej ku chorągwiom rodowym. Minął Jelitczyków, Gryfitów, Ligęzów, pozdrowił Jana z Tarnowa, Spytka z Jarosławia, Dobrogosta Świdwę, Mikołaja z Michałowa, Jakuba z Koniecpola, Iwa z Obichowa, Dobiesława z Oleśnicy i Gniewosza z Dalewic, którzy nie szcędząc złota, wystawili własne zastępy zbrojnych. Wiedział, że ci ludzie go nie zawiodą, będą walczyć do samego końca, do ostatniej kropli krwi.

Z dumą spojrzął na wojska z Małopolski i łopoczący na wietrze proporzec „wielkiej” chorągwi krakowskiej. Na jej czele stał Zyndram z Maszkowic, któremu Jagiello powierzył nie tylko pieczę nad obozem, ale również zaszczyt dowodzenia najlepszymi z rycerzy.

Monarcha dostrzegł Zawiszę Czarnego z Garbowa, który w szrankach nie miał sobie równych, Jana Farureja, Skarbka z Gór, braci Jakuba i Domarata z Kobylan, Paszkę Złodzieja z Biskupic oraz

odzianego w szmaragdową zbroję Dagoberta z Saint-Amand.

- Nikt nas zwyciężyć nie zdoła - rzekł Witold, podjeżdżając do Jagiełły.

Właśnie dokonał przeglądu własnych wojsk składających się z czterdziestu chorągwi. Co prawda, były mniej liczebne, ale rynsztunkiem Litwini niewiele ustępowali Polakom.

- Pycha jest najgorszym z doradców i najpotężniejszym z wrogów - odparł król, spoglądając surowo na stryjecznego brata.

- To prawda. Jednakże dzisiaj ci ludzie wkraczają na ziemię nieprzyjaciela, nie wiedząc, czy czeka ich śmierć czy chwała. Dajcie im, bracie, otuchę, natchnijcie serca odwagą i wiarą w zwycięstwo. Oni tego potrzebują.

Król Polski skinął głową. Wiedział, że ponad trzydzieści tysięcy zbrojnych czeka na jego gest, na jakiś znak. Podjechał do chorążego krakowskiego Marcina z Wrocimowic, który dzierżył najważniejszy w całej armii sztandar, olbrzymi gonfanon<sup>46</sup> z wyszytym białym orłem o rozwiniętych skrzydłach, rozwartym dziobie i z koroną na głowie.

Monarcha odebrał od chorążego sztandar i wznosząc wysoko w górę, załopotał nim. W niebo wzbił się krzyk tysięcy gardeł, a Jagiełło nie potrafił ukryć łez wzruszenia, które teraz spływały mu po policzkach.

Nagle rycerze zaczęli śpiewać, najpierw cicho i nieśmiało, ale po chwili pieśń poniosła się echem po dolinie i zdawało się, że rozbrzmiewa w każdym zakątku zakonnego państwa, a jej moc jest w stanie skruszyć mury krzyżackich twierdz.

*Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiona Maryja,  
U twego syna Gospodzina matko zwolena Maryja!  
Zyszczy nam, spuści nam!*

*Kyrieleison!*

*Twego dzieła Krzciciela, bożycze,  
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze.*

*Słysz modlitwę, jąż nosimy,*

*A dać raczy, jegoż prosimy:*

*A na świecie zbożny pobyt,*

*Po żywocie rajski przebyt.*

*Kyrieleison!*<sup>47</sup>

## Rozdział 2. Na ziemi wroga

O świcie wiatr przegnał burzowe chmury, słońce leniwie wzniosło się nad zagajnikiem i skąpało w szkarłacie bystre wody Drwęcy. Przyczajony za niewielkim świerkiem Dagobert z Saint-Amand delikatnie odchylił gałązki i teraz mając pełny widok na okolicę, próbował wypatrzeć krzyżackie hufce. Jednak ujrzał tylko pławiące się w rzece konie i pilnujących je pachołków. Słudzy ściągnęli Iniane koszule, wystawiając na słońce muskularne torsy, i żartując beztrosko, cieszyli się pogodnym przedpołudniem.

- Widzisz gdzieś zbrojnych? - zapytał Burgundczyk przycupniętego obok Jawnutę. Ten pokręcił w milczeniu głową. Nigdy nie był rozmowny.

Dagobert uśmiechnął się na wspomnienie Żmudzi i czasu spędzonego w gospodarstwie bojara. Pamiętał dom wypełniony zapachem pieczonego chleba, przypraw oraz ziół. Pamiętał jego żonę, zazwyczaj zagniewaną, ale poczciwą kobietę, dorastające córki, którym bardziej w głowie były amory niż praca w polu. Pamiętał serdeczność i przyjaźń, jaką obdarzyli go ci prości ludzie. Nie mógł uwierzyć, że od tamtej pory minął już prawie rok. Przez ten czas tak wiele się zmieniło. On się zmienił.

Rok temu rwałby się do boju po sławę, splendory, bogactwo, zaś dzisiaj ostrożnie dokonywał rekonesansu okolic Kurzętnika. Okiem znawcy ocenił palisady na drugim brzegu rzeki i przeniósł spojrzenie na majaczący w oddali zamek, na którego wieży powiewał krzyżacki sztandar.

Dagobert w zamyśleniu potarł bliznę na policzku, która jeszcze nie

w pełni zagojona, swędziała niemiłosiernie. Nie chciał stosować przygotowanej przez Aine łagodzącej maści z ziół, gdyż cuchnęła niczym wyziewy z bagna. Zastanawiał się, kiedy Ulryk von Jungingen stawi im wreszcie zbrojny opór, bo jak na razie wojska zakonu wycofywały się, unikając walnej rozprawy.

- Tatarscy zwiadowcy zapewniają, iż niedrug za rzeką mnogo wojska zgromadził - rzekł Jawnuta. - A ja, choć wzrok mam niczym sokół, który z wysokości chmur zdobycz spostrzeże, najmarniejszego Krzyżaka nie widzę.

- Nawet jeśli jacyś są, to zapewne w zamku siedzą.

- A jeśli to zasadzka? - bojar wiedział, że von Jungingen jest wytrawnym wodzem. - Mogą za wałami na nas dybać.

Burgundczyk spojrział na pławiące się w rzece wierzchowce. Nie ulegało wątpliwości, że były to konie kopijnicze<sup>48</sup>, a to znaczyło, że ciężkozbrojni są w okolicy. Zatem zwiadowcy Dżalaal ad Dina mieli rację, pod Kurzętnikiem zebrały się krzyżackie siły.

Skinął na Jawnutę i wycofali się między drzewa. Szybko przebyli niewielki zagajnik, wychodząc wprost na polanę, gdzie zatrzymała się chorągiew Dobiesława z Oleśnicy. Na ich widok dwustu zbrojnych podniosło się z ziemi w nadziei, że zaraz ruszą do boju. Pragnęli jako pierwsi zaszarżować na wroga, powalić na ziemię, zabarwić szkarłatem białe krzyżackie płaszcze. Podczas wojny najlepsze łupy przypadają tym, którzy wykażą się największym zapałem do walki, odwagą i brawurą. Rycerzom z chorągwi oleśnickiej żadnej z tych cech nie brakowało i gdy marszałek koronny zdecydował się wysłać rekonesans, oni zgłosili się na ochotnika. Ufni w swoje umiejętności, siłę i szczęście, gotowi byli uderzyć choćby zaraz na liczniejsze krzyżackie hufce. Czekali tylko na znak.



Gdy tylko Dagobert i Jawnuta podeszli bliżej, Dobiesław krzyknął zniecierpliwiony:

- Mówcie, coście widzieli!

- Krzyżaków nie widzieliśmy - odparł Burgundczyk, ale widząc jak rycerz z Oleśnicy sposepniał, dodał: - Jeno pachotkowie konie pławią.

- Konie?

- Pięć dziesiątek dorodnych ogierów.

Niebieskie oczy Dobiesława rozbliły, usta drgnęły w krzywym uśmiechu i Saint-Amand wiedział już, że w głowie polskiego rycerza zrodził się jakiś szatański plan.

Godzinę później w obozie królewskim ujrzano tumany kurzu na trakcie prowadzącym do Kurzętника. Natychmiast wszczęto alarm, przypuszczając, że to Krzyżacy przekroczyli Drwęcę z zamiarem uderzenia na wojska polskie. Rycerze, którzy właśnie zasiedli do śniadania nad brzegiem malowniczo położonego jeziora, pospiesznie zaczęli nakładać zbroje, oporządzać konie i szykować się do bitwy.

Jakież jednak było ich zdumienie, gdy w opadającej kurzawie zamiast krzyżackich proporców dostrzegli czerwoną chorągiew z herbem Dębno, zamiast posepnych obliczy rycerzy zakonnych, roześmiane twarze Dobiesława i jego ludzi, którzy pędzili przed sobą pięćdziesiąt dorodnych wierzchowców.

\* \* \*

W królewskim namiocie zebrała się rada wojenna, w której skład wchodził najwyżsi rangą dostojnicy. Czekano tylko na osobę króla.

Książę Witold, zawsze gotowy do działania, rzadziej do rozmów, przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Obok niego stał zagniewany Zbigniew z Brzezia, mając jeszcze w pamięci poranny incydent, podczas którego chorągiew oleśnicka napędziła niezłego strachu w

polskim obozie. Chciał nawet ukarać Dobiesława za lekkomyślność i brawurę, lecz Jagiełło miał zbyt duży sentyment do tego siłacza i uszło mu to płazem. Jednak marszałek, nie szczędząc gorzkich słów, zapowiedział, że jeśli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, odbierze mu dowództwo, odeśle do domu, a jego ludzi przydzielą do innych chorągwi. Miał nadzieję, że reprimenda poskutkuje, bo nie chciał tracić tak znakomitego rycerza.

Mikołaj Trąba poprawił na głowie infułę<sup>49</sup>, której nie zdążył zdjąć po porannej mszy i spoglądając na zebranych, zastanawiał się, dlaczego Jagiełło ich wszystkich wezwał. Nie ulegało wątpliwości, że wydarzyło się coś naprawdę ważnego. Może miało to związek z wizytą dwóch gości, których król przyjął o poranku? Pierwszym był węgierski posłaniec z listem od Zygmunta Luksemburskiego, drugim tajemniczy, zakapturzony pielgrzym. Podkanclerzy ciekaw był, czy pozostali członkowie rady wiedzą coś więcej na ten temat. Jednakże Krystyn z Ostrowa, Jan z Tarnowa, Sędziwój z Ostroga, Mikołaj z Michałowa i Piotr Szafraniec z Pieskowej Skąły wyglądali na tak samo zaskoczonych.

Wreszcie do namiotu wkroczył Jagiełło w zielonej szubie spiętej guzami i aksamitnym birecie na głowie, zasiadł na ozdobnym siedzisku. W jego szarych oczach widać było troskę.

- Dzisiaj otrzymaliśmy pismo od Zygmunta Luksemburskiego - rzekł, kiedy wszyscy jeszcze byli zgięci w pokłonie. - Wypowiedział nam wojnę!

Szmer rozszedł się po namiocie.

- Tego należało się spodziewać - odezwał się Mikołaj Trąba. - Wiadomym było, że król Węgier zawarł porozumienie z Krzyżakami. Zapewne liczył, że jako sojusznik złoto od nich weźmie, a wojny

chytrymi sztuczkami uniknie. Jednakże Ulryk von Jungingen musiał go przycisnąć do muru. Nie będzie łatwo mierzyć się z dwoma takimi potęgami naraz.

- Zaraz trzeba część naszych wojsk wysłać na południe, aby przed wrogiem ziem broniło! - zakrzyknął Mikołaj z Michałowa, wojewoda sandomierski, który oczyma wyobraźni już widział Węgrów pustoszących jego dziedzinę.

- Racja! - poparł go Piotr Szafraniec. - Nie ma co zwlekać.

- Nie wolno nam rozdzielać sił - rzekł stanowczo Zbigniew z Brzezia.

- Jeśli to uczynimy, nie sprostamy Krzyżakom i cały nasz wysiłek pójdzie na marne.

- A cóż nam po zwycięstwie nad zakonem, gdy Węgier domostwa nasze spali, ludzi wytnie, rodziny w niewolę weźmie?!

- Przegramy wojnę, jeśli pójdziemy z odsieczą!

Marszałek pobladł, zdając sobie sprawę z wagi wypowiedzianych przed chwilą słów. Rozumiał strach szlachciców o bliskich, o pozostawione na południu majątki, które bez obrońców staną się łatwym łupem węgierskich żołdaków, ale w tej chwili należało kierować się rozsądkiem.

- Zanim Luksemburczyk zdoła zebrać hufce, my rozprawimy się z Krzyżakami - próbował przekonywać już w łagodniejszym tonie. - Gdyby jednak zdarzyło się, że zaatakuje wcześniej, pozostawione w Krakowie wojska obronią się do naszego powrotu.

- W ich waleczność i męstwo nie wątpię - odparł Mikołaj z Michałowa. - Zważcie jednak, że na wieść o wojnie z Węgrami, żaden z rycerzy w chorągwiach małopolskich nie pozostanie, pojedą bronić swoich rodzin i chudoby.

- Nigdzie nie pojedą! - głos Jagiełły zawibrował w uszach

zebranych, niosąc trudną do uchwycenia groźbę.

Monarcha podniósł się z siedziska, zbliżył do wojewody sandomierskiego i spojrzał głęboko w oczy. Mężczyzna, mimo że górował nad królem o głowę, zalekziony opuścił wzrok, nie mogąc znieść spojrzenia czarnych, bezwzględnych źrenic.

- Wasza wysokość...

- Nikt się o tym nie dowie - słowa cięły przestrzeń niczym sztylety, wypełniając ją mocą. - To, co usłyszeliście, nie wyjdzie poza ten namiot.

Jagiello uważnie przyglądał się każdemu z dostojników. Musiał mieć pewność, że wszyscy zachowają milczenie. Teraz żałował, że powiedział komukolwiek o akcie wypowiedzenia wojny.

- Nie możemy dopuścić do paniki - rzekł łagodniejszym tonem. - Luksemburczyk nie uderzy od razu. Poczekaj, co się wydarzy, bowiem jest niczym sęp, który żywi się jeno padliną. Obaczy, jak potoczą się losy zbliżającej się bitwy i rozszarpie tego, kto przegra. Zatem nie ma się czego obawiać, bowiem my tej bitwy nie przegramy.

Monarcha wrócił na siedzisko i uśmiechnął się, wlewając w serca zabranych otuchę. Czasem musiał być surowym, bezwzględnym władcą, innym razem ojcem otaczającym miłością swoje dzieci i dającym im wsparcie.

- A teraz radźcie, panowie, nad dalszymi ruchami naszych wojsk.

- Ulryk von Jungingen cały czas cofa się, unikając walnej bitwy - marszałek koronny poczuł się w obowiązku pierwszy zabrać głos. - To szczywany lis, wie dobrze, że liczebnością jego armia naszej ustępuje. Jak dotąd nie napotkaliśmy na opór i tylko na widnokręgu od czasu do czasu mającą krzyżackie znaki.

- Wszyscy rycerze zakonni to Niemcy, innych w swoje szeregi nie

przyjmują - odezwał się Jan z Tarnowa, skubiąc nitki niebieskiej jaki, na której widniał półksiężyc z gwiazdą. Ten sześćdziesięcioletni już wojewoda krakowski niejednokrotnie uczestniczył w misjach dyplomatycznych do Malborka, więc dobrze znał wady oraz zalety nieprzyjaciół. - Naród to pyszny, lecz również wielkiej rozwagi. Krzyżacy staną do walki w dogodnym dla siebie miejscu oraz czasie. Zapewne czekają na posiłki. Szpiedzy donieśli, że do Prus zmierzają chorągwie z Miśni, Brandenburgii, Brunszwiku i Westfalii...

- Zatem musimy uderzyć na Krzyżaków teraz, gdy są jeszcze słabi!  
- krzyknął Witold, gotowy zaraz wskakiwać na koń i ruszać w bój.

- Racja! - zawołał Zbigniew z Brzezia. - Pod Kurzętnikiem bród jest płytki i łącno zdołamy przeprowić się przez Drwęcę. Tam zaatakujemy.

- Nie! - uciał Jagiełło, mocno zaciskając dłonie na poręczach siedziska. - To zasadzka.

Wszyscy byli zaskoczeni wybuchem króla. Dopiero po chwili marszałek zdobył się na odwagę i rzekł:

- Miłościwy panie, wszak nasi zwiadowcy żadnych większych sił wroga pod Kurzętnikiem nie obaczyli. Jenó chorągiew Dobiesława z Oleśnicy pogoniła kilku parobków, zabierając im konie. Zapewne były to wierzchowce zbrojnych z załogi zamku. Nie może być ich więcej niżli tuzin kopii.

- Zapewniam was, iż to pułapka - odparł monarcha, delikatnie masując skronie. - Nasz szpieg, działający w bliskim otoczeniu Ulryka von Jungingen doniósł nam dzisiaj, że właśnie pod Kurzętnikiem czeka na nas cała krzyżacka armia.

- Pewne to wieści? - zapytał Mikołaj Trąba, mając na myśli wizytę zakapturzonego gościa. Domyślił się, że to był ów szpieg, o którym mówił król.

Jagiello skinął głową.

- Brzegi Drwęcy obwarowane są z obu stron wysokimi ostrokołami, za nasypami zaś schowani zostali łucznicy i puszkarze z bombardami gotowymi do wystrzału.

Zdumieni dostojnicy zaczęli szeptać między sobą, zastanawiając się, co czynić i po chwili ściszone rozmowy przerodziły się w zacieklą dyskusję, bo jak to bywa przy takich okazjach, zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że należy iść brzegiem Drwęcy, tak długo, aż znajdzie się dogodne do przeprawy miejsce i dopiero wtedy przerzucić mosty, by przejść na drugą stronę. Jednak wtedy armia królewska zamiast czołem do nieprzyjaciela, będzie zwrócona bokiem i obrona rozciągniętego na kilka mil taboru stanie się niemożliwa. Inni zaś uważali, że mimo wszystko należy zaatakować bród pod Kurzętnikiem.

- Wojsko do bitwy się rwie - przekonywał marszałek. - Jeśli wycofamy się teraz, rycerstwo uzna to za ucieczkę. Dla nich to będzie hańba! Uderzmy na wroga, póki jesteśmy silni i zwarci.

- To szaleństwo! - oburzył się Sędziwój z Ostroga, który wojenne rzemiosło znał jak mało kto. - Podczas szturm przygwoźdzą nas ogniem z dział, a tych co zdołają szczęśliwie przejść, wytną na drugim brzegu rzeki.

- Krzyżacy w żadnym miejscu nie pozwolą łącno nam się przeprawić - prychnął książę Litwy, swoim zwyczajem nadymając policzki.

- Dlatego pójdziemy aż ku źródłom Drwęcy, aby przejść rzekę suchą nogą - uciął kłótnię Jagiello. - Jednakże nie będziemy iść brzegiem, mając pod bokiem nieprzyjaciela, ale cofniemy się na tyle, żeby zwiadowcy krzyżaccy stracili nas z oczu. Wtenczas zatoczmy półokrąg i znów na Malbork ruszymy.

- A jeśli Ulryk von Jungingen pójdzie za nami? - zapytał Zbigniew z

Brzezia.

- Wówczas to my zdecydujemy o czasie i miejscu bitwy - uśmiechnął się król. - Wy zaś, panowie, musicie rycerstwo do tego konceptu przekonać i posłuszeństwo wymusić. Pamiętajcie cały czas gotowość bojową zachowywać. Niech nikt w obozie nie waży się wytrąbić hasła wymarszu prócz jednego wyznaczonego przeze mnie trębacza królewskiego. Na pierwsze jego wezwanie wojsko ma się rychtować do drogi, na drugie rycerze niechaj siodłają konie, zaś po usłyszeniu trzeciego sygnału wyruszają z obozu, postępując za znakami swoich chorągwi.

Król podniósł się z siedziska, gotowy do działania.

- O świcie zwijamy obóz i idziemy aż pod Lidzbark. Przewodnikami naszymi będą dwaj wójtowie parczowscy, co Towarzystwu Jaszczurczemu służą. Tuszę, że poprowadzą nas do zwycięstwa.

\* \* \*

Czarny, cudownej urody ogier wspiął się na niewielkie wzgórze, niosąc na grzbiecie jeźdźca okrytego białym płaszczem z wyhaftowanym na nim złotym krzyżem. Wielki mistrz zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie podniósł zasłonę przyłbicy i bezsilnie mrużąc oczy, próbował dojrzeć coś po drugiej stronie Drwęcy. Co prawda Ulryk von Jungingen miał dopiero pięćdziesiąt lat, co jak na rycerza wcale nie oznaczało starości, ale z roku na rok wzrok mu się pogarszał i zdawał sobie sprawę, że za kilka lat będzie zupełnie ślepy. Nie poddał się jednak chorobie, postanawiając, że do końca pozostanie w siodle. Ponoć czeski król, Jan Luksemburski, był całkiem ociemniały, gdy stawał do bitwy pod Crecy<sup>50</sup>. Powiadają, że rozkazał przywiązać siebie do dwóch rycerzy, chwycił mocno kopię i tak prowadzony ruszył do boju, w którym znalazł

śmierć. Ulryk na pewno nie będzie gorszy od niego.

- Dostrzegasz coś, Fryderyku? - zwrócił się do Fryderyka von Wallenrode, który wjechał na wzgórze wraz z innymi dostojnikami zakonu.

Rycerze krzyżaccy mieli na sobie pełny rynsztunek, bowiem zwiadowcy donieśli, że Jagiełło stoi obozem po drugiej stronie rzeki. Wielki mistrz liczył na to, że właśnie dzisiaj wojska królewskie zaczną przeprawę, a wtedy wpadną wprost w zastawioną pułapkę. Na długo przed świtem postawił na nogi całą swoją armię, która teraz wyczekiwała wroga. Niestety, minęło południe, a polsko-litewskie hufce jeszcze się nie pokazały.

- Nic nie widzę - odparł marszałek zakonu. - Jednakże posłałem zwiadowców na drugi brzeg. Dufam, iż rychło wieści przyniosą.

Wielki mistrz westchnął ciężko, wiedząc, że nie pozostaje mu nic innego jak czekać. Przeniósł spojrzenie na otaczające go pola i łąki, ciesząc oczy widokiem różnokolorowych kwiatów, zastanawiając się jednocześnie, czy w dniu dzisiejszym spłyną szkarłatem krwi. Z drżeniem serca wsłuchiwał się w szum drzew, bystry nurt rzeki, próbując uchwycić w tych dźwiękach miarowe uderzenie werbli, tętent końskich kopyt. Jednak nic nie wskazywało, żeby nieprzyjaciel nadchodził.

Wielki mistrz nie wiedział, czy czuje złość z tego powodu, czy ulgę. Z jednej strony pragnął tej bitwy, rozstrzygnięcia, które położy kres konfliktowi nie tylko między dwoma mocarstwami, ale również dwiema siłami rządzącymi światem. Z drugiej zaś, pierwszy raz w życiu miał złe przeczucia i bał się, że to może być jego koniec. Naturalny strach przed śmiercią tkwi w każdym człowieku i nie sposób od niego uciec.

Ulryk przymknął oczy, wspominając swoje życie. Pochodził ze



szlacheckiego rodu o niewielkich tradycjach, którego siedzibą był zamek położony na malowniczym wzgórzu Bürgle w południowych Niemczech. Do zakonu wstąpił trzydzieści lat temu wraz ze swoim bratem, Konradem. O ile jednak Konrad był doskonałym politykiem, szybko zdobywającym najwyższe godności, to młody i porywczy Ulryk wstawił się kunsztem wojennym. Walka stała się jego życiem, zgiełk bitewny muzyką dla uszu, a przelew krwi codziennością. Gdy jego brat został wielkim mistrzem, on nadal przedkładał pola bitew nad dyplomację i oręż nad słowa. Może dlatego popadł w niełaskę i nawet na łożu śmierci Konrad ostrzegał dostojników krzyżackich przed wyborem brata na swojego następcę. Jednak to moc Binah zdecydowała.

- Nasz zwiad wraca - rzekł Wilhelm von Helfenstein, który pierwszy zauważył jeźdźców zbliżających się od strony brodu. - Ciekawym wieści, jakie przyniosą.

Zbliżył się do nich oddział złożony z tuzina półbraci, którzy na szatach nosili niepełny krzyż. W ich gestach widać było dużą pewność siebie, wszak służyli w niepokonanej jak dotąd armii. Przed szereg wyjechał mizernej budowy rycerz o lisiej twarzy i zimnych, bezwzględnych oczach. Widząc najwyższych dostojników zakonu, skłonił się służalczo i fałszywie. Zdawać by się mogło, że cechy te na stałe były wpisane w naturę Piotra Świnki.

- Mówże! - ponaglił Ulryk von Jungingen. - Coście widzieli?

Rycerz wyszczerzył zęby.

- Uciekli!

- Co?!

- Wszyscy uciekli! W obozie Jagiełły znaleźliśmy jeno próżne naczynia, kilka ochromiałych koni i porzucone kule armatnie.

- Zapewne ten pies Jagiełło uląkł się naszej potęgi i z podkulonym ogonem zbiegł do Krakowa - ucieszył się von Wallenrode. - Polaków trwoga ogarnęła na myśl o walce z kwiatem rycerstwa niemieckiego...

- Zamilknij, Fryderyku - wielki mistrz groźnie spojrzał na swojego marszałka, bardziej zaniepokojony niż ucieszony wiadomością. - Wiary dać nie mogę w tak szczęśliwy dla nas obrót sprawy. Obawiam się, iż Jagiełło przejrzał nasz podstęp i wycofał się, aby wybrać dogodniejsze miejsce na stoczenie bitwy.

- W istocie tak może być - rzekł Arnold von Baden, który uczestnicząc w rejsach, poznał sposób myślenia Litwinów. - Porzucili próżne naczynia i szkapy kulawe, gdyż do niczego się nie nadawały. Nie ma powodów wierzyć w pospieszną ucieczkę tak licznych i potężnych wojsk.

Ulryk von Jungingen, ponuro wpatrzony w lasy po drugiej stronie rzeki, zastanawiał się, co robić. Czy ścigać nieprzyjaciela, który z każdym kolejnym dniem coraz bardziej będzie mu umykał, czy też pozostać na miejscu? Wiedział, że rycerstwo zaciężne spragnione jest łupów, a nie ciągłego czekania i przytąjania się przed wrogiem.

- Ścigajmy ich! - krzyknął von Wallenrode.

- Racja - poparł go Kuno von Lichtenstein. - Zakończmy to raz na zawsze. Łatwiej zmiażdżymy armię Jagiełły, gdy cofać się będzie.

- Radzę pozostać w miejscu - rzekł ochrypniętym głosem hrabia von Vende.

Fryderyk von Wallenrode prychnął gniewnie.

- Zastanawiam się, starcze, po czyjej ty jesteś stronie?

- Zawsze po stronie zakonu - odparł komtur z Gniewa i podjechał do Ulryka von Jungingen. - Racz wysłuchać mnie, wielki mistrzu, nie ze względu na wiek, jeno na doświadczenie w rzemiośle wojennym.

- Mów.

- Wielokrotnie powtarzaliście, że Jagiełło jest niczym list przebiegły i niczym lis podchody swoje czyni. A przecież na polowaniu zdarza się, że to szczerwane zwierzę, zgubiwszy w lasach łowców, wraca potem do opustoszałego gospodarstwa i dobiera się do kurnika. Można zatem mniemać, że król tak właśnie postąpi i kiedy my będziemy za nim ganiać po kniejach, on złupi naszą ziemię i najedzie miasta.

Najwyższy dostojnik zakonu krzyżackiego zamyślił się, skubiąc siwą brodę. Nikt z obecnych nie śmiał zakłócać ciszy, jaka zapanowała i cierpliwie czekali na decyzję.

- Starzec może mieć rację - odparł wreszcie. - Odwrót wojsk nieprzyjaciela to zapewne podstęp i dlatego nie przeprowadzimy się pod Kurzętnikiem, a ruszymy w górę Drwęcy, aż pod zamek Bratian. Tam wybudujemy mosty, przejdziemy rzekę i dopiero wtedy uderzymy na wroga.

Ulryk von Jungingen odwrócił się w siodle, uważnie spoglądając na Piotra Świnkę.

- Mimo żeście Polak, wiernie zakonowi służycie i gdy się wojna skończy, nagroda was nie minie. Jednakże teraz wyświadczycie nam jeszcze jedną przysługę.

- Zawsze do usług waszej wielbności - tym razem ukłon rycerza był o wiele głębszy.

- Weźmiecie swój oddział i raz jeszcze pojedziecie na drugi brzeg. Dowiedziecie się, gdzie jest armia Jagiełły i dokąd zmierza. Wypatrujcie śladów, bierzcie ludzi na spytki, przekupujcie... Zresztą, sami wiecie, co czynić.

- Stanie się wedle waszej woli.

Piotr Świnka skinął na swój oddział i odjechał w stronę

kurzętnickiego zamku. Musiał dać ludziom i koniom wypocząć przed kolejną wyprawą. Nie w smak mu było ponownie ruszać na drugą stronę Drwęcy, gdzie łatwo mógł wpaść w ręce wroga. Zdawał sobie sprawę, że w takim przypadku pożegna się z życiem, bowiem Polacy nie mieli dla zdrajców litości. Ale takiego dokonał wyboru.

Obejrzał się jeszcze w siodle na stojących na wzgórzu zakonników i zrozumiał, że nic ani nikt nie zdoła pokonać tych odzianych w lśniące zbroje rycerzy, którzy okryci białymi płaszczami bardziej podobni byli aniołom niż zwykłym śmiertelnikom. Po raz kolejny upewnił się, że wybrał dobrze.

\* \* \*

Deszcz lał się z nieba nieprzerwanym strumieniem i zdawało się, że słońce już na zawsze schowało się za chmurami, zapominając o swoich powinnościach wobec świata.

Czesi z chorągwi świętego Jerzego twierdzili, że to Bóg się na nich sroży za najazd na ziemię chrześcijańskiego zakonu. Planowali nawet porzucić służbę królewską i oddać swoje usługi Krzyżakom, twierdząc, że nad nimi musi czuwać opatrzność boża, ale Jan Sokół w kilku dosadnych słowach przywołał ich do porządku, a największych wichrzycieli kazał wychłostać.

Tymczasem Polacy z wściekłością zaciskali zęby, mając za złe królowi, że pod Kurzętnikiem nie powiódł ich do boju, jak nakazuje obyczaj rycerski, a rozkazał niehonorowy odwrót. Milczeli jednak, bowiem szacunek dla majestatu władcy znaczył więcej niż urażona duma.

Zadowoleni z takiego obrotu sprawy byli jedynie Litwini i Tatarzy, którzy podczas działań rozpoznawczych łupili bezwzględnie krzyżackie wioski. Tym razem możnowładcy przymykali oczy na czynione przez

nich pożogi, ponieważ wojsko musiało uzupełniać zapasy, które z dnia na dzień coraz bardziej topniały.

Przewodnicy prowadzili wojsko najpierw na południe przez Boleszyn, Słup, Lidzbark Welski, żeby później skręcić na wschód w stronę Działdowa. Rozciągnięty na kilka mil tabor, złożony z dziesięciu tysięcy wozów, trzydziestu tysięcy zbrojnych i co najmniej tyle samo rzemieślników oraz pachołków, przemierzał rozległe równiny i ostępy leśne, wzbijając kurz na traktach, tylko od czasu do czasu zatrzymując się na krótkie postoje.

Przemoczony do suchej nitki Gilbert postępował krok w krok za Janem Grynwaldem, brodatym przewodnikiem, który tłumaczył, jak odnajdywać drogę w szczerym polu, rozpoznawać kierunki świata, szukać źródeł wody i nie zgubić się w gęstym lesie. Chłopiec z szeroko otwartymi oczami obserwował niemal każdy ruch mężczyzny, starając się zapamiętać wszystkie wykonywane przezeń czynności i uważnie słuchając rad, wypowiedzianych poważnym, pouczającym tonem.

Gilbert przekonany był, że w dorosłym życiu, gdy jako podróżnik będzie przemierzał świat, taka wiedza będzie mu niezbędna. Teraz jednak największym marzeniem chłopca było zostać rycerzem, takim jak Dagobert z Saint-Amand.

Każdego dnia pod okiem Burgundczyka ćwiczył się w trudnej sztuce walki, a kiedy nie trenował sztychów, cięć i zasłon, pomagał przy wyładunku wozów, bo to ponoć wyrabiało krzepę. Wieczorami siadał z Dagobertem przy ognisku, słuchając tyrad o honorze i rycerskich powinnościach. Wtedy powieki mu opadały i drzemał zmęczony ciężkim dniem, ale jego pan nigdy się za to nie gniewał. Okrywał chłopaka derką, uśmiechając się przy tym, bo przypominał sobie, jak bardzo i jego nużyły pogadanki ojca na zamku Saint-Amand.

Dzisiaj jednak nie było ćwiczeń ani lekcji fechtunku, bowiem Dagobert chciał jak najwięcej czasu spędzić z Aine, ale Gilbert zamiast odpocząć, zaraz pobiegł na czoło taboru. Tam zasypywał przewodnika pytaniami, a ten jowialny, cierpliwy mężczyzna z uśmiechem na wszystkie odpowiadał. Cieszył się nawet, że chłopiec tak bardzo jest ciekawy świata. Z tą płową czupryną, wielkimi niebieskimi oczami, przypominał mu syna, którego stracił przed laty.

Zdarzyło się to pewnego letniego poranka, podobnego do dzisiejszego, gdy krople deszczu uderzały o strzechę, a w kominku wesoło skrzył się ogień. Grynwald usłyszał na zewnątrz tętent końskich kopyt i kazał przerażonej żonie pozostać wraz z synem w chacie, a sam, narzuciwszy kaftan, wyszedł na podwórze. W pierwszej chwili nie rozpoznał znaków na tarczach jeźdźców, bowiem siąpiący deszcz zalewał mu oczy, ale gdy je przetarł, dostrzegł czarne półkrzyże. Na ucieczkę było za późno.

Panowie pruscy przysłali swoje sługi po należną daninę, ale mieszkańcy wioski nie mieli już czym płacić. Wściekli żołdacy kazali przyprowadzić pierworodnych synów, związali ich i pognali do zamku w Działdowie. Rozpacz w osadzie była wielka, bo nikt nie wiedział, po co i na jak długo ich zabierają. Mówiono, że starsi chłopcy wcieleni zostaną do krzyżackiego wojska, a młodsi pójdą na służbę. Inni twierdzili, że w lochach siedzą i pozostaną tam tak długo, aż wieś zapłaci daninę.

Po tygodniu, nie mogąc znieść niepewności, ojcowie przybyli pod bramę miasta upomnieć się o swoje dzieci. Jakież było ich przerażenie, gdy na przydrożnych drzewach ujrzeli powieszonych synów. W tym dniu coś w Janie Grynwaldzie umarło i choć nadal był uśmiechniętym, łagodnym człowiekiem, nosił w sercu straszliwą nienawiść do

Krzyżaków. Wstąpił w szeregi Towarzystwa Jaszczurczego i gdy usłyszał, że wojska polskie przekroczyły granice, a Jagiełło potrzebuje przewodników, nie wahał się ani chwili.

- A jak w pochmurną noc, gdy gwiazd na niebie nie ma, rozpoznajecie, gdzie wschód jest, gdzie zachód? - dopytywał się chłopiec, próbując dotrzymać kroku rosłemu mężczyźnie. Ten już miał odpowiedzieć, ale dostrzegł ruch na skraju lasu. Zaniepokojony obejrzał się i z przerażeniem stwierdził, że wraz z Gilbertem wysunęli się daleko przed kolumnę wojska. Ponownie spojrzął na las i już nie miał wątpliwości.

- Biegiem! - Brutalnie pchnął chłopca w stronę taborów.

Gilbert pędził, ile sił w płucach, podczas ucieczki potykając się o wystające kamienie, ślizgając się na mokrych kępkach traw, ale nie zwalniając. Tętent końskich kopyt był coraz bliższy. Nie oglądał się jednak za siebie. Dobrze wiedział, że ścigają ich krzyżaccy zwiadowcy.

- Żywych ich brać! - usłyszał za plecami ochrypy głos, poczuł ból i zapanowała ciemność.

\*

W ostatnich dniach niewiele mieli czasu dla siebie. Wojna nie sprzyja miłości, tym bardziej wojna taka, jak ta. Co prawda, nie doszło jeszcze do poważniejszej bitwy, ale wielu rycerzy wracało rannych z drobnych potyczek i trzeba było ich opatrzyć, nastawić złamane kości, nawarzyć ziół, więc Aine miała co robić. Natomiast Dagobert, cieszący się zaufaniem marszałka koronnego, często wysyłany był na misje zwiadowcze i rzadko bywał w obozie, zaś w wolnych chwilach uczył Gilberta sztuki wojennej. Bywało, że ćwiczeniom przyglądali się rycerze, którzy stali się dla Burgundczyka najbliższymi przyjaciółmi. Oczywiście, czuli się w obowiązku udzielać przy tym świątłych rad.

Dobiesław z Oleśnicy pokazywał chłopcu, jak zadać cios mieczem, żeby przełamać każdą zasłonę. Jan Žižka uczył prawidłowo trzymać topór, aby nikt nie zdołał go z rąk wytrącić. Jakub z Kobylan zapoznawał Gilberta z trudną sztuką uników, a Zawisza Czarny z walką na kopie, w której był niezrównanym mistrzem. Natomiast Tomasz Kalski tłumaczył, że dla rycerza ważniejszą od sztuk wojennych jest sztuka uwodzenia niewiast.

Jednak dzisiejszy dzień Dagobert i Aine postanowili spędzić razem. Ich wóz ciągnął się nieskończenie wolno w kolumnie taborowej, a oni siedzieli na koźle, przykryci płaszczem chroniącym ich od deszczu. Mężczyzna w prawej dłoni trzymał lejce, lewą zaś splótł z dłonią kobiety. Czuł ciepło jej ciała, wdychał zapach mokrych włosów opadających na policzek, zachwycał się bladymi, ułożonymi w lekki uśmiech ustami, a ona, przymknąwszy oczy, wsłuchiwała się w monotonne skrzypienie kół wozu.

Milczeli, ciesząc się swoją obecnością. Trwała wojna i nie wiedzieli, co czeka ich jutro. Może okrutny los ich rozdzieli, radość zamieni w smutek, a szczęście w rozpacz? Dzisiaj jednak nie chcieli o tym myśleć, pragnęli, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Nagle wiatr mocno szarpnął gałęziami drzew, ulewa nasiliła się, a po okolicy rozniósł się głuchy pomruk burzy. Zaniepokojona Aine zdjęła z głowy płaszcz, uniosła się na koźle, próbując przebić wzrokiem ścianę deszczu. Błyskawica rozdarła niebo, oświetlając pobladłą twarz kobiety. W jej zielonych oczach pojawił się strach. Dagobert już chciał zapytać, co się stało, ale kolejne uderzenie pioruna przeszło go dreszczem przerażenia.

Zrozumiał.

Chwycił pas z mieczem, wskoczył na uwiązanego do wozu



czarnego ogiera i pogalopował do przodu. Pędził niczym wichur, trzymając się końskiej grzywy, przeskakując kałuże, wokół rozbryzgując błoto, ścigany przekleństwami woźniców. Zaskoczeni rycerze, widząc jego rozwiane włosy, umorusaną twarz i szaleństwo w oczach, zjeżdżali z drogi, pospiesznie czyniąc znak krzyża i słusznie rozumując, że na obłąd tylko Bóg może pomóc.

Gdy Burgundczyk mijał czoło kolumny, zauważył go Jakub z Kobylan, który dzisiaj dowodził przednią strażą i domyślając się, że stało się coś złego, pognął za przyjacielem. Niestety, jego kasztanka nie mogła sprostać wierzchowcowi Burgundczyka i odległość między nimi coraz bardziej się powiększała. W końcu Polak stracił Dagoberta z oczu.

Jakub jeszcze przez jakiś czas jechał ukrytym wśród pagórków traktem, aż wreszcie wypadł na rozległą równinę. Dopiero tam ujrzał Burgundczyka podążającego za jeźdźcami umykającymi w las. Od razu domyślił się, co zaszło. Krzyżacki podjazd porwał Jana Grynwalda, żeby wziąć go na spytki, bo kto będzie wiedział lepiej, dokąd zmierza armia Jagiełły niż przewodnik? Nagle rycerz z Kobylan uświadomił sobie, dlaczego Dagobert gna jakby go sam diabeł gonił i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Przecież cały dzisiejszy dzień z Grynwaldem przebywał młody Gilbert.

Mocno uderzył konia ostrogami.

Doścignął Burgundczyka dopiero w lesie, gdy ten kluczył między drzewami, na próżno wypatrując porywaczy. Zapędzał się w nieprzebyte knieje, żeby zaraz wrócić i próbować innej drogi. Niestety, po krzyżackim oddziale nie było śladu. Zapadli w głębokie ostępy, a ich sprzymierzeńcem był deszcz, który zatarł wszystkie ślady.

Jakub, zdając sobie sprawę z daremności poszukiwań, zatrzymał

się i opuścił głowę. Serce przeszywał mu ból, gdy słyszał, jak przyjaciel, próbując przekrzyczeć grzmoty, wykrzykuje imię chłopca. Wiedział, że niedługo głos mu się załamie, przerodzi się w szloch. Czekał, żeby być wtedy przy nim.

\* \* \*

Ulryk von Jungingen żwawym krokiem przemierzał niewielką przestrzeń namiotu, chodząc od jednej ściany do drugiej, spoglądając przy tym gniewnie na Fryderyka von Wallenrode i Kunona von Lichtenstein. Mężczyźni stali w pokornym milczeniu, w nadziei, że wściekłość wielkiego mistrza zgaśnie szybko, niczym świeca na wietrze. Na razie jednak na to się nie zanosilo.

- Jakże zniknąć wam mogła cała armia?! - krzyczał, mocno gestykulując. - To nie igła w stogu siana. Rzeknijcie, jak to możliwe, że po terytorium państwa zakonnego maszeruje wrogie wojsko, a my nie wiemy, gdzie się znajduje i dokąd zmierza?

Marszałek zakonu i wielki komtur jeszcze niżej opuścili głowy.

- Milczycie? - Von Jungingen zatrzymał się przed nimi i teraz wyraźnie widzieli jego straszne, rozgniewane oczy. - Gdzie jest Piotr Świnka? Już drugi dzień mija od kiedy na zwiad wyruszył!

- Niestety, nie mamy od niego żadnych wieści - Fryderyk von Wallenrode bezradnie rozłożył ręce.

- Mówiłem, że nie można ufać Polakowi - prychnął Kuno von Lichtenstein i zaraz pożałował, czując na sobie palące spojrzenie wielkiego mistrza.

- Gdybyś więcej zapału okazywał sprawom zakonu, a nie otrokom, z którymi sodomię czynisz, nie musielibyśmy korzystać z pomocy takich ludzi jak Piotr Świnka.

Zaskoczony zakonnik otworzył usta, ale nie mógł wykrztusić słowa.

Nikt jeszcze nie śmiał go oskarżać o sodomie, a teraz uczynił to sam wielki mistrz, w dodatku przy świadku. Spojrzał wściekle na rudowłosego marszałka, który uniósł w górę brew, uśmiechając się przy tym złośliwie. Ci dwaj dostojnicy, mimo oficjalnej deklaracji braterstwa, nie darzyli się przyjaźnią.

- Dumaleś, Kuno, iż nic nie wiemy o twoich bezceństwach? - głos Ulryka von Jungingen był zjadliwy i zdawał się ciąć gęstą atmosferę w namiocie niczym ostrze sztyletu. - Tylko ze względu na zasługi i przyjaźń, jaką cię darzę, nie stanęś jeszcze przed kapitułą. Jednakże uczynię to niechybnie, jeśli znów mnie zawiedziesz.

Wielki komtur, oblany purpurą, chciał odpowiedzieć, zaprzeczyć wszystkiemu, przysiąc na moc Binah, że jest niewinny i nie kłamałby, bowiem sam w to wierzył. Umysł ludzki ma niezwykłą zdolność do tworzenia iluzji zbudowanej z fałszywych wyobrażeń samego siebie. Zakonnik święcie był przekonany, że zarzuty nie dotyczą jego, że oskarżenia są wyssaną z palca pomyłką, a jednocześnie myślał o wieczornych igraszkach z chłopcami służebnymi.

- Wasza dostojność...

- Zamilknij - syknął wściekle von Jungingen. - A teraz zejź mi z oczu i nie wracaj, póki nie będziesz miał wieści o polskiej armii.

Mięśnie twarzy poniżonego von Lichtensteina drgnęły niebezpiecznie. Nie nawykł do takiego traktowania i nie pozwoli na to nawet zwierzchnikowi. Jego duma została zdeptana, zrzucona z gdaniska wraz z nieczystościami. Chwyił za miecz.

- Zastanów się dobrze, co chcesz uczynić - ostrzegł Fryderyk von Wallenrode, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Wielki komtur przez chwilę ciężko dyszał i zdawało się, że zaraz rozsądzi go wściekłość, której nikt nie będzie w stanie powstrzymać.

Nagle odwrócił się i bez słowa opuścił namiot.

- Po wojnie będzie trzeba coś z nim uczynić. - Ulryk von Jungingen westchnął, spoglądając za wychodzącym. - Szkoda, bo znakomity to rycerz.

- Kto wie? Może krwią odkupi swój grzech?

- Grzech? - roześmiał się wielki mistrz. - A czymże jest grzech? Ain Sof uczynił nas na swój obraz i podobieństwo, tchnął w nas cząstkę siebie, więc jeżeli skażeni jesteśmy grzechem, pochodzi on od niego. Jaka w tym wina ludzi?

- A grzech pierwotny?

- Narodził się podczas *szewirat hakelim*, rozbicia naczyń, gdy Sefiry pękły pod wpływem boskiego światła i zło wlało się do tehiru. I czemuż my mamy za to odpowiadać?

- Nie wiem, wielki mistrzu, rozumem swoim ogarnąć tego nie mogę. Choć obaj zostaliśmy Przebudzeni, to ty zyskałeś wiedzę. Ja jestem jeno mieczem Binah.

- Uwierz mi, przyjacielu, że wspólnie będziemy kąpać się w blasku chwały, gdy *Tikkun* Wielkie Dzieło Zbawienia zostanie zakończone. Nadejdzie dzień, gdy Ain Sof na powrót stanie się jednością, a uczyni to poprzez Emanację Binah. Skaza wszechświata zostanie naprawiona i zapanuje wieczna szczęśliwość.

- Ufam, iż tak się stanie.

- Teraz jednakże musimy pokonać tego, który staje na drodze Trzeciej Emanacji - rzekł wielki mistrz. - Niechaj całe wojsko gotuje się do przeprawy. Gdy przejdziemy na drugi brzeg Drwęcy, zmusimy wroga do stoczenia bitwy w dogodnym dla nas miejscu. Pierwej jednak musimy wiedzieć, gdzie jest Jagiełło i jego armia!

Trzynastego lipca, w dniu świętej Małgorzaty, wojska królewskie rozbiły obóz pod Działdowem, na rozległej równinie wokół miasta. Pachołkowie rozstawili namioty, rozpalili ogniska, a gdy zapadły ciemności, Zyndram z Maszkowic w obawie przez krzyżackimi podjazdami rozkazał wystawić podwójne straże.

Burza, która rozpętała się w południe i szalała po okolicy przez cały dzień, w końcu ucichła. Deszcz lekko już tylko mżył, wiatr delikatnie targał proporcami umieszczonymi na szczytach namiotów i wszyscy spodziewali się spokojnej nocy. Jednak w namiocie Władysława Jagiełły spokojnie nie było.

- Miłościwy panie, pozwólcie nam jechać. - Przed monarchą klęczał Jakub z Kobylan i choć jego postawa była pokorna, a słowa niemalże błagalne, to w tonie głosu można było wyczuć groźbę.

Stojący za nim rycerze: Dobiesław z Oleśnicy, Zawisza Czarny, Mszczuj ze Skrzyńska i Tomasz Kalski mieli zachmurzone czoła i ponuro wpatrywali się w króla.

- Nie! - krzyknął oburzony Zbigniew z Brzezia, który w tych ostatnich dniach był przy Jagielle niemalże dzień i noc. - Nieprzyjaciel czai się w pobliżu i w każdej chwili może na nas uderzyć. A wy chcecie opuścić szeregi wojsk naszych? Króla swego porzucić?

- Błagamy was jeno o jedną dobę! - Grzymalita złożył dłonie jak do modlitwy. - Krzyżacy jeszcze za Drwęcą stoją i chyba się nie ruszą. Zanim rozgorzeje bitwa, zdążymy odnaleźć chłopca i uwolnić go.

- To szukanie igły w stogu siana - rzekł marszałek koronny. - Krzyżacy mogli ich zawlec aż pod Kiełpiny, Truszyn lub Lubawę. A tam nawet zwiadowcy tatarscy się nie zapuszczają.

- My damy radę! - krzyknął buńczucznie Dobiesław z Oleśnicy. Zbigniew z Brzezia pokręcił głową.

- Nie możemy pozwolić sobie na stratę tylu mieczy.
- Przecież pojedziemy sami, bez naszych pocztów.
- Was pięciu to jakby cała chorągiew stawała.

Tymczasem Jagiełło przyglądał się uważnie klęczącemu przed nim Jakubowi. Na młodzieńczej jeszcze twarzy rycerza widać było głęboki smutek. Monarcha wyczuwał jego ból i lęk o przyjaciół.

- Dobrze wiesz, co Krzyżacy czynią z porwanymi na spytki?
- Wiem, panie.
- Zapewne ten otrok i Jan Grynwald nie żyją.

- Jeśli tylko istnieje choćby cień szansy, musimy spróbować. - Jakub przełknął ślinę, a jego orzechowe oczy patrzyły z nadzieją na króla. - Winniśmy to Dagobertowi i Aine.

- Dawno odjechali?

- Wnet po porwaniu - odezwał się Dobiesław. - Panie! Oni sami żadną miarą nie dadzą sobie rady. Jeśli nie dopadną ich krzyżackie podjazdy, to zbójce, co na traktach chasę czynią.

- To i oni już zapewne nie żyją - prychnął marszałek koronny.

- Miłościwy królu, błagamy cię - ponowił swoje prośby rycerz z Kobylan. - Wnet będziemy z powrotem.

Zapadło milczenie. Król długo spoglądał w oczy rycerzy, jakby chciał z nich wyczytać odpowiedź na pytanie, czemu to robią? Gotowi byli porzucić słuszną walkę, ojczyznę, swojego króla, w imię przyjaźni. Gdyby jednak czynili inaczej, cóż warte by było zwycięstwo? Czym byłaby Polska bez takich ludzi i monarcha bez takich poddanych?

- Jedźcie!

- Ależ wasza wysokość... - wykrztusił zaskoczony Zbigniew z Brzezia. Jagiełło uciszył go, podnosząc dłoń.

- Jutro zwijamy obóz i idziemy na północ. Zatrzymamy się pod

Dobrownem. O zmierzchu macie się tam stawić.

- Dzięki, panie - wyszeptał Jakub, przypadając do króla i całując jego dłoń.

- Ruszajcie - odparł. - Czasu nie mitręźcie.

\* \* \*

Wysoko w niebo buchnęły iskry z rozpalonego ogniska. Dagobert nie przejmował się, że Krzyżacy dostrzegą ogień, bowiem nie mieli odwagi zapuszczać się nocą na zdradliwe bagna i w okryte mrokiem leśne ostępy. Obawiali się wilkołaków polujących całymi watahami oraz procesji duchów pobrzękujących łańcuchami, które ponoć w tych okolicach nader często się pojawiały.

Mężczyzna przysiadł obok drżącej z zimna Aine i objął ją czule. Jej oczy, zazwyczaj ciepłe i radosne, teraz były studniami rozpacz. Od czasu porwania Gilberta nie odezwała się słowem, patrzyła tylko nieobecny wzrokiem w przestrzeń. Wiedział, że część jej jaźni znajduje się w innej rzeczywistości, poszukuje nici życia, obecności chłopca na tym, lub już na tamtym świecie.

- Widzisz coś? - zapytał.

Pokręciła głową.

Saint-Amand westchnął ciężko. Przed oczami cały czas miał roześmianą twarz Gilberta i nie wyobrażał sobie życia bez niego. Oddałby wszystko za jego ocalenie, bez wahania poświęciłby siebie i cały ten świat. Świat, który wszystko mu odbierał.

Najpierw zabrał matkę, która zmarła w połogu. Potem, gdy wkraczał w wiek młodzieńczy, stracił ojca w zasadzce na górskim szlaku do Dijon. A teraz miał utracić chłopca, którego pokochał jak syna. Nadal pozostanie mu Aine. Ale czy ich miłość przetrwa taką stratę? Obawiał się, że pogrążeni w rozpacz oddalą się od siebie,

staną się dla siebie zupełnie obcy ludźmi. Wtedy tylko śmierć w boju przyniesie ulgę.

Potrząsnął głową, próbując odegnąć mroczne myśli. Nie wolno wyzbywać się nadziei, bo kiedy nadejdzie zwątpienie, wszystko będzie stracone. Dagobert służył Emanacji Netzach, uosabiającej triumf nie tylko na polach bitew, ale również nad przeciwnościami losu i własnymi słabościami. Zacisnął mocno zęby. Nie podda się. Odnajdzie Gilberta i uwolni, choćby trzeba było wydrzeć go z krzyżackiego obozu, lub nawet z samego piekła.

Minęła północ i księżyc stał już wysoko na firmamencie, jednak jego blask był zbyt słaby, aby w ciemności odnaleźć drogę. Musieli zaczekać do rana. Dagobert wierzył, że o brzasku trafią na jakiś trop, odnajdą ślad i dogonią porywaczy. A wtedy niech opatrność ma ich w swojej opiece.

Nagle z pobliskiego zagajnika dobiegło wycie wilka, a siedząca nieopodal sowa, która pohukiwaniem umilała tę pełną smutku noc, zerwała się, odlatując w czarną przestrzeń. Konie zarżały zaniepokojone. Burgundczyk zmrużył oczy, próbując wypatrzeć coś w ciemności. Aine też coś wyczuła, bo drgnęła przestraszona.

- Tam! - wskazała zagajnik, z którego dochodziło wycie wilka. - Ktoś się zbliża.

Dagobert wstał, wyciągnął miecz i czekał. Ktoś mniej doświadczony zaraz by pobiegł w stronę drzew, próbując zaskoczyć wroga. Jednak Burgundczyk mimo młodego wieku wiedział, że nigdy nie należy wychodzić naprzeciw niebezpieczeństwu. Jeśli ma nadejść, samo odnajdzie drogę i nie należy mu w tym pomagać.

Liście poruszyły się, ale nie było to dziełem wiatru. Może to leszy, demon przyjmujący postać brodatego, ubranego w zwierzęce futra



starca, przybył zobaczyć, kto śmiał wdrzeć się do lasu? Gdy człowiek wkracza do jego dziedziny, próbuje go przepędzić najpierw za pomocą złowieszczych szeptów słyszanych w szumie liści, a gdy to nie pomaga, staje do walki, przybierając postać olbrzymiego niedźwiedzia. A może to złośliwe czarty? Te przedziwne stwory zamiast nóg mają kopyta, na czarnej jak smoła głowie noszą olbrzymie rogi i roztaczają zapach siarki. Jednak rycerz z Saint-Amand nie usłyszał żadnego szeptu, ryku niedźwiedzia, ani też nie wyczuł w powietrzu siarki, tylko spostrzegł wyłaniające się z lasu ciemne postacie jeźdźców.

Uniósł w górę miecz.

- Kto tam?

- To my - usłyszał znajomy głos.

Gdy jeźdźcy zbliżyli się do ogniska, dojrzał zatroskane twarze swoich przyjaciół: Jakuba, Dobiesława, Zawiszy, Mszczuja, Tomasza i Jawnutę. Mężczyźni zeskoczyli z koni, skłonili się Aine i mocnym uściskiem przywitali Dagoberta.

- Cóż tu robicie?! - zdziwił się Burgundczyk.

- Nie ostawimy cię w potrzebie - rzekł Zawisza. - Na przyjaciół zawsze można liczyć.

- Co na to król?

- Nie frasuj się, mamy jego przyzwolenie, ale gorzej z tym tutaj - odparł Mszczuj, wskazując Jawnutę. - Wyruszył z nami bez zgody Witolda, a znając surowość księcia, ten zapewne każe go obwiesić.

- Inaczej postąpić nie mogłem - bojar uśmiechnął się przepraszająco. - Gdym usłyszał, że owi szlachetni rycerze z pomocą wam idą, wymknąłem się z obozu i podążyłem za nimi.

- Jednakże rychło spostrzegliśmy, że ktoś za nami jedzie...

- Rychło? - prychnął Żmudzin. - Dobre trzy godziny za wami

jechałem, zanim znużyła mnie samotna jazda i dałem się wam obaczyć.

Rycerze roześmieli się, ale zaraz zamilkli, widząc ponure miny Dagoberta i Aine. Poszli rozkulbaczyć konie i został tylko Jakub.

- Natrafiłeś na jakiś ślad? - zapytał.

Dagobert pokręcił głową.

- Pod wieczór odnaleźliśmy miejsce, gdzie obozował oddział zbrojnych, ale trop się urwał. Potem mrok zapadł i w ciemnościach już nic nie mogłem dostrzec.

- Dufajmy, iż poranna rosa śladów nie zetrze. Wyruszymy przed świtem.

- Jakubie?

- Tak?

Dagobert milczał chwilę, zmarszczył czoło, spojrzał uważnie w oczy przyjaciela.

- Jeśli będzie trzeba iść za Drwęcę...

- Oczywiście, że z tobą pójdę - odparł. - Jak możesz wątpić?

Po raz pierwszy tej nocy oblicze Burgundczyka lekko się wypogodziło, jakby nowa nadzieja wstąpiła do jego serca.

- Dziękuję.

- Podziękujesz, jak odnajdziemy chłopca - uśmiechnął się rycerz z Kobylan. - A teraz idźmy spać, jutro wstać musimy przed wschodem słońca.

\* \* \*

Nad ranem, gdy ptaki nie zdążyły się jeszcze dobrze przebudzić, na niewielkiej polanie, pod rozłożystym dębem, dwaj mężczyźni bezceremonialnie odzierali z szat dyndającego na gałęzi trupa. Wisielec wcześniej był torturowany, bowiem nie miał nosa, uszu, a puste oczodoły oskarżycielsko wpatrzone były w tych, którzy nie potrafili

uszanować śmierci.

- Wyglądają na solidne - piegowaty knecht o tłustych, rudych włosach wskazał buty zabitego.

- Racja, Reimar - odparł jasnowłosy młodzieniec. - Szyte z grubej skóry, będą mi pasowały.

- Od butów i kaftana wara!

- Jam go obwiesił. Tyś się jeno przyglądał, więc mnie się należy.

- Należy ci się co najwyżej jego gacnik<sup>51</sup> - rubasznie roześmiał się starszy z knechtów.

- Jakże to tak - zezłościł się młodzian. - Jesteśmy współnikami czy nie?

- Głupiś, Dytryk, jak nie przymierzając osioł, który pierwszy raz oślicę widzi. Po cóż ci jeszcze jeden kaftan i buty? Wojna trwa i lepiej dobytku ze sobą nie targać. Jak dotrzemy do obozu, sprzedamy rzeczy wisielca, bo dukaty w sakiewce łatwiej nosić.

Jasnowłosy, drapiąc się po głowie, rozważał to, co przed chwilą usłyszał.

Wreszcie w jego oczach pojawiło się zrozumienie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ty to masz łeb na karku.

- Codziennie powinienes dzięki składać Najjaśniejszej Paniencie, że w swojej łaskawości obdarzyła cię takim kompanem. Beze mnie zginąłbyś marnie.

- Ja też swój rozum mam - obruszył się Dytryk.

- Czyżby? - Reimar ponownie zarechotał. - Zapomniałeś już, jak na Żmudzi chciałeś przy Gerhardzie Rude pozostać, mimo że kazał nas wychłostać i w dyby zakuć? I co by było, gdybyś mnie nie posłuchał?

- Racja - zgodził się młodzieniec, pakując do worka zdjęte z wisielca

buty. - Niedługo po tym, jak opuściliśmy obóz, Tatarzy wyrznęli cały oddział. W samą porę zrejterowaliśmy.

- Zapamiętaj to sobie, Dytryku, tylko tchórze uciekają. My zaś wypowiedzieliśmy służbę!

- Aha.

- Czas na nas - rzekł rudowłosy. - Bo jak zmitrzymy, to każą nas wybatożyć.

- I wtedy im też wypowiemy służbę?

Starszy z mężczyzn westchnął ciężko i spojrzał z pobłażaniem na młodszego towarzysza.

- A czemuż mielibyśmy to czynić? - zapytał. - Krzyżacy dobrze płacą, jadła i napoju nie zbywa, dziewczki w zamtuzach zawsze czyste i ochocze. Czego chcieć więcej?

Nie oglądając się na wisielca, ruszyli w stronę koni.

- Reimar?

- Hmm?

- Czy nie strachasz się, iż za zło, które czynimy, przyjdzie nam kiedyś zapłacić?

- Masz na myśli Sąd Ostateczny? - Reimar przytroczył do siodła zdobyty właśnie dobytek. - Uwierz mi, zbrodnie, jakich my się dopuszczamy, są niczym wobec tego, co czynią królowie. Ludzi, których posłaliśmy na tamten świat można liczyć w dziesiątki, a monarchowie na wojny i pewną śmierć posyłają tysiące. I choć sami krwi na rękach nie mają, to śmierć tych, co w bitwach polegli, ich sumienie obciąża. Któż zatem jest większym zbrodniarzem?

Zamilkł na chwilę, poprawiając popręg siodła. Następnie wskoczył na koń, a zaraz w jego ślady poszedł Dytryk.

- Jeśli święty Piotr, co bram Królestwa Niebieskiego pilnuje,

przyjmie moźnych tego świata z ich strasźliwymi grzechami, to i nas maluczkić przepuści.

- A jeśli sprawiedliwość dośięgnie nas tutaj jeszcze, na ziemskim padole?

- Nie frasuj się tym. Któż chciałby się na nas mścić?

Reimar podniósł wzrok, chcąc wybrać najlepszą z dróg do krzyźackiego obozu i zastygł w przeraźeniu. Na skraju polany, tam gdzie nie opadła jeszcze poranna mgła, niczym upiory z sennego koszmaru wynurzyła się ósemka jeźdźców. Jednak nie mieli na sobie powłóczystych białych szat potępieńców, ale kolczugi, szłomy i obnaźone miecze. Wśróć nich była również piękna niewiasta o włosach koloru ognia. Ale knecht nie zwrócił uwagi ani na zbrojnych, gotowych go zaraz rozsiekać, ani na wdzięki rudowłosej, bowiem w tej właśnie chwili ujrział demona.

Nie mógł zapomnieć tych stalowych, strasźliwych oczu wypełnionych zimną furią. Nie mógł zapomnieć człowieka, któremu przed rokiem zakładał pętlę na szyję, a który zdołał się wywinąć spod stryczka. Nie mógł zapomnieć rycerza, który przyobiecał śmierć samemu Gerhardowi Rude i swoją obietnicę spełnił.

A teraz przyszedł po niego.

Dytryk miał rację, pomyślał Reimar. Sprawiedliwość odnajdzie człowieka również na ziemi. Po raz pierwszy w życiu z przekonaniem uczynił znak krzyźa.

\*

- Nie ma wątpliwości - rzekł Dobiesław, uważnie przyglądając się ściągniętemu z drzewa trupowi. - To Jan Grynwald.

Dagobert, choć już wiele w życiu widział, nadal zdumiewał się ludzkim okrucieństwem. Do pewnych rzeczy człowiek nigdy się nie

przyzwyczajai. Podszedł do jeńców, którzy klęczeli na mokrej od rosy trawie z rękoma skrępowanymi na plecach.

- Wy żeście to uczynili? - zapytał.

Nie uzyskał odpowiedzi. Rudowłosy knecht pogardliwie splunął mu pod nogi.

- Co się stało z chłopcem?

W odpowiedzi usłyszał tylko rechot.

- Nie chcesz mówić? Dobrze - westchnął Burgundczyk i spojrzał na jasnowłosego młodzieńca, który trząsał się ze strachu jak osika. Podszedł do niego, delikatnie przytrzymał za podbródek i spojrzał głęboko w oczy.

- Ty mi rzeknij, a żywym cię ostawimy - przemówił łagodnie.

Niestety, knecht tępo wpatrywał się w twarz Burgundczyka, jakby nie wiedział, o co ten pyta.

- To głupiec. Od niego niczego się nie dowiecie - rzekł rudowłosy. - Wypuście mnie, dajcie konia, a ja po przejechaniu mili zostawię wam wiadomość, gdzie otroka szukać.

Saint-Amand milczał, pocierając bliznę na policzku. Wydawać by się mogło, że się zastanawia, ale w jego oczach tliła się jakaś zimna i mroczna iskra.

- No więc, jak będzie? - dopytywał się krzyżacki knecht. - Widać, że ci na nim zależy. Moje życie za jego, to chyba dobry układ?

Burgundczyk jednym płynnym ruchem dobył miecza, wykonał półobrót, a ostrze przecięło skórę, ścięgną, żyły. Zebrani wokół rycerze krzyknęli ze zdumienia, gdy głowa jasnowłosego młodzieńca potoczyła się po ziemi. Ciało nie zdążyło jeszcze osunąć się na ziemię, a Dagobert był już przy rudzielcu.

- Wydłubię ci oczy, psie, potem odetnę nos i uszy - demoniczny

szept Burgundczyka wibrował w uszach krzyżackiego pachołka. - Następnie wykastruję, a potem kawałek po kawałeczku będę płatami darł skórę...

- Do Dobrowna! Zabrali go do Dobrowna... - szlochał przerażony knecht. - Przewodnik na mękach wyznał, że Jagiełło na miasto idzie. Nasz dowódca, Piotr Świnka, zaraz z oddziałem do Dobrowna pojechał ostrzec mieszkańców i załogę zamku.

Mężczyzna spieszenie wyznawał wszystko, wierząc, że tym sposobem uniknie tortur, może nawet ocali życie, ale przede wszystkim pragnął, żeby Burgundczyk zniknął, odszedł i zostawił go w spokoju. Jego duma i pycha w jednej chwili zamieniły się w paniczny, zwierzęcy strach.

- My zaś dostaliśmy rozkaz obwiesić przewodnika, a potem jechać do krzyżackiego obozu i rzec wielkiemu mistrzowi o zamiarach Jagiełły.

- Dlaczego... - Aine rozpoczęła drżącym głosem. - Dlaczego nie zabiliście chłopca?

Rudowłosy knecht spojrzał na kobietę i jego złośliwa natura wzięła górę nad przerażeniem. Uśmiechnął się obleśnie i zapytał:

- To twój syn?

- Odpowiedz.

- Chłopiec ma być darem dla Kunona von Lichtenstein. Umili mu czas w łożnicy.

Przeniósł spojrzenie na Burgundczyka i zaraz uśmiech mu zgasł. Twarz Dagoberta była szara jak pergamin, oczy koloru stali wydawały się być wrotami piekła.

- Nasze wojska staną wieczorem pod Dobrownem - rzekł pospiesznie Jakub. - Jest nadzieja na uwolnienie Gilberta.

- Podczas oblężenia Krzyżacy pierwiej go zabiją, niż wydadzą w

nasze ręce - Saint-Amand nie spuszczał spojrzenia z knechta. - Musimy dopaść Piotra Świnkę, zanim dojedzie do miasta.

- Zatem ruszajmy - ponaglił Zawisza.

Wszyscy ruszyli w stronę koni, prócz Dagoberta, który pozostał jeszcze na polanie, stojąc z obnażonym mieczem.

- Pamiętasz? - spytał rudowłosego. - Kiedyś chciałeś mnie obwiesić.

Poblady knecht przełknął niespokojnie ślinę.

- Oszczędź - wyszeptał.

Po okolicy poniósł się gniewny pomruk burzy.

\* \* \*

Pędzili niczym wicher, przy wtórze grzmotów, w blasku błyskawic, poprzez podmokłe łąki, ścieżkami wytyczonymi wśród mokradeł i leśnymi serpentynami wijącymi się wokół jezior, aż boki wierzchowców pokryły się pianą. Jednak tempa nie zwalniali.

Na czele tego niewielkiego pocztu jechała Aine z włosami mokrymi od deszczu, na rączce kasztance, która z gracją pokonywała wszystkie przeszkody, przeskakiwała płoty i omijała grzędzawiska. Kobieta gotowa była walczyć o chłopca, zniszczyć tych, którzy go porwali. Już raz wyrwała Gilberta śmierci i wierzyła, że teraz też się uda.

Za nią podążało siedmiu rycerzy o zatroskanych twarzach, oczach pałających gniewem, którzy jeśli będzie trzeba, bez wahania zmierzają się z całą krzyżacką armią. Byli niczym demony wojny zwiastujące zagładę: milczący, groźni, posępni.

Ominęli szerokim łukiem niewielką osadę położoną nad urokliwym jeziorem, przemierzyli gęsty zagajnik, na przełaj przecięli mieniące się złotem pola zbóż i wjechali na wzgórze, z którego roztaczał się widok na rozległą równinę. Wstrzymali konie, rozglądając się po okolicy.



- Tam są! - krzyknął Tomasz Kalski, wskazując jeźdźców oddalonych o jakieś dwie staje. Dwa tuziny zbrojnych zmierzało na wschód, nad ich głowami łopotał sztandar, ale z tej odległości w siąpiącym całym czasie deszczu, trudno było dostrzec barwy.

- To na pewno oni? - Zawisza nie był przekonany.

Nagle pośrodku jadącego pocztu mignęła płowa, chłopięca czupryna.

Dagobert nie czekał. Wyciągnął miecz, uderzył mocno ostrogami wierzchowca i jego czarny ogier meklemburski zarżał, uniósł się w górę, a potem niczym bełt wystrzelony z kuszy skoczył do przodu. Pozostali rycerze popędzili za Burgundczykiem, nie zważając na to, że wróg ma trzykrotną przewagę liczebną. Tylko Aine pozostała na wzniesieniu, z drżącym sercem obserwując pościg. Wiedziała, że na niewiele zda się w boju, a jej obecność podczas starcia mogła tylko wprowadzić niepotrzebny zamęt. Dagobert zamiast skupić się na walce, martwiłby się o nią. Jednakże mogła uczynić coś więcej - wykorzystać swoje umiejętności.

Wyciągnęła dłonie ku ziemi, pozwalając, żeby drzemiąca tam moc wypełniła ciało, nasyciła zmysły, otworzyła na oścież drzwi do innego świata. Aine zwolniła oddech, przymknęła powieki i już po chwili jej jaźń pędziła wraz z wiatrem po równinie, wdarła się w umysły porywaczy, skrępowała ich wolę, osłabiła wiarę we własne siły. Jeźdźcy wstrzymali konie, odwrócili w siodłach i ujrzeli szarżujących na nich siedmiu rycerzy.

Powinni jedynie wzniesć w górę brwi, zaskoczeni brawurą napastników i spokojnie przygotować kusze do wystrzału. Wsunąć nogę w strzemiączko, pochylić się w siodle, założyć hak na cięciwę, a następnie prostując się, umieścić ją w wycięciu orzecha. Nałożyć bełty,

wycelować i pozbawić życia śmiałków. Ale obezwładniła ich jakaś dziwna moc, oplotła umysły, tchnęła w serca przerażenie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyli. Bezsilni ujrzeni, jak pierwszy z ich towarzyszy pada pod ostrzem miecza.

Dagobert zaatakował z furją, w niepohamowanym gniewie, w blasku błyskawic rozrąbując głowę nieprzyjaciela. Natychmiast zwrócił konia ku kolejnemu z wrogów. Ten zdołał już się otrząsnąć z chwilowej niemocy, sięgnął po miecz i się zasłonił. Jednak drugi cios Burgundczyka doszedł celu i jeździec zwał się z konia.

Rozgorzała prawdziwa walka. Napadnięci stawali dzielnie, ale nie mogli zdzierżyć napastnikom, którzy niczym nawałnica wdarli się w ich szeregi. Jakub z Kobylan ciął szybko, celnie i niemal po każdym jego ciosie przeciwnik zwał się na ziemię. Mszczuj ze Skrzyńska nacierał na wroga z potężną siłą, uderzał, rąbał, a wokół tryskała krew. Dobiesław z Oleśnicy w bitewnym szale siekł, rozbijał szlomy, wgniatał napierśniki, naramienniki, gruchocząc i miażdżąc kości. Zawisza Czarny, najbardziej wprawiony w wojennym rzemiośle, umiejętnie blokował ciosy, aby nagle, zupełnie niespodziewanie wbić sztych w pierś nieprzyjaciela. Jeździecki topór Jawnuty z równą łatwością roztrzaskał tarcze, jak i czerepy wrogów.

Natomiast Tomasz Kalski najpierw wdał się w walkę z dwoma zbrojnymi, a gdy już ich powalił, zaszarżował wprost na chorążego. Zdziwił się, dostrzegając na proporcu czarnego orła na żółtym polu, symbol księstwa wrocławskiego, gdyż zdawało mu się, że Gilberta porwał oddział krzyżackich knechtów. Jednak nie przejął się tym, dobrze wiedząc, że Ślązaków w tej wojnie można było spotkać zarówno w wojskach polskich, jak i zakonnych. Ciął chorążego od góry i sztandar spadł pod końskie kopyta.

Dagobert w bitewnym zamęcie dostrzegł płową czuprynę Gilberta, którego otaczała garstka już tylko rycerzy. Natychmiast na nich natarł. Zbryzgany krwią, z szaleństwem w oczach, budził grozę w sercach przeciwników, ale ci walczyli z niezwykłą zaciekłością, jakby chłopiec był dla nich największym skarbem, a nie więźniem, którego mieli oddać w obleśne łapy Kunona von Lichtenstein.

Tymczasem stojąca na wzgórzu Aine próbowała odnaleźć aurę Gilberta, wysłać mu uspokajającą myśl, upewnić, że właśnie po niego przybyli i wszystko będzie dobrze. Nagle jej twarz stężała, kąciki ust drgnęły, ogarnął ją niepokój i zrozumiała, że coś jest nie tak. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, pogalopowała wprost w bitewny zgiełk.

\*

Wtulony w końską grzywę czternastoletni zaledwie książę Konrad Oleśnicki, zwany Białym od płowych, bujnych włosów, uciekał, jakby go sam diabeł gonił. W istocie był przekonany, że ma do czynienia z mocami piekielnymi, bo jak inaczej wytłumaczyć nagłe zjawienie się garstki jeźdźców, którzy w ciągu zaledwie dwóch pacierzy rozbili cały jego poczet? A przecież jego przyboczni to byli najsylniejsi rycerze z ziemi wrocławskiej.

Obejrzał się przez ramię i zadrżał na widok ścigającego go demona, jadącego na czarnym niczym noc wierzchowcu. Krzyczał coś do niego, wzywał imieniem, którego Konrad nie znał. Mocniej uderzył konia ostrogami, pragnąc znaleźć się jak najdalej stąd, uciec od rzezi, od goniącego go potwora.

Dzisiaj przyszło mu żałować, że wbrew woli ojca zebrał chorągiew i stanął do wojny u boku Ulryka von Jungingen. Ale przecież nie mógł postąpić inaczej, tak nakazywał honor. Od najmłodszych lat przebywał wśród zakonników, pod ich okiem kształcił się i doskonalił rycerskie

rzemiosło. Na malborskim zamku wpojono mu kodeksy, którymi powinien się kierować, zasady, jakie przystają rycerzowi, ale także krzyżacką arogancję.

Przez te lata upodobił się tak bardzo do swoich nauczycieli, że gdy wracał do rodzinnej Oleśnicy, matka karciała go za pyszałkowatość i butę. Natomiast ojciec, unosząc się gniewem, przypominał mu, że pochodzi z dumnego, piastowskiego rodu i winien jest posłuszeństwo Koronie. Jednak na nic to się zdało, bo Konrad okazał lojalność swoim niemieckim opiekunom.

Młodzieniec do tej pory nie zdawał sobie sprawy, czym tak naprawdę jest śmierć. Oczywiście, widział już umierających ludzi, czy to w katowniach krzyżackich zamków, czy też podczas turniejowych starć, gdzie czasem walczone zaostrzonymi grotami kopii, jednak jeszcze nigdy tak blisko z nią nie obcował. Dopiero dzisiaj po raz pierwszy poczuł jej oddech na karku, a teraz był przekonany, że zagłada nieuchronnie mknie ku niemu.

Myślał, że wojna to coś szlachetnego, wzniosłego, a każda bitwa jest areną zmagania służącą do zaprezentowania odwagi, brawury i kunsztu rycerskiego. Teraz jednak, gdy ujrzął swoich ludzi rozrąbywanych w bezpardonowym starciu, poczuł zapach krwi i odór strachu, omal nie postradał zmysłów. Pragnął wrócić do domu, znaleźć się za bezpiecznymi murami oleśnickiego zamku, paść z płaczem w ramiona matki, zostawiając daleko za sobą to, co dzisiaj zobaczył.

Ponownie obejrzał się w siodle i spostrzegł, że ścigający go jeździec znacznie się zbliżył. Ujrzał rozwiane przez wiatr włosy, zatroskane oczy i nawet bliznę na policzku. Nie był to zatem żaden czart piekielny, ale człowiek z krwi i kości. Tuż za nim pędziła rudowłosa niewiasta, krzyczała, ale słów nie był w stanie rozpoznać,

zlewały się z kroplami deszczu. Reszta napastników dobijała ostatnich rycerzy z oleśnickiego pocztu.

Nagle jego wierzchowiec potknął się, młody książę nie utrzymał się w siodle i wyleciał przez łąk. Z łoskotem uderzył o ziemię, przeturlał się dobrych kilka kroków i zastygł, leżąc na brzuchu w wysokiej trawie. Nie stracił przytomności, chociaż bardzo pragnął pogрузić się w litościwym mroku, bowiem zdawał sobie sprawę, że zaraz spadną na niego śmiertelne ciosy. Już słyszał tętent końskich kopyt i próbował się podnieść, żeby godnie przyjąć śmierć, ale nagle poczuł przeszywający ból w całym ciele. Pogodzony z losem opadł z powrotem na mokrą ziemię.

Tymczasem ścigający go rycerz zeskoczył z konia i już biegł ku niemu. Młody książę przeraził się, zrozumiał, że nieprzyjaciel chce go wziąć żywcem. Krzyżacy opowiadali, że Polacy i Litwini biorą jeńców nie dla okupu, jak to jest w obyczaju rycerskim, ale by ich torturować ku swojej uciezce.

- Gilbert! - usłyszał nad uchem zatroskany głos i zaraz poczuł, jak silne ręce odwracają go na plecy.

Spojrzał w oblicze jasnowłosego mężczyzny, które w jednej chwili stężało.

W niebieskich oczach Dagoberta raptownie zgasła nadzieja. Odepchnął chłopca, wstał chwiejnie i spojrzał bezradnie na Aine, które właśnie nadjechała.

- To nie Gilbert! - krzyknął.

Pokiwała głową. Domyślała się tego od chwili, gdy stojąc na wzgórzu, nie wyczuła jego obecności, ale tym razem zaufała temu, co widzi, a nie swoim odczuciom. Spojrzała na podnoszącego się z ziemi chłopca. Był niewiele starszy od Gilberta, miał taką samą budowę ciała

i płową fryzurę, która zmyliła wszystkich.

W ich stronę zmierzała klusem szóstka przyjaciół. Na placu boju pozostawili tylko trupy śląskich rycerzy. Gdy podjechali bliżej, od razu zorientowali się w pomyłce i zafrasowani opuści głowy. Tylko Mszczuj ze Skrzyńska pochylił się w siodle, ciekawie przyglądając się chłopakowi.

- Ja cię znam! - krzyknął, pstrykając palcami. - Tyś jest synem księcia oleśnickiego.

Młodzian chciał się podnieść, stanąć dumnie wyprostowany, ale zdołał jedynie uklęknąć, podpierając się rękoma.

- Jam jest Konrad Biały - wyszeptał.

- Twój brat wiernie służy królowi Władysławowi. Podczas nadchodzącej bitwy ramię w ramię z nami ruszy na wroga. A ty? - Mszczuj z pogardą spojrzał na chłopca. - Zaprzedałeś się Niemcom. Niegodny jesteś piastowego dziedzictwa, gdyż hańbą okryłeś ojca swego i ród, z jakiego się wywodzisz...

- Ród?! - W oczach księcia oleśnickiego błysnęła wściekłość. - Cóż mi po nim? Prawdziwą mą rodziną jest zakon, a wielki mistrz ojcem, jakiego zawżdy pragnąłem. W przeciwieństwie do rodziciela, któremu milsi byli starsi synowie, Ulryk von Jungingen miał dla mnie zawsze dobre słowo.

- To bzdury! - Polski rycerz poczerwieniał ze złości. - Nieraz bywałem na zamku w Oleśnicy i znam dobrze starego księcia. Na równi traktuje każdego z synów.

- Dość tego! - Dagobert pomógł wstać chłopakowi. - Mów, co tu robiłeś?

Konrad przyglądał się podejrzliwie rycerzowi, zastanawiając się, czego właściwie ci ludzie od niego chcą. Burgundczyk szarpnął go za

szaty.

- Mówże!

Chłopak wzruszył ramionami, stwierdziwszy, że mówiąc prawdę nikomu nie zaszkodzi, a sobie może jedynie pomóc. Doszedł do wniosku, że jego oddział został zaatakowany przypadkiem i tak naprawdę ci rycerze szukają kogoś innego. Zatem pojawiła się nadzieja, że ujdzie z życiem.

- Wyruszyłem ze swoim pocztem na zwiad - odparł.

- Spotkałeś w okolicy jakiś inny krzyżacki oddział?

- Nikogo nie widziałem.

Aine przyglądała się twarzy chłopca, próbując wyczytać wszystko, co ukrywał w duszy, sercu i umyśle, a on, nie mogąc znieść uważnego spojrzenia zielonych oczu, opuścił głowę. Po chwili kobieta westchnęła ciężko:

- Prawdę rzekł.

Dagobert w jednej chwili puścił młodzieńca i wskoczył na koń.

- Ruszajmy!

- A co z nim? - spytał Mszczuj.

Książę oleśnicki bardziej przypominał teraz zalęknione dziecko, niż młodego mężczyznę, który przepelnięny dumą i pełen zapału ruszał na wojnę. Poblady i przestraszony, z łomoczącym sercem, czekał na decyzję. Wiedział, że zaraz rozstrzygnie się jego los, a rycerz, który go tak zapamiętale ścigał, wybierze dla niego życie lub śmierć.

Z trudem powstrzymywał łzy.

Nie chciał tak umierać, zabity w ponurej krainie, gdzie jego ciało rozdziobią wrony zbierające się już na pobliskich drzewach. Ponadto był dopiero na początku życiowej drogi, tak mało jeszcze widział i w ogóle nie zasmakował świata. Przymknął powieki, gotów przyjąć

wyrok.

- Ostawimy go żywym - odparł Dagobert. - Niechaj wraca do Krzyżaków lub do swojego ojca. Wybór należy do niego.

Konrad wypuścił z ulgą powietrze. Zaczął się bezgłośnie modlić, dziękując Bogu za ocalenie.

- Co? - zdumiał się rycerz ze Skrzyńska. - Weźmy go chociaż jako jeńca. Może jakowyś okup za niego dostaniemy.

- A kto go zapłaci? - wtrącił się Zawisza. - Jego rodzic? Ten przecież nie chce znać wyrodnego syna. A może Ulryk von Jungingen? Już widzę, jak wzruszony niedolą otroka posyła ci sowity okup.

Jeźdźcy dali koniom ostrogę i ruszyli na wschód, w stronę Dobrowna. Tylko Mszczuj pozostał jeszcze chwilę, przyglądając się uważnie chłopcu.

Nagle na niebie błysnął piorun, oświetlając srebrnego łabędzia wyhaftowanego na jace polskiego rycerza. Książę oleśnicki zadrżał, gdyż wydawało mu się, że ptak poruszył skrzydłami i wydał budzący grozę syk. Wrony, które dotychczas okupowały korony drzew, przerażone zakrakały i zerwały się do lotu.

Rycerz ze Skrzyńska pochylił się w siodle, brutalnie chwycił chłopca za podbródek i wyszeptał:

- Wybierz właściwie.

Odjechał, a Konrad Biały opadł na kolana i targany potężnym szlochom pozostał w tej pozycji jeszcze długi czas, aż łzy całkiem wymieszały się z deszczem.

\* \* \*

Po porannej burzy niebo, jeszcze do niedawna rozrywane błyskawicami, teraz ukazało się błękitne, bez jednej chmurki. Zamiast grzmotów po okolicy niosły się dźwięki dzwonów. W promieniu



dziesięciu mil od Dobrowna nie było nikogo, kto by nie wiedział o zbliżającym się zagrożeniu.

Nastało południe, słońce grzało niemiłosiernie i dowódca straży miejskiej, Gwidon Henckel, próbując znaleźć choćby skrawek cienia, skrył się pod machikułami. Leniwie oparty o halabardę, z opuszczonym na czoło rondem kapalinu, obserwował ludzi tłoczących się pod bramą. Na wieść o zbliżającej się polsko-litewskiej armii wieśniacy, zapakowawszy w toboły cały swój dobytek, przybyli do miasta w nadziei, że warowne mury uchronią ich przed wrogiem.

Mężczyzna splunął z pogardą, widząc przerażonych chłopów przepychających się na przedbramiu, lamentujące baby i płaczącą dziatwę. Jakże nienawidził tych prostych ludzi, pracujących w polu od świtu do nocy, przerzucających gnój, grzebiących całymi dniami w ziemi, którzy nie dostrzegali świata poza czubkiem własnego nosa. Nie obchodziło ich, komu służą i kto z kim wojnę toczy. Jedyne, co ich zajmowało to gorąca strawa i dach nad głową. Gwidon Henckel czuł do nich nienawiść, bowiem z nich się wywodził. Ale w przeciwieństwie do tych wieśniaków, on miał marzenia. Ledwie minęło mu piętnaście wiosen, czyli wiek, w którym chłopiec staje się mężczyzną, przysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie orał ziemi, ale zacznie żyć z miecza. Opuścił rodzinną wieś, poszedł do miasta i wstąpił na służbę do panów pruskich, a że był silny, przy tym rozgarnięty, szybko zyskał ich uznanie. W niedługim czasie został dowódcą straży.

Tymczasem tłum napierał coraz silniej, przestraszeni ludzie przeciskali się jeden przez drugiego, chcąc jak najszybciej przejść przez bramę i znaleźć się za bezpiecznymi murami miasta. Podkomendni Gwidona drzewcami halabard odpychali bardziej krewkich kmiotków, a zdarzyło się nawet, że i żeleźcem kogoś

potraktowali.

- Nie pchać się, ludziska! - Henckel zawołał władczym głosem, którym czasami więcej można było zdziałać niż żelazem. - Zapewniam was, że wejdziecie wszyscy. Nikogo nie zostawimy.

- Panie? - Zbliżył się do niego przygarbiony staruszek o białych włosach spływających na ramiona i twarzy naznaczonej siecią zmarszczek. - Czy to prawda, że prócz Polaków idą ku nam okrutni Tatarzy?

- Prawda, ojczulku.

- Ludziska powiadają, że oni Boga w sercu i poszanowania dla świętości nie mają. Ponoć w okolicach Lidzbarku Tatarzy kościoły zrabowali, niewiasty pohańbili, a młódź w niewolę wzięli.

- Nie strachajcie się - odparł Gwidon na pozór lekko, ale czoło miał zmarszczone a spojrzenie ponure. - Zdzierzymy oblężenie tak długo, aż z odsieczą przybędzie wielki mistrz z wojskiem. Wtenczas przegonimy to pogańskie nasienie z pruskiej ziemi.

- Ponoć siła ich.

- Armia zakonu potężniejsza, a ponadto Bóg jest z nami i nie da nas ukrzywdzić. - Zniecierpliwiony Henckel wskazał bramę. - A teraz idźcie, ojczulku, drogi nie zastawiajcie.

Starzec odszedł, powłócząc nogami, a dowódca straży podniósł hełm i z westchnieniem otarł pot z czoła. Zapowiadał się ciężki dzień.

Gwidon spojrzał na człapiących noga za nogą kmiotków, stwierdzając z pewnym zdumieniem, że mimo pogardy, jaką do nich żywi, obchodzi go ich los. Może dlatego, że wychował się w drewnianej chacie bez wygod, często przymierał głodem i nieraz w dzieciństwie krył się przed wrogiem za murami miasta. W wynędzniałych kobietach widział swoją matkę, w stężonych twarzach mężczyzn oglądał ojca,

wiecznie niezadowolonego ze swojego nędznego życia, natomiast w goniących się beztrosko dzieciach dostrzegał siebie samego sprzed trzydziestu lat. I nagle zniknęła nienawiść, którą tak długo w sobie nosił, a jej miejsce wypełniła troska. Zapragnął, żeby ci ludzie przeżyli i nadal prowadzili swoje nudne, marne życie. Uśmiechnął się do siebie, bowiem zrozumiał, że nie ucieknie od swojego pochodzenia i uczyni wszystko, aby uratować tych prostaczków.

Nagle usłyszał tętent końskich kopyt, przeniósł spojrzenie na trakt i dojrzał jeźdźców przebijających się przez tumany kurzu. Najpierw myślał, że to podjazd wroga i mocniej chwycił drzewce halabardy, ale po chwili dojrzał jadącego na czele brodatego rycerza w białym płaszczu, pełnej zbroi i przyłbicy z pawimi piórami. W serce Gwidona wstąpiła otucha.

- Z drogi! - krzyczał zakonnik, gdy jego poczet złożony z trzydziestu półbraci przebijał się przez tłum. Przerażeni ludzie odskakiwali na boki w obawie przed stratowaniem.

Dostojnik dotarł wreszcie do bramy, omiótł wzrokiem strażników i zatrzymał gniewne spojrzenie na Henckelu.

- Ty tu dowodzisz?

- Tak, panie.

- Co się dzieje?!

- Jagiełło ku nam idzie.

- Skąd to wiesz?

Gwidon zadrżał, słysząc wściekły, ociekający okrucieństwem głos zakonnika i zanim odpowiedział, przełknął ślinę.

- Wieści przywiózł nam sługa zakonu, niejaki Piotr Świnka. Jest jeszcze w zamku...

Słyszając te słowa, Krzyżak uderzył ostrogami konia, ruszył przez

bramę, a za nim cała świta. Dowódca straży przyglądał się odzianym w pancerze i hełmy zbrojnym. Każdy z nich dzierżył w ręku sulicę, zaś przy pasie miał miecz. Teraz jego nadzieja przerodziła się w pewność, że miasto zostanie uratowane.

Zakon przybył na ratunek.

\* \* \*

Gilberta otaczały zimne, posępne mury lochów, ledwie widoczne we wszechogarniającej ciemności. Jedyne nikłe światło sączyło się przez szparę w okutych drzwiach, padało na ścianę, ukazując wiszące tam kajdany i łańcuchy, nieodłączny atrybut każdej katowni.

Chłopiec leżał skulony na podłodze, drżąc ze strachu i zimna, a po jego twarzy płynęły łzy. Bał się jak jeszcze nigdy dotąd, bowiem znał dobrze okrucieństwo panów pruskich. Podczas służby na malborskim zamku nieraz słyszał dochodzące z lochu jęki torturowanych i był świadkiem licznych egzekucji. Widział też na własne oczy, co słudzy zakonu uczynili z biednym Janem Grynwaldem.

Na wspomnienie okaleczonego przewodnika zadrżał jeszcze mocniej. Czy jego czeka to samo? Zapewne dlatego Krzyżacy nie zabili go tam, na polanie, ale wiedli ze sobą taki szmat drogi, żeby teraz poddawać wymyślnym torturom. Gilbert zacisnął mocno zęby z postanowieniem, że znieśie wszystko jak na rycerza przystało, żeby pan Dagobert był z niego dumny.

Podniósł się powoli, niepewnie stając na nogach i rękawem koszuli otarł łzy z policzka. Po omacku dotarł do ściany i zaczął ją obmacywać w nadziei znalezienia obluzowanego kamienia, jakiejś szczeliny, przez którą przecisnąć się na wolność. W Malborku, w czasach gdy jeszcze nazywany był Znajdą, w ten sposób przemykał między magazynami, korytarzami, a nawet komnatami mieszkalnymi. Niemal niewidzialny dla

zakonników, nie tylko wyjadał smakołyki ze spiżarni, ale również podsłuchiwał rozmowy najwyższych dostojników, których treść przekazywał swojemu ówczesnemu panu.

Nagle jego palce natrafiły na wyłom. Zbadał go uważnie i stwierdził z zadowoleniem, że powinien się precyzyjnie. Przystawił twarz do szczeliny i zaraz poczuł świeży podmuch powietrza, inny od tego w lochu, zatęchłego i śmierdzącego. Serce Gilberta zaczęło mocniej bić, za ścianą musiał być jakiś magazyn. Ostrożnie wsunął nogę w otwór, następnie przywarł tułowiem i w tej właśnie chwili cała jego nadzieja rozwiała się jak mgła o poranku. Jeszcze rok temu był chudzielcem o mizernym ciele, jak kot potrafiącym wcisnąć się w każdą prawie szczelinę. Teraz jednak nie dość, że wyrósł, to dzięki codziennym ćwiczeniom wyrobił mięśnie i odpowiednią sylwetkę. Pierwszy raz pożałował, że już nie jest małym chłopcem.

Teraz po policzku popłynęły mu łzy złości i żeby się opanować, musiał przywołać całą siłę woli. Nie mógł pozwolić, żeby zawładnęła nim rozpacz, otuliła czarnym całunem zwątpienia i wykradła resztki nadziei. Dagobert nauczył go, że nigdy nie wolno się poddawać. Podczas ćwiczeń, gdy chłopcu brakowało sił, nogi uginały się ze zmęczenia, a ręce trzymające miecz opadały, Burgundczyk nadal kazał mu walczyć. W ten sposób Gilbert miał wyrabiać w sobie hart ducha i siłę woli.

Ruszył dalej.

W zupełnych ciemnościach dotarł do przeciwległej ściany i teraz wzdłuż niej posuwał się po omacku. Stawiając krok, nagle w coś kopnął. Zaciekawiony pochylił się, obmacując posadzkę i dłoń natrafiła na jakieś łachmany. Najpierw pomyślał, że to szmaty służące do ścierania krwi torturowanych jeńców, ale po chwili dotknął czegoś

miękkiego. Z gardła wyrwał mu się okrzyk przerażenia i szybko cofnął rękę. To było ciało człowieka.

Dłuższą chwilę zajęło mu uspokojenie skołatanego serca. Oddychał wolno i głęboko, tak jak uczyła go pani Aine. Z każdym kolejnym wdechem czuł, że zaczyna jaśniej myśleć, z wydechem wyrzucał z siebie niepotrzebny strach. Cóż może mu uczynić chory lub martwy człowiek? Ponownie schylił się, ostrożnie dotykając leżącego i poczuł jedyne w swoim rodzaju zimno, będące pieczęcią samej śmierci. Nieboszczyk musiał umrzeć niedawno, bowiem ciało jeszcze nie cuchnęło.

Gilbert miał teraz własne problemy i nie obchodziło go, kim był ten człowiek oraz za co został skazany, ale gdyby jakimś cudem trup zdołał przemówić, opowiedziałby historię wielkiej miłości i jeszcze większej zbrodni. Opowiedziałby o pięknej, piętnastoletniej dziewczynie, którą przyobiecano na żonę dobiegającemu już sześćdziesiątki wójtowi z Osiekowa. Nieszczęsna, gdy się o tym dowiedziała, uciekła z domu wraz ze swoim ukochanym, przystojnym ale biednym grajkiem, który darmo się starał o jej rękę. Chodzili od dworu do dworu, grając i śpiewając w nadziei, że ktoś groszem sypnie. Niestety, grajek nie był aż tak dobry w swojej profesji, a dziewczyna nie miała głosu i po kilku zaledwie dniach znaleziono ich żebrzących na trakcie.

Wydawać by się mogło, że przyszły pan młody nie zechce spojrzeć na okrytą hańbą narzeczoną, ale zdarzył się cud. Otóż gdy ujrzał jasne, rozwiane przez wiatr włosy i piękne, niebieskie oczy, zrozumiał, że przez całe życie właśnie na nią czekał. Wybaczył jej wszystko, gotów choćby zaraz stanąć na ślubnym kobiercu. A ona spojrzała w mądre, łagodne oczy mężczyzny, rzeźbione dojrzałością zmarszczki, siwe włosy nadające powagi i pokochała go całym sercem. Zrozumiała, że

tylko ten mężczyzna uczyni z niej prawdziwą kobietę i zadba o jej potrzeby. Grajek okazał się być tylko igraszką, zabawką, ulotną miłością wieku młodzieńczego.

Odbył się ślub, huczne wesele i żyliby szczęśliwie dopóty, dopóki wójtowi starczyłoby życia, ale choć los bywa czasem pobłażliwy, ludzka zawiść już nie. Grajek, nie mógł wytrzymać upokorzenia, bo przecież on, młody, jurny młodzieniec, został odtrącony przez dziewczynę, która wybrała starucha. Wściekłość zawładnęła zmysłami, mgłą omotała rozsądek i nie rozważała się nawet wtedy, gdy pod nieobecność wójta siłą wdarł się do jego domostwa, stając naprzeciw tej, której pragnął. Nie uciekała, choć była zaskoczona i przestraszona tak nagłym wtargnięciem byłego kochanka. Nie przypuszczała, że ten wyciągnie puginał i zada jej kilkanaście śmiertelnych ran. Grajek po wszystkim ukląkł w kałuży krwi, żeby czułym pocałunkiem pożegnać ukochaną. Tak znaleźli go zawołani na pomoc strażnicy.

Gdy mąż powrócił do domu i dowiedział się, co zaszło, zrozpaczony zamknął się w komnacie. Po trzech dniach, gdy służba przestała słyszeć szlochy i przekleństwa, wyważyła drzwi. Pan leżał martwy. Życie odebrał sobie tym samym puginałem, od którego zginęła jego żona.

Nieboszczyk w celi Gilberta był owym grajkiem, który dopuścił się tak ohydnej zbrodni. Ludzie z Osiekowa chcieli go od razu powiesić na najbliższym drzewie, ale na ziemiach panów pruskich obowiązywał niemiecki porządek i zbrodniarz musiał zostać osądzony zgodnie z literą prawa. W oczekiwaniu na sędziego wtrącono go do więzienia, ale w tym czasie rozpętała się wojna, na ziemię zakonu wkroczyła armia Jagiełły i nie było czasu, żeby zajmować się tak błahymi sprawami. Zapomniano o grajku, który z głodu skonał w swojej celi.

Chłopiec, przełamując obrzydzenie, przeszukał zwłoki w nadziei, że znajdzie jakieś ostre narzędzie, którym skruszy kawałek ściany, powiększy szczelinę na tyle, żeby mógł się przez nią wydostać. Niestety, niczego nie znalazł.

Usłyszał kroki za drzwiami, dźwięk przekręcanego klucza w zamku i poczuł, jak strach znowu pełźnie mu po plecach.

\* \* \*

W szeroko rozwartych drzwiach stanął mężczyzna w narzuconym na zbroję płaszczu i okutych butach. W świetle łuczywa, które trzymał w ręku, można było zauważyć nienagannie przystrzyżoną brodę i wąskie, zaciśnięte mocno usta. W jego oczach tliła się pożądliwość i przestraszony Gilbert cofnął się, przywierając do zimnej ściany lochu, przeczuwając, że oprócz tortur czeka go poniżenie, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. Wiedział, kim jest ten człowiek. Miał okazję kilka razy widzieć go na zamku w Malborku. Wtedy udawało mu się uniknąć bezpośredniego z nim spotkania, ale wielu innych spośród młodych sług miało mniej szczęścia. Nigdy nie opowiadali, co ich spotkało, wstyd nie pozwalał o tym mówić, ale uśmiech na zawsze zniknął z ich twarzy, a w zgasłych oczach gościł ból.

Kuno von Lichtenstein podszedł, uważnie przyglądając się chłopcu.

- Nie strachaj się - rzekł z uśmiechem, ale było w tym coś fałszywego i oślizłego. - Już nic ci nie grozi.

Zamocował łuczywo w kunie, wyciągnął do Gilberta dłoń, niczym troskliwy ojciec, ale chłopak nie wyczuł w tym geście ciepła i dobra, jakie emanowało od pana Dagoberta. Jeszcze mocniej przywarł do ściany i desperacko pokręcił głową, jakby to miało uratować go od nieszczęścia.

- Nic złego ci nie uczynię - w głosie krzyżackiego dostojnika



zabrzmiały nuty zniecierpliwienia. - Chodź do mnie!

- Nie.

- Chcesz pozostać w tym cuchnącym lochu, za towarzysza mając jeno trupa? - zadrwił mężczyzna, wskazując martwego grajka. - Wnet przybiegną tu szczury zwabione odorem rozkładającego się ciała. Obleżą cię całego, ostrymi pazurami wydrapią oczy, a na sam koniec pożrą i ciebie.

Gilbert jęknął żałośnie. Krzyżak postąpił krok naprzód.

- Nie martw się - rzekł. - Zaopiekuję się tobą.

Chłopiec osunął się na podłogę, szeroko otwartymi oczami patrząc na zbliżającego się zakonnika. Przeczuwał, że bezpieczniejszy będzie w śmierdzącym lochu, w otoczeniu szczurów, robactwa i wszechogarniającego brudu, niż w towarzystwie Krzyżaka.

- Błagam, ostawcie mnie, panie.

W jednej chwili oblicze Kunona von Lichtenstein zmieniło się. Oczy błysnęły wściekłością, usta zadrżały w niewypowiedzianej żądzy i w świetle łuczywa wyglądał niczym demon z największych koszmarów. Stał nad chłopcem, gotów zedrzeć z niego odzież i pojąć go tutaj, na posadzce więziennej celi, zaspokoić niezdrowe pragnienie, które niczym ogień paliło od wewnątrz, każdego dnia mamiło zmysły i z nieskalanego rycerza uczyniło zwierzę.

Wyruszając na poszukiwania Piotra Świnki, nie przypuszczał, że w zamku w Dobrownie czeka na niego taka niespodzianka. W swoim życiu posiadał już wielu chłopców, ale byli to zazwyczaj słabowici, bezwolni niczym kukły uczniowie przyklasztornej szkoły. Ten zaś miał sprężyste, umięśnione, ale wciąż jeszcze dziecięce ciało, a w oczach hardość, którą zakonnik pragnął zgasić.

Pierwsze uderzenie otwartą dłonią przez głowę zamroczyło

Gilberta, instynktownie zasłonił się rękoma, ale następne ciosy spadały już jeden po drugim. Krzyżak bił w ślepej furii, gdzie popadnie. Gdy poczuł, że chłopiec już się nie broni, zerwał z niego koszulę. Wypełniło go pożądanie i nie mógł dłużej czekać.

Wtem otworzyły się drzwi celi i stanął w nich Piotr Świnka. Widząc na wpół rozebranego chłopaka i stojącego nad nim, dyszącego von Lichtensteina, uśmiechnął się drwiąco.

- Czego?! - wrzasnął zakonnik.

- Jagiełło obozem stanął nad Jeziorem Dąbrowiejskim, zaledwie pół mili od miasta.

Krzyżak wziął głęboki oddech i przygładził włosy, które zwichrzyły się podczas szamotaniny. Czerwony jeszcze na twarzy, spojrzał już przytomnie na polskiego rycerza.

- Przygotowuje się do szturmu?

Piotr Świnka pokręcił głową.

- Dzień jest skwarny i zapewne dlatego nie atakują. Jednakże wieczorem, gdy słońce zbliży się ku zachodowi, niechybnie to uczynią. Powinniśmy wyjechać z miasta póki czas.

- Uciekać?! - prychnął wielki komtur, który nie zwykł na wojnie ustępować i cofać się przed wrogiem. - Twoi ludzie zapewne już dojechali do naszego obozu i powiadomili, że Jagiełło idzie na Dobrowno. Przetrywamy noc w oblężeniu, a jutro zjawi się tu cała krzyżacka armia.

- Nie zdzierżymy. Mamy dwie setki ludzi, z czego większość stanowi załoga zamku w wojnie nie wprawiona.

Zafrasowany Kuno von Lichtenstein zaczął przechadzać się po niewielkiej celi, nie zwracając uwagi na skulonego w kącie chłopca i zastanawiał się, jak postąpić. Duma rycerska kazała mu pozostać,

bronić twierdzy do ostatniego tchnienia, zginąć bohaterską śmiercią, o której bardowie śpiewać będą po dworach całego świata, jednak rozsądek podpowiadał mu co innego. Westchnął ciężko i rzekł:

- Moje miejsce jest przy wielkim mistrzu.

Na lisim obliczu zdrajcy pojawiła się ulga.

- Mam przygotować konie?

- Tak. - Zakonnik żwawym krokiem ruszył ku wyjściu. - Zbierz ludzi!

Ruszamy, jak tylko będą gotowi.

- A co z chłopcem?

Kuno von Lichtenstein zatrzymał się w progu, obejrzał się i po chwili podjął decyzję.

\* \* \*

Na południowym skraju wąskiego przesmyku, przedzielającego jezioro na dwie części, stały trzy polskie chorągwie: gończa, nadworna i ziemi sieradzkiej. Przed rycerzami rozpościerały się mury Dobrowna, warownego miasta, które z rozkazu króla Władysława mieli zdobyć. Nie można było dopuścić, żeby na tyłach armii pozostał ufortyfikowany gród, posiadający na domiar złego zbrojną załogę. Wróg mógłby odciąć drogi zaopatrzenia z Mazowsza i nagłymi atakami na tyły wyrządzić wojsku poważne szkody.

Zbigniew z Brzezia wyjechał przed szereg zbrojnych i zatrzymał swojego holsztyńskiego wierzchowca bojowego, okrytego jasnoniebieskim kropierzem. Marszałek koronny wiedząc, że czeka go walka, założył pełną zbroję wykonaną dla niego przez mistrza Mikołaja z Krakowa, jednego z najlepszych płatnerzy w całym chrześcijańskim świecie. Rzemieślnik przez wiele tygodni w pocie czoła kuł blachy, aż uzyskał pożądaną kształt i odpowiednią gładkość. Gdy wreszcie zbroja była gotowa, poddał ją próbie, strzelając do niej z kuszy z odległości

zaledwie kilkudziesięciu kroków. Bełt nie przebił zbroi, więc mistrz Mikołaj z czystym sumieniem sprzedał ją marszałkowi. Na palcach jednej ręki można było wymienić rycerzy w polskiej armii, których było stać na taki pancerz. Większość nosiła kolczugi wzmocnione tylko żelaznymi płytami.

Zbigniew z Brzezia na zbroję założył śnieżnobiałą jakę z herbem rodu Zadorów: wizerunkiem lwa ziejącego płomieniami. Na głowę włożył przyłbicę, podniósł zasłonę, której podczas bitwy nigdy nie opuszczał, nie chcąc ograniczać sobie pola widzenia. Ponadto stanowiła ona dodatkową ochronę od ciosów z góry.

Marszałek spojrzał na wysokie mury twierdzy, na solidną bramę, którą trudno będzie rozbić taranem i rozejrzał się po okolicy, szukając miejsca, gdzie można by było ustawić trebusze<sup>52</sup>. Niestety, miasto otaczały mokradła, na których maszyny oblężnicze zapadają się w grząski grunt. Dostęp do miasta możliwy był jedynie przez wąski przesmyk, na którym stali.

- Nie będzie łatwo - westchnął ciężko.

- Bywało gorzej - odparł Andrzej z Brochowic rodu Osoria, który właśnie podjechał na klaczy myszatej maści.

Podobnie jak Zbigniew z Brzezia miał na sobie pełny rynsztunek, ale na głowę założył zwykły szłom. Marszałek pozazdrościł mu tego wyboru, bowiem mimo późnego popołudnia żar lał się z nieba, a pod przyłbicą było niemiłosiernie gorąco. Poważnie zastanawiał się, czy nie cisnąć hełmu na ziemię, ale rozsądek wziął górę nad wygodą.

- Tak sądzicie, Andrzej?

- Przecie przed rokiem Bydgoszcz dobyliśmy, wielką i warowną fortecę, to cóż nam maluczkie Dąbrowno. Obaczycie, zanim słońce się schowa, miasto będzie nasze.

Marszałek uśmiechnął się pod nosem, podobała mu się pewność siebie rycerza z Brochowic. Nie mogło być zresztą inaczej, przecież był dowódcą chorągwi gończej, która swoją nazwę zawdzięczała harcom i gonitwom odbywającym się przed każdą z bitew. Służyli w niej najodważniejsi śmiałkowie, hardo zaglądający śmierci w oczy i gotowi szarżować na wroga, nawet gdy miał stukrotną przewagę. Oni zawsze rozpoczynali bój, a podczas marszu stanowili przednią straż.

Mężczyźni spostrzegli, że od strony bagien zbliża się do nich tuzin jeźdźców noszących lamelkowe zbroje<sup>53</sup>, spiczaste szlomy i okrągłe tarcze przewieszane przez plecy. Był to litewski oddział zwiadowców, którzy na małych, lecz rącznych koniach objechali mury miasta, szukając słabego punktu fortyfikacji.

Brodaty Litwin skłonił się przed marszałkiem.

- Mów! - ponaglił go rycerz z Brzezia.

- Nijak, panie, nie da się podejść pod mury, wszędy młaka i woda. Można się na łodziach przeprowiać, jednakże wprzód nas z kusz wystrzelają. Jeno od tej strony, gdzie stoimy, można twierdzę dobywać.

- Pochowały się krzyżackie wieprze i nosa nie wyściubią - warknął Andrzej z Brochowic.

Zdumiony zwiadowca spojrzął na dowódcę chorągwi gończej.

- Nie ma tam, panie, Krzyżaków.

- Co rzekłeś?

- Tuż przed waszym przybyciem otwarły się bramy miasta i wyjechał z nich oddział zbrojnych, zdążając na północ. W twierdzy ostali się jeno mieszczanie i straż, co murów pilnuje.

Zbigniew z Brzezia z niedowierzaniem spoglądał na brodatego Litwina, który z niepokojem wiercił się w siodle, mając nadzieję, że tym, co powiedział, nie naraził się na gniew możnego pana. Wiedział, że

kniaź Witold potrafi być porywczy i za najmniejsze nawet uchybienie śmiercią karze. Podejrzał, że panowie polscy w tym względzie nie są wcale lepsi.

- Czemu żeście od razu nie donieśli?!

- Wybaczcie. - Litwin zgiął się w pokłonie, pewny, że kara go nie ominie. - Miałem jeno rozpoznać teren.

- Racja - skinął głową marszałek. - Wracajcie do obozu.

Zdziwiony zwiadowca podniósł głowę, spojrzął w oblicze Polaka, na którym nie dostrzegł złości, tylko zadumę. Skinął na swoich podkomendnych i szybko odjechał, po drodze zastanawiając się, czemu właściwie uniknął batów? Nie mógł pojąć, że istnieją ludzie, którymi kieruje rozum, a nie tylko chwilowe napady gniewu.

- Zdaje się, że miałeś rację, Andrzeju - rzekł Zbigniew z Brzezia do towarzysza. - Rychło miasto dobędziemy, skoro Krzyżacy z niego uciekli jak szczury z tonącego okrętu.

- Spójrzcie! - krzyknął pan z Brochowic, chwytając marszałka za rękaw i wskazując twierdzę.

Z drewnianym skrzypnięciem rozwarły się skrzydła głównej bramy, opadł zwodzony most i ze środka zaczęli wyjeżdżać zbrojni, ustawiając się w szyku bojowym naprzeciw polskich chorągwi.

\*

Biały niczym śnieg wałach zarżał niespokojnie, czując w nozdrzach ludzki strach i zwierzęcym instynktem wyczuwając czającą się nieopodal śmierć. Gwidon Henckel poklepał go pieszczotliwie tuż pod grzywą, poprawił kaftan nabijany ćwiekami, zdając sobie sprawę, że na niewiele się zda przeciw grotom polskich kopii i mocniej chwycił sulicę.

Rozejrzył się wokół i ujrzał blade, przerażone twarze swoich ludzi. Teraz dowodził już nie tylko strażnikami, ale również mieszczanami,

którzy chcieli stawić czoło niebezpieczeństwu. Niewielu stać było na porządnego konia i rynsztunek, więc wyjechali przed bramę na chabetach, odziani w skórzane kaftany, mając za broń jedynie kordy, tasaki, topory i włócznie.

Wiedzieli, że nie mają żadnych szans z doskonale wyszkoloną, uzbrojoną i karną armią Jagiełły, ale innego wyjścia nie było. Teraz, gdy Krzyżacy odjechali, nie mieli nadziei na utrzymanie miasta. Zapewne już podczas pierwszego ataku Polacy przedrą się przez mury, otworzą bramę i do środka wleje się masa żądnych bogactw i kobiet żołdaków. Mężczyźni z Dobrowna nie chcieli patrzeć, jak ich żony będą hańbione, dzieci zakuwane w kajdany, a domostwa grabione i dlatego wyszli na zewnątrz walczyć zaciekle do ostatniej kropli krwi, w nadziei, że zdołają osłabić wroga na tyle, aby zaniechał dzisiaj szturm.

A jutro, kto wie, co będzie?

Ulryk von Jungingen stanął ze swoją armią w okolicach Frygnowa, zaledwie kilka mil od Dobrowna i może ulituje się nad losem poddanych, przychodząc im z pomocą? A może Jagiełło, widząc zaciekłość obrońców, nie chcąc marnować czasu i ludzi, odstąpi od oblężenia?

Gwidon spojrzał w prawo na młodzieńca trzęsącego się w siodle jak osika. Nie miał nawet szesnastu lat, ale wierzył, że dzięki swojemu poświęceniu uratuje rodzinę. Niezgrabnie trzymał w ręku tasak i Henckel wiedział, że chłopak nie wytrwa pierwszej wymiany ciosów, padnie z rozłupaną czaszką wprost pod końskie kopyta. Przeniósł spojrzenie na starego kowala, który niegdyś służył w krzyżackim wojsku, a teraz przygarbiony, na wpół ślepy, zgrabiętymi palcami obejmował rękojeść nadziaka. Obok na karym dorodnym koniu siedział bogato odziany rajca. Mężczyzna miał przymknięte oczy, modlił się,

poruszając bezgłośnie ustami. Po jego policzkach ciekły łzy. Nigdy jeszcze nie brał udziału w walce, a ta pierwsza miała być jednocześnie ostatnią. Inni jeźdźcy też nie przedstawiali się lepiej.

Za nimi stali kmiotkowie, bez wierzchowców, z wystruganymi z drewna długimi pikami. Oni najmniej mieli do stracenia, co najwyżej podartą koszulę na grzbiecie, ale też wyszli przed bramę. Gwidon poczuł dumę, że może tutaj stać z nimi ramię w ramię.

Cała ta armia liczyła nie więcej niż pięciuset ludzi, z czego najwyżej setka potrafiła walczyć. Henckel nie miał złudzeń, wiedział, że już w pierwszym starciu wielu polegnie, a jeszcze więcej ucieknie w popłochu, zapominając o honorze, powinnościach względem rodziny i miasta. Przerażeni ukryją się na mokradłach, gdzie potopią się w jeziorze lub wyrzną ich Tatarzy.

Gwidon zastanawiał się, czy dobrze uczynił, namawiając ludzi do tego samobójczego czynu. Może powinni poddać miasto, paść do stóp króla Władysława i błagać o litość? Jednakże dobrze wiedział, że litości nie będzie. Rok temu brał udział w wyprawie panów pruskich na ziemie polskie. Widział płonące miasta, wyciętych w pień obrońców Dobrzynia, zgwałcone niewiasty na ulicach Lipna, splądrowane domostwa w Rypinie oraz szubienice w Bobrownikach. Teraz Polacy przybyli wziąć pomstę.

Potężny huk rozdarł ciszę, ale nie był to grzmot burzy, lecz tętent końskich kopyt. Henckel ujrzał prawie dwa tysiące opancerzonych jeźdźców, którzy niczym huragan pędzili wprost na nich. Już rozpoznawał znaki na powiewających na wietrze sztandarach, widział wycelowane groty kopii, oblicza polskich rycerzy i zdawało mu się, że dostrzega samą Śmierć jadącą na upiornym wierzchowcu, wyciągającą ku niemu swoją kościstą dłoń.



Pochylił sulicę i poprowadził mieszkańców Dobrowna wprost w jej ramiona.

\* \* \*

Zmierzchało, gdy Dagobert, zostawiając daleko w tyle swoich towarzyszy, stanął na zachodnim brzegu jeziora. Jego oczom ukazało się stojące w płomieniach miasto. Szkarłatne języki ognia lizały poszarzałe niebo, na którym jedna po drugiej ukazywały się pierwsze gwiazdy. Szczęk oręża oraz huk wystrzałów armatnich roznosił się jeszcze echem po okolicy, na murach i przy wyłomach nadal toczyły się walki, ale wiadomym było, że lada chwila na basztach załopczą czerwone sztandary z białym orłem. Znak, że Polacy zdobyli Dąbrowno.

Burgundczyk zmusił ledwie dyszącego wierzchowca do galopu i już okrążył jezioro, pędząc w kierunku miasta. Wiedział, jak cenna jest każda chwila, gdyż w ogólnym zamieszaniu Gilbert mógł łatwo stracić życie.

Krzyżacy nie mieli zwyczaju oszczędzać jeńców, a Polacy w bitewnym zapale nie będą patrzeć, kogo mordują. Dagobert w tym względzie nie miał żadnych złudzeń, wiedział, co się dzieje, kiedy twierdza pada. Krew na ulicach, płonące domy, gwałty, grabieże. Zawsze tak było i będzie, bez względu na to, jakie cele przyświecają zdobywcom.

Przed bramą natrafił na sterty trupów ludzi i koni. To tu musiały się toczyć najcięższe walki. Wpatrzone w niebo martwe oczy, rozsiekane twarze, półotwarte usta złożone do ostatniej modlitwy. Ujrzał zabitego mężczyznę, na którego obliczu malował się niezwykle smutek. Rycerz z Burgundii nie mógł wiedzieć, że to dowódca straży miejskiej Gwidon Henckel, który w ostatnich chwilach życia poczuł żal, że ludziom z

Dobrowna nie dał nic oprócz śmierci. Mylił się jednak, bo jedną z cenniejszych rzeczy na świecie jest godność, a on zaoferował im szansę godnej śmierci.

Saint-Amand wjechał na most zwodzony, minął roztrzaskane wrota i już po chwili był na głównym placu. Wokół panował straszliwy zamęt. Wśród przewróconych straganów, beczek, skrzyń obdzierano konających z szat, z trupów ściągano biżuterię i kosztowności, nie mając żadnego szacunku dla śmierci. Przeważnie mieszczaństwo szukało schronienia przed rozszalałymi Polakami, z których wielu pochodziło z ziemi dobrzyńskiej i jedyne, czego teraz pragnęli, to zemsty za pomordowanych synów i pohańbione córki. Cięli mieczami bezbronnych ludzi, we krwi topili nienawiść. Nielicznych brano do niewoli, krępowano grubymi sznurami, traktując gorzej niż bydło i wleczono do obozu, żeby rzucić ich do stóp króla.

Nagle Burgundczyk usłyszał przeraźliwe wrzaski. To pośrodku placu płonął kościół, w którym zamknęli się starcy, kobiety i dzieci w nadziei, że najeźdźcy uszanują dom boży. Jednak dzisiaj nie było litości. Rycerze podpalili kościół i teraz płonęło żywcem prawie dwustu ludzi.

Po drugiej stronie placu z rozkazu oboźnego Zyndrama z Maszkowic stanęły wozy, na które pachołkowie ładowali całą żywność, jaką znaleźli w mieście. Miała stanowić zapasy dla wojska podczas dalszej kampanii. Nadzorcy poganiali sługi w obawie, że zaraz ogień wszystko strawi.

Dagobert rozglądał się bacznie, wypatrując Gilberta. Na szczęście nie było go wśród zabitych, ale niestety, pośród schwytanych jeńców też nie. Galopem ruszył w stronę zamku, słusznie rozumując, że jeśli Krzyżacy przywieźli chłopca do Dobrowna, zapewne zamknęli go w lochach. Zadrzał na myśl o tym, że chłopiec siedzi tam sam,

przerażony i czeka na ratunek. Zmusił konia do szybszego biegu.

Mknąc niczym wichur w wąskimi uliczkami miasta, słyszał dobiegające z zaułków jęki umierających, szlochy i błagania o litość. Z otwartych okien domów dochodziły krzyki gwałconych kobiet. Dzisiaj nie miało to dla niego znaczenia, nikogo nie będzie ratował. Dzisiaj najważniejszy był Gilbert.

Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim dotarł do zamku i jego czarny ogier jak błyskawica wpadł na niewielki dziedziniec. Wstrzymał konia, z przerażeniem wpatrując się w to, co zastał. Zamek płonął. Ogień sięgał już najwyższej z wież i pewne było, że w środku nikt żywy nie pozostał.

Burgundczyk spostrzegł grupę zbrojnych, którzy trzymając się z dala od żaru, ładowali na wóz łupy wyniesione z zamku. Dowodził nimi Bartoszyk z Płomykowa-Płonkowa, rycerz, który przed rokiem wraz z Warcisławem z Gotartowic poddał Krzyżakom twierdzę Bobrowniki. Za ten czyn został skazany na więzienie, ale tuż przed wyprawą na Prusy Jagiełło go ułaskawił, gdyż był mu potrzebny każdy, kto znał się na rzemiośle wojennym. Bartoszyk, chcąc zmazać hańbę stawał zawsze w pierwszym szeregu chorągwi gończej, a dzisiaj był tym, który pierwszy wdarł się do miasta.

Dagobert zeskoczył z konia, podbiegł do niego, chwytając za ramiona.

- Lochy! - krzyknął. - Znaleźliście tam kogoś?

Polski rycerz najpierw zmarszczył groźnie brwi, potem zaś, poznając Burgundczyka, uśmiechnął się do niego.

- Obaczcie, jakie skarby tu mamy - wskazał na obładowany po brzegi wóz. - Te psubraty niezgorszą chudobę zebrały, zapewne na grabieży ziem naszych...

- Pytam, czy w lochach kogoś odnaleźliście? - wycedził Saint-Amand.

Rycerz z Płomykowa, choć w niejednej bitwie uczestniczył i nieraz przyszło mu widzieć rzeczy straszne, spojrzawszy w oszalałe oczy Burgundczyka, zbladł, czując, jak strach pełźnie mu po plecach.

- Nikogo żywego - odparł. - Jeno trupa, co dopiero sczeźł.

Serce Dagoberta waliło jak oszalałe.

- Jak wyglądał?

- A kto by się tam trupowi przyglądał - Polak wzruszył ramionami. - Jasnowłosa taki, otrok jeszcze...

Nie dokończył. W szkarłatnym blasku płomieni ujrzał poblądłe oblicze rycerza z Saint-Amand, który wyglądał teraz niczym upiór. Dagobert puścił Bartoszyca, odszedł chwiejnie dwa kroki, a potem padł na kolana. Z jego gardła dobył się krzyk, który - zdawało się - wstrząsnął posadami świata.

## Rozdział 3. Pogrom

Po zdobyciu Dąbrowna cały następny dzień król Władysław przeznaczył na postój, gdyż znużone walką wojsko potrzebowało odpoczynku. W tym czasie rycerze goili rany, a czeladź przeszukiwała zwaliska gruzu i dymiące jeszcze zgliszcza w poszukiwaniu żywności. Schwytyanych podczas szturmów mnichów krzyżackich oraz szlachciców Jagiełło kazał zatrzymać w niewoli, zaś mieszczan i kmieci wypuścić. Ponadto rozkazał pochować tych, którzy polegli przed bramą miasta, bo stwierdził, że tak dzielni ludzie nie zasługują na rozszarpanie przez bezpieczeństwa psy.

Tymczasem podjazdy królewskie napotkały silne ugrupowanie wojsk krzyżackich zdążające w stronę Stębarku. Ulryk von Jungingen, widząc na nocnym niebie szkarłatną łunę pożaru, słusznie domyślił się, że to płonie Dąbrowno i czym prędzej postanowił uderzyć na wroga. W całej historii zakonu jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś najechał Prusy, plądrował i palił krzyżackie miasta. Tak wielka zniewaga musiała zostać pomszczona.

Wielki mistrz, słusznie przewidując dalszy kierunek marszu wojsk polsko-litewskich, ruszył przez Marwałd, Frygnowo, żeby pod Stębarkiem zagrozić im drogę. Właśnie tam stanął na noc obozem. A noc to była niezwykła.

Księżyc wzniósł się na niebo szkarłatny, jakby skąpany we krwi. Na jego tarczy można było ujrzeć niezwykle widowisko, zdające się być wróżbą przyszłych wydarzeń. Ci, którzy w tym czasie spojrzeli w niebo, dostrzegli pokaźnych rozmiarów cienie: mężczyzny z koroną na głowie

oraz mnicha w kapturze. Zjawy zwały się ze sobą w zaciekłym boju, jakby od niego miało zależeć panowanie nad światem. I wydawało się, że sprytniejszy mnich pokona majestatycznego monarchę, ale nagle król uderzył buławą, strącając przeciwnika w otchłań.

Nikt nie potrafił wyjaśnić owego zjawiska, choć głowiło się nad tym wielu mędrców. Na pewno nie były to omamy zaspanych strażników, gdyż podniebny bój oglądało tysiące ludzi w miejscach oddalonych od siebie o całe mile. Czasami zdarza się, że do rzeczywistości niczym echo przenikają wydarzenia rozgrywające się na wyższym poziomie, niedostępnym dla zwykłego śmiertelnika. Dzięki temu choć na chwilę można sięgnąć za kurtynę i ujrzeć to, co nieuniknione.

W tym samym czasie w obozie krzyżackim zerwała się gwałtowna nawałnica, wicher przewracał namioty, poszarpał płótna, a trzaskające raz za razem pioruny spłoszyły konie. Niektórzy słyszeli, jak wiatr szepcze przekleństwa w dawno zapomnianym języku, przywodzącym na myśl gorące piaski pustyni. W powietrzu niemal namacalnie wyczuwało się tajemną moc, jakby jakaś starożytna siła zstępowała na ziemię. Tej nocy nikt w armii zakonnej oka nie zmrużył.

Wreszcie nastał świt, piętnastego lipca 1410 roku. Dzień Rozesłania Apostołów.

Wielka armia polsko-litewska zwinęła obóz i w nieustannie siąpiącym deszczu skierowała się na Olsztynek, ale po przebyciu zaledwie dwóch mil Jagiełło tknięty przecuciem rozkazał postój. Oczom zbrojnych ukazała się olbrzymia równina okraszona łagodnymi wzniesieniami, porośnięta trawą i kolorowymi kwiatami. Przez jej środek biegła kotlina zwana Doliną Wielkiego Strumienia, która ciągnęła się od wsi Łodwigowo na południu, aż pod Stębark na północy. Dokładnie naprzeciw majaczyły strzechy chat niewielkiej osady

zwanej Grunwald.

Król Polski zrozumiał, że tutaj właśnie wypełni się przeznaczenie. Przywołał Zyndrama z Maszkowic i rozkazał rozbić obóz na południowo-wschodnim skraju równiny, wokół brzegów ukrytego w gęstych lasach jeziora Lubień. Polacy stanęli w okolicach wsi Ulnowo, zaś wojska litewskie i tatarskie kilka staj dalej ku północnym moczarom.

Nagle nad głową monarchy rozwiały się czarne, upiorne chmury, odsłaniając czyste jak łąza niebo. Wiatr ucichł zupełnie, powietrze stanęło w dziwnym bezruchu i zdawało się, że cały świat zastygł w oczekiwaniu na to, co miało się wkrótce wydarzyć.

\* \* \*

Podczas gdy pachołkowie rozbijali namioty, ciury wyładowywały wozy, a zbrojni rozkulbaczali konie, przybył Hanko, szlachcic z ziemi chełmińskiej, krzycząc na całe gardło:

- Krzyżacy! Krzyżacy idą od zachodu!

W obozie szybko rozeszła się wieść o nadchodzącym wrogu. Zalęknieni słudzy pierzchli w las, natomiast rycerze w pośpiechu wdziewali zbroje, szykowali oręż i oporządzali wierzchowce. Polakom oczy rozbłysły radością na myśl, że już lada chwila ruszą do boju, skrzyżują kopie ze znenawidzonymi Krzyżakami. Przecież nie po to przebyli taki szmat drogi, żeby się teraz po lasach chować. Wierzyli, że król poprowadzi ich do chwalebnego zwycięstwa.

W tym czasie Jagiełło zmierzał wraz ze świtą do obozowej kaplicy wysłuchać porannej mszy. Widząc przybysza zeskakującego z konia, zatrzymał się i zapytał:

- Gdzie ich widziałeś?

- Stanęli obozem nieopodal wsi Grunwald.

- Siła ich?

- Widziałem jedną jeno chorągiew i rychło z doniesieniem do waszej miłości żem pospieszył. Jednakże druh mój serdeczny Derśław Włostkowski, rycerz co w herbie ma topór, a raczej siekierę katowską, którą Czesi bradaczymem zowią, a my Polacy po prostu okszą...

- Do rzeczy - zniecierpliwiał się stojący obok króla Zbigniew z Brzezia.

- Toć przecież do rzeczy mówię - zdumiony rycerz zamrugął powiekami. - Wszyscy się dziwią, że ja, szlachcic herbu Ostoja bratam się z kimś herbu Oksza, gdyż zwada między naszymi rodami trwa od czasu, gdy sto lat temu nasi pradziadowie o miedzę w Sandomierskiem się wadzili...

- Dość! - Rozgniewany marszałek koronny chwycił za rękojeść miecza. - O Krzyżakach praw, nie zaś o wróždach.

- Dobrze już, panie, dobrze. - Hanko spojrział spode łba. - Tak więc, Derśław ujrział niemalże cały hufiec liczący ponad siedem setek zbrojnych, nad głowami których powiewał olbrzymi biały gonfanon ze złotym krzyżem i wizerunkiem czarnego orła w koronie.

- Chorągiew wielkiego mistrza - zmarszczył czoło rycerz z Brzezia. - To oznacza, że Ulryk von Jungingen z całą armią już tu jest.

- Tego oczekiwaliśmy - odparł spokojnie król.

- Nie wiem, czy był to sam Ulryk von Jungingen, czy jaki inny kundel - kontynuował szlachcic. - Ale Derśław powiada, że ten krzyżacki orzeł na sztandarze jakiś mizerny jest, wychudzony i bardziej wronie podobny niżli dumnemu władcy nieba. Gdzież mu tam do naszego, białego orlika.

- Zaiste, ich orzeł nijak ma się do naszego - roześmiał się Jagiełło. - Dufam, iż także ich wojsko naszemu się nie może równać.



Monarcha zaczął niespiesznie wspinać się na wzgórze w stronę kaplicy, wprawiając tym spokojem w zdumienie towarzyszących mu możnowładców.

- Jakie są rozkazy waszej wysokości?! - zawołał za nim Zbigniew z Brzezia.

- Wyślij umyślnego do księcia Witolda, niechaj jego wojska gotują się do bitwy - odparł król, przerywając marsz. - Zaczynicie rozwijać szyki wzdłuż Doliny Wielkiego Strumienia, tak jak żeśmy to omówili na naradzie. Przekaż Zyndramowi, aby do tego czasu nikt z lasu nie występował i harców nie wszczynał. Krzyżacy przedwcześnie nie powinni wiedzieć, jaka jest nasza siła.

- A jeśli uderzą na obóz?

- Nie odważą się.

- Miłościwy królu, pozwólcie mi chociaż zwiad uczynić, aby rozeznąć się w sile oraz rozmieszczeniu wojsk nieprzyjacielskich.

Jagiello spojrzał uważnie na marszałka i dopiero po chwili odparł:

- Weźmiesz cztery chorągwie, żeby odeprzeć oddziały rozpoznawcze wroga. Następnie zajmiesz krawędź zalesień, żeby nasze hufce, niedręczone przez nieprzyjaciela, mogły się spokojnie rozwinąć.

Zbigniew z Brzezia szybko się skłonił i niemal biegiem ruszył wykonać rozkazy. W jego ślady poszli rycerze z otoczenia króla, gdyż przed bitwą czekało ich jeszcze wiele pracy. Tymczasem Jagiello w towarzystwie plebanów i kapelanów udał się do kaplicy wysłuchać mszy, podczas której pogrążył się w medytacjach.

\*

Żelazne trzewiki były zbyt ciasne i Dagobert sporo się namęczył, zanim je włożył. Następnie sięgnął po leżące pod ścianą namiotu

nagolenniki, starannie zamocował, ale szmaragdowy kirys, będący darem Netzach, pomagała mu założyć Aine.

- Powinien to robić Gilbert - rzekł ponuro.

Kobieta przerwała wiązanie rzemieni, opuściła głowę. Jej płomienne włosy gdzieś przetykane były siwizną.

- Cały czas wyczuwam jego obecność, jakby był gdzieś blisko - głos jej się łamał. - Zdarza się, że dusze umarłych jeszcze długo pozostają z tymi, których kochali.

- Ale on odszedł.

- Wiem - pokiwała głową. - Musimy z tym żyć.

Nagle zaniepokojona podniosła wzrok, a on dostrzegł cienie pod oczami, drżące usta i niepokój malujący się na twarzy.

- Obiecuj, że wrócisz - wyszeptała.

Westchnął ciężko.

- Dagobercie...

- Podczas bitwy nic nie jest pewne - odparł, zapinając ciężki rycerski pas.

Kobieta milczała, przyglądając się, jak za pomocą klamerek i sprzączek mocuje naręczaki, a następnie przypina pochwę z mieczem do lewego boku, zaś do prawego mizerykordię.

- Nie chcę stracić również ciebie - po policzku Aine spłynęła łza. - Potrzebuję cię. Świat cię potrzebuje.

- Świat?! - spytał drwiąco. - Nie rozumiesz? Gilbert nie żyje! Nie żyje!

- Na żalobę przyjdzie czas później, teraz trzeba ocalić Równowagę.

- Już nic nie ma znaczenia, wszystko skończone.

- Nic nie jest skończone. Jesteś sługą Emanacji Netzach...

- Przestań!

W zielonych oczach kobiety błysnęła pogarda.

- Zatem jedziesz śmierć odnaleźć?

Na czole rycerza pojawiła się głęboka zmarszczka, ręce mu drżały, gdy pospiesznie zakładał żelazne rękawice. Sięgnął po przyłbicę i w tym momencie Aine chwyciła jego dłoń, zbliżyła się do niego, smukłymi palcami dotknęła policzka. Dagobert poczuł przenikające ciepło, jej obecność w każdym zakątku serca i duszy. Przymknął oczy.

Usta kochanków złączyły się w delikatnym pocałunku wypełnionym czułością, smutkiem i żalem. Wtuleni w siebie, zanurzeni we własnej miłości, złączeni niewidzialną nicią przeznaczenia, mogliby tak trwać do końca świata, gdyby nagle nie rozchyliły się poły namiotu i do środka nie wszedł Jakub z Kobylan. Widząc splecionych kochanków, zrozumiał, że wybrał nieodpowiednią chwilę i chciał się nawet wycofać, ale chorągiew krakowska, do której zostali przydzieleni, stała gotowa do wymarszu.

- Już czas - rzekł cicho, jakby bał się zburzyć nastrój chwili.

Dagobert skinął głową, założył hełm, chwycił tarczę z wymalowaną siedmioramienną gwiazdą na zielonym tle i wyszedł z namiotu. Nie obejrzał się, wiedząc, że w oczach Aine ujrzy nadzieję, której nie mógł jej dać. Jedyne, czego teraz pragnął to zatopić ostrze miecza w sercu tego, który był winien śmierci Gilberta. Gniew musi znaleźć ujście. Dzisiaj Kuno von Lichtenstein umrze.

Gdy Aine została sama w namiocie, przysiadła na ławie z opuszczoną głową, ale nie płakała. Zdawało się, że wszystkie łzy już przelała. Obawiała się najgorszego, bowiem widziała aurę ukochanego, spoglądała w jego oczy, dotknęła umysłu, w którym szalała nawałnica gniewu.

Musiła się jednak pozbierać, gdyż w dniu dzisiejszym

najważniejsze było ratowanie świata. Wstała, przebrała się w strój do konnej jazdy i wyszła przed namiot. Podczas bitwy musi stać u boku króla.

\* \* \*

Zbliżało się południe i skwar stał się nie do wytrzymania. Ulryk von Jungingen, ocierając pot z czoła, spojrzał w niebo, na którym nie było jednej nawet chmury. Wielki mistrz miał pełną zbroję płytową, na którą nałożył wappenrock ze znakomitego sukna sprowadzonego z Arras i prażące niemiłosiernie słońce dawało mu się we znaki.

Poklepał po karku okrytego białym kropierzem holsztyńskiego wierzchowca bojowego i przeniósł wzrok na krzyżackie hufce ciągnące się od Łodwigowa aż po Stębark. Ponad pięćdziesiąt chorągwi nie tylko z komturii i miast należących do państwa zakonnego, ale również z Niemiec, Szwajcarii, Austrii od ponad trzech godzin czekało na przeciwnika. W wojskach krzyżackich wielu było rycerzy-gości, którzy przybyli tutaj bronić chrześcijaństwa przed zakusami pogan i schizmatyków, ale tak naprawdę interesowało ich tylko krzyżackie złoto. Niemniej jednak stanowili kwiat szlachty europejskiej i wielki mistrz wierzył, że mając ich u boku, szybko rozprawi się z Jagiełłą.

Ale ten nie nadchodził, kryjąc swoją armię w lasach.

Co prawda na placu boju rozpoczęły się już pojedynki harcowników, ale to walna potyczka dwóch ścierających się ze sobą mas wojska rozstrzygała losy bitwy.

Nadjechał Fryderyk von Wallenrode, który miał dowodzić środkami krzyżackich wojsk.

- Powinniśmy uderzać! - krzyknął zniecierpliwiony.

- Głupcze! - odparł gniewnie von Jungingen. - Chcesz nacierać, nie wiedząc, co kryje się w gajach i zaroślach? Jagiełło zapewne

uszykował tam zasadzki. Wie, iż w otwartym polu nam nie sprosta.

- Niech wasza dostojność raczy spojrzeć. - Marszałek zakonu wskazał skraj lasu, gdzie pojawił się hufiec około tysiąca jeźdźców i teraz odpierał ataki krzyżackich podjazdów. - To przednia straż wojsk polskich, które teraz zapewne rozwijają szyki. Najkorzystniej będzie w marszu ich zaatakować.

Ulryk von Jungingen zmrużył oczy, wpatrując się we wskazane przez von Wallenrode miejsce, ale jedyne co dostrzegł, to rozmazaną plamę zieleni. Z dnia na dzień jego wzrok był coraz słabszy.

- Pozostaniemy tu, gdzie stoimy - zdecydował. - Polskie i litewskie chorągwie wjadą wprost pod nasze bombardy.

- Myślicie, że na coś się zdadzą? - Fryderyk von Wallenrode z powątpiewaniem spojrzął na działa rozstawione pomiędzy chorągwiami. - Jeszcze nikt nie próbował używać ich w otwartym polu. Bombardy zawsze służyły jeno do oblężeń.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - odrzekł z uśmiechem wielki mistrz.

Ulryk von Jungingen niejednokrotnie zaskakiwał pomysłami i nietypowym podejściem do sztuki wojennej. Na królewskich dworach mówiono, że nikt nie może się z nim równać kunsztem zarówno rycerskim, jak i strategicznym. Jednakże największy nawet wódz jest bezsilny, gdy wróg unika walki.

Wielki mistrz powiódł spojrzeniem po pewnych zwycięstwa braciach zakonnych, po zacieężnych rycerzach pocących się w ciężkich kirysach i po dumnych gościach z Rzeszy Niemieckiej, którym spieszno było do wojennych łupów. Wszyscy niecierpliwie czekali i von Jungingen musiał coś szybko wymyślić.

Król Władysław powstał z kolan dopiero, gdy skończyła się druga msza, a zebrani w kaplicy możnowładcy mogliby przysiąc, że twarz monarchy emanuje niezwykłym światłem, pochodzącym zapewne od Boga. Niewiele się pomylili, bowiem gdy biskup recytował puste słowa, pozbawione mocy formułki, Jagiełło zaglądał w głąb siebie.

Uczeni, chcąc poznać najskrytsze tajemnice świata, mieszają w menzurkach dziwne substancje albo spoglądają w gwiazdy, jakby w tych niedosiężnych świetlistych punktach osadzonych na firmamencie mogli uzyskać wszystkie odpowiedzi. Ale przecież nie trzeba tak daleko szukać, bo to człowiek jest centrum wszechświata i przyczyną jego zaistnienia.

Podczas medytacji król zanurzył się w świetle Chokhmah, otoczył energią, otworzył na wizje, które wybuchły w jego umyśle z niezwykłą intensywnością. Nigdy wcześniej nie doświadczył tak pełnego zespolenia z patronującą mu Sefirą, która wypełniła go wiedzą niepojętą dla zwykłych śmiertelników.

Pierwszy raz od ponad trzech miesięcy ponownie ujrzał przyszłość, dowiadując się, że tylko przelana krew przywódcy może uratować Równowagę i ocalić ludzkość przed zagładą.

Monarcha, nie spiesząc się, opuścił kaplicę, przywdział ozdobną zbroję i wsiadł na pięknego kasztanowego konia z białą gwiazdą pośrodku czoła. Uderzył ostrogami wierzchowca i wjechał na pagórek, z którego rozciągał się widok na nieprzyjacielskie wojska. W pełnym słońcu mieniły się różnokolorowe sztandary komturii, znaki niemieckie, śląskie i czeskie. Armia krzyżacka nie mogła liczyć więcej niż piętnaście tysięcy zbrojnych, ale byli to dobrze opancerzeni, doświadczeni w boju rycerze. Wśród nich znajdowało się dwustu pięćdziesięciu budzących trwogę zakonników. To oni mieli poprowadzić zakon do kolejnego,

wspaniałego zwycięstwa.

Król Polski przeniósł spojrzenie na własne wojska. Na prawym skrzydle harce rozpoczęli Tatarzy Dżalał ad Dina, próbując uszczuplić krzyżackie szyki pod Stębarkiem. Za nimi ustawiono do natarcia czterdzieści litewskich chorągwi i trzy pułki smoleńskie prowadzone przez Semena-Lingwena. Jagiełło miał nadzieję, że jego ukochany brat mężnie powiedzie swoich ludzi do boju. Obok nich stała czeska zaciężna chorągiew świętego Jerzego i hufiec dowodzony przez Zbigniewa z Brzezia. Ich zadaniem w zbliżającej się bitwie było wspieranie lewego, litewskiego skrzydła.

Na środku znajdowały się chorągwie ziemskie z Małopolski i Rusi, w tym wielka krakowska, w której służyli najlepsi polscy rycerze, dalej hufce mazowieckie pod wodzą książąt Janusza i Siemowita. Tym razem bracia mieli walczyć ramię w ramię przeciw wspólnemu wrogowi.

Na lewym skrzydle, niedaleko Łodwigowa, rozstawiało się dziesięć chorągwi panów wielkopolskich, Morawianie pod dowództwem Jana z Jicina i Czesi Gniewosza z Dalewic. Niestety, musieli oni przedrzeć się przez gęste lasy i dopiero teraz formowali szyk. Potrzebowali jeszcze trochę czasu.

Jagiełło niespiesznie zjechał z pagórka, mijając pozostawione w odwodzie chorągwie rodowe i chorągiew nadworną. Spoglądał w oczy rycerzy, wielu z nich zaszczycił rozmową, wlewając w serca otuchę. W tej chwili nie był dla nich monarchą, a zwykłym towarzyszem, który na równi ze wszystkimi szykuje się do bitwy. Następnie wjechał w zaciszną kotlinę, gdzie pasował ponad setkę giermków. Wśród nich był Jurga, którego polecił Mszczuj ze Skrzyńska. Młodzieniec promieniał szczęściem, gdy odbierał z królewskich rąk rycerski pas i ostrogi,

bowiem oto spełniło się jego największe marzenie. Gdyby teraz mogła go zobaczyć Dobrosułka, byłaby dumna, że będzie miała takiego męża.

Po skończonej uroczystości wszyscy umilkli, bowiem król zaczął przemawiać, a jego słowa wdarły się z niezwykłą siłą do serc Polaków.

- Nadszedł czas! Dzisiaj skończycie to, co zaczęli wasi pradziadowie pod Płowcami<sup>54</sup>. Weźmiecie odwet za wszystkie krzywdy, grabieże i gwałty. Za pomordowanych krewnych, powieszonych synów, pohańbione córki. Dokonacie pomsty na zakonnikach, którzy okute buty przedkładają nad sandały, pancerze nad habity, a miecze nad modlitwy. Dzisiaj żaden z rycerzy zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie nie ujdzie z życiem...

Powietrze rozdarł krzyk tysiąca gardeł, a gromkie wiwaty zapewne dochodziły aż do krzyżackich uszu. Jagiełło wznosił rękę i wrzawa natychmiast ucichła.

- Potęga zakonu, która od dwóch wieków kładzie się cieniem na nasze ziemie, budzi grozę i niczym ciężar sżyje nasze uciska, dzisiaj zostanie złamana. Zmiażdżymy naszych wrogów, powalimy na ziemię, kopyta naszych koni zdeptają nienawistne sztandary, a krzyż na powrót stanie się symbolem miłosierdzia, nie zaś udręki.

Król wyciągnął miecz i skierował sztych w stronę rozciągających się przed wojskiem pól.

- Spójrzcie! - krzyknął. - Właśnie tam się wszystko dokona! O tej bitwie bardowie będą układać pieśni na długo po tym, gdy nas już nie będzie. Imiona tych, co dzisiaj krew swoją przeleją, na zawsze pozostaną w pamięci potomnych, a ci, którzy przeżyją, z dumą będą nosić blizny, mówiąc, że byli pod Grunwaldem, stojąc u boku swojego króla.



Jagiello wzniosł w górę miecz, celując sztychem w niebo.

- Nadszedł dzień Rozesłania Apostołów, dzień naszego zwycięstwa!

Ponownie rozległy się owacje i monarcha wiedział, że ci ludzie pójdą za nim do piekła.

- Zawołaniem bojowym będzie: Kraków i Wilno! Niechaj każdy z was założy na zbroje uczynione przez chłopów i służbę słomiane powrósta, aby w zamęcie bitewnym łatwo można było odróżnić kto swój jest, kto wróg.

Monarcha odebrał od sługi hełm i już chciał go zakładać, gdy nagle dano znać, że przybyli dwaj heroldowie krzyżaccy. Kroczyli dumnie, dostojnie, z wysoko podniesionymi głowami, wzgardliwie spoglądając na polskich rycerzy. Pierwszy z nich, jasnowłosy mężczyzna o pełnych ustach nosił na jace czarnego orła w złotym polu - godło cesarza rzymskiego. Drugi, czarnowłosy, wąsaty rycerz miał w herbie szczecińskiego gryfa. Jagiello skrzywił się. W ten sposób Krzyżacy chcieli pokazać, że przyjdzie mu mierzyć się nie tylko z zakonem, ale również z całym światem.

Wysłannicy nieśli przed sobą dwa obnażone miecze i gdy stanęli przed obliczem króla, wbili je bezceremonialnie w ziemię<sup>55</sup>.

- Miłościwy królu! - rozpoczął jasnowłosy Niemiec. - Wielki mistrz Ulyk von Jungingen śle tobie i bratu twemu Witoldowi te dwa nagie miecze, ażebyś z większą odwagą przystąpił do bitwy, nie chował się w gajach i zaroślach, ale na otwarte pole wyszedł walczyć. Jeśli zaś do rozwinięcia swoich hufców za szczupło masz miejsca, wielki mistrz w łaskawości swojej gotów jest ci go ustąpić.

Wzniosł w górę rękę i na ten znak wojska krzyżackie rzeczywiście zaczęły się cofać, odsłaniając Dolinę Wielkiego Strumienia.

- A gdyby i to nie skłoniło waszej miłości do wydania bitwy - teraz

przemówił wysłannik księcia szczecińskiego - Ulryk von Jungingen kazał rzec, żebyście sami sobie obrali dowolne miejsce, byle tylko jej nie odwlekać.

Jagiello przez cały czas wpatrywał się we wbite w ziemię miecze. Co prawda, ceremoniał wyzwania do bitwy przez wręczenie oręża był znanym wojennym obyczajem, ale arogancki i pełen pychy sposób, w jaki Krzyżacy to uczynili, pachniał obelgą. Monarcha przeniósł spojrzenie na heroldów i mężczyźni opuścili wzrok, czując mimowolny lęk przed tym człowiekiem.

- W wojsku naszym oręża dostatek i od nieprzyjaciół bynajmniej go nie potrzebujemy, jednakże ku większemu wspomózeniu słusznej sprawy, o którą walczymy, przyjmujemy i te dwa nagie miecze, które stępimy na karkach naszych wrogów - król przemówił spokojnym i mocnym głosem. - Wracajcie i rzeknijcie wielkiemu mistrzowi, iż wyboru miejsca do bitwy nie żądam. Na tych polach wszystko się rozstrzygnie, a gdy słońce zajdzie, wiadomym się stanie, komu zwycięstwo, a komu klęska w udziale przypadnie.

Heroldowie skłonili się i odeszli, odprowadzani przez dowódcę straży. Jagiello jeszcze chwilę przyglądał się ustawieniom wojsk krzyżackich, a potem przywołał gońca:

- Niechaj księżę Witold po usłyszeniu pierwszego sygnału uderza na wroga, tak jak to zostało uzgodnione.

Sługa dał koniowi ostrogę i pognął na północ. Król przywołał następnego gońca.

- Zbigniewowi z Brzezia rzeknij, żeby wziął chorągiew gończą, świętego Jerzego oraz pułki smoleńskie i wspomógł Litwinów. Jak tylko reszta wojsk naszych skończy się rozstawiać, niezwłocznie ich wesprzemy.

Kolejny goniec ruszył galopem.

- Mikołaju - monarcha zwrócił się teraz do podkanclerzego Trąby, który właśnie dosiadał konia. - Wracaj do obozu.

- Ależ dlaczego, panie? - zdziwił się arcybiskup. - Podczas bitwy pragnę stać u waszego boku.

Jagiello zapatrzył się w przestrzeń, a jego wzrok zdawał się przenikać rzeczywistość i podążył w rejony niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

- Zapewniam cię, że tam będziesz bardziej potrzebny.

Król Polski założył hełm, wzniosł miecz. Po okolicy rozniósł się potworny ryk trąb, a chwilę później z gardeł Polaków dobiegła się pieśń.

\* \* \*

Dreszcz przeszedł po plecach Mikołaja z Ryńska herbu Rogala, gdy usłyszał Bogurodzicę śpiewaną przez polskich rycerzy. Dziwna moc zawładnęła jego sercem, otuliła ciepłem i smutkiem zarazem. Olbrzymi żal ścisnął go za gardło, w piersi zabrakło tchu, a surowe zazwyczaj oczy nabiegły łzami.

Nie wiadomo, dlaczego właśnie teraz przypomniła mu się pewna rudowłosa niewiasta i burgundzki rycerz, którym przed rokiem pomógł dostać się na malborski zamek. Nigdy nie dowiedział się, czy odnaleźli to, po co przybyli, czy wypełnili misję. Zapomniał o nich, jak zapomina się o wczorajszym dniu, gdy nastaje nowy świt. Jednak w tej właśnie chwili w głowie zabrzmiało mu pytanie, które wtedy zadał Burgundczyk:

- *Czy w godzinie próby chorągiew ziemi chełmińskiej powiewać będzie tuż obok sztandaru z czarnym krzyżem?*

Mikołaj z Ryńska zerknął w górę, na trzymaną biało-czerwoną flagę, a następnie w prawo na olbrzymi krzyżacki gonfanon, znak wielkiej chorągwi zakonu. Wypowiedziane przed rokiem słowa okazały się

prorocze. Stał ramię w ramię z tymi, którzy ciemnęli ziemię chełmińską i on, Polak, miał walczyć przeciw swoim. Niestety, był poddanym zakonowi i miał obowiązek stawić się na służbę do panów pruskich, ale przecież należał też do Towarzystwa Jaszczurczego, którego celem było wyrwanie ojczyzny spod krzyżackiego jarzma.

Nagle po okolicy przeleciał straszliwy łomot, odbił się echem w dolinie, wzniósł w niebo, raniąc boleśnie uszy anielskich zastępów, bowiem był to odgłos śmierci, łamanych kopii, pękających tarcz, zbroi uderzających o zbroje i tratowanych ludzi. Wojska litewskie starły się właśnie z ustawionymi pod Stębarkiem chorągwiami: człuchowską, brodnicką, tucholską i wielkiej komturii dowodzonej przez samego Kunona von Lichtenstein.

- Rychło udajcie się na lewe skrzydło wspomóc nasze hufce - krzyknął do Mikołaja, jak do sługi, przybyły właśnie posłaniec. Jasnowłosy młodzieniec w pogardzie miał każdego, kto nie był Niemcem i według jego mniemania do zakonu słusznie nie przyjmowano rycerzy innych narodowości. Nie byli godni miana człowieka, a traktować ich należało niczym zwierzęta.

- To rozkaz wielkiego mistrza - dodał, widząc, że chorąży nie kwapią się do wykonania polecenia.

Rycerz westchnął ciężko. Właśnie teraz nadeszła chwila, gdy musiał dokonać wyboru, który wpłynie na dalsze jego życie. Ponownie poczuł tę dziwną moc w sobie i już wiedział, co powinien zrobić.

- Rzeknij wielkiemu mistrzowi, że chorągiew chełmińska wypowiada mu służbę - odparł zdumionemu posłańcowi. - A ja, Mikołaj z Ryńska herbu Rogala, życzę mu rychłej śmierci.

Wzniósł wysoko sztandar, załopotał nim, a następnie zwinął, dając tym samym sygnał do odwrotu. Prawie trzy setki zbrojnych zawróciło

konie i odjechało, pozostawiając lukę w szeregach krzyżackich.

Mikołaj odwrócił się jeszcze, spoglądając na szykujące się do natarcia wojska polskie i dostrzegł na przeciwległym pagórku niewielki poczet zbrojnych, w którym - mógłby przysiąc - ujrzał rudowłosą niewiastę dosiadającą kasztanowego konia. Zamrugał powiekami, pewny, że wzrok płata mu figle, ale drugi raz już nie spojrział. Ruszył na czoło kolumny, prowadząc swoich ludzi do domu<sup>56</sup>.

\*

Aine otworzyła oczy. Udało jej się dotrzeć do jaźni Mikołaja z Ryńska i pchnąć jego myśli w odpowiednim kierunku. Nie potrafiła podporządkowywać sobie umysłów innych ludzi. Nikogo nie można zmusić, żeby uczynił coś wbrew własnej woli, ale gdy ktoś w głębi serca czegoś pragnie, wystarczy delikatnie wpleść w jego jaźń polecenie przełamujące opór.

Dosiadając kasztanki, Aine stała u boku króla na niewielkim wzniesieniu, skąd widać było całe pole bitwy. Wschodnim obyczajem Jagiełło nie prowadził do boju swojej armii, ale z daleka obserwował batalię, wydając odpowiednie rozkazy. Jego niewielki poczet składał się z zaledwie sześćdziesięciu kopijników, wśród których znajdowali się tak znamienici rycerze jak Siemowit Młodszy, syn księcia mazowieckiego, Zygmunt Korybut, Jan Mężyk z Dąbrowy, Jan Sokół i Mikołaj Morawiec z Kunoszówki, dzierżący proporzec ze znakiem orła białego, jak również sekretarz królewski Zbigniew z Oleśnicy, w którym Aine wyczuwała aurę Emanacji Chesed.

W dniu dzisiejszym na polach Grunwaldu stawiało się wielu Przebudzonych. W szeregach krzyżackich mocą emanowali zakonnicy służący Binah, przybyli z Węgier i Czech słudzy Geburah, a także kilku rycerzy noszących w sobie światło Hod. W wojskach polskich i

litewskich było ich mniej, ale każdy obdarzony potężną siłą. Nie mało było również takich jak ona, Przebudzonych przez Emanacje ze środkowej ścieżki Drzewa Życia, którzy zdecydowali się stanąć po którejś ze stron konfliktu.

Dobiegły końca ostatnie strofy Bogurodzicy i polscy rycerze umilkli, z zazdrością spoglądając na prawe skrzydło, gdzie toczyły się już walki. Nastąpiła cisza, w której rozbrzmiewały jedynie miarowe uderzenia wojennych kotłów. Aine dała się ukołysać dźwiękom, oczy zaszyły jej mgłą.

Wypełniły ją obrazy. Ujrzała to, co nadejdzie oraz to, co może nadejść. Nici przeznaczenia przeplatały się ze sobą, niektóre kończyły się nagle, inne prowadziły do odległych wydarzeń, których przyczyn ani skutków nie można było ogarnąć rozumem. Wizje niczym fala przelewały się przez jej jaźń, przynosząc smutek, zdziwienie, a nawet wielką radość, ale żadna nie pozostała na tyle długo, żeby wyryć w pamięci trwałe ślady. Pozostaną po nich jedynie mgliste wspomnienia, ukryte gdzieś głęboko w podświadomości, żeby we właściwym czasie wychynąć na światło dzienne.

Nagle ciszę rozdarł potworny ryk trąb, a zaraz po nim donośny okrzyk Jagiełły:

- Do ataku!

\* \* \*

Dowódca chorągwi krakowskiej, Zyndram z Maszkowic, wznosił w górę rękę i rycerze pochyliłi kopie, ciężkie drzewce podpierając na wycięciach w tarczach. Z marsowych twarzy zbrojnych trudno było cokolwiek wyczytać. Nawet jeśli ktoś się bał, nie dawał tego po sobie poznać. Wojownicy wiedzieli, że już za chwilę uderzą ostrogami okryte wierzchowce, w pędzie dopadną wroga i wbiją groty w krzyżackie

piersi, ostrzami mieczy zetrą z niemieckich ust wyniosłe uśmiechy, biorąc krwawy odwet za lata upokorzeń.

Zagrały surmy wzywające do boju polską jazdę.

Ruszyli.

Najpierw powoli, stępem, strzemię przy strzemieniu, zwartą kolumną poprzedzoną klinem, który tworzyli najwaleczniejsi z rycerzy, dosiadający najlepszych koni i posiadający najlepsze pancerze. To przedchorągiewni, którzy będą torować drogę dla całej chorągwi. W pierwszym szeregu jechało ich siedmiu: Zyndram z Maszkowic, Zawisza Czarny, jego brat Jan Farurej, Jakub i Domarat z Kobylan, Skarbek z Gór herbu Habdank oraz odziany w szmaragdową zbroję Dagobert z Saint-Amand. W drugim szeregu było ich dziewięciu, rycerzy równie słynnych i walecznych, pochodzących z Małopolski oraz Rusi Halickiej. Trzeci rząd przedchorągiewnych liczył jedenastu zbrojnych, czwarty trzynastu, piąty, ostatni tworzący szpicę - piętnastu. To właśnie tam, na śnieżnobiałym koniu siedział chorąży Marcin z Wrocimowic dzierżący najważniejszy sztandar polskiej armii: olbrzymi czerwony płat materii ze znakiem orła białego.

Za nimi jechała kolumna zbrojnych licząca przeszło czterdzieści szeregów. Na skrzydłach kopijnicy, w środku lżej opancerzeni strzelcy uzbrojeni w gotowe do wystrzału kusze. Cała chorągiew liczyła przeszło siedemset koni i była niczym nawałnica pędząca na wroga z niszczycielską siłą<sup>57</sup>.

Z przodu rycerze dostrzegli powiewający niebieski sztandar z podwójnym złotym krzyżem. To chorągiew gończa starła się już z hufcami wroga. Po prawej stronie Czesi z chorągwi świętego Jerzego i zbrojni Zbigniewa z Brzezia toczyli z Krzyżakami zacięty bój. Po lewej zaś, w odstępie stu kroków od siebie, w takim samym szyku jak

krakowska, jechały do boju chorągwie sandomierska, halicka, wieluńska, podolska i na samym końcu hufce wielkopolskie.

Nagle powietrze rozdarł potworny grzmot, jakby naraz uderzyła setka piorunów. To krzyżackie bombardy otworzyły ogień. Kilka kamiennych kul przeleciało nad głowami Polaków, inne wbiły się w ziemię tuż po wystrzale, a tuzin dział wybuchło od źle odmierzonego i wsypanego prochu, rozrywając na strzępy obsługę. Druga salwa też nie wyrządziła szkody w polskich szeregach, co najwyżej spłoszyła kilka koni.

Wielki mistrz dopiero teraz do boju pchnął główne krzyżackie siły. Ruszyła wielka chorągiew zakonu, prowadzona przez Fryderyka von Wallenrode. Na szpicy, potężnych, okrytych białymi kropierzami koni dosiadali zakuci w stal bracia-rycerze, wyglądający niczym upiory. Oblicza skrywali za zasłonami przyłbic, a wiatr rozwiewał poły ich płaszczy. Ramię w ramię z nimi podążali rycerze-goście i już z tej odległości Polacy mogli dostrzec zdobione złotem jaski, tarcze z kolorowymi herbami frankońskimi, angielskimi i aragońskimi. Za nimi w kolumnie jechali półbracia w szarych tunikach z wymalowanym na nich półkrzyżem oraz zwykli knechci uzbrojeni w sulice i kusze.

Dwie wielkie chorągwie zbliżały się ku sobie, żeby za chwilę zderzyć się niczym fale na wzburzonym morzu i zetrzeć w bezpardonowej walce.

Kusznicy obu stron wystrzelili bełty, które przeleciały nad głowami własnych kopijników, zasypując wroga gradem pocisków. Rozległy się krzyki umierających i dzikie rżenie koni. Nikt jednak nie wyłamał się z szyku, nikt nie uciekł.

Marcin z Wrocimowic załopotał proporcem i chorągiew krakowska przeszła w galop. To samo uczynili Krzyżacy i wiadomym było, że już



nic nie powstrzyma tych dwóch mas wojska przed śmiertelnym starciem. Wraz z kurzem w niebo wzbił się tętent końskich kopyt i potężne okrzyki bojowe.

Stało się.

Rozległ się potworny huk, trzask łamanych drzewców i gruchot kości. Rycerze rażeni kopiami, miażdżeni w koszmarnym ścisku, tratowani przez konie bojowe cierpieli, krzyczeli, umierali. Wierzchowce również padały, rżąc przeraźliwie.

Walczący odrzucili połamane drzewce, sięgnęli po miecze, kordy, tasaki, topory, nadziaki i rozpoczęła się walka wręcz. Nikt nie okazywał litości i nikt o litość nie błagał. W dniu dzisiejszym bój toczył się na śmierć i życie. Dźwięczały ostrza mieczy, trzeszczały tarcze, pękały szłomy i pancerze. Wokół tryskała krew, obryzgując twarze i misternie haftowane jaki. Konie tratowały rannych, którzy nie zdołali utrzymać się w siodle. Niektórzy jeźdźcy próbowali się wyrwać z tego piekła, uciec ze śmiertelnego tłoku, ale jedyne co mogli zrobić, to przeć dalej wraz z całą chorągwią.

Oczy Zawiszy Czarnego płonęły bitewnym zapalem, a gdzie mieczem uderzył, tam padał trup. Brat jego, Jan Farurej spisywał się nie gorzej, siejąc postrach wśród rycerzy-gości. Przybysze z Zachodu nie zdawali sobie sprawy, z jaką siłą przyjdzie im się mierzyć. Nie minęło pół pacierza, a trzech z nich padło pod ostrzem młodszego z Sulimczyków. Ich pycha i zadufanie we własny kunszt wojenny miały dziś zostać ukarane.

Obok panów herbu Sulima walczył Zyndram z Maszkowic. Z furią uderzał dużym nadziakiem, stalową głowicą rozłupując czaszki nieprzyjaciół, żeby po chwili raptownie obrócić broń i zaostrzonym końcem przebić zbroję przeciwnika. Skarbek z Gór rąbał toporem i

niewielu umiało zatrzymać jego ciosy. Jakub z Kobylan używał w starciu tyle samo siły, co sprytu, zadając szybkie, śmiertelne sztychy, zawsze znajdując lukę między płytami krzyżackich pancerzy. Natomiast jego brat, Domarat lubował się w szerokich cięciach.

Jednakże największe przerażenie budził Dagobert z Saint-Amand, który w pełnej szmaragdowej zbroi wydawał się niczym anioł zemsty zwiastujący wrogom śmierć. Żaden z rycerzy zakonnych i gości nie odważył się stawić mu czoło, a on parł do przodu niczym huragan, zostawiając za sobą tylko trupy. Jego miecz opadał raz za razem, przełamując zasłony, roztrzaskując hełmy, przecinając pancerze, mięśnie i kości. Nikt nie był w stanie go powstrzymać. Czarny meklemburski ogier, którego dosiadał, gryzł wierzchowce wroga i co jakiś czas stawał dęba, uderzając kopytami krzyżackich jeźdźców.

Za przedchorągiewnymi podążała reszta zbrojnych z krakowskiej chorągwi, wdzierając się głęboko w nieprzyjacielskie szyki. Marszałek zakonu, Fryderyk von Wallenrode, widząc, że jego ludzie dłużej nie zdzierżą tak straszliwego naporu, wydał rozkaz odwrotu. Olbrzymi biały sztandar z czarnym krzyżem zafalował w umówionym znaku i zbrojni, zataczając łuk, popędzili na tyły. W ich miejsce wjedzie świeża chorągiew drugiego rzutu, a oni w tym czasie wymienią konie, opatrzą rany i wymienią oręż, żeby za jakiś czas ponownie wrócić do walki.

\* \* \*

Ulryk von Jungingen ryknął na całe gardło niczym lew, dając tym samym upust wściekłości. Miał ku temu powód, bowiem pierwsza szarża wojsk polskich odrzuciła jego hufce prawie o staje. Chorągiew komturii i miasta Kowalewa została starta w pył, a jej dowódca Michał von Viltz poległ. Chorągwie z Królewca, Brodnicy, Szczytna i Knipawy zostały wycofane z pierwszej linii, a ich miejsce zajęły rezerwy.

Wielki mistrz zacisnął mocno pięści. Wiedział, że jeśli tak dalej pójdzie, zużyje odwody szybciej niż Jagiełło, a na to nie mógł sobie pozwolić, bowiem jego armia była mniej liczna. Cały czas wierzył, że kunsztem wojennym i uzbrojeniem góruje nad wojskami królewskimi, ale teraz na własne oczy przekonał się, że Polacy w niczym Krzyżakom nie ustępują. Musiał szybko coś wymyślić, bo zarówno bitwa, jak i cała wojna zostanie przegrana.

Powiódł spojrzeniem po placu boju. Walki trwały na przestrzeni trzech mil, na całej długości Doliny Wielkiego Strumienia. Chorągwie szarżowały na siebie, zderzały się, toczyły zacięty bój, a potem zawracały, a na ich miejsce wjeżdżały kolejne. Ruchy wojsk przypominały fale wdzierające się na plaże Bałtyku.

Ulryk von Jungingen skierował wzrok w stronę Stębarku, gdzie hufce Kunona von Lichtenstein napierały na wojska księcia Witolda. Gładząc siwą brodę, tylko przez chwilę się zastanawiał.

- Helfenstein! - krzyknął i zaraz podjechał do niego komtur grudziądzki. - Weźmiesz swoją chorągiew, jak również starogrodzką, nieszawską oraz niemieckich rycerzy zaciężnych i wzmocnisz lewe skrzydło. Nie szczędźcie starań! Macie rychło złamać Litwinów.

- Wedle życzenia waszej dostojności.

- Weź ze sobą księcia oleśnickiego. Najwyższy czas, aby otrok wojny zasmakował. Ponoć żądny jest pomsty na Polakach, za to, że mu poczet wycięli. Niechaj pokaże, cóż wart.

Zakonnik uklonił się i odjechał.

Wielki mistrz, nie przestając gładzić brody, obserwował toczące się pod Stębarkiem walki. Tam będzie najłatwiej się przebić, myślał, a gdy już zmęczone bitwą hufce Witolda pójdą w rozsypkę, zamknie się front i uderzy z flanki na wojska Jagiełły.

Z pomocą Binah powinno się udać.

\*

- Odwrót! - krzyczał skośnooki mężczyzna, potrząsając buńczukiem.

- Odwrót!

Tatarzy, słysząc jego nawoływania oraz widząc umówiony znak, natychmiast odskoczyli od wroga, zawrócili konie i zaczęli uciekać.

Dżalal ad Din przytulony do grzywy swojego siwka, obejrzał się, ogarniając wzrokiem pole bitwy, na którym zostawił połowę swoich ludzi. Zmiażdżeni przez ciężkie kopie, rozsiekani ostrzami mieczy legli wśród traw i polnych kwiatów, a ich krew wsiąkała w ziemię. Niektórzy jeszcze żyli, ludzkie strzępy z odrąbanymi rękoma, przetrąconymi kręgosłupami, spoglądali ze smutkiem na leżące obok nich wierzchowce. Ogiery, klacze, wałachy z ranami kłutymi od krzyżackich kopii, umierały wraz z jeźdźcami. A ci mężni wojownicy, którym niestraszne były wojna i śmierć, płakali nie nad własnym losem, ale z litości nad biednymi zwierzętami, bo koń jest najlepszym przyjacielem Tatara.

Nagle Dżalal ad Din spostrzegł, jak z pola bitwy pierzchają chorągwie litewskie. Zdziwił się, bo nie taki był plan. To jego oddziały miały niedługo po rozpoczęciu starcia dokonać pozorowanej ucieczki, wciągając wroga w pułapkę. Krzyżacy podczas pogoni rozciągnęliby szyki, a wtedy uderzyłyby na nie hufce Witolda, wsparte przez kilka polskich chorągwi. Coś poszło nie tak. Zapewne Litwini, widząc uciekających Tatarów, sami wpadli w panikę.

Wściekły książę Witold krzykiem próbował zapanować nad wojskiem, ale niestety, na nic się zdały jego groźby, przekleństwa i błagania. Pędzący jeźdźcy prawie stratowali swojego kniazia i jak oszaleli pognali do obozu. Wielu z nich zatrzyma się dopiero na Litwie,

twierdząc, że bitwa przegrana, a oni, choć walcząc do samego końca, ledwie uszli z życiem.

Tatarski chan, wjeżdżając w gęsty las, kątem oka zauważył zbrojnych ze smoleńskich pułków, którzy jako jedyni z witoldowej armii pozostali na placu boju. Otoczeni przez przeważające liczebnie krzyżackie hufce dzielnie stawiali im czoło. Poleciał ich dusze Allahowi, bo nie wierzył, że ktoś wyjdzie z tego kotła żywy.

\*

Jawnuta raz za razem wznosił jeździecki topór, a następnie uderzał mocno i celnie. Po każdym takim ciosie na ziemię zwał się kolejny z krzyżackich knechtów. Jednak tarcza Żmudzina była już w drzazgach i wyglądała tak samo marnie, jak jego położenie.

Chorągiew miednicka nie uległa panice i nie umknęła z pola walki, a stanęła ramię w ramię z pułkami smoleńskimi, żeby odeprzeć atak Krzyżaków. Żmudzini musieli zaryglować wyłom powstały po ucieczce Litwinów i ochronić flankę wojsk polskich.

Zewsząd otaczali ich wrogowie, jak przed jedenastu laty pod Worską<sup>58</sup>. Historia lubi się powtarzać, pomyślał Jawnuta, ale nie zawsze w taki sam sposób. Wtedy nieprzyjaciółmi byli Tatarzy, tumeny<sup>59</sup> okrutnych, nieznających litości pogan, zaś sojusznikami wyznający miłosiernego Jezusa Chrystusa Krzyżacy, teraz zaś odwrotnie.

Żmudzin zawrócił konia, szykując się do kolejnej szarży i ujrzał, jak pada chorągiew smoleński, upuszczając złoto-czerwony sztandar z wizerunkiem archanioła Gabriela. Zaraz podjechał tam Semen-Lingwen, pochylił się w siodle i podniósł chorągiew. Wzniósł ją wysoko w górę, zamachał, zagrzewając ludzi do boju. Książ w zamęcie bitewnym stracił szłom, kolczy czepiec został rozerwany i teraz jego

długie, czarne włosy rozwiewał wiatr. Na obryzganej krwią twarzy malowało się dostojeństwo Olgierdowiczów i w serca wojowników wstąpiła nadzieja. Uderzyli na wroga z nowym zapalem, kłując, tnąc i rąbiąc.

Nagle przez tłum walczących przebił się zakuty w stal zakonnik, dosiadający olbrzymiego, czarnego rumaka. Spod przyłbicy nie było widać jego gorejących oczu, ale bijąca od niego nienawiść zdawała się wypełniać powietrze wokół. Rozdając na prawo i lewo ciosy buzdyganem, szarżował wprost na Semena-Lingwena. Ten zaś, zasłonięty płótnem sztandaru jeszcze go nie spostrzegł.

Jawnuta uderzał konia ostrogami, pędząc w szalonym galopie, mając nadzieję, że zdąży. Potężny Krzyżak już zamierzył się do ciosu i żelazna głowica z ośmioma kanciastymi piórami za chwilę miała opaść, roztrzaskując czerep królewskiego brata. Książ wreszcie zauważył wroga, przerażony odrzucił sztandar i sięgnął po miecz. Było już jednak za późno.

Żmudzin wiedział, że nie zdąży zdjąć z siodła rycerza zakonnego nim ten zada śmiertelny cios i uczynił jedyną rzecz, jaką mógł. Wpadł między napastnika a jego ofiarę i podobnie jak uczynił to pod Worskłą, ratując Witolda, przyjął uderzenie na siebie. Usłyszał głuchy trzask i poczuł krew spływającą po twarzy. Spadając na ziemię, spostrzegł jeszcze, jak Semen-Lingwen wbija sztych w gardło Krzyżaka.

Zapanowała cisza.

Jawnuta nie słyszał zgiełku bitewnego, szczęku oręża, rżenia wierzchowców, dudnienia kopyt. Nie widział nad sobą walczących, umierających rycerzy, ani zmasakrowanych zwłok leżących obok. Spoglądał na rosnące maki, zastanawiając się, czy ich czerwień zawsze w lipcu jest tak soczysta, czy zabarwione zostały krwią.

Oczy bojara powoli gasły. Nie wróci już do Miedników, nie ujrzy więcej łagodnych, wyrozumiałych oczu żony, nie zobaczy, jak jego córki wychodzą za mąż i nie doczeka chrystianizacji Żmudzi. Tego ostatniego brat Hieronim mu nie wybaczy.

Próbował się uśmiechnąć, ale ogarnęła go ciemność.

\* \* \*

Chorągiew wielkiej komturii pierwsza rzuciła się w pościg za Litwinami. Nad głowami zbrojnych powiewał czerwony sztandar z poziomą białą belką. Były to barwy Austrii, kraju rodzinnego Kunona von Lichtenstein. Wielki komtur, upojony zwycięstwem, przekonany, iż bitwa już wygrana, daleko w tyle zostawił niedobitki pułków smoleńskich, wiedząc, że prędzej czy później padną pod naporem wojsk zakonu, a sam poprowadził atak na obóz wroga.

U boku miał młodego księcia oleśnickiego, dumnie wypinającego pierś z wyhaftowanym czarnym orłem na jace. Oto on, Konrad Biały, potomek Piastów Śląskich jechał ramię w ramię z rycerzami krzyżackimi. Po przedwczorajszej niemiłej przygodzie długo zastanawiał się, co uczynić. Myślał o matce, ojcu i braciach, którzy sercem byli przy Polsce. Zastanawiał się nawet, czy nie porzucić służby u panów pruskich, jednak poczucie krzywdy i pragnienie zemsty wzięło górę nad wstydem. Mocniej zacisnął rękojeść miecza, który posmakował już krwi rodaków.

- Tam! - krzyknął, wskazując uciekający oddział skręcający na południe.

Kuno von Lichtenstein rozpoznał sztandar czesko-morawskiej chorągwi zaciężnej pod wezwaniem świętego Jerzego, która widząc pogrom Litwinów, zapewne też rzuciła się do ucieczki.

- Jedź za nimi! My zajmiemy się Litwinami.

Książę oleśnicki kiwnął głową, dał znak swoim ludziom i odbił w prawo.

Wielkiemu komturowi podobał się ten młodzieniec i miał nadzieję po bitwie go jeszcze spotkać. Może uda się obietnicami złota oraz zaszczytów zaciągnąć otroka do łóżnicy, zanurzyć palce w płowej czuprynie, całować usta i długo pieścić młode ciało. Nagle skrzywił się na wspomnienie innego, podobnego mu chłopca.

O pewnym wydarzeniu chciał jak najszybciej zapomnieć.

\*

Zakrwawiony rycerz w spiczastym szłomie wjechał na wzgórze i zaraz spadł na ziemię. Aine zeskoczyła z konia, podbiegła ku niemu i przywołując moc Malkuth, próbowała zatamować krew. Jednak mężczyzna stanowczo ją odepchnął, podniósł się i ruszył w stronę Jagiełły.

- Miłościwy królu...

- Mów!

- Tatarzy i Litwini uszli z pola - wycharczał. - Ostały się jeno nasze pułki smoleńskie i chorągiew gończa. Brat wasz rodzony, książę Semen-Lingwen błaga o pomoc, bowiem nie zdierży niedrugowi, który znacznymi siłami napiera. Ratuj nas, panie!

Zmartwiony monarcha przeniósł spojrzenie na pole bitwy. Niestety, ze swojego stanowiska nie mógł dojrzeć, co dzieje się na prawym skrzydle, gdyż gęste zagajniki utrudniały widoczność.

- Wasza wysokość - odezwał się Andrzej Ciołek z Żelechowa, dowódca pozostającej w odwodach chorągwi nadwornej. - Zezwólcie iść z pomocą.

- Nie!

- Ależ wasza miłość...



Jagięto zwrócił się do posłańca.

- Wracaj i rzeknij bratu naszemu, iż musi jeszcze wydzierżyć. Pomoc wkrótce nadejdzie.

Rycerz skinął głową, wskoczył na konia i odjechał, nie oglądając się za siebie. Pragnął jak najszybciej znaleźć się z powrotem w piekle, jakie zgotowali im Krzyżacy, by móc umrzeć wraz z przyjaciółmi.

Król przeniósł spojrzenie na środek pola, gdzie chorągiew krakowska uczyniła wyłom w szeregach wroga. Na szpicy można było dostrzec wyróżniającą się w tłumie szmaragdową zbroję Dagoberta z Saint-Amand, który wraz z polskimi rycerzami parł do przodu po trupach Krzyżaków. Nawet strzelcy odrzucili niepotrzebne już kusze, wyciągnęli oręż i teraz wspomagali w walce ciężkozbrojnych.

Niestety, w bitewnym zapale nie spostrzegli, że sąsiednie chorągwie nie nadążają za nimi i nagle pozostali sami wśród otaczających ich zewsząd wrogów.

- Głupiec - syknął wściekle Jagięto, mając na myśli Zyndrama z Maszkowic. To on, będąc dowódcą chorągwi, powinien w porę wstrzymać natarcie.

Aine poczuła, jak fala zwątpienia dosięga króla. Ten silny człowiek, który nieraz przewyciężał najgorsze przeciwności losu, teraz blady, z drżącymi ustami poddawał się zniewalającej mocy. Aine nie miała wątpliwości, że płynie ona od zakonników. Musiała coś szybko zrobić.

Sięgnęła po siłę drzemiącą w ziemi, nasyciła nią przestrzeń, otaczając pagórek niewidoczną osłoną. Niemal fizycznie poczuła, jak siła Binah próbuje się przedrzeć, jak wściekle uderza fala za falą. Nic z tego.

Aine posłała królowi uspokajającą myśl, oczyściła umysł, wlała w serce otuchę i raptem złagodniało oblicze monarchy, pochmurne czoło

rozpogodziło się, a w jego oczach pojawił się błysk.

- Goniec! - krzyknął silnym, pewnym siebie głosem. - Niechaj chorągwie Gniewosza z Dalewic i Jana z Jicina, obejdą Łodwigowo od zachodu i uderzą na tyły nieprzyjaciela.

\*

Gdy Ulryk von Jungingen ujrzał uciekające wojska Witolda i zamkniętą w potrzasku wielką chorągiew krakowską, zrozumiał, że to najlepszy moment, aby zadać decydujący cios. Poczł przyplłw mocy Binah, która otuliła go płaszczem matczynej miłości i wiary we własną siłę. Tak bardzo jej teraz potrzebował...

Poprawił na ramieniu tarczę z wymalowanym złotym krzyżem, założył hełm i ujął w dłoń sulicę. W przeciwieństwie do większości rycerzy nie używał kopii, przedkładając szybkość i zwrotność nad siłę uderzenia. Sulicę mógł trzymać w jednej ręce i zadawać ciosy w różnych kierunkach.

Wielki mistrz zdecydował, że sam poprowadzi do boju dwie swoje chorągwie: mniejszą i większą. Tego wymagały powinności wodza i rycerski honor. Na jego znak rozwinięto sztandary, zagrały surmy i kotły. Spiał okrytego śnieżnobiałym kropierzem wierzchowca i ruszył na wroga. Po chwili dołączyli do niego przedchorągiewni, tworząc klin złożony z samych zakonników.

Ulryk von Jungingen postanowił wymierzyć cios w odsłonięty bok chorągwi krakowskiej. Wierzył, że zgodnie ze zwyczajem prowadzi ją do boju sam Jagiełło. Gdyby tylko udało mu się dopaść polskiego władcy, myślał, zrzucić z konia, wbić sztych wprost w serce, bitwa a zarazem wojna rychłó by się skończyła.

Zatoczył niewielki łuk, omijając zbrojnych z gniewskiej komturii, którzy dzielnie stawiali opór Polakom. Kątem oka dostrzegł, że Jan von

Vende walczy zaciekle, jakby drzemała w nim siła lwa. Jednak starzec nie mógł sprostać sprawności rycerzy z chorągwi krakowskiej i nagle jego hełm z pawimi piórami potoczył się pod końskie kopyta. Rzadkie, białe jak mleko włosy rozwiały się, czoło zabarwił szkarłat krwi, a szare oczy zaszyły mgłą. Komtur z Gniewa chwiał się w siodle i wydawało się, że wola życia weźmie górę nad śmiercią, ale po chwili zwałił się martwy na ziemię.

Na znak wielkiego mistrza obie chorągwie przeszły w galop. Zbrojni widzieli już ustawione do nich bokiem szeregi wroga. Pochylili kopie, szykując się do ataku i dopiero wtedy Polacy dostrzegli niebezpieczeństwo. Próbowali obrócić się frontem do nacierającego przeciwnika, ale było już za późno. Impet krzyżackiej szarży był tak potężny, że załamał się cały bok chorągwi krakowskiej. Rozległ się szcęk broni i krzyki umierających.

Rycerze z Krakowa zmęczeni przeszło godziną już walką, nie zdzierżyli krzyżackiej nawałnicy i zaczęli się cofać. Niestety, uczynili to tak niefortunnie, że odłoniли swojego chorążego. Takiej okazji Krzyżacy nie mogli zmarnować i do Marcina z Wrocimowic podjechało dwóch pólbraci, próbując mu wyrwać sztandar.

Pierwszego z nich polski rycerz uderzył tarczą, gruchocząc mu czaszkę, a drugiego zwałił z konia drzewcem proporca. Niestety, drewniany koniec tak nieszczęśliwie zahaczył o popręg siodła, że umykający wierzchowiec wyrwał go z rąk chorążego. Czerwony gonfanon ze znakiem ukoronowanego orła białego znalazł się na ziemi.

Z gardła Marcina z Wrocimowic dobył się krzyk rozpacz, gdy ujrzał godło deptane przez brudne kopyta krzyżackich wierzchowców. Zdawało się, że upadły orzeł rozpościera skrzydła, próbując wznieść się do lotu, ale nie daje rady i tylko bezsilnie wije się na płachcie

sztandaru. Czy to już koniec? Czy wraz z tym symbolem upadła Polska? Zniknięcie głównego znaku bojowego z pola bitwy oznaczało wycofanie wojska, a tym samym klęskę całej armii. Po okolicy poniosła się wrzawa i pewni zwycięstwa Krzyżacy zaintonowali pieśń:

*Christ ist erstanden  
von der Marter alle;  
des soll'n alle froh sein;  
Christus will unser Trost sein.  
Kyrie eleis!  
Wär'er nicht erstanden,  
so wär die Welt vergangen:  
Seit dass er nun erstanden ist,  
so loben wir den Herren Christ.  
Kyrie eleis!  
Alleluja, alleluja, alleluja!  
Des soll'n wir allefroh sein;  
Christus will unser Trost sein,  
Kyrie eleis!*<sup>60</sup>

\* \* \*

Na błękitnej tafli jeziora fale zniekształcały odbicie Mikołaja Trąby i nie sposób było dojrzeć jego zmarszczonego czoła, podkrążonych oczu, ani głębokich bruzd na puciołowatym obliczu. Za to dostojnik doskonale widział majestatycznie pływające szczupaki, ścigające się pstrokate okonie, a nawet zagrzebującego się w mule suma. Nad głową podkanclerzego szumiały liście drzew, śpiewały ptaki, pomiędzy rozbitymi w lesie namiotami słychać było leniwe uderzenia młotka, znak, że w obozie rozpoczęły się prace rzemieślnicze. Wydawać by się mogło, że sielanka zapanowała nad jeziorem łubieńskim, gdyby nie

dochodzący zza wzgórza stłumiony odgłos bitwy.

Mikołaj Trąba wiele by dał, żeby dowiedzieć się, co tam się dzieje. Co prawda, do obozu co jakiś czas przybywali rycerze wymienić rynsztunek lub giermkowie po zapas bełtów, ale oni zbyt wiele nie chcieli mówić i zaraz wracali do walki. Pozostawało cierpliwie czekać.

Przymknął oczy, próbując oddać się medytacjom, ale zbyt wiele niepokojących myśli kłębiło mu się w głowie. Obawiał się tego co przyniesie dzisiejszy dzień. Zastanawiał się, co stanie się ze światem, jeśli przegrają bitwę? Czy zostanie pochłonięty przez spaczenie i przestanie istnieć? Podkanclerzy również był zły na króla, że ten kazał mu zostać w obozie, gdy tam ważyły się losy wojny. Przecież on też był Przebudzonym, na pewno nie tak potężnym jak Jagiełło, ale również dysponował mocą Chokhmah i teraz powinien być przy władcy, wspierać go w tej ciężkiej próbie.

Nagle usłyszał tętent setki końskich kopyt, co znaczyło, że w stronę obozu zmierzał znaczny poczet. Ciury rzuciły się do ucieczki, sądząc, że to nadciąga nieprzyjaciel. Przerażeni rzemieślnicy porzucili swoje kramy, chowając się w leśnej gęstwinie, a straż chwyciła za halabardy, gotowa bronić obozu do ostatniej kropli krwi.

Zza drzew wyłonili się pierwsi jeźdźcy. Z obnażonymi mieczami gnali wprost przed siebie. Podkanclerzy, ujrawszy krzyż na białej chorągwi, cofnął się przestraszony, pewny, że zaraz zginie rozsiekany przez krzyżackie miecze, a jego dusza połączy się ze światłem Najwyższego. Podniósł głowę gotowy z godnością przywitać śmierć i raptem zamrugnął w zdumieniu powiekami. Krzyż na sztandarze wcale nie był czarny, lecz czerwony, a rycerze mieli na zbrojach słomiane powrósła. Okazało się, że byli to zbrojni z czesko-morawskiej chorągwi świętego Jerzego.

Mikołaj Trąba zastąpił im drogę, wnosząc w górę ręce.

- Stać! - krzyknął, próbując nadać swojemu głosowi odpowiednią moc.

Jeźdźcy zwolnili, spoglądając niepewnie na dostojnika. Nie miał już wątpliwości, że to uciekinierzy.

- Rzekłem, że macie się zatrzymać!

Rozkaz zadudnił w głowach rycerzy, jak huk spadającej z gór lawiny. Jeden po drugim zatrzymywali się, otaczając podkanclerzego kręgiem. Przed szereg wyjechał Jan z Sarnowa, dzierżący chorągiew, która tak wystraszyła duchownego.

- Wszystko stracone! - krzyczał przerażony Czech. - Król Władysław i książę Litwy polegli, a wojska nasze rozniesione do szczętu. Trzeba uciekać. Nic tu po nas.

Mikołaj Trąba domyślił się, że Jan z Sarnowa zwinął sztandar, dając tym samym znak do ucieczki dla całej chorągwi. Strach, najpotężniejszy wróg człowieka, wziął nad nim górę.

- Łżesz! Jagiełło i Witold żyją - głos podkanclerzego niczym bicz chłostał zalęknione serca zaciężników. - Jak mogliście sromotnie zbiec z pola walki? Niczym kiepy po lasach się kryjecie, gdy inni za was krew swoją oddają. Czy przystoi to rycerzom?

- My mieli strach - odparł Jan z Sarnowa. - Krzyżacy całą siłą na nas ruszyli. Nic nie oprze się takiej potędze.

- Jak rzekłem, kiepy z was nie mężowie i bardziej przystoją wam niewieście stroje niżli kolczugi - prychnął drwiąco podkanclerzy. - Wracajcie do domów i opowiedzcie, jak to dzielnie stawaliście w boju.

- Wasza dostojność - rzekł poczerwieniały ze wstydu Zygmunt z Rakowa, rycerz który już nieraz z Polakami ramię w ramię stawał i zawsze był miłym gościem na krakowskim dworze. - Przysięgam przed

wami, iż ten tu nasz chorąży sam w bojaźni przed Krzyżakami w las nas wywiódł.

- Prawda! - zakrzyknęli inni.

- Aby nam kto sromoty nie zarzucił, wyrzekamy się Jana z Sarnowa, porzucamy znak jego i zaraz do boju wracamy.

Mikołaj Trąba zrozumiał już, czemu Jagiełło rozkazał mu pozostać w obozie. Monarcha domyślił się, co się może się zdarzyć i wierzył, że jeśli do tego dojdzie, podkanclerzy zdoła opanować sytuację. Nie zawiódł się.

Zygmunt z Rakowa zawrócił konia i ruszył galopem na pole bitwy. W ślad za nim poszli prawie wszyscy rycerze z chorągwi świętego Jerzego. Tknięci wojennym zapalem, napełnieni niezwykłą mocą, zaatakowali pierwszy napotkany oddział. Traf chciał, że była to ścigająca ich chorągiew oleśnicka. Chcąc zmazać hańbę, uderzyli z niezwykłą zaciekłością i w pył rozbili Ślązaków, a młodego Konrada Białego wzięli do niewoli.

Natomiast Jan z Sarnowa z garstką przybocznych pognął na południe. Cały i zdrowy wrócił do Czech, ale zła sława jego haniebnego czynu ciągnęła się za nim przez długie lata. Ponoć żona nie chciała go przyjąć pod dach i do łóżnicy, a on sam dręczony wyrzutami sumienia, zapadł ciężko na zdrowiu i już nigdy nie wsiadł na koń.

\*

W czasie gdy Mikołaj Trąba przemawiał do rycerzy z chorągwi świętego Jerzego, na północnym krańcu jeziora łubieńskiego wielki książę Litwy batem i krzykiem przywoływał swoje wojska do porządku.

- Stać, psułaty! - jego ochryply głos niczym huk kuźniczego młota niósł się po okolicy. - Każę was końmi rozrywać, na pale ponabijać i łby pościnać. Wracać mi tu zaraz!

Trudno powiedzieć, czy w wyniku emanującej od Witolda mocy, siły charakteru, czy też w obawie przed srogą karą, zbrojni zbierali się karnie pod swoimi znakami.

Dżalal ad Din przyglądał się temu z iskierkami rozbawienia w skośnych oczach. Nie mógł uwierzyć, że Litwini tak szybko ustąpili pola, uciekając do swojego obozu. Jego Tatarzy to co innego. Zrobili, co do nich należało. Zgodnie z ustaleniami wykonali manewr pozorowanej ucieczki i teraz ustawieni w szyku czekali na dalsze rozkazy.

Chan tatarski przeniósł spojrzenie na przedpole, skąd dochodziło dudnienie tysiąca kopyt i dostrzegł nadjeżdżających, zakutych w żelazo krzyżackich rycerzy. Wiedział, że lada chwila wpadną do obozu niczym wichur, stratuując wszystko, pozostawiając tylko trupy. Ale wreszcie załopotwały proporce ze słupami Giedymina i litewską Pogonią na znak, że wojsko Witolda było gotowe do boju. W samą porę, bowiem pierwsi z nieprzyjaciół minęli już obozowe wozy i szykowali się do szarży. Dżalal ad Din zauważył, że pewni zwycięstwa zakonnicy rozluźnili szyki i teraz byli podzieleni na niewielkie oddziały, które nietrudno będzie otoczyć i wyrznąć do nogi. Uśmiechnął się na tę myśl, wyciągnął szablę i spojrzał na Witolda.

Wielki książę Litwy dał znak do natarcia.

\* \* \*

Jakuba z Kobylan ogarnął gniew, ale nie taki zwyczajny, podobny do złości, lecz dzika furia, która zawładnęła nim na widok krzyżackiego żołdaka schylającego się po upadłą polską chorągiew. Nie pozwoli, żeby wyświęcony w katedrze wawelskiej sztandar splugawiły ręce niemieckiego pachołka. To przecież był królewski znak, symbol jego narodu.



Oczy mu zabłyśły wydał okrzyk bojowy, który mógłby przestraszyć niedźwiedzia i nie bacząc na zastęp rycerzy zakonnych, popędził wprost na zuchwalca. Krzyżacy zagrodzili mu drogę, ale był jak huragan, rąbiąc wrogów na prawo i lewo w szaleństwie, które dodawało mu sił. Minęło zaledwie kilka uderzeń serca, gdy Jakub znalazł się przy żołdaku zaciskającym już palce na drzewcu chorągwi i jednym szerokim cięciem rozplątał mu głowę. Zaraz pojawili się inni polscy rycerze, w tym Marcin z Wrocimowic, który sięgnął po gonfanon i wzniosł go wysoko w górę.

Biały orzeł ponownie wzbił się do lotu.

Polacy krzyknęli triumfalnie. Wstąpił w nich nowy duch i z jeszcze większym animuszem rzucili się na wroga. Dopiero teraz można było należycie docenić ich kunszt wojenny, doświadczenie i rzemiosło rycerskie, gdyż w każdym z tych aspektów górowali nad Krzyżakami.

Widząc to, Ulryk von Jungingen raz jeszcze próbował porwać swoich ludzi do walki. Przywołując moc Binah, wlał w ich serca otuchę i choć ramiona opadały im ze zmęczenia, rany paliły żywym ogniem, to z mocno zaciśniętymi w bólu zębami atakowali raz za razem. Zgodnie z obyczajem rycerskim największy przykład męstwa dawał sam wielki mistrz, walcząc zawsze w pierwszym szeregu. Jego biały płaszcz splamiła krew tak bardzo, że nie sposób było dostrzec na nim złotego krzyża. Jednak nie miało to znaczenia, bo dzisiaj nie był przywódcą zakonu, a zwykłym zbrojnym, walczącym ramię w ramię ze swoimi braćmi. Złamał już sulicę i teraz zadawał potężne ciosy mieczem. Rozbijał tarcze, ciął po twarzach polskich rycerzy, jego sztychy przebijały zbroje i niewielu miało śmiałość się z nim mierzyć. Nagle poczuł obecność Przebudzonego, ale jego nadzieje okazały się płonne. To nie była aura Jagiełły. Ktoś jednak emanował tak potężną mocą, że

Krzyżakowi zakręciło się w głowie. Rozejrzył się wokół i wtedy dostrzegł rycerza w szmaragdowej zbroi. Wiedział, z kim ma do czynienia, ten człowiek przed rokiem na zamku malborskim ujarzmił wysłannika Hod, a jego samego pozbawił nadziei na rychłe zwycięstwo.

Skrzyżowali oręż. Z brzeszczotów posypały się iskry i zdawać się mogło, że oto walczą bogowie. Ulryk von Jungingen próbował zmiażdżyć przeciwnika siłą i doświadczeniem, natomiast ów rycerz młodzieńczym zapalem i gniewem. Właśnie ten gniew, widoczny w stalowych oczach, emanujący z całej jego postaci, wdarł się do jaźni wielkiego mistrza, zdruzgotał pewność siebie i nasączył ją strachem, który wpełził przez uchylone wrota zwątpienia.

Dostojnik krzyżacki zrozumiał, że dzisiaj nie pokona sługi Netzach. Odstąpił od przeciwnika i rozkazał wycofanie chorągwi. W ich miejsce wjechały odwody.

\*

Dagobert z Saint-Amand nie był w stanie opanować furii, która oplotła go niczym pajęczym kokon. Na nic zdały się żmudne ćwiczenia, długie medytacje, mające na celu zapanowanie nad myślami. Wszystko, czego się do tej pory nauczył, w jednej chwili zostało zapomniane, odrzucone przez wypełnione rozpaczą serce. Cały jego spokój został skruszony niczym mur trafiony kulą wystrzeloną z bombardy. Dzisiaj pragnął tylko zemsty.

I dlatego ryknął wściekle, widząc, jak Krzyżak wycofuje się z walki. Co prawda, zaraz w jego miejsce zjawili się inni wojownicy, ale Burgundczyk chciał zabijać zakonników. A przede wszystkim chciał dopaść Kunona von Lichtenstein. Rozejrzył się po placu boju, ale nigdzie nie mógł go dostrzec, nie pozostało mu zatem nic innego jak rzucić się w wir walki. Chociaż odczuwał już zmęczenie

ponaddwugodzinnym bojem, uderzał raz za razem z taką samą werwą, jak na początku.

Nagle Dagobert usłyszał dźwięk trąb i ujrzał, jak Marcin z Wrocimowic daje znak do odwrotu. W ich miejsce miały wjechać trzy chorągwie podolskie, z których każda miała w herbie twarz słońca na czerwonym polu, a zbrojni już niecierpliwie czekali, żeby utoczyć krzyżackiej krwi. Bitwę rozpoczęli na lewym skrzydle, wraz hufcami z Wielkopolski, ale po pierwszej szarży zostali wycofani, wymienili konie, uzupełnili rynsztunek i teraz byli gotowi do zastąpienia chorągwi krakowskiej.

Jednak Saint-Amand zlekceważył sygnał i nadal parł do przodu. Teraz zdawało mu się, że w każdym z wrogów widzi twarz von Lichtensteina i dla pewności chciał pozabijać wszystkich. Właśnie wbił miecz w gardło rosnącego półbrata, gdy poczuł nagłe szarpnięcie za ramię. Błyskawicznie odwrócił się i zadał cios, który powinien przebić każdą zasłonę. Jednak uderzenie zostało sparowane. Takiej sztuki potrafił dokonać tylko jeden rycerz.

- Zawracamy! - krzyknął Zawisza Czarny.

Saint-Amand w ostatniej chwili wstrzymał rękę.

- Nie!

- Wymienimy konie, odpoczniemy i wnet znów ruszymy w bój.

- Ja tu zostanę.

Dagobert gotów był sam ruszyć naprzeciw całej zakonnej armii, ale Zawisza przytrzymał wodze jego wierzchowca. W miodowych oczach Sulimczyka malowała się troska o przyjaciela.

- Wiem, co zamierzasz - rzekł. - Jednakże twoje przeznaczenie jeszcze się nie wypełniło.

- Śmierć mi pisana.

- Pisane ci życie.
- A po cóż mam żyć?
- Dla niej.

Burgundczyk przypomniał sobie falujące na wietrze płomienne włosy Aine, blade policzki, pełne zrozumienia zielone oczy. Poczł jej zapach, obecność, myśli, którymi cały czas go otaczała. Poczł jej miłość.

Nagle opadła mgła gniewu zasnuwająca umysł Dagoberta. Skinął głową i podążył za przyjacielem.

\*

Chóralne śpiewy radowały serce Kunona von Lichtenstein.

Chorągiew wielkiego komtura wracała z pogoni za wojskami Witolda, ciągnąc ze sobą setki jeńców i wozy obładowane zdobyczami wojennymi. Do samego obozu litewskiego nie dotarł, ale posłał tam chorągiew ostródką pod wodzą Gamratha von Pinzenau, sam zaś postanowił wracać, żeby osobiście obwieścić Ulrykowi von Jungingen wielki triumf. Był przekonany, że na grunwaldzkich polach hufce zakonu również uporały się z wrogiem i teraz trwa już tylko pogrom wojsk polskich.

Ominął mokradła w okolicach północnego brzegu jeziora Lubień, wyjechał z największej gęstwiny i wraz ze swoim ludźmi przemierzał coraz bardziej przerzedzający się las. Do jego uszu dochodził już gwar z pola walki, ale ku zdumieniu wielkiego komtura, nie był to tętent końskich kopyt, triumfalne okrzyki, odgłosy tak charakterystyczne dla pościgu. To był szczęk oręża regularnej bitwy.

Uśmiech zgasł na ustach von Lichtensteina.

Nie zastanawiał się długo. Rozkazał zostawić jeńców, porzucić wozy i galopem powiódł chorągiew na grunwaldzkie pole. Gdy minął ostatnią połąć lasu i wjechał na niewielki pagórek, jego oczom ukazał się

przerażający widok.

Hufce krzyżackie spychane były od strony Stębarka. Pułki smoleńskie, które jeszcze niedawno dogorywały, teraz wreszcie otrzymały wsparcie i z pomocą Krystyna z Ostrowa oraz Dobiesława z Oleśnicy parły na tucholską chorągiew Henryka von Schwelborn. Dzielnie walczyli niemieccy rycerze zaciężni, ale padali jeden po drugim otoczeni przez hufce Zbigniewa z Brzezia. Białą-czarną banderą nieszawską chwiała się w bitewnym zamęciu, aż wreszcie znikła pochłonięta przez falę nacierających Polaków. Znaków bojowych chorągwi brodnickiej i starogrodzkiej także już nigdzie nie można było dostrzec.

Na środku pola też nie działo się dobrze. Chorągwie wielkiego mistrza raz za razem próbowały rozbić hufce z Małopolski, ale odbijały się od nich jak fale od skalistego brzegu. Nieco dalej zbrojni z Brunszwiku, Szczytna i Knipawy starli się z oddziałami książąt mazowieckich i tam trwały najcięższe boje.

Jedynie pod Łodwigowem wojska zakonne przeważały nad Wielkopolanami, ale to w każdej chwili mogło ulec zmianie.

Kuno von Lichtenstein przywołał do siebie dwóch półbraci.

- Odnajdźcie Gamratha von Pinzenau. Niechaj zbierze wszystkich ludzi i wraca na pole bitwy. Rychło!

Zbrojni zawrócili konie i ruszyli do obozu litewskiego, nie spodziewając się, że ten, którego mają odszukać, właśnie ginie od tatarskiej szabli. Oni sami nie przeżyją trzech pacierzy, gdy natkną się na powracające do bitwy hufce księcia Witolda.

Tymczasem wielki komtur wyciągnął miecz i powiódł chorągiew na ratunek krzyżackiej armii.

\* \* \*

Popołudniowe, jeszcze pełne żaru słońce i cisza, jaka panowała w osadzie, czyniły z niej upiorne miejsce. W oddali widać było drewniane chaty, pasące się kozy, biegające po podwórcach kury, ale żadnego człowieka. Na wieść o zbliżających się armiach mieszkańcy wsi czmychnęli do lasu, wychodząc z założenia, że jeśli dwie potęgi postanowiły tłuc się między sobą, to oni, maluczcy, nie powinni im w tym przeszkadzać.

- To Łodwigowo? - spytał Jan z Jicina.

Gniewosz z Dalewic herbu Odrowąż, jasnowłosy młodzieniec o bystrych niebieskich oczach, tylko skinął głową. W przeciwieństwie do Morawianina, który przez całą drogę raczył go opowieściami o jcińskich lasach i grasujących w nich zbójach, nie miał ochoty na rozmowy. Zły był na króla za to, że właśnie jemu wyznaczył zadanie obejścia Łodwigowa i wejścia na tyły nieprzyjaciela. Teraz zamiast, jak na rycerza przystało, potykać się z wrogiem, włóczył się po kniejach w towarzystwie gadatliwych Morawian. Całe szczęście, że będący pod jego komendą Czesi należeli do milczków, bo inaczej panowałby harmider jak w kurniku po wtargnięciu lisa.

Rycerza z Dalewic martwiło, że zanim dobiorą się do wroga, bitwa się skończy, a on nie obłowi się w jeńców i łupy. Wyruszając na wyprawę, zaciągnął pożyczkę w wysokości dwustu grzywien, aby odpowiednio wyekwipować siebie i swoje poczty. Nie szczędząc złota, osobiście prowadził zaciągi do swojej chorągwi, pozyskując wielu znakomitych rycerzy z Czech, w tym Jana Žižkę, który zgodził się służyć pod jego znakiem.

Młodzieniec westchnął ciężko, zmartwiony, że nie będzie miał z czego spłacić pożyczki, bo przecież z okolicznych wiewiórek kirysów nie zedrze, za dzika okupu nie dostanie, a dzięcioły to nie wierzchowce,

które będzie mógł korzystnie sprzedać.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił jadący obok Jan z Jicina.

Gniewosz z Dalewic, zaprzątnięty myślami nie zauważył, że minęli już osadę i znaleźli się po drugiej stronie Doliny Wielkiego Strumienia. Spojrzał na rozpościerające się przed nim pole i jego oczy zabłyśły. Bitwa nadal trwała. Młodzieniec rozpoznał sztandary chorągwi poznańskiej, chorągiew Mikołaja Kurowskiego, Wojciecha Jastrzębca, Dobrogosta Świdwy i Mikołaja Trąby. Polacy mieli naprzeciw siebie bitnych rycerzy z Gdańska, Torunia, Szczytna, Elbląga, Brunszwiku, Engelsberga, a także niemieckich najemników zebranych pod czerwoną flagą z białym krzyżem.

- Chorągiew świętego Jerzego - wyszeptał Jan Žižka.

Gniewosz spostrzegł, jak powieka rycerza niebezpiecznie zadrgała. Przypomniał sobie, że dowódcą chorągwi jest niejaki Krzysztof Gersdorff, zajadły wróg Czecha.

- Zapewne rad jesteś, iż będziesz miał okazję do zemsty - uśmiechnął się rycerz z Dalewic.

- Ona nigdy nie sprawia radości - odparł Žižka. - Żądza zemsty jest jak pijawka, która zamiast krwi wysysa duszę. Marząc o niej każdego dnia, każdej nieprzespanej nocy, człek traci coś z siebie. Pragnąc zabić sprawcę swego nieszczęścia, tak naprawdę pragnie się zabić cierpieniem, ale ono pozostaje.

- Zatem poniechasz go?!

- Tego nie rzekłem - Žižka uśmiechnął się smutno. - Serce zazwyczaj bierze górę nad rozumem.

Gniewosz z Dalewic pokiwał głową. Pomimo młodego wieku wiele rzeczy rozumiał. Wiedział, że życie nie jest proste, kluczy niczym meandry rzeki o bystrym nurcie i nigdy nie można być pewnym tego, co

czeka za zakolem.

Teraz jednak nie było czasu na rozmyślania. Rozkazał zbrojnym ustawić się w szyku bojowym, następnie ujął mocno kopię i poprowadził szarżę na krzyżacką flankę.

\*

Ulryk von Jungingen zeskoczył z konia i zaraz położył się na trawie, próbując złapać oddech. Bitwa trwała już dobrych kilka godzin i nie sposób było policzyć, ile w tym czasie poprowadził szarż, ile koni zajeździł, połamał sulic i stępił mieczy. Jego niegdyś śnieżnobiały wappenrock był szkarłatny od przelanej krwi, naramienniki powgniatane, przyłbica roztrzaskana. Zaraz podbiegli do niego słudzy, podali bukłak z wodą, wymienili rynsztunek. Wielki mistrz uniósł się lekko na łokciach i mrużąc zmęczone oczy, spojrzął na pole bitwy.

Nie wyglądało to dobrze.

Na lewym skrzydle Kuno von Lichtenstein zwał się w walce z doborowymi chorągwiami polskimi: krakowską, sandomierską, wieluńską i halicką. Wiedział, że wielki komtur długo nie wytrzyma i Polacy zdobędą przewagę, zamykając go w okrążeniu. Podobnie rzecz miała się na prawej flance, gdzie wojska Jagiełły obeszyły Łodwigowo.

Najwyższy dostojnik zakonu Najświętszej Marii Panny zrozumiał, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, bitwa zostanie przegrana, a wraz z nią nadzieja na zwycięstwo Binah. Wierzył głęboko, że gdyby Trzecia Emanacja Stwórcy zapanowała nad światem, wszystko uległoby zmianie na lepsze. Grzech pierworodny zostałby odkupiony, rozbite podczas *szewirat hakelim* naczynia na powrót scalone w Wielkim Dziele Zbawienia. Materia, przyczyna wszelkiego zła, przestałaby istnieć, a świat wypełniłby się czystą energią, matczyną miłością Binah.

Ulryk von Jungingen przymknął powieki, pogrążając się w mocy,



przyjmując dary swojej Emanacji. Poczł, jak opuszcza go zmęczenie, w obolałe mięśnie wraca siła, a w umyśle rozbłyła myśl. Zrozumiał, że musi postawić wszystko na jedną kartę, rzucić na szalę swoje życie i los całego zakonu.

Otworzył oczy.

Już wiedział, co musi zrobić.

\* \* \*

Pierwszy dostrzegł ich Dobiesław z Oleśnicy. Najpierw zobaczył tuman kurzu i pomyślał, że to wojska Witolda wracają po haniebnej ucieczce. Jednak coś nie dawało mu spokoju. Litwini zazwyczaj nie jeździli w tak zwartym szyku, ponadto nadjeżdżali od północy, a nie od jeziora łubieńskiego.

Postanowił to sprawdzić. Rozkazał swoim ludziom nacierać dalej, a sam podjechał do wozu po nową kopię i ruszył na spotkanie zbliżającego się hufca. Dobiesław, pomimo że jego chorągiew przez całą bitwę uczestniczyła w walce, wspomagając raz prawą, raz lewą flankę, czuł wielki niedosyt. Dzisiaj zabił kilkudziesięciu zbrojnych, w tym wielu znakomitych rycerzy z Zachodu, ale jeszcze nie miał okazji skrzyżować kopii z zakonikiem. A przecież, jak każdy z Polaków, to ich śmierci pragnął najbardziej.

Jeźdźcy byli coraz bliżej i z tej odległości można już było rozpoznać znaki na sztandarach. Zamiast litewskich symboli Dobiesław ujrzał godła krzyżackich komturii powiewające nad głowami pięciu tysięcy zbrojnych. Na czele jechała setka zakonników odzianych w powiewające na wietrze białe płaszcze i błyszczące w słońcu kirysy. Wyglądali niczym aniołowie śmierci prowadzący boskie zastępy do ostatecznego starcia.

Inny na miejscu Dobiesława zawróciłby konia i czym prędzej pognął

do swoich, wołając o pomoc. Jednak rycerz herbu Dębno był ulepiony z innej gliny. Oczy rozbłysły mu dziką radością, na ustach pojawił się uśmiech i pochylając kopię, ruszył na nieprzyjaciela. Ulryk von Jungingen pomyślał, że słaby wzrok płata mu figle. Zamrugał kilka razy, ale jeździec nadal tam był. Wielki mistrz pokręcił w zdumieniu głową, zastanawiając się, kim jest ów szaleniec, który powążył się zaatakować cały jego hufiec?

A przecież nie był to hufiec byle jaki. Niedaleko Grunwaldu, tuż przy niewielkim lasku, zebrał kwiat rycerstwa zakonu oraz zaciężnych gości i uformował z nich szesnaście chorągwi. Wśród nich był marszałek Fryderyk von Wallenrode, wielki komtur Kuno von Lichtenstein, podskarbi Tomasz de Morcheyn, Henryk von Schwelborn, Arnold von Baden, Wilhelm von Helfenstein, Fryderyk von Zollern oraz wielu innych braci i komturów. Jeszcze nigdy w jednym miejscu i czasie nie zgromadziło się tylu Przebudzonych w świetle Emanacji Binah. Potężna moc wypełniała powietrze wokół nich, osiadała na koronach drzew, płatkach kwiatów, a nawet wdzierła się głęboko w ziemię. Dzisiaj nic nie mogło im się oprzeć.

Von Jungingen najpierw poprowadził hufiec ku wchodowi, a następnie na wysokości Stębarku zawrócił, żeby szerokim łukiem wejść na flankę wojsk królewskich. Taki atak powinien przynieść zwycięstwo.

Zakonnik ponownie zerknął na harcownika, który z daleka krzyczał swoje zawołanie rodowe. Wielki mistrz uśmiechnął się pod nosem. Chętnie zmierzy się z Dobiesławem z Oleśnicy, ulubionym rycerzem króla Władysława. Opuścił zastonę hełmu, mocno zacisnął dłoń na drzewcu sulicy i ruszył galopem ku śmiałkowi.

\*

Dobiesława wypełniała dzika, nieokiełznana radość. Zawsze tak

było na kilka chwil przed starciem. Krew zaczynała szybciej krążyć, serce łomotało, a na czole pojawiały się kropelki potu. Zniknął strach wyparty przez żądzę zabijania. Jedyne, czego teraz pragnął rycerz z Oleśnicy, to wbić grot kopii głęboko w trzewia krzyżackiego dostojnika, utoczyć mu krwi, pozbawić życia. Oczywiście, równie mocno pragnął jego pancerza i konia, które jako zwycięzca będzie mógł potem zabrać.

Wycelował kopię w podbrzusze Krzyżaka, tuż nad łąkiem siodła, wiedząc, że przeciwnik to zauważy i opuści nieco tarczę. Nie pomylił się. Nagle, gdy od starcia dzieliło ich mrugnięcie powieki, Dobiesław uniósł drzewce, zadając cios w głowę zakonnika. Ta sztuczka wymagała niezwykłej siły i doświadczenia, bo niełatwo było w pełnym galopie zmienić kierunek uderzenia ciężkiej, mierzącej cztery metry kopii.

Polak był pewien, że roztrzaska czerep wroga, ale zdumiał się, gdy ten bez trudu podbił sulicą drzewce i grot przeleciał nad głową zakonnika. Łatwość, z jaką Krzyżak to uczynił, zmroziła rycerza z Oleśnicy. Tylko trzech ludzi na świecie potrafiło tego dokonać: Zawisza Czarny, Dagobert z Saint-Amand i Ulryk von Jungingen.

Już wiedział, z kim przyszło mu walczyć.

Szarpnął wodze, zawrócił konia i spostrzegł, że jego przeciwnik już czeka. Zimna zasłona hełmu skrywała jego twarz i nie sposób było nic z niej wyczytać, ale z postawy dostojnika biła taka pewność siebie, że Dobiesław zrozumiał, iż następnego starcia nie przeżyje. Niestraszne mu były całe zastępy zbrojnych, lwy z królewskiego zwierzyńca, nawet tajemnicze potwory z północnych mórz, ale ten jeden człowiek wzbudził w nim przerażenie.

Spiął konia i pognął w stronę polskich chorągwi powiadomić, że zbliża się Ulryk von Jungingen na czele potężnego hufca.

\* \* \*

W czasie, gdy pozostająca w odwodach chorągiew nadworna przygotowywała się do walki z nadciągającym krzyżackim hufcem, przygalopował sekretarz królewski Zbigniew z Oleśnicy.

- Ratujcie króla! - krzyczał na całe gardło. - Jagiełło w niebezpieczeństwie.

Wśród zbrojnych podniosły się trwożne okrzyki. Rycerze zaczęli pospiesznie zakładać hełmy, wiązać rzemienie tarcz, chcąc natychmiast ruszać z odsieczą, ale dowódca chorągwi, olbrzymi brodacz Andrzej Ciołek z Żelechowa uspokajająco wznosił w górę dłoń. Lata spędzone na wojnach nauczyły go, że nigdy nie należy działać pochopnie.

- Co się stało? - spytał młodzieńca.

- Jagiełło ze swym poczem znalazł się na drodze nadjeżdżających Krzyżaków. Pospieszcie się! Trzeba króla osłonić!

Rycerz z Żelechowa spojrział w stronę nieprzyjaciela. Można było dojrzeć już sylwetki galopujących jeźdźców.

- Nie możemy tego uczynić.

- Jakże to tak? - zdumiał się Zbigniew z Oleśnicy.

- Ruszając z odsieczą, tylko zwrócimy uwagę Krzyżaków, którzy domyślą się, iż monarchę chronimy i niechybnie ku nam ruszą. Jedna chorągiew nijakiej szansy mieć nie będzie przeciw całemu ich hufcowi. Jeśli pozostaniemy w miejscu, wróg, widząc uszykowane do walki wojsko, ku nam się skieruje, lekceważąc niewielki poczet stojący na uboczu.

- To jeno wasze przypuszczenia - warknął rozgniewany sekretarz. - Chcecie ryzykować i na szali losu położyć życie króla?

- To najlepsze, co możemy uczynić - uciął dyskusję Andrzej Ciołek. - Wracajcie i rzeknijcie straży przybocznej, żeby nikt oręża nie wyciągał.

Niechaj zwiną proporzec, aby wróg nie rozpoznał królewskich znaków.

- Śmierć monarchy wasze sumienie obciąży - wycedził Zbigniew z Oleśnicy, zawrócił konia i pognął w stronę poczty Jagiełły.

Dowódca chorągwi nadwornej westchnął ciężko, spoglądając za odjeżdżającym i zastanawiając się, dlaczego młodość nigdy z mądrością w parze nie chadza. Następnie skinął na przedchorągiewnych, którzy stanęli u jego boku, formując szpicę. Reszta zbrojnych ustawiła się za nimi w długą kolumnę.

Byli gotowi na przyjęcie wroga.

\*

Dypold Kokeritz von Dieber, jadący na czele krzyżackiego hufca, widział już polskie chorągwie próbujące pospiesznie ustawić się do nich przodem. Uśmiechnął się triumfalnie, pewien, że teraz w pył rozniosą wojska Jagiełły.

Wyruszył na wojnę, licząc na znaczne łupy. Potrafił orężem robić jak mało kto i wielokrotnie zdobywał laury na turniejach. Sława znakomitego rycerza sprawiła, że stawał do pojedynków na sądach bożych w zastępstwie tych, którzy nie potrafili mieczem władać, ale za to hojnie płacili. Jednakże były to drobne sumy w porównaniu z bogactwem, jakie można było zdobyć na wojnie i kiedy wysłannicy zakonu w poszukiwaniu najemników przybyli do jego rodzinnych Łużyc, rycerz nie wahał się ani chwili. Od lat współpracował z Krzyżakami, wypełniając dla nich tajne misje i zawsze dobrze na tym wychodził. Nie wątpił, że i teraz fortuna będzie mu sprzyjać.

Nagle jadący obok niego rycerze zaczęli spoglądać w lewo, na niewielki oddział stojący na pagórku, liczący nie więcej niż setkę zbrojnych. Z tej odległości trudno było powiedzieć czy to wrogowie, czy sojusznicy, bo nie posiadali proporców, jednak wyśmienite konie i pełne

zbroje wskazywały, że był to poczet kogoś znacznego.

Niektórzy z rycerzy zakonnych już pochylili kopie, gotowi do szarży, gdy powstrzymał ich rozkaz wielkiego mistrza, wzywający do kontynuowania objazdu. Ulryk von Jungingen nie zamierzał wdawać się w potyczkę z niewielkim oddziałem, gdy celem były główne siły wroga. Zbrojni posłusznie wrócili do szyku.

Dypolda zdziwiła taka karność w szeregach wojsk krzyżackich. U Francuzów, z którymi ramię w ramię walczył przeciw Anglikom, byłoby to nie do pomyślenia. Tam rola wodza sprowadzała się do wydania rozkazu ataku, a potem każdy z rycerzy sam decydował, na kogo uderzać.

Raz jeszcze spojrzał na mijany poczet i jego serce zamarło. Wśród jeźdźców stojących na pagórku ujrzał kobietę o rudych, rozpuszczonych włosach. Przed oczami stanęła mu Praga, sąd boży na hradczańskim zamku i burgundzki rycerz, który go wtedy pokonał. Ten przybłęda upokorzył go przed królem Wacławem, przed całym czeskim dworem. Porażka, jedyna jakiej doznał w szrankach, wypaliła piętno w duszy łużyckiego rycerza. Teraz pragnął jedynie zemsty. A ta kobieta należała do Burgundczyka.

Wrzasnął ogłuszająco, a w tym krzyku była cała gorycz i gniew, jakie w sobie nosił. Wbrew rozkazom wielkiego mistrza wyłamał się z szyku.

\*

Aine najpierw wyczuła niebezpieczeństwo, a dopiero potem ujrzała pędzącego na nich samotnego rycerza, mającego na sobie białą jakę kroju niemieckiego, opiętą złotym pasem. Opuszczona przyłbica w kształcie psiego pyska nie pozwalała dostrzec twarzy, ale kobieta była pewna, że oblicze napastnika wykrzywia wściekłość. Biła od niego

potężna, niemal namacalna nienawiść. Na przewieszanej przez ramię tarczy widniały trzy złote liście na czarnym tle. Aine poznała ten herb i zrozumiała, że to ona jest powodem szarży.

Jan Mężyk z Dąbrowy podniósł kopię i wysunął się do przodu, gotów ruszyć na śmiałka, ale Jagiełło chwycił go za ramię.

- Nie! - rzekł zdecydowanie. - Ja to uczynię.

Rycerz spojrzał na niego zdumiony.

- Ależ miłościwy królu! Nie godzi się, abyście swój majestat narażali.

- To, co przeznaczone musi się wypełnić - odparł władca i niemalże wyrwał kopię z rąk Jana.

Zanim ktokolwiek zdążył coś uczynić, Jagiełło pognał naprzeciw Dypolda Kokeritza i choć monarcha liczył prawie pięćdziesiąt lat, w bój ruszył z młodzieńczym niemal zapałem. Pewnie trzymał się w siodle, krzepkie ręce mocno ścisnęły drzewce, a moc Chokhmań dodawała mu sił.

Zaskoczona Aine zastanawiała się, dlaczego król to zrobił? Gdyby chodziło o kogoś innego, stwierdziłaby, że to rycerska duma, chęć zaprezentowania swojej siły, lub konieczność udowodnienia czegoś samemu sobie. Ale przecież on był wielkim monarchą, najwyższym z Przebudzonych, wyzbytym zwykłych ludzkich przywar i słabości. Czyżby pomyliła się w jego ocenie? A może to była część wielkiego planu, którego nie rozumiała?

Teraz jednak i tak nie mogła nic zrobić, więc z duszą na ramieniu obserwowała, jak Jagiełło pochyła kopię. To samo uczynił rycerz z Łużyc i tylko chwile dzieliły ich od starcia.

Konie przeszły w galop i nagle rozległ się trzask łamanego drzewca.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że trudno było stwierdzić, kto

kogo trafił. Rycerze z królewskiego pocztu wstrzymali oddech, widząc, jak Dypold Kokeritz nadal pędzi w ich stronę. Wtem jego wierzchowiec zwolnił, a on sam zachwiał się w siodle. Na przyłbicy Niemca dało się zauważyć mocne wgniecenie. Polacy krzyknęli radośnie. Wiadomym się stało, że to Jagiełło wyszedł ze starcia zwycięsko. Król odrzucił strzaskaną kopię i chwycił za miecz.

Tymczasem rycerz z Łużyc powoli dochodził do siebie. Potrząsnął głową, jakby chciał odegnać chwilowe zamroczenie, rozejrzał się wokół i gdy spostrzegł przeciwnika gotowego do walki, również sięgnął po oręż. Już chciał ruszać do natarcia, gdy nagle poczuł uderzenie w potylicę. Zanim pochłonęła go wieczna ciemność, zdołał stwierdzić ze smutkiem, że śmierć z niego zadrwiła. Zamiast umrzeć z grotem wbitym w serce, w bezpośredniej walce z wrogiem, zginął podstępnie napadnięty od tyłu.

Sprawcą jego nieszczęścia był Zbigniew Oleśnicki, który w obawie o życie króla złapał wbity w ziemię ziomek kopii, podjechał do Kokeritza i uderzył go z całych sił w głowę. Wiele lat później, gdy sekretarz królewski będzie chciał piastować wysokie godności kościelne, będzie musiał ubiegać się o dyspensę papieża. Teraz jednak z dumą przyglądał się swojemu dziełu.

- Cóżes, głupcze, uczynił?! - wrzasnął Jagiełło. Podniósł zasłonę i można było ujrzeć jego pałające gniewem oczy. - To nie tak miało się skończyć...

Jagiełło opuścił głowę, zasłaniając twarz rękoma. Podjechała Aine, chwyciła króla za ramię, posłała uspokajającą myśl.

- Zostawcie nas samych - rozkazała zbrojnym. Nie chciała, żeby byli świadkami słabości monarchy. Rycerze odjechali bez słowa sprzeciwu, wiedząc, że ta kobieta potrafi więcej zdziałać niż najmądrzejsi doradcy.



- Wszystko stracone - wyszeptał Jagiełło, gdy zostali sami.

- Dlaczego?

- Ofiara nie została spełniona.

Aine spojrzała w oczy monarchy, próbując wyczytać to, czego słowa nie mogły oddać.

- Ofiara?

- To nasza krew miała zostać przelana.

- Wasza śmierć, panie, miała przynieść zwycięstwo?

Król skinął głową.

- Podczas porannych medytacji objawione nam zostało przez moc Chokhmah, że tylko przelana krew przywódcy powstrzyma spaczenie. Zaraz potem dostąpiliśmy wizji tej właśnie walki i naszej śmierci na tym wzgórzu.

Kobieta zwróciła spojrzenie na pole bitwy, ale wydawać by się mogło, że jej oczy spoglądają na coś niedostrzegalnego dla zwykłych śmiertelników. Źrenice zwężyły się i teraz wyglądały niczym dwie pionowe kreski.

- Objawienie było prawdziwe - zawyrokowała. - Zaś wizja fałszywa.

- Jakże to?

- Wizja nie pochodziła do Chokhmah.

Zdumiony król zamrugął.

- Znacie, miłościwy panie, moc Binah. Potrafi zesłać iluzję, omamić człowieka złudą i spaczyć prawdę. To właśnie uczyniła.

- A śmierć wodza?

Aine przypomniała sobie sny, jakie nawiedzały ją od ponad roku. Na pogrążonym w ciszy jeziorze majestatycznie unosił się piękny, srebrny łąbędź. Nagle nadleciała wrona i próbowała zaatakować jego gniazdo ukryte w trzcinach. Jednakże wystarczyło jedno potężne uderzenie

łabędziego skrzydła, żeby przetrącić jej kręgosłup i pozbawić życia.

Uniosła w górę brew.

- Któż rzekł, że chodzi o waszą miłość?

\* \* \*

Ziemia dudniła pod ciężkimi kopytami tysiąca krzyżackich wierzchowców. Andrzej Ciołek, widząc, że pozostające w odwodzie chorągwie małopolskie skończyły zwrot w stronę nieprzyjaciela, skinął głową chorążemu. Zafalował sztandar z godłem zbrojnego męża na białym koniu i chorągiew nadworna ruszyła do ataku. Za nimi podążyla reszta polskiego rycerstwa.

Jadący na czele Mszczuj ze Skrzyńska uśmiechał się pod wąsem zadowolony, że jako jeden z pierwszych skrzyżuje kopię z nieprzyjacielem. Zastanawiał się, ile wsi można będzie kupić za błyszczące w słońcu zbroje zakonników i dorodne wierzchowce okryte ladrami?

Spłoszone końskim galopem stado wron wzbiło się w niebo i krążyło teraz nad głowami szarżujących Krzyżaków. Rozległo się głośne, złowieszcze krakanie, jakby ptaszyska przepowiadały czyjąś śmierć. Mszczuj zadrżał. Chcąc dodać sobie animuszu, podciągnął wyżej tarczę, na której widniał srebrny łabędź.

Polacy pochylili kopie i przeszli w galop. Po chwili okolicą wstrząsnął potężny łoskot ścierających się mas wojska. Nie pierwszy tego dnia, ale zapewne już ostatni. W zamęcie, jaki zapanował, w stercie trupów, powgniatanych pancerzy, zmasakrowanych koni, trudno było stwierdzić, kto był górą. Odrzucono strzaskane kopie i w ruch poszły miecze, kordy, topory.

Krzyżacy zaciekle parli do przodu i zapewne zdołaliby przebić się przez polskie rycerstwo, by wejść na tyły wojsk Jagiełły, gdyby nie

pewne zdarzenie, które odmieniło losy bitwy.

Ulryk von Jungingen wydawał się być niezwycięzony. Wokół niego trup słał się gęsto, gdy sulicą przebijał pancerze kolejnych nieprzyjaciół. Polacy bali się nawet zbliżyć do siejącego śmierć krzyżackiego mocarza i gdy wydawało się, że nie znajdzie się śmiałek gotowy podjąć walkę, przed szeregiem wyjechał Mszczuj ze Skrzyńska.

Rycerz herbu Łabędź skruszył już kopię i teraz długiej sulicy Ulryka von Jungingen mógł przeciwstawić jedynie miecz. Nie wahał jednak się ani przez chwilę. Spiął konia i skoczył na wroga. Do boju pchała go jakaś niezwykła moc, która wypełniła go spokojem i pewnością siebie. Nie wiedział, z kim przyszło mu się zmierzyć, zrozumiał jednak, że dla tej właśnie chwili żył i zaraz wypełni swoje przeznaczenie.

Wielki mistrz, pewny zwycięstwa, ruszył naprzeciw śmiałkowi i gdy ich wierzchowce mijaly się, uderzył mocno i szybko w odsłoniętą twarz rycerza. Jednak grot sulicy przeciął tylko powietrze. Ulryk von Jungingen wznosił brwi, nie mogąc uwierzyć, że Polak zdołał uchylić się przed ciosem. Oczywiście, zdarzało się, że zbrojni, z którymi się potykał, zasłaniali się tarczą, ale siła uderzenia wyrzucała ich z siodła. Jednak nikomu nie udało się wykonać uniku. Ulryk von Jungingen natychmiast zawrócił konia i zaatakował raz jeszcze. Wysoko wznosił sulicę, markując cios w głowę, jednak niespodziewanie pchnął grot w podbrzusze rycerza i już oczyma wyobraźni widział, jak żelazo drze jakę, przebija kolczugę, wdzierając się głęboko w ciało przeciwnika. Ale Mszczuj i na to był przygotowany. Odczytał zamiar zakonnika, bez wysiłku parując uderzenie tarczą. Rozległ się trzask pękającego drewna i Krzyżak spojrział na przełamaną sulicę. Ryknął wściekle, odrzucając zbędny kikut, poprawił tarczę i sięgnął po miecz. Natarł gwałtownie, z całą furją, jaka w nim płonęła. W bitewnym szaleństwie

uderzał raz za razem, ale Polak parował ciosy, od czasu do czasu wyprowadzając groźne sztychy i cięcia. Wierzchowce rżały, dziko przepychając się i gryząc. Zdawało się, że bój toczą herosi z greckich mitów, a nie ludzie z krwi i kości.

Wokół nich zbrojni zaprzestali walki, utworzyli krąg, obserwując zmaganie mocarzy. Z drżeniem serca oczekiwali rozstrzygnięcia, wiedząc, że zwycięstwo rodaka wznieci w nich bitewny zapal, zaś przegrana go ostudzi.

Dzisiaj Mszczuj ze Skrzyńska był nie tylko rycerzem zabiegającym o sławę, ale również mieczem swojego króla, Polakiem walczącym z nienawistnym wrogiem. Może świadomość tego dodała mu siły, a może tajemne moce, które wielu ludzi wyczuwa, lecz niewielu rozumem ogarnia. W każdym razie rycerz herbu Łabędź, wznosząc rękę do kolejnego ciosu, poczuł, że to właśnie ta chwila i uderzył ze strasliwą mocą. Ostrze miecza rozbiło w drzazgi tarczę zakonnika, roztrzaskało przyłbicę i głęboko wbiło się w czerep Ulryka von Jungingen.

Wielki mistrz zakonu krzyżackiego wypuścił z ręki oręż, odchylił się w siodle i gasnącymi oczami spojrzał w niebo, na którym krążyło stado przeraźliwie kraczących wron. Nie wiadomo, czy w obliczu śmierci nawiedziły go omamy, czy rzeczywiście ptaki zlały się w jedną masę, zamieniając się w olbrzymi czarny wir. Ujrzał, jak powstały twór wysysa ze świata dziwną, brunatną substancję, niedostrzegalną dla zwykłych śmiertelników, a osiadłą na każdej rzeczy, przedmiocie, roślinie, oplatającą ludzkie umysły. Ulryk von Jungingen zrozumiał, że to moc Binah opuszcza świat, odchodzi tam, gdzie jej miejsce - w nicość. Dopiero teraz, gdy umierał, dostrzegł jej prawdziwą naturę. Rację mieli ci, którzy twierdzili, że Trzecia Emanacja Stwórcy zdeformowała światło, pozostawiając je kalekim i złym. Zrozumiał, że wraz z jego

śmiercią spalenie zniknie.

Zamknął oczy i dał się ukołysać ciemności.

\* \* \*

W jednej chwili coś drgnęło na poziomie niezauważalnym dla zwykłych ludzkich zmysłów. Wydawać by się mogło, że światło dnia stało się czystsze, intensywniejsze, jakby zrzuciło otulający je płaszcz mroku. Zerwał się mocny, wieczorny wiatr, przynosząc trudną do uchwycenia świeżość. Dokonało się. Opadła niewidzialna mgła krępująca ludzkie umysły, zniknął lęk od lat trawiący serca.

Polacy krzyknęli radośnie, widząc, jak dostojnik krzyżacki spada z konia i niesieni euforią rzucili się na zakonników, którzy, pozbawieni przywódcy oraz mocy Binah, zupełnie stracili nadzieję. Przerażeni, nie mogli sprostać śmiałym, zaciekłym atakom polskich rycerzy.

Pierwszy, przebity mieczem Mikołaja Powały z Taczowa, poległ Tomasz de Morcheyn, krzyżacki skarbnik. Nie zdzierzył Fryderyk von Zollern ani Wilhelm von Helfenstein, który legł z odrąbaną głową. Fryderyk von Wallenrode stanął oko w oko ze Zbigniewem z Brzezia, który na czele swojej chorągwi wdarł się z impetem w szeregi wroga. Marszałek zakonu w ferworze walki zgubił gdzieś szłom i teraz jego rude włosy rozwiewał wiatr. Uśmiechał się jednak zadowolony, że wreszcie będzie mógł udowodnić swoją wyższość nad tym zarozumiałym polskim szlachcicem.

Pierwsza wymiana ciosów była nastawiona na wycucie przeciwnika, brzeszczoty uderzyły o tarcze, nie wyrządzając żadnemu z walczących krzywdy. Wierzchowce zatańczyły i rycerze ponownie się starli. Młodszy i silniejszy Fryderyk von Wallenrode uderzał mocno, ale marszałek koronny bez najmniejszego trudu wszystkie ciosy parował. Wreszcie pot zrosił czoło zakonnika, cięcia stały się wolniejsze, a

zmęczona ręka zadrżała. Na to czekał Zbigniew z Brzezia.

Dzięki doświadczeniu zdobytym na polach bitew udało mu się przechytrzyć wroga, przyjmując cios na zastawę, a jednocześnie własną tarczą zahaczyć o tarczę przeciwnika i odchylić ją na tyle, żeby wbić sztych w pierś Krzyżaka. Zmęczony von Wallenrode nie zdołał odbić pchnięcia. Ryknął przeraźliwie, bardziej z wściekłości niż bólu i gasnącymi oczami spojrzał na wbity prawie do połowy brzeszczot. Krzyżacki dostojnik, czując, jak uchodzi z niego życie, próbował wyszeptać modlitwę bądź przekleństwo, ale z ust popłynęła tylko krew. Zachwiał się w siodle i spadł wprost pod końskie kopyta. Zbigniew z Brzezia nawet nie zaszczycił spojrzeniem martwego wroga, zawrócił wierzchowca w sam środek bitwy.

Do walki włączyła się również chorągiew krakowska i na dobre powstrzymała impet krzyżackiego uderzenia. Wojska zakonu zaczęły się cofać, ale na ich tyłach nagle znalazły się hufce litewskie, które dopiero teraz powróciły na plac boju. Okrążeni Krzyżacy próbowali przebić się ku północy, do swojego obozu pod Grunwaldem, jednak niewielu z nich ta sztuka się udała i zakonnicy zrozumieli, że bitwy już nie wygrają, a jedyne co im pozostało to honorowa śmierć. Na ujście z życiem liczyć nie mogli, bowiem zbyt wiele nienawiści budziły czarne krzyże na ich szatach.

Wielki szpitalnik Werner von Tettingen, ten sam, który przed kilkoma dniami oskarżał Jana von Vende o tchórzostwo, teraz sam, porzuciwszy swoich towarzyszy, przebił się przez pierścień okrążenia i uciekał tak długo, aż zatrzymał się dopiero w Elblągu. Pogrom wojsk krzyżackich taką napęłnił go grozą, że doznał pomieszania zmysłów i już do końca swoich dni nie odzyskał rozumu.

W jego ślady poszedł również Henryk von Schwelborn, komtur

tucholski, do którego należały dwa miecze przysłane Jagielle przed bitwą. On nie miał tyle szczęścia, co wielki szpitalnik i zaledwie kilka mil od Grunwaldu, we wsi Wielhniów został doścignięty przez Tatarów. Dżalal ad Din opowiadał później, że ten pyszny i dumny Niemiec na kolanach skamlał o litość. Ale miłosierdzia mu nie okazano.

Albrecht von Schwarzburg dzielnie odpierał ataki Polaków, dopóki nie ujrzał nacierającego na niego rycerza z różą na tarczy. Zakonnik rozpoznał godło i zadrżał. To był Tomasz Kalski, o którym przy obozowych ogniskach krążyły legendy. Ponoć przed dwoma laty, gdy uczestniczył w wyprawie Zygmunta Luksemburskiego na Bośnię, w pojedynkę rozplątał sześciu doborowych szeklerów z królewskiej straży, za to, że w zdobyczym zamku usiłowali pohańbić córkę kasztelana. Polak odrąbał głowy zabitych najemników, zatknął na włóczniach pośrodku węgierskiego obozu i obiecał, że spotka to każdego, kto niewieściej czci nie uszanuje. Przerażony Albrecht von Schwarzburg opuścił oręż, zawrócił wierzchowca i próbował ucieczki, ale w tłoku nie mógł się przebić. Potężne uderzenie kopii przetrąciło mu kręgosłup i wyrzuciło z siodła. Umarł w męczarniach, tratowany przez końskie kopyta.

Jedynie Kuno von Lichtenstein nie uległ panice. Zebrał wokół siebie przeszło setkę zbrojnych, uformował z nich szyk i choć krwawiący, zmęczeni kilkugodzinnym bojem, raz po raz odpierali szarżę Polaków. Biały gonfanon z czarnym krzyżem nadal dumnie łopotał nad ich głowami. Wielki komtur, jak przystało na ostatniego z żywych dostojników zakonu, walczył w pierwszym szeregu, dając przykład męstwa. Choć bitwa była już przegrana, okrzykami zagrzewał swoich ludzi.

Nagle poczuł aurę Przebudzonego. Rozejrzał się i ujrzał, jak przez

krzyżackie szeregi, niczym błyskawica przedziera się samotny jeździec, który wściekłymi uderzeniami miecza wyrąbuje sobie ku niemu drogę. Słabe już promienie słońca odbijały się od zbroi rycerza, tworząc wokół niego dziwną, szmaragdową poświatę i Kuno von Lichtenstein w pierwszej chwili myślał, że ma do czynienia z aniołem. Ale gdy ujrzał oblicze jeźdźcy, zrozumiał, że to demon przybył po niego z najgłębszych otchłani piekła. Za uchyloną zasłoną hełmu spostrzegł upiornie bladą twarz i stalowe, przepelnione nienawiścią oczy.

Kuno von Lichtenstein nie przestraszył się. Pomimo że znał siłę i moc Przebudzonych w świetle Emanacji Netzach, odważnie wystąpił przeciw wrogowi. Nie spodziewał się jednak takiej furii, jaka uderzyła w niego niczym huragan. Miecz rycerza spadał na zakonnika raz za razem, a każdy cios miał siłę gromu. Mniej doświadczony szermierz dawno spadłby z konia i leżał na ziemi z roztrzaskaną czaszką, ale von Lichtenstein bronił się dopóki jego tarcza nie pękła w pół.

Dopiero wtedy dosięgło go przerażenie i pragnienie życia wzięło górę. Uderzył mocno ostrogami boki wierzchowca i pognął przed siebie, byle dalej od tego szaleńca. Jakimś cudem przebił się przez pierścień okrążenia, szerokim łukiem ominął Litwinów, którzy zajęci masakrowaniem niewielkiego krzyżackiego oddziału nie zwrócili na niego uwagi i skierował się na południe, w stronę jeziora Lubień. Miał nadzieję, że tam zapadnie w knieję, przeczeka bitwę, a o zmroku ruszy do Malborka.

Nie bał się śmierci, jak każdy rycerz potrafił ją przyjąć z honorem, ale na wspomnienie sługi Netzach przeszły go ciarki. Zastanawiał się, za co ten człowiek żywił do niego taką nienawiść? Wielki komtur w swoim życiu skrzywdził tysiące ludzi, setka z nich obiecała mu pomstę, ale zaledwie garstka mogła to uczynić. Jednak tego człowieka nie mógł



sobie przypomnieć.

Obejrzał się i ze zgrozą stwierdził, że rycerz w szmaragdowej zbroi podąża za nim. Zakonnika oblał zimny pot, zacisnął kurczowo dłonie na wodzach, czując, jak skórzane rzemienie mocno wpijają mu się w palce i - widząc zbawczą ścianę lasu - dał koniowi ostrogę. Już tylko niecałe staje dzieliło go od ocalenia.

Nagle jego wierzchowiec dziko zarżał, zatrzymał się i nie chciał postąpić ani kroku dalej. Zaskoczony Krzyżak rozejrzał się. Zewsząd otaczały go bagna, a on znalazł się na samym środku grzęzawiska. Wiedział, że zwierzę dalej nie pójdzie. Nie czekał. Zeskoczył z konia i dalej ruszył pieszo. Przecież las był niedaleko.

Ciężko dysząc, brnął przez moczary, szukając bezpiecznego przejścia, ścieżki wiodącej do ocalenia. Kluczył pomiędzy zdradliwymi trzęsawiskami, pokrytymi zielonym kożuchem rozlewiskami, zarośniętymi stawami, uważając, żeby nie zrobić fałszywego kroku i nie zapaść się w bagienną toń. I kiedy już na wyciągnięcie ręki miał zbawczą gęstwinę, poczuł za plecami obecność swojego prześladowcy. Odwrócił się.

- Kim jesteś? - wyszeptał.

\* \* \*

Jan Žižka mocno uderzył toporem i przeciwnik z rozłupaną czaszką spadł z konia, wypuszczając z rąk chorągiew komturii i miasta Engelsberg. Czeski rycerz zamiast zaatakować kolejnego z wrogów, opuścił oręż i zamglonym spojrzeniem wpatrywał się w deptaną przez końskie kopyta czerwoną płachtę z wizerunkiem pięknego, białego anioła. I nagle przed oczami stanęła mu Katarzyna o skórze delikatnej jak jedwab, dużych brązowych oczach i uśmiechu, który kruszył serca najtwardszych mężów. Wielu się o nią starało, ale to właśnie jego

pokochała. Rodzice dziewczyny nie mieli nic przeciw ich zaręczynom, bowiem Žižka nie dość, że był panem na Trocnovie, to jeszcze miał poważanie na królewskim dworze.

To był najpiękniejszy czas w jego życiu. Zakochani spacerowali po sadach, szepcząc sobie miłosne zaklęcia, podziwiali kolorowe kwiaty na łąkach, jeździli na konne przejażdżki, podczas których udawało mu się skraść kilka pocałunków. Odliczali dni do ślubu, ciesząc się, że wreszcie będą należeć tylko do siebie. W tamtych dniach nic oprócz Katarzyny nie miało znaczenia.

Niestety, jego szczęście zostało gwałtownie zdmuchnięte niczym pochodnia na wietrze.

Otrząsnął się z zadumy. Rozejrzał wokół i spostrzegł, że zbrojni z poznańskiego hufca odcięli drogę ucieczki około czterdziestu jeźdźcom z chorągwi świętego Jerzego. Toczyli z nimi zacięty bój, gdyż Niemcy nie zamierzali łatwo sprzedać skóry.

Wtedy w tłumie walczących Žižka dostrzegł sprawcę swojego nieszczęścia. Gniew w nim zapłonął i nie namyślając się, wjechał w sam środek zamętu.

- Jest mój! - krzyknął, roztrącając poznańskich rycerzy, którzy przymierzali się już do ataku na Krzysztofa Gersdorffa. Polacy, widząc szaleństwo w oczach Czecha, odstąpili bez słowa.

Zakrwawiony i zmęczony walką rycerz ze Śląska, ujrawszy Žižkę, uśmiechnął się smutno. Na jego szczupłej twarzy próżno by szukać śladu lęku, za to dostrzec można było ulgę, jakby pragnął tego spotkania od dawna.

- Skończmy to wreszcie - rzekł.

Zsiedli z koni, poprawili tarcze, mocno chwycili oręż i zaczęli krążyć wokół siebie.

- Długo na to czekałeś, Janie.

- Dziesięć lat - odparł Žižka i pierwszy uderzył toporem. Ślżzak zasłonił się tarczą, a następnie pchnął mieczem. Czech wykonał półobrót, unikając sztychu.

Rozpoczęła się mordercza wymiana ciosów, a każdy z nich powinien roztrzaskać szłom i zmiażdżyć czaszkę. Ale spotkali się dwaj znakomici rycerze, silni, wytrzymali i żaden z nich nie popełniał błędu.

Gdy zabrakło im tchu, odstępili i ciężko dysząc, przyglądali się sobie, uważnie wypatrując słabego punktu w obronie przeciwnika. Po chwili ponownie zaczęli krążyć niczym dzikie zwierzęta.

- Byliśmy przyjaciółmi - rzekł Gersdorff, ocierając pot z twarzy.

- Dawno przestaliśmy nimi być.

- No, tak - zabrzmiał szyderczy śmiech. - Od czasu, gdy nie przyjechałeś na mój ślub.

Oczy Czecha zapłonęły dziko, ryknął rozdzierająco i rzucił się na przeciwnika. Uderzał raz za razem, rąbiąc z góry, z dołu, z boków. Wydawało się, że topór Žižki jest lekki jak piórko, ale każdy cios miał moc huraganu. Migające stylisko błyszczało szkarłatem promieni zachodzącego słońca, ale lada chwila mogło pokryć się szkarłatem przelanej krwi.

Ślżzak rozpaczliwie zasłaniał się tarczą, cofając krok za krokiem, a oszalały z wściekłości i bólu czeski rycerz napierał. Dzisiaj nienawiść wybuchła ze zdwojoną siłą, otworzyły się niezasklepiene rany, wspomnienia wypłynęły na zewnątrz i cierpienie ponownie wypełniło serce.

Jan Žižka pragnął śmierci Krzysztofa Gersdorffa za to, że ten, będąc jego przyjacielem, śmiał zakochać się w tej samej kobiecie, za to, że próbował zdobyć ją miłosnymi wyznaniem, za to, że gdy one nie

przyniosły skutku, zdecydował się ją porwać.

Wraz z ojcem dziewczyny wszczęli pościg. Niestety, gdy nad ranem trafili do kryjówki Ślązaka, było za późno. Katarzyna została zhańbiona. Zastali ją siedzącą na łożu, zapłakaną, zakrywającą się strzępami odzieży, a pewny siebie Gersdorff, powołując się na odwieczny obyczaj w kwestii porwanych niewiast, śmiało prosić jej ojca o rękę. Wtedy Žižka nie zdzierzył, powalił Ślązaka na ziemię i już miał pozbawić życia, gdy Katarzyna stanęła w obronie swojego oprawcy. Głęboko wierzyła, że wszystko, co ludziom się przytrafia, jest częścią boskiego planu i trzeba to przyjąć z pokorą. Widocznie Bóg zdecydował o ich losie tak, a nie inaczej. Zgodnie z obyczajem wyszła za mąż za Krzysztofa Gersdorffa.

- Od tamtej pamiętnej nocy wołała już mnie - roześmiał się rycerz ze Śląska, gdy na chwilę Czech zaprzestał szaleńczego ataku.

- Gdyby to była prawda, pozostałaby z tobą - odparł Žižka.

Teraz Gersdorff zaatakował z furją.

Katarzyna, jak na przykładną żonę przystało, była swojemu mężowi posłuszna, jednak na jej twarzy próżno było szukać oznak szczęścia, na ustach uśmiechu, a oczy zawsze miała przygaszone. Nie mogła zapomnieć o Janie, który po tym wydarzeniu wyjechał z kraju. Brał udział w licznych wyprawach wojennych, od gorących afrykańskich piasków, do lodowych wybrzeży Norwegii. Do ojczyzny wrócił po trzech latach i wtedy dopadła go przeszłość, od której uciekł.

Pewnego dnia na dworze Wacława Luksemburskiego ponownie spotkał Katarzynę. Nie trzeba było wiele czasu, żeby ich miłość wybuchła nowym ogniem. Kobieta porzuciła męża, nie zważając na zasady, nie przejmując się potępieniem przez rodzinę, księży, a nawet wolą Boga, na którą się niegdyś powołała, i sprowadziła się do

Trocnova. Žižka wierzył, że teraz ich życie potoczy się wreszcie tak, jak powinno.

Nagle tarcza Czecha rozpadła się na pół, a ułomek drewna ugodził go w twarz. Poczuł przeszywający ból w prawym oku i już wiedział, że je stracił. Spłynęło po policzku wraz z krwią. Czech, mimo cierpienia, nie zaprzestał walki. Uchylił się przed ostrzem miecza, odrzucił topór i przywarł do przeciwnika, chwytając go wpół. Zamknięty w żelaznym uścisku Gersdorff również wypuścił zbędny oręż i teraz rycerze przepychali się, próbując nawzajem wywrócić. Mocowali się dłuższą chwilę i gdy wydawało się, że zmęczony, ciężko ranny Žižka ulegnie, ten nagle podciął Ślązaka. Oszolomiony Gersdorff padł na plecy, szybko chciał się podnieść, ale nie dał rady. Czech już przyciskał go kolanem do ziemi, uderzając kilkakrotnie opancerzoną pięścią w twarz, miażdżąc nos i wybijając zęby.

- Łaski - wychrypiał rycerz ze Śląska.

Jan Žižka wyszarpnął zza pasa mizerykordię i przyłożył ostrze do gardła przeciwnika.

- Otrzymasz ją. Ubiję cię jak wieprza. Okażę ci miłosierdzie, jakiego ty nie okazałeś Katarzynie.

- Spotkało ją to, co zgodnie z prawem czeka niewierną żonę - wyrzęził pokonany.

- Ty bydlaku! - wrzasnął Czech, mocniej przyciskając ostrze puginału. Na szyi Ślązaka pojawiły się kropelki krwi. - Za to co jej zrobiłeś...

- Miałem do tego prawo.

- Prawo?!

Žižkę ogarnęła kolejna fala wspomnień. Pod jego nieobecność Gersdorff najechał Trocnovo, spalił domostwo, sługi wymordował, a

Katarzynę zakopał żywcem. Jakże ona musiała cierpieć, umierając w ciemnościach, głęboko pod ziemią.

Krzysztof Gersdorff spojrzął w oblicze byłego przyjaciela. Wydawało mu się, że ma przed sobą demona o bladej, wykrzywionej nienawiścią twarzy, z olbrzymią raną ziejącą w miejscu oka. Zrozumiał, że zaraz zginie. Pogodził się z losem. Miał tylko nadzieję, że na tamtym świecie Katarzyna mu wybaczy. Na wybaczenie ze strony Jana nie mógł liczyć.

- Kończ - wyszeptał.

Žižka już chciał przeciągnąć ostrzem mizerykordii po gardle Ślązaka, gdy ktoś chwycił jego rękę.

- Pamiętasz, co mi niedawno rzekłeś? - To był Gniewosz z Dalewic.

- Zemstą cierpienia nie zabijesz, ono i tak w tobie pozostanie.

Czech zawahał się, ale nie zdjął ostrza z szyi Gersdorffa. Rozejrzał się wokół, jakby wyrwano go z koszmarnego snu. Na polu zaprzestano już walk. Pozostali przy życiu zbrojni z krzyżackiej armii poddawali się, składali broń i sztandary. Przyjechały wozy i pachołkowie zakuwali jeńców w kajdany.

Jan ponownie przeniósł spojrzenie na Ślązaka, który bladej niczym pergamin, z przymkniętymi powiekami, oczekiwał ostatecznego cięcia. Ręka Žižki zadrżała, w ocalałym oku pojawiły się łzy, popłynęły po policzku, mieszając się z krwią. Dopiero teraz, po dziesięciu latach mógł opłakać śmierć Katarzyny. Wreszcie pozwolił jej odejść w spokoju.

Odrzucił mizerykordię i stanął chwiejnie na nogach.

\* \* \*

Dagobert Saint-Amand szedł wolno, nie spieszył się, nie było potrzeby. Kuno von Lichtenstein już nie mógł mu uciec. Zakonnik

wyciągnął miecz, ale zamiast stanąć do walki, zaczął się cofać.

- Czemu mnie ścigasz?

Burgundczyk milczał.

- Liczysz na okup? - roześmiał się Krzyżak. - A któż ci go wypłaci?

Wątpię, żeby po dzisiejszym dniu zakon przetrwał...

- Nie zamierzam brać cię w niewolę - odparł Dagobert, nie przerywając marszu. - Jestem tu, aby odebrać ci życie.

Dreszcz przeszedł po plecach von Lichtensteina, bo wiedział, że opuszczony przez moc Binah nie sprosta temu człowiekowi.

- Dlaczego? - zawołał piskliwie. - Cóż ci uczyniłem?

W oczach Burgundczyka pojawił się ból.

- Zabiłeś kogoś, kogo kochałem.

- Wielu zabiłem. Trudno ich wszystkich spamiętać.

Zakonnik poczuł, jak jego okuty, żelazny but zapada się w grząski, bagienny grunt. Nie zatrzymał się jednak, w nadziei, że rycerz z obawy przed utonięciem dalej za nim nie pójdzie.

Mylił się.

Jego prześladowca nawet nie zwolnił kroku i był już na wyciągnięcie ręki. Wielki komtur zrozumiał, że zaraz błysnie stal, a on nie znajdzie w sobie nawet na tyle siły, żeby sparować cios. Umrze na dalekich mokradłach, gdzie nikt go nie pochowa. Martwe ciało rozdziobią wrony, które niczym zwiastun śmierci już krążyły nad jego głową.

- Miał na imię Gilbert - rzekł Dagobert głosem, który mógłby zmrozić piekło. - Jasnowłosy chłopiec, który zmarł w lochach Dobrowna.

- Ścigasz mnie, żeby pomścić życie nędznego grajka?! - zdumiał się Kuno von Lichtenstein. Nie przestawał się cofać, zapadając się w coraz większą maź.

- Grajka? - zdziwił się z kolei Saint-Amand.

- Tego, co zabił wójta z Osiekowa.

Burgundczyk zamarł w pół kroku. Krew odpłynęła mu z twarzy, natomiast oczy zabłyśły. Obudziła się w nim nieśmiała nadzieja.

- Ja mówię o chłopcu porwanym dwa dni temu z polskiego taboru.

Krzyżak również się zatrzymał, gdyż bagno sięgało mu już do połowy ud.

- Poniechaj mnie, a rzeknę coś, co cię uraduje.

- Mów!

- Przymknij na swój honor, że mnie przy życiu zostawisz.

- Przysięgam - odparł Saint-Amand. - A teraz gadaj!

Dagobert przymknął powieki, wstrzymał oddech.

W oczach mu pociemniało, serce waliło jak oszalone, jakby chciało się wyrwać z piersi, a ręce drżały. Jakże pragnął usłyszeć to, o czym nie śmiał marzyć.

- Otrok żyw jest.

Nadzieja, która dopiero co wychynęła z udręczonego umysłu Dagoberta, zamieniła się w dziką radość, przywróciła pragnienie życia. Świat ponownie wypełnił się barwami.

- Gdzie... - Burgundczyk miał sucho w gardle. - Gdzie on jest?

- A mnie skąd to wiedzieć? - zakonnik wzruszył ramionami. Tkwił w kleistej żyburze już prawie po pas. - Przewiozłem chłopca z Dobrowna do obozu pod Grunwaldem i trzymałem związanego w swym namiocie. Wieczorem chciałem... hm, zbliżyć się do niego, ale pies na usługach Jagiełły, zdrajca, co zakon porzucił, napadł mnie i przez łeb zdzielił. Gdym się ocknął, obu już nie było.

Umilkł, z przerażeniem stwierdzając, że coraz bardziej się zapada. Próbował się wyszarpnąć, ale to tylko pogorszyło jego sytuację,



zanurzył się w bagnie po pierś.

- Ratuj - wyszeptał.

Burgundczyk skrzywił usta w uśmiechu.

- Obiecałem jeno, że cię nie zabiję.

W zimnych oczach Krzyżaka pojawił się zwierzęcy strach.

- Błagam...

Dagobert spojrział w górę, na krążące na niebie stado czarnych ptaków.

- Wrony dotrzymają ci towarzystwa.

Odszedł, nie oglądając się za siebie. Wsiadając na koń, słyszał jeszcze przez chwilę rozpaczliwe krzyki Kunona von Lichtensteina, a potem już tylko krakanie ptaków.

\* \* \*

Grunwaldzkie pole aż po widnokrąg zasłane było trupami i wydawało się całe skąpane we krwi, ale to zachodzące słońce okryło je prawdziwym całunem szkarłatu. Gdzieś rozbrzmiewał jeszcze tętent końskich kopyt, szczęk oręża, krzyki mordowanych, ale obozowe ciury już rozlażyły się po poboju w poszukiwaniu łupów. Pachołkowie obdzierali poległych z pancerzy, ubrań i butów. Takie było odwieczne prawo wojny, taka była natura ludzka.

- To koniec - szepnął Jagiełło.

- Tak, wasza królewska mość - odparł Jan Sokół. - Zamknęliśmy Krzyżaków w dwóch pierścieniach, ale psubraty przedostają się i uciekają na Grunwald, Frygnowo i Samin. Posłałem za nimi moich Czechów. Zanim słońce zajdzie, dopadną ich i wybiją.

Monarcha uśmiechnął się lekko. Mówiąc, że to koniec, miał na myśli nie tylko bitwę, ale również misję, której poświęcił trzydzieści lat życia. Przez ten czas z niezłomną cierpliwością planował wojnę, zmagając się

nie tylko z krzyżacką nawałnicą, ale również z własną rodziną, panami polskimi, a nawet ze zmarłą Jadwigą, która przeciwna była rozprawie z zakonem. Zawierał sojusze, pozyskiwał sprzymierzeńców, kupował ludzi i posyłał szpiegów po to, żeby dzisiaj święcić triumf. Teraz wreszcie będzie mógł odpocząć, zagrożenie minęło. Niemal namacalnie czuł, że spaczenie ustąpiło, a światło na powrót stało się tym, czym było na początku stworzenia.

Głęboko wciągnął w płuca świeże, wieczorne powietrze.

- Niechaj dwie chorągwie zajmą krzyżacki obóz pod Grunwaldem - rzekł. - Po jego zdobyciu każ rozbić wszystkie beczki z winem, żeby wojsko znużone walką i skwarem nie popiło się. Nadal musimy mieć się na baczności.

Jagiello spojrzał na północny horyzont, który zdołał otulić się już całunem nocy.

- Jutro skoro świt ruszymy na Malbork. Dzisiaj pokonaliśmy zbrojne ramię zakonu, ale musimy jeszcze przebić jego serce, żeby nigdy więcej jego potęga się nie odrodziła.

Jan Sokół skłonił się nisko i odjechał.

Zmęczony król, w oczekiwaniu na przybycie taboru z Ulnowa, spoczął na pościeli uczynionym z naciętych jaworowych gałęzi. Spoglądał na zbrojnych powracających z pościgu, którzy obładowani łupami ciągnęli za sobą korowód jeńców. Dopiero następnego dnia monarcha miał się dowiedzieć, że podczas bitwy poległo około dwustu rycerzy zakonnych, a pozostałych pięćdziesięciu zdołało zbiec lub dostało się do niewoli. Moc Binah została złamana.

Zaczęło padać. Jagiello odchylił w tył głowę, pozwolił, żeby woda splukała brud i kurz oblepiające twarz, oczyściła ze wszystkiego, co nagromadziło się w nim przez te wszystkie lata. Czy jednak cokolwiek

zdoła ukoić jego sumienie? Posłał tysiące ludzi na śmierć, drugie tyle zostało kalekami. Uczynił niewiasty wdowami, a dzieci sierotami. Czy było warto?

Spaczenie zostało powstrzymane, świat uratowany, ale czy stanie się przez to lepszy? Wojny jak wybuchały tak nadal będą wybuchać, a ludzie krzywdzić siebie nawzajem, bo nie ma takiego okrucieństwa, którego człowiek nie wyrządziłby drugiemu człowiekowi. Przeminały wieki, a nic w tym względzie się nie zmieni.

Wreszcie nadjechały wozy i pachołkowie zabrali się za rozstawianie namiotów. Do obozu zwożono rannych, którymi zajmowali się medycy lub księża, gdy już nie było żadnej nadziei. Zapłonęły ogniska, zaczęto przygotowywać stawę i powoli zalegała cisza tak upragniona po bitewnym zgiełku. Jagiełło zachrypniętym głosem wydał ostatnie polecenia woźnemu królewskiemu, a potem powieki mu zaciążyły i zapadł w spokojny sen.

Pierwszy taki od wielu, wielu lat.

## Rozdział 4. Twierdza

Henryk von Plauen śnił koszmary. Przynajmniej każdy człowiek o zdrowym umyśle tak nazwałby owe potworności, ale komtur ze Świecia był ulepiony z innej gliny. Ze wszystkich dostojników zakonu krzyżackiego on wyróżniał się największym okrucieństwem. W lochach swojego zamku urządził katownię, której pozazdrościć mu mogli najbardziej szaleni władcy. Wieczorami schodził do podziemi i własnymi rękoma torturował więźniów. Ich rozdzierające krzyki rozchodzące się echem w mrocznych korytarzach koły jego chorą duszę, ich jęki doprowadzały go do rozkoszy, jakiej nie mogła mu dać żadna niewiasta.

Nic więc dziwnego, że na ustach śpiącego pojawił się lekki uśmiech, gałki oczne poruszały się pod przymkniętymi powiekami, próbując zachłannie ogarnąć jak najwięcej z objawionego obrazu.

Ujrzał pobojuwisko, a na nim tysiące trupów ludzi i koni, roztrzaskane tarcze, porzucony oręż, sterczące w niebo połamane drzewce kopii, na których przysiadły czarne ptaszyska. Ich dzioby splamione były krwią. Gdzieś dało się słyszeć ciche pojękiwanie rannych, wołanie o pomoc, ale odpowiadało im tylko szydercze krakanie.

A on stał pośrodku tego morza ludzkiego nieszczęścia, niemal namacalnie czując grunt pod stopami, wciągając głęboko w nozdrza powietrze wypełnione zapachem agonii. Zadrżał na myśl o bitwie, która musiała się tu toczyć, o zadawanej śmierci, cierpieniu i poczuł ukłucie zazdrości. Jakże pragnął poprowadzić swoją chorągiew do boju,

zatopić ostrze w serca wrogów, sycić się ich bólem, spoglądać w gasnące oczy, będące bramą między światem żywych i umarłych.

Niestety, wielki mistrz rozkazał mu pozostać w Świeciu i von Plauen wątpił, czy podczas tej wojny będzie miał okazję chwycić za kopię. Zapewne jego kamraci szybko rozprawią się z nieprzyjacielem i cała sława, zaszczyty oraz łupy przypadną w udziale innym dostojnikom. Poczuł, jak ogarnia go wściekłość i pomimo tego, że śnił, zacisnął mocno pięści.

Nagle spostrzegł, że martwi rycerze zakonni zaczęli wygrzebywać się spod sterty trupów. Podnosili się z ziemi i niepewnie rozglądając się po poboju, usiłowali przypomnieć sobie, co tu robią. Wreszcie ich spojrzenia spoczęły na komturze ze Świecia i w zgasłych oczach pojawiło się zrozumienie. Zaczęli iść ku niemu, tworząc makabryczny, niemy pochód.

Śnieżnobiałe niegdyś płaszcze były teraz brunatnoszare, pancerze powgniatane, a przyłbice z pawimi piórami roztrzaskane. Z twarzy zakonników znikła dawna wyniosłość i pycha, ciała naznaczone były straszhliwymi ranami. Niektórzy trzymali się za kikuty odrąbanych rąk, inni zdrapywali zakrzepłą krew z policzków, a byli i tacy, którzy próbowali wepchnąć sobie z powrotem wylewające się jelita.

Maszkary zbliżały się do Henryka, a on rozpoznawał w nich swoich przyjaciół, braci w zakonie. Przerażony chciał się przebudzić, uciec od koszmaru, ale jakaś tajemnicza siła odebrała mu wolę. Rycerze krzyżaccy podchodzili pojedynczo i składali pocałunek na jego czole, a on nie mógł się poruszyć, przyjmując to, co mu ofiarowali. Przekazywali mu swoją moc, wszystko co stracili wraz z życiem, a on pozwalał, żeby wypełniała go potęga ponad dwustu zakonników, z których każdy był sługą Binah.

Ostatnim, który złożył pocałunek, był Ulryk von Jungingen i komtur ze Świecia zrozumiał, że teraz on jest najwyższym Przebudzonym Trzeciej Emanacji.

Otworzył oczy i pól jeszcze śniąc, ujrzał wir unoszący się nad jego głową. Spływała z niego tajemnicza mgła. Zamrugał kilka razy powiekami i wraz ze snem wir zniknął. Wiedział już, co się stało i jak zakończyła się bitwa. Natychmiast zerwał się z łoża, otworzył szeroko okno, pozwalając, aby noc wtargnęła do komnaty. Teraz on był jedyną nadzieją zakonu i wiedział, co musi zrobić.

- Bijcie na alarm! - krzyknął do zaspanych strażników. - Ruszamy do Malborka!

\* \* \*

Okolo północy wiatr przegnał deszczowe chmury, na niebie pojawiły się gwiazdy, rzucając nikłe światło na pogrążoną w ciemności leśną ścieżkę. Co jakiś czas z gęstwiny dochodziły niepokojące odgłosy i Gilbert z niepokojem rozglądał się na boki. I choć dobrze wiedział, że to tylko polujące w chaszczach lisy, pohukujące w głębi lasu sowy, wędrujące nocą jelenie, odczuwał lęk. Spoglądał na majaczące w mroku sylwetki drzew, poruszane przez wiatr gałęzie i zdawało mu się, że widzi upiory wyciągające ku niemu szpony.

Przyspieszył, żeby dotrzymać kroku wysokiemu, zakapturzonemu mężczyźnie, z którym wędrował. To on wczorajszej nocy uratował go przed von Lichtensteinem, bo nie chciał dopuścić, żeby ten sodomita skrzywdził jego dawnego sługę. Ponadto obawiał się o swoje bezpieczeństwo, ponieważ chłopiec znał jego tożsamość i mógł go nieopatrznie wydać.

Po ucieczce z krzyżackiego obozu nie mogli ruszyć wprost na południowy zachód, gdzie ponoć stacjonowały wojska Jagiełły, gdyż

pościg za nimi na pewno skierowałyby się w tamtą stronę. Mężczyzna postanowił, że najpierw pójdą na północ, a następnie skręcą na Olsztynek, tam gdzie zmierzał król z armią. Jednak wcześniej rozgorzała bitwa na polach Grunwaldu i chcąc uniknąć spotkania z uciekającymi Krzyżakami, musieli kryć się w lasach.

Podczas tej doby Gilbert opowiedział swojemu panu o tym, jak przed rokiem na jego polecenie wyprowadził z malborskiego zamku Dagoberta i Aine oraz o wszystkim, co ich spotkało w drodze do Krakowa. Teraz, kiedy ząb czasu zatarł nieprzyjemne wspomnienia, zeszłoroczne wydarzenia wydawały się być beztruską przygodą. Następnie opowiedział o swoim nowym życiu, imieniu, które otrzymał i o szkoleniu na rycerza, Mężczyzna, słuchając, na zmianę marszczył czoło, uśmiechał się lub unosił w zdumieniu brwi. Tak naprawdę cieszył się, że ma znowu przy sobie chłopca, bowiem nie wierzył, że przyjdzie im się jeszcze ze sobą spotkać. Teraz, widząc, jak jego duże, niebieskie oczy błyszczą szczęściem, gdy mówił o Burgundczyku i tej rudowłosej kobiecie, postanowił uczynić wszystko, aby odprowadzić go do nich całego i zdrowego. Najpierw trzeba było jednak przedrzeć się przez lasy pełne maruderów.

Gilbert szedł, ledwie powłócząc nogami. Przez dwie noce oczu nie zmrużył, więc miał dziką ochotę zaleść w trawie, przyłożyć głowę do mchu i zapaść w głęboki sen, nie bacząc na zagrożenie ze strony Krzyżaków, za nic mając leśne strachy. Nie skarżył się jednak i dzielnie dotrzymywał kroku towarzyszowi, tłumacząc sobie, że to kolejny rycerski sprawdzian.

Nagle jego dawny pan zatrzymał się, uważnie czegoś nasłuchując.

- Co się dzieje? - spytał chłopiec.

- Cicho, Znajda - odparł, zwracając się do niego dawnym,

zapomnianym już imieniem.

Zza zakrętu wyraźnie dochodził tętent kopyt.

- Do lasu!

\*

Pochylony w siodle Piotr Świnka popędzał konia, nie bacząc, że po zmroku taki galop był wielce ryzykowny. Niebo już dawno pokryło się aksamitem czerni, a kręta leśna ścieżka była ledwie widoczna. Na szczęście, jego wierzchowiec radził sobie nad podziw dobrze, omijając przeszkody, przeskakując spróchniałe pnie i dzielnie przedzierając się przez chaszczę. Za rycerzem podążał oddział, a raczej jego resztki. Z dwóch tuzinów zbrojnych po bitwie zostało mu zaledwie czterech podkomendnych.

Gdy Piotr Świnka ujrzał, jak chwieje się, a zaraz potem upada największy sztandar zakonu, niewiele myśląc, zebrał swoich ludzi i uciekł z pola walki. Cudem przebił się przez pierścień okrążenia i ruszył na północ, szeroko omijając łukiem obóz krzyżacki pod Grunwaldem, gdzie trwały jeszcze walki. Rycerzowi herbu Świnka nawet nie przyszło do głowy, żeby wspomóc kamratów. Przecież ktoś musiał przeżyć, dotrzeć do Malborka i donieść panom pruskim o przegranej bitwie.

Przezornie podążał leśnymi ostępami rozciągającymi się pomiędzy Ostródą a Olsztynkiem, żeby uniknąć pogoni, która zapewne już ruszyła za krzyżackimi uciekinierami. Liczył, że pościg odbywać się będzie głównymi traktami, a wojska Jagiełły nie ośmielą się wjechać między drzewa.

Piotr Świnka nie był tchórzem, lecz dobrze wiedział, że bitwa jest przegrana, a on nie chciał umierać w imię honoru. Nie mógł się też poddać, bo gdyby to uczynił, zawisłby na najbliższym drzewie. Polacy nie mieli dla zdrajców litości.



Po raz pierwszy przyszło mu żałować służby dla panów pruskich. Szpiegował dla nich, mordował, knuł spiski i był za to hojnie wynagradzany. Nigdy nie odczuwał wyrzutów sumienia. Wielu uważało go za Judasza, który sprzedał swój naród, ale on sobie z tego nic nie robił. Uważał, że ojczyzna to puste słowo, którym możni wycierają sobie gęby w dążeniu do władzy. Dzisiaj jednak śmierć głęboko zadrżała mu w oczy, o on bał się jak nigdy dotąd. Nie mógł uwierzyć, że niezwyciężona armia zakonu uległa polsko-litewskiej hołocie, a potężni i dumni rycerze krzyżacy, których tak podziwiał, polegli prawie wszyscy.

Jednak jeszcze nie wszystko było stracone. Piotr Świnka wierzył, że na pomoc Krzyżakom przybędzie Zygmunt Luksemburski i zakon Kawalerów Mieczowych. Wystarczy wytrwać oblężenie w malborskim zamku, dopóki nie nadejdą posiłki. A jeśli okaże się, że zagłada zakonu jest nieunikniona, polski rycerz będzie miał blisko do Gdańska, gdzie odnajdzie jakiś okręt płynący do Danii i odda swój miecz królowej Małgorzacie<sup>61</sup>.

Trakt ostro skręcił w prawo i wyjeżdżający zza zakrętu rycerz herbu Świnka ujrzał dwóch ludzi uciekających w las. W pierwszej chwili pomyślał, że to jacyś wędrowcy, może pielgrzymi albo zbiegowie z krzyżackiej armii i chciał zostawić ich swojemu losowi, gdy nagle w nikłym świetle gwiazd zauważył płową czuprynę. Nie miał wątpliwości, że to ten sam chłopiec, którego wcześniej porwał i darował wielkiemu komturowi, a który wczorajszej nocy zdołał ująć z obozu przy pomocy polskiego szpiega. Gdy nad ranem ujawniono tożsamość zdrajcy, Piotr Świnka nie mógł w to uwierzyć, bo był to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Ulryka von Jungingen. A teraz zdrajca niemal sam wpadł w jego ręce. Hojność panów pruskich będzie na pewno wielka, jeśli przywiezie go do Malborka. Uśmiechnął się do swoich myśli i zatrzymał konia.

- Brać ich! - krzyknął do swoich ludzi.

\*

Gilbert nie oglądał się, uciekając, ile sił. Zwinnie przemykał pod nisko zwisającymi gałęziami, przeskakiwał wystające korzenie dębów i omijał gęste krzewy. Mężczyzna, z którym wędrował, biegł tuż obok, ale potykał się raz za razem i wnet pozostał w tyle. Nagle chłopiec usłyszał głucho uderzenie i soczyste przekleństwo. Natychmiast zatrzymał się, gotów iść z pomocą opiekunowi, ale ten już podniósł się z ziemi, zsunął kaptur i badał palcami rozbite czoło.

- Panie, musimy uciec - wyszeptał poblady Gilbert, dostrzegając w mroku zbliżające się sylwetki nieprzyjaciół.

- Nie dam rady - odparł mężczyzna, ciężko dysząc. - Ale ty nogi masz chybkie i zdołasz im umknąć.

Chłopiec wyprostował się, dumnie zadarł podbródek i rzekł uroczyście:

- Nie zostawię was samych. To niegodne rycerza.

- Zapewne niegdyś nim zostaniesz. Jednakże teraz uciekaj!

- Nie!

Mężczyzna założył kaptur i teraz jego twarz zupełnie skryła się w mroku, tylko oczy jaśniały dziwnym blaskiem, jakby ktoś rozpałił w nich pochodnie. Gilbert zastanawiał się, czy to nadal jest ten sam człowiek, któremu służył tyle lat, czy jakiś straszny stwór, który przybrał tylko ludzką postać? Przeszedł go dreszcz i cofnął się o krok. W jego głowie rozbrzmiał złowieszczy głos.

- Rzekłem raz i drugi po próżnicy gadać nie będę. Uciekaj!

Strach chłopca okazał się silniejszy niż duma, Gilbert odwrócił się na pięcie i zaczął biec. Bardziej bał się dziwnej przemiany swojego dawnego pana niż nadchodzących knechtów. Pewnie to tylko

zmęczenie, pomyślał, wreszcie dało o sobie znać i zmysły zaczęły płatać figle. Jednakże młodość rządzi się swoimi prawami i choć Gilbert był przerażony, ciekawość kazała mu przystanąć.

Schował się za grubym pniem dębu i z ukrycia obserwował dalszy przebieg wypadków.

W mroku dostrzegł cztery niewyraźne sylwetki z obnażonymi mieczami zbliżające się do jego byłego pana. Ten czekał na nich z opuszczoną głową, dłońmi skierowanymi ku ziemi, jakby czerpał z niej niewidzialną moc.

Knechci spostrzegli, że nie ma żadnej broni, więc odetchnęli z ulgą. Najodważniejszy z nich schował ostrze i chcąc go związać, chwycił za nadgarstki. Nagle polski szpieg wykonał krok naprzód, jednocześnie unosząc w górę ramiona. Następnie błyskawicznie obrócił się i opuścił ręce, ciągnąc do ziemi krzyżackiego sługusa. Na koniec kopnął go w głowę, pozbawiając przytomności.

Widząc upadającego towarzysza, pozostali rzucili się do ataku.

Mężczyzna uchylił się przed pchnięciem miecza, chwycił napastnika za rękaw, pociągnął ku sobie, uderzając otwartą dłonią w podbródek. Zamroczony Krzyżak runął na trawę. Następny nie zdążył nawet podnieść w górę oręża, bowiem zanim się obejrzał, padł ze zmiażdżoną krtanią.

Ostatni ze zbrojnych ciął mocno zza głowy, ale zakapturzony człowiek zręcznie uniknął ostrza, złapał nadgarstek przeciwnika i mocno skręcił. Knecht wypuścił miecz i wyjął z bólu, padł na kolana. Mężczyzna podszedł do niego, chwycił za głowę, skręcił ją gwałtownie.

Walka trwała tak krótko, że Gilbert nie zdążył nawet mrugnąć. Osłupiały nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Zawsze uważał swojego pana za człowieka niezwykle spokojnego i łagodnego. Nigdy nie

przypuszczał, że potrafi on walczyć, a już na pewno nie tak. Przed chwilą jeszcze słał się na nogach, a teraz bez wysiłku, gołymi rękoma pokonał czterech uzbrojonych ludzi. Jakby wstąpiła w niego jakaś tajemna siła. Chłopiec zadrżał, słysząc jego rozkazujący głos:

- Wyjdź! Wiem, że tam jesteś.

Gilbert opuścił bezpieczną kryjówkę i zbliżał się powoli, w każdej chwili gotów rzucić się do ucieczki, gdyby mężczyzna okazał się jednak potworem. Przy obozowych ogniskach nieraz słyszał opowieści o grasujących w Prusach wilkołakach. Ponoć stwory atakowały tylko nocą, podczas pełni księżyca, rozrywając na strzępy swoje ofiary. Ale przecież dziś księżyca na niebie nie było.

Szpieg podniósł głowę i Gilbert napotkał ciepłe, łagodne spojrzenie.

- Wracajmy na trakt. Zdaje się, że zdobyliśmy konie.

\*

Piotr Świnka uważnie nadśluchiwał odgłosów dochodzących z lasu, próbując wzrokiem przebić wszechobecną czerń. Jego ludzie powinni już dawno pochwylić uciekinierów. Zniecierpliwiony już chciał zsiąść z konia i sprawdzić, co się stało, gdy zauważył, że w jego stronę zmierza zakapturzony mężczyzna. Zrozumiał, że knechci zawiedli. Ogarnęła go wściekłość i w pierwszej chwili sięgnął do rękojeści miecza, ale nagle instynkt podpowiedział mu coś innego.

Uderzył wierzchowca ostrogami i pognął do Malborka.

\* \* \*

W porannym blasku Dolina Wielkiego Strumienia wyglądała tak samo upiornie jak po zakończeniu bitwy. Pomimo że od wczesnego świtu pachołkowie zbierali poległych i nie patrząc na to, czy to swój czy wróg, chowali do wspólnych mogił, pole nadal zasłane było trupami.

Na nogach byli również pisarze królewscy, którzy siedząc przy

dębowych stołach, spisywali jeńców, wypytyując każdego o imię, stan, ród. Najwięcej było rycerzy pruskich i inflanckich, ale wielu też Czechów, Ślązaków, Miśniaków, Bawarów, Austriaków, Szwabów, Frygów, Pomorzan i Szczecinian. Sporą grupę stanowili mnisi krzyżaccy, których gorliwe modły na niewiele się zdały. Ci z więźniów, którzy dali słowo rycerskie, że stawią się w Krakowie z wyznaczonym okupem, odchodzili z opuszczonymi głowami, starając się nie patrzeć na pobojuwisko. Teraz zapewne żalowali, że skuszeni łupami i wojenną sławą stanęli po stronie zakonu. Nie tylko nie zyskali nic na tej wyprawie, to jeszcze staną się ubożsi o całkiem sporą część majątków. Każdego dnia będzie ich palić wspomnienie upokorzenia, jakiego doznali na grunwaldzkich polach, a w serca potomków na zawsze wszczepią strach przed polskim orężem.

Po złożeniu przysięgi do domu wracał Konrad Biały, którego własny brat nie chciał już znać. Chłopak, jadąc na pochodowym siwku, miał nisko opuszczoną głowę, gdyż wstyd nie pozwalał mu spoglądać w oczy rodaków. Postanowił wrócić do Oleśnicy, paść do stóp ojca i błagać o przebaczenie. A ten wybaczy synowi marnotrawnemu, bo taka jest rola rodzica. Młody książę zrozumie swój błąd, dostrzeże rzeczy takimi, jakie są naprawdę i za cztery lata stanie po stronie Polski w nowym konflikcie z zakonem krzyżackim<sup>62</sup>.

Opuszczający obóz przejeżdżali obok namiotu kaplicznego, udekorowanego zdobycznymi chorągwiami, w którym trwało właśnie uroczyste nabożeństwo. Oprócz króla Władysława oraz księcia Witolda obecni byli na nim najważniejsi książęta, dostojnicy kościoła i możnowładcy. Msza odprawiana w podzięce za światłe zwycięstwo była jednocześnie modlitwą za dusze poległych.

W tym samym czasie, zaledwie staje od obozu, odbywała się mniej

uroczysta ceremonia pogrzebowa. Na niewielkiej polanie płonął ułożony z chrustu stos, wokół którego zebrali się żmudzcy wojownicy. Wśród nich nie mogło zabraknąć Dagoberta i Aine, którzy przyszli pożegnać przyjaciela i teraz spoglądali, jak płomienie trawią ciało Jawnuty.

Duch Żmudzina uchodził wraz z dymem do krainy umarłych, gdzie przodkowie otworzą mu wrota, posadzą na ławie i po królewsku ugoszczą. Nigdy już nie zazna głodu, zimna i krzyżackiego okrucieństwa. Jego prochy rozwieje wiatr, uniesie na wschód, do domu, ale w sercach tych, którzy go znali, pozostanie wspomnienie znakomitego wojownika, dobrego człowieka i wiernego przyjaciela.

W oczach Aine pojawiły się łzy. Pozwoliła im płynąć. Zbyt wiele doświadczyła w ostatnich dniach.

Wczorajszej nocy, gdy ucichł już bitewny zgiełk i ruszyła na pobojuwisko udzielać pomocy rannym, zamykać powieki zabitym, niemal w tym samym momencie usłyszała dwie wiadomości. Pierwsza napełniła ją smutkiem, druga bezgraniczną radością.

Najpierw podjechało do niej kilku ponurych wojów i chociaż wyglądali jak siedem nieszczęść, zakrwawieni, w niepełnym rynsztunku, postrzępionej odzieży, poznała ich od razu. To byli zbrojni z chorągwi miednickiej. Myślała, że przybyli, aby ich opatrzyć, ale oni tylko powiadomili o śmierci Jawnuty i odjechali. Aine mocniej zacisnęła usta i wróciła do pracy.

Po chwili usłyszała tętent końskich kopyt i zobaczyła Dagoberta. Ucieszyła się na jego widok, bo choć wyczuwała jego aurę wśród żywych, to teraz przeczucie zamieniło się w pewność. Burgundczyk zeskoczył z konia, najpierw mocno chwycił ją w ramiona, a potem zaczął mówić szybko i nieskładnie, ale z jego słów wynikało, że Gilbert żyje. Poczowała, jak wypełnia ją szczęście i nagle świat jej zawirował od

nadmiaru uczuć. Wtedy po raz pierwszy w życiu zemdląta.

Stos się wypalił, popioły rozwiął wiatr. Gdy Żmudzini rozeszli się w ponurym milczeniu, Aine podeszła do pogorzelska i wbiła w ziemię drewniany krzyż. Jawnuta zapewne by sobie tego życzył, całe życie był chrześcijaninem.

\*

- Rad jestem w dobrym zdrowiu was widzieć - ucieszył się Mszczuj ze Skrzyńska, widząc wracających do obozu przyjaciół. Uściskał serdecznie Dagoberta, z rezerwą skłonił się Aine. - Jakub mi rzekł, że ponoć chłopiec żyje. Dufam, iż rychło go odnajdziecie.

- Też żywimy taką nadzieję - odparł Burgundczyk. - Wnet ruszamy na poszukiwania.

- Pojadę z wami. W okolicznych lasach mogą ukrywać się jeszcze Krzyżacy.

Rycerz z Saint-Amand pokręcił głową.

- Poradzimy sobie. Jeśli to, co mówił Kuno von Lichtenstein było prawdą, to Gilbert jest pod dobrą opieką i nie powinna mu się stać krzywda. Zapewne wraz z tym, który go uwolnił, szukają teraz obozu polskiego. Ruszymy im naprzeciw.

- Jak tam sobie chcecie - Mszczuj wzruszył ramionami niepoczyszony i trochę urażony, że Burgundczyk nie chce skorzystać z pomocy. - Zatem niedługo i ja ruszam. Chorągiew nadworna idzie przodem, żeby zajmować twierdze i miasta. Nie wiem tylko, czy będzie co zdobywać, bo na wieść o pogromie zakonnej armii, mieszczanie bunt podnieśli i wygnali Krzyżaków. Ponoć buntownikom przewodzą panowie z Towarzystwa Jaszczurczego, w tym chorąży ziemi chełmińskiej...

- Mikołaj z Ryńska! - zielone oczy Aine rozbliły, zaś Dagobert

skrzywił się, pamiętając, jakie wrażenie ów rycerz robi na niewiastach.

- Znacie go?

- Mieliśmy okazję poznać - odburknął Saint-Amand.

- Powiadają, że tuż przed bitwą wypowiedział służbę zakonowi i wycofał całą chorągiew chełmińską, tym samym osłabiając krzyżackie wojska o pięć setek wytrawnych rycerzy.

- Wybrał właściwie.

Nagle podbiegł do nich zdyszany i umorusany Jurga. Młodzieniec nie zdążył jeszcze umyć się po bitwie ani ściągnąć kolczugi, gdyż do późnej nocy ścigał uciekających Krzyżaków. Natomiast o świcie, ledwo przybył do obozu, Mszczuj posłał go na grunwaldzkie pola z zadaniem zebrania rynsztunku z zabitych przez niego wrogów. Rycerz ze Skrzyńska, mimo bitewnego zamętu dokładnie pamiętał miejsca, gdzie powalił co znaczniejszych przeciwników i opisał je Jurdze, żeby ten nie miał problemów z ich odnalezieniem.

- Wyglądasz jakbyś przed samym diabłem uciekał - rzekł Mszczuj, spoglądając drwiąco na giermka.

- Panie, panie...

- No, mówże, co się stało? - niecierpliwiał się rycerz.

- Kiedy tchu mi z wrażenia brakło. - To mówiąc pokazał przedmiot, który trzymał w rękach: złoty pektorał, ozdobiony relikwiami świętych. - Zdjąłem go z szyi jakiegoś znacznego dostojnika, którego powaliliście. Za to trzynaście wsi kupicie, a że trzynastka pecha przynosi, tuzin zaś powodzenie, to tą jedną wsią mnie obdarujecie. Gospodarny jestem i wnet chudobę powiększę tak, żeby każdy z moich pięciu synów, których z Dobrosułą mieć zamierzam, znaczną majątność odziedziczył...

- Zawrzyj gębę, Jurga - rzekł blady Mszczuj, wrywając krzyż z rąk



sługi. - Czyżby to był jednak on?

- Przeznaczenie się wypełniło - Aine uśmiechnęła się lekko. - Tylko ty mogłeś tego dokonać, rycerzu herbu Łabędź.

Zdębiały Jurga spoglądał to na kobietę, to na swego pana, zupełnie nie rozumiejąc, o czym rozmawiają. Zamiast wycenić wartość pektorału, zważyć złoto, gadali coś o przeznaczeniu.

Mszczuj ze Skrzyńska przełknął ślinę, pokręcił głową, jeszcze nie mogąc w to uwierzyć. Podczas bitwy zmierzył się z kilkoma dostojnikami zakonu, ale w ferworze walki nie sposób było rozpoznać, z kim kopie kruszył. Co prawda, gdy potykał się z potężnym mocarzem uderzającym sulicą, przeczucie mówiło mu, że to właśnie von Jungingen, ale nie dostrzegł wtedy na jego płaszczu złotego krzyża, a potem tyle rzeczy się wydarzyło, że przestał o tym rozmyślać. W najśmielszych snach nie przypuszczał, że to właśnie on odbierze życie najślawniejszemu rycerzowi zakonu krzyżackiego.

\*

Wielki mistrz zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie został zawinięty w prześcieradła i złożony na wozie okrytym purpurą. Na martwej, stężącej już twarzy dostojnika malował się spokój, tylko blade usta były mocno zaciśnięte, jakby gniew nawet po śmierci nie chciał go opuścić. Oblicze szpeciła głęboka rana na czole.

Jagiello w towarzystwie panów polskich zbliżył się do wozu. Przez długą chwilę spoglądał na ciało Ulryka von Jungingen, ale na twarzy króla próżno było szukać oznak zadowolenia. Czasami tak bywa, że wyczekiwane zwycięstwo przestaje cieszyć i zamiast radości pozostaje pustka. Szare, przygaszone oczy monarchy wypełnione były smutkiem.

Dokonało się to, co się miało dokonać. Wielki mistrz zginął, a wraz

z nim cała potęga zakonu. Została ujarzmiona spaczona moc Binah, przywrócona równowaga między Sefirami, a światło na Drzewie Życia ponownie stało się krystalicznie czyste. Jednak monarcha odczuwał jakiś dziwny niepokój, co pewien czas z lękiem spoglądał na północ, gdzie wydawało mu się, że widzi rosnący na niebie cień. Najpierw myślał, że to omamy lub stado czarnych wron, ale z każdą następną chwilą narastało w nim uczucie trwogi, miał złe przeczucia. Wiedział, że musi jak najszybciej ruszyć na Malbork, zdobyć go i zakończyć sprawę raz na zawsze, niszcząc źródło mocy Binah.

Podkomorzy krakowski, Piotr Szafraniec, oparł się o burtę wozu, uważnie przyglądając się nieboszczykowi.

- Czy to zaprawdę ten, który jeszcze wczoraj, przepelniony pychą, śmiał rzucić waszej miłości wyzwanie?

- Tak, to on - skinął głową król.

- Wydawało mi się, że jest wyższy.

- Gdym go ostatni raz widział, brodę miał gęstsza i bardziej czerniawa - wtrącił Zbigniew z Brzezia.

- A kiedyż to było? - spytał podkomorzy.

- Na jesieni poprzedniego roku, gdy o rozejmie prawiliśmy w przygranicznej warowni.

- Od tamtego czasu wiele wody w rzekach upłynęło i prawie tyle samo krwi przelano - rzekł Jagiełło. - Wszystko kiedyś przemija, młodość, siła i potęga. Z każdym kolejnym dniem ludziom przybywa zmarszczek, włosy im siwieją, w oczach gaśnie ogień życia.

- Zatem nie możemy być pewni, że jest to wielki mistrz pruski - pokręcił głową Piotr Szafraniec.

- Racja - przytaknął marszałek. - To może być fortel. Nietrudno znaleźć człeka łudzaco do niego podobnego, odziać w płaszcz ze

złotym krzyżem, a na szyi zawiesić pectorał.

Teraz już wszyscy zebrani wokół wozu możnowładcy zaczęli dyskutować, oceniając, czy mają przed sobą trupa Ulryka von Jungingen, czy jego sobowtóra. Głos zabierali nawet ci, którzy wcześniej dostojnika krzyżackiego nigdy na oczy nie widzieli. Wreszcie ktoś zaproponował, żeby wśród jeńców poszukać kogoś, kto dobrze znał wielkiego mistrza i kto potwierdzi, że to on leży na wozie.

- A kogóż takiego znajdziecie? - prychnął Zbigniew z Brzezia. - Marszałek zakonu Fryderyk von Wallenrode zabity, wielki komtur Kuno von Lichtenstein utonął na bagnach, inni znaczniejsi polegli...

- Już nie musicie szukać - rozległ się donośny głos.

Należał do wysokiego mężczyzny otulonego płaszczem. Głowę miał nisko opuszczoną, skrytą pod kapturem, więc nie można było dostrzec jego twarzy. Dłonie wzorem mnichów splótł pod rękawami szaty. Zbliżył się do wozu, a zaskoczeni panowie polscy zrobili mu przejście. Przybysz tylko przez chwilę przypatrywał się leżącemu nieboszczykowi.

- Nie ma wątpliwości - rzekł. - To jest Ulryk von Jungingen!

Dopiero teraz mężczyzna zsunął kaptur i wszyscy ujrzeli oblicze człowieka, który był prawą ręką wielkiego mistrza, a jednocześnie powiernikiem jego tajemnic. Krzyknęli w zaskoczeniu i chwycili za miecze.

- Stójcie! - król podniósł w górę rękę i uśmiechnął się do przybysza.

- Dobrze cię znowu widzieć, przyjacielu.

Stasske von Bolmen odpowiedział ukłonem.

\* \* \*

Zwycięska armia Jagielly wolno zmierzała na północ, zupełnie nie spiesząc się pod mury Malborka. Jeszcze przed kilkoma dniami to samo wojsko, maszerując na stolicę wroga, potrafiło pokonać dziennie

około sześciu mil, teraz przebywało ich zaledwie dwie, robiąc przy tym częste i długie postoje. Zamiast odwiecznym zwyczajem ruszać na trakt o świcie, obóz zwijano dopiero około południa i mogłoby się wydawać, że wojna już się skończyła, natomiast rycerze są na wywczasach, a nie na wyprawie wojennej.

Uwolnione od krzyżackiego jarzma pruskie grody i miasta poddawały się bez walki, a niektóre z nich nawet z radością otwierały bramy przed Polakami, traktując ich jak wyzwolicieli. Król Władysław, któremu tak bardzo spieszyło się do Malborka, teraz zatrzymywał się w każdym z nich, zbierając hołdy poddańcze i urządzając wystawne uczyty dla notabli. Wielu dowódców złościło takie zachowanie władcy, inni twierdzili, że dobrze czyni, bo należało zapewnić sobie dobre stosunki z mieszkańcami tych ziem, które przecież niedługo miały stać się polskim lennem. Ponadto armii należało się wytchnienie po ciężkim boju. Przecież ci ludzie dokonali nie byle czego, zadając klęskę niepokonanemu zakonowi.

Tymczasem wywiadowcy donosili o oddziałach krzyżackich zdążających do Malborka i o dużej grupie uderzeniowej Michała Küchmeistera, która na Pomorzu rozbiła hufce Macieja z Wąsoszy, ale monarcha puszczał te wieści mimo uszu. Teraz bardziej zajmowały go polowania niż rzemiosło wojenne. I dlatego właśnie postój między Olsztynem a Morągiem przedłużał się. Tuż przed wschodem słońca król zabrał całą swoją świtę, sokoły, myśliwskie psy i jeszcze nie powrócił. Jednak w obozie nikt z tego tragedii nie robił, rycerze oddawali się błogiemu lenistwu.

Dagobert wyszedł z namiotu i natychmiast zmrużył oczy, bo niebo było bezchmurne, a słońce stało wysoko. Mimo zbliżającego się południa, nie odtrąbiono jeszcze nawet pierwszego sygnału do

wymarszu, więc Burgundczyk wiedział, że ma przynajmniej godzinę. Postanowił odebrać wreszcie od rymarza zamówiony dwa dni wcześniej nowy popręg, bo stary zupełnie się przetaił i poduszkę pod siodło dla Aine. Na próżno tłumaczył jej, że takiego zakupu dokonuje się przy okazji renowacji całego siodła i zrobią to po powrocie do Krakowa, bo teraz, w warunkach polowych, rzemieślnik weźmie co najmniej dwadzieścia groszy. Jednak, gdy ujrzał jej lekko uniesioną brew i błysk w zielonych oczach, zamilkł. Niewieścią wygodą więcej była warta niż całe złoto świata. Westchnął ciężko, przypiął do pasa sakiewkę i ruszył na poszukiwanie rymarza.

Najpierw chciał posłać Gilberta, ale chłopak znowu gdzieś się zawieruszył. Dagobert był pewien, że pobiegł do puszkarzy, którzy, przygotowując się do oblężenia, ucierali proch w olbrzymich stępach. Zapewne teraz przygląda się ich pracy, zadając tysiące pytań. A to o zasadę działania hakownicy, o wielkość kul do bombard, lub proporcje, w jakich należy wymieszać saletrę, węgiel i siarkę, żeby uzyskać odpowiedni skład prochu. I zapewne mężczyźni z uśmiechem mu odpowiadali, bo Gilbert miał niezwykły dar zjednywania sobie ludzi.

Wydawało się, że zapomniał już o wszystkich złych rzeczach, które go spotkały i ani porwanie, ani krzyżacka niewola nie zmieniły jego ufności do ludzi. Nadal był tym samym roześmianym, ciekawym świata chłopcem.

Saint-Amand po raz kolejny podziękował opatrności za szczęśliwe ocalenie Gilberta, a powinien w pierwszej kolejności podziękować mężczyźnie, który go uratował i przyprowadził do obozu polskiego. Niestety, nie było jeszcze ku temu okazji. Stasske von Bolmen, czy jak wolał, żeby go zwano - Staszko z Bolumina - zaraz został wysłany przez króla z kolejną misją.

Burgundczyk minął okazałe namioty szlachty, przeszedł między naprędce uszykowanymi szałasami dla ciurów i znalazł się przy wozach obładowanych żywnością, uzbrojeniem, sprzętem oblężniczym. Zdziwił się, że stały w nieładzie, zamiast w pierścieniu, spięte łańcuchami jeden obok drugiego, stanowiąc przeszkodę dla wroga. Z niepokojem stwierdził, że obozu nawet nie starano się ufortyfikować wałem lub rowem. Rozleniwieni woźnice grali w kości, pacholkiwie prażyli się na słońcu, a łopaty, kilofy i motyki leżały obok nieruszone. Nieco dalej, zbrojni pilnujący obozu siedzieli w cieniu rozłożystego dębu, popijając wino z bukłaka. Polacy czuli się bardzo pewnie na krzyżackiej ziemi.

Saint-Amand dotarł wreszcie do zagrody dla koni, gdzie swoje kramy rozbili rymarze i siodlarze. Nagle spostrzegł Gilberta, który trzymając w rękach pergamin i pióro, chodził krok w krok za ciemnowłosym mężczyzną odzianym w bogato zdobiony kabat. Dagobert rozpoznał w nim Stanisława, królewskiego nadzorcę koni, który dokonywał spisu wierzchowców. Widocznie chłopiec stracił już zainteresowanie bombardami, rusznicami oraz armatami i teraz zajmowały go konie. Rycerz uniósł brew i zaciekawiony zbliżył się do ogrodzenia.

- Jeden „wielki”, dwa „wyższe” i dwa „wyżśrednie” - mężczyzna, wskazując palcem, wyliczał konie kopijnicze, a Gilbert, wysuwając język, starał się stawiać proste litery na pergaminie. Naukę pisania zaczął zaledwie przed rokiem i choć zapału mu nie brakowało, to umiejętności miał jeszcze nikłe.

- Trzy „średnie”, trzy „małe”, dwa „niewielkie”, jeden „niewieliczki” - kontynuował wyliczankę Stanisław, a na czole chłopca pojawiły się kropelki potu. - Reszta to konie strzelcze. Zapisaleś?

- Tak, panie.

- Teraz podzielimy wierzchowce według maści, a to, musisz wiedzieć, niełatwa sztuka, wymagająca wiedzy i lat praktyki - mężczyzna z dumą podkreślił sumiastego wąsa. - Pisz! Cztery konie „wrone”, dwa „gniade”, dwa „myszate”, trzy „cisawe”, po jednym „płowym”, „podpalanym” i „gorczyczastym”... Pokaż jak napisałeś „gorczyczasty”?

- Tak.

Mężczyzna przez chwilę spoglądał na pergamin podsunięty przez chłopca, bezgłośnie ruszając ustami w próbie odczytania zapisu <sup>63</sup>.

- Hmm... dobrze, dobrze - niezbyt pewnie pokiwał głową. - Trzy wierzchowce „wilcze”, jeden „piegowaty saski”, dwa „zwronopleśniawe”, dwa „zrydzapleśniawe”, jeden „zdropiatoglisty”...

Gilbert z rezygnacją opuścił pióro i z szeroko otwartymi oczami błagalnie spojrzał na Stanisława.

- Co się stało, chłopcze?

- Panie! Jak to zapisać?

Stanisław zmarszczył czoło, spojrzał niespokojnie w lewo, potem w prawo, ale widząc, że znikąd nie uzyska pomocy, raz jeszcze zerknął na wierzchowca.

- Sądzę, że to będzie raczej koń „gniady” - podkreślił zadowolony wąsa. - Tak, na pewno „gniady”. Wiesz, jak to zapisać, chłopcze?

- Tak, panie.

Dagobert roześmiał się, ale nie chcąc peszyć chłopca, a tym bardziej nadzorca królewskich koni, ruszył w stronę kramów. Jego uśmiech zgasł dopiero u rymarza, gdy usłyszał cenę za nową poduszkę pod siodło. Jednak tylko westchnął ciężko i rozwiązał sakiewkę.

\* \* \*

Powiał silny, wieczorny wiatr, przynosząc chłód i ukojenie po

całodziennym upale. Stojący na murach malborskiego zamku Henryk von Plauen otulił się szczelnie zakonnym płaszczem, oparł o blanki z czerwonej cegły i obserwował, jak płomień pożaru liżą poszarzałe już niebo. Zlewały się ze szkarłatem zachodzącego słońca tworząc urzekający, zapierający dech w piersiach widok.

Miasto płonęło.

W zazwyczaj zimnych oczach dostojnika krzyżackiego tym razem pojawił się niezdrowy błysk. Zachwycony oglądał, jak ogień trawi całe budynki, rozprzestrzenia się po ulicach, wdziera na rynek, obejmując potężnymi ramionami drewniane stragany kupców. Tylko patrzeć, jak za chwilę spłonie ratusz, a może nawet kościół Świętego Wawrzyńca. Wojska Jagiełły nie zastaną nic prócz zgliszczy i popiołów. A to utrudni oblężenie.

Komtur ze Świecia potrzebował zaledwie dwóch dni na zebranie wojsk i dotarcie do Malborka. Przybył w samą porę, gdyż na wieść o klęsce w mieście wybuchła panika. Bracia zakonni uciekali przed nadchodzącym wrogiem, wywożąc ze skarbca złoto i klejnoty.

Ponoć, gdy do zamku dotarł pierwszy zwiastun złych wieści, uznano go za szaleńca. Nie chciano mu wierzyć, tym bardziej, że był nim Polak, Piotr Świnka. Ale do stolicy zjeżdżało coraz więcej uciekinierów i stało się pewne to, co niemożliwe - potężna armia krzyżacka została rozbita.

Pierwsze, co von Plauen zrobił po przyjeździe do Malborka, to zebrał wszystkich ocalałych rycerzy-braci w kapitulacji i zażądał od nich wybrania go namiestnikiem zakonu do czasu zakończenia wojny i wyboru nowego wielkiego mistrza. Nikt się nie sprzeciwił. Ludzie chętnie sięgają po władzę, gdy zyski z jej sprawowania przerastają ryzyko, ale w chwilach zagrożenia stać na ten krok tylko najsilniejszych. Komtur ze Świecia był właśnie takim człowiekiem, ponadto biła od



niego moc Binah, więc dostojnicy skwapliwie złożyli w jego ręce los zakonu.

Po objęciu dowództwa zabrał się za przygotowywanie twierdzy do długotrwałego oblężenia. Rozkazał zebrać żywność ze spichlerzy, zapasy nabiału z miasta oraz bydło z okolicznych wsi i dostarczyć na zamek. Ściągnął wojska zaciężne w liczbie ponad tysiąca kopijników i siedemdziesięciu kuszników. Poprosił o pomoc swojego brata, który do Malborka przyjechał z nader licznym poczem. Ponadto z Gdańska przybyło paruset krzepkich marynarzy odzianych w solidne pancerze, z toporami na ramieniu. Doliczając do tego pachołków, półbraci i knechtów, von Plauen dysponował prawie czterema tysiącami zbrojnych. Wiedział, że na dziesięciokrotnie liczniejszą armię królewską to za mało, ale powinno wystarczyć, żeby przetrwać kilka dni oblężenia, do czasu, gdy nadejdzie pomoc z Inflant i Nowej Marchii.

Henryk von Plauen spojrzał w niebo na wiszące złowieszczo czarne chmury. Był w nich mrok zesłany przez Binah, cień zakradający się do serc jej wrogów. Namiestnik zakonu krzyżackiego uśmiechnął się. Malbork był gotowy na przyjęcie wroga.

Zagrzmiało.

Nadchodziła kolejna burza.

\*

Jagiełło, nie mogąc zasnąć, przewracał się z boku na bok. Przez płócienne ściany namiotu do jego uszu dochodziły uderzenia kowalskich młotów, rżenie koni, rubaszne śmiechy zbrojnych i inne odgłosy obozowej krzątanimy. Naciągnął derkę na głowę, mając nadzieję, że w ten sposób odetnie się od świata i pogrzeży w błogiej nieświadomości. Nic z tego. Najdrobniejszy szelest wybuchał w jego głowie niczym armatni wystrzał. W piersiach czuł straszliwy ucisk, serce waliło jak

oszałałe, a ciałem nagle wstrząsnęły dreszcze.

Zerwał się z łoża, drżącymi rękoma chwycił krużę z wodą i zaczął zachłannie pić. Ale nie ukoił pragnienia, nie ugasił płonącego w nim ognia. Wściekły, rzucił naczynie, rozbijając je. Na czoło wystąpił mu zimny pot. Próbował zebrać myśli, uspokoić oddech, zaczerpnąć uzdrawiającej energii, lecz poczuł tylko pustkę, jakby jakaś tajemnicza siła zawładnęła jego umysłem, pozbawiła sił. Z każdym kolejnym dniem ogarniał go coraz większy lęk. Monarcha nie wiedział, skąd się wziął i co było jego źródłem, ale im bardziej zbliżał się do Malborka, tym bardziej nieprzyjemne uczucie narastało. Jagiełło z jednej strony chciał jak najszybciej dotrzeć do stolicy wroga i ją zdobyć, ale każdy kolejny dzień przynosił nowy lęk, każda noc koszmary.

Rano zmuszał się, żeby wstać z łoża i dalej poprowadzić swoje wojsko ku stolicy wroga. Zarządzał częste postoje, niemal w każdym wyzwolonym mieście zatrzymywał się, żeby odebrać poddańcze hołdy, połączone często z wykwintnymi ucztami. Gdy uświadomił sobie, że wstrzymuje w ten sposób tempo marszu, ogarniała go złość na samego siebie. Jutro jednak nie będzie ucieczki. Dziewięć dni po tym, jak opuścił grunwaldzkie pola, jego armia stanie wreszcie pod murami Malborka. Na samą myśl o tym pociemniało mu w oczach i ponownie ogarnęły go dreszcze. Zastanawiał się, czy nie zawołać medyka, żeby dla spokojności upuścił trochę krwi, ale zamiast tego władca Polski i Litwy, najwyższy z Przebudzonych, położył się na łożu, podkulił nogi i zaczął szlochać.

\*

W nocne niebo wzbily się iskry z ogniska, zlewając się z konstelacjami gwiazd utworzonymi u zarania dziejów. Marszałek koronny siedział na drewnianej kłodzie, z zadumą wpatrując się w

szkarłatne płomienie ognia.

- Nad czym tak dumacie, Zbigniewie? - zapytał Jan Ligęza herbu Półkozic. Rycerz miał już swoje lata, całkiem siwą głowę, ale nadal garnął się do wojaczki i na wyprawę przywiódł chorągiew liczącą prawie trzystu zbrojnych. Z wiekiem jednak, szczególnie w chłodne noce, ból w kościach coraz mocniej mu doskwierał, postanowił więc ogrzać się przy obozowym ognisku. Usiadł obok marszałka, poprawił płaszcz na ramionach i wyciągnął dłonie ku płomieniom, czując, jak żar przynosi mu ulgę.

- Kondukt żałobny z ciałem wielkiego mistrza dawno już dotarł do Malborka - odrzekł rozgniewany Zbigniew z Brzezia. - A my czas mitrężyliśmy na postoje zamiast od razu po bitwie z marszu uderzyć na stolicę wroga. Ósmy dzień już idziemy, a królowi nadal nie spieszo pod mury twierdzy. Polska chorągiew już dawno powinna łopotać na najwyższej z wież malborskiego zamku.

Jan Ligęza, ojciec pięknej Anny, z którą swoje nadzieje na małżeństwo wiązał Tomasz Kalski, wzruszył tylko ramionami.

- Czy ma to znaczenie, kiedy go dobędziemy? Wojska zakonu są w pył rozniesione, a nawet jeśli się jakieś ostały, to nie ma kto nimi dowodzić. Wszak wszyscy najwyżsi dostojnicy śmierć w bitwie znaleźli lub w naszej są niewoli. To już koniec.

- Mylisz się, Janie, to nie koniec - marszałek pokręcił głową. - Wywiadowcy donieśli, iż do Malborka przybył Henryk von Plauen, a zapewniam cię, iż jest on tak samo groźny jak Ulryk von Jungingen, a nawet bardziej przebiegły. Ponadto w każdej chwili z pomocą swoim konfratrom przybyć mogą zakonnicy z inflanckiej gałęzi zakonu...

- Kawalerowie mieczowi?! - prychnął Ligęza. - Konrad von Vietinghoff to tchórz, jakich próżno ze świecą szukać. Nie ruszy się z

Inflant w strachu, że mu Litwini ziemię najadą.

- A posiłki z Niemiec i krajów zachodnich?

- Minał już czas wypraw krzyżowych. Nikt nie będzie umierać za przestarzałe ideały i wspierać zakon, który dawno porzucił misję krzewienia chrześcijaństwa, dbając jeno o własną chudobę.

- Zważ, iż w ballejach zakonu nadal skarbce wypełnione są złotem i wielu zbrojnych skusi jego blask. Ponoć Michał Kűchmeister w Nowej Marchii zbiera armię.

- Nie trwóż się, przyjacielu - Jan Ligęza uśmiechnął się pod nosem.

- Książę słuński Bogusław jest wiernym sojusznikiem naszego króla i przez swoje ziemie Kűchmeistera nie przepuści.

Zbigniew z Brzezia pokiwał głową. Może jego obawy faktycznie były przesadzone i nic złego się nie stanie? Henryk von Plauen, ujrawszy wojska polsko-litewskie stojące pod murami miasta, potężne bombardy wycelowane w mury, niechybnie się podda. Jednak zbyt wiele lat spędził na wojnach i przeczucie mówiło mu, że to jeszcze nie koniec.

Przeniósł spojrzenie na największy namiot w obozie, gdzie na maszcie powiewała chorągiew z białym orłem w koronie.

- Stracham się o naszego króla - rzekł. - To już nie ten sam wódz, który prowadził nas do zwycięstwa pod Grunwaldem. Oczy ma zgasłe, lica blade, w siodle wiecznie zgarbiony jedzie i osowiał zupełnie. Na postojach z namiotu nie wychodzi, nikogo do siebie nie dopuszcza, nawet tych, co wcześniej radą mu służyli. Zdaje się, że jakaś choroba go trawi.

- Może ta niemoc to sprawa sił nieczystych?

Zbigniew z Brzezia szybko uczynił znak krzyża na piersiach.

- Bzdury pleciecie!

- Może tak, a może nie? - odparł rycerz herbu Półkozic. - Módlmy

się, żeby owa słabość wnet go opuściła. Jutro w Malborku staniemy, a wojsku wódz jest potrzebny.

Marszałek koronny ponownie zapatrzył się w ogień. Wiedział, że za zwycięskim, pewnym siebie władcą ludzie gotowi są pójść do piekła, ale widząc króla w takim stanie, zaczną wątpić, zastanawiać się i wkrótce można spodziewać się dezercji. Już teraz w szeregi armii wdało się rozprężenie. Rycerze na wyprawie zdobyli już pokaźne łupy i teraz woleli wracać do domów niż zdobywać Malbork.

Nie najlepiej układały się również stosunki z litewskimi sojusznikami. Książę Witold miał żal do Jagiełły, że podczas bitwy to jego wojska przyjęły na siebie główne uderzenie, przez co stracił połowę sił. Tak więc było wielce prawdopodobne, że teraz, gdy minęło już zagrożenie ze strony Krzyżaków, opuści stryjecznego brata.

Oczywiście, król Władysław mógł to wszystko powstrzymać, swoim zwyczajem żelazną ręką wziąć ludzi w karby, zaprowadzić dyscyplinę i siłą autorytetu zmusić do posłuszeństwa. Niestety, obecnie był cieniem samego siebie. Zamknął się przed światem w twierdzy zbudowanej z lęków i żadną miarą nie można go było z niej wydostać.

- Obawiam się, że tej twierdzy nie dobędziemy - rzekł zmartwiony Jan Ligeza.

- Co?!

- Mówię o Malborku - rycerz pogładził się w zamyśleniu po brodzie.

- Zbyt wysokie są jego mury i zbyt mała wiara w naszym wojsku.

Zbigniew z Brzezia spojrział na północny widnokrąg, na którym pojawiła się szkarłatna łuna pożaru.

\* \* \*

W piątek dwudziestego piątego lipca, w dzień świętego Jakuba Apostoła, armia polsko-litewska przybyła do Malborka, zastając tam

tylko zgliszcza spalonego miasta i gotową do obrony potężną krzyżacką twierdzą. Wielu Litwinów, Żmudzinów i Rusinów po raz pierwszy w życiu widziało tak olbrzymią, zbudowaną z czerwonej cegły fortecę. Z szeroko otwartymi oczami spoglądali na ciągnący się niemalże w nieskończoność pierścień murów zewnętrznych, przetykanych obronnymi basztami i wieżami. Za nimi zaś wznosiły się wysokie budowle zajmujące sporą część ziemi.

Na podzamczu znajdowały się magazyny, ciąg budynków mieszczących szpital, browar, słodownię, kuchnię, piekarnię oraz pomieszczenia dla służby. Stały tam również kuźnie, ludwisarnie oraz czterokondygnacyjny spichlerz mieszczący w przyziemiu stajnię na cztery setki koni.

Zamek Średni oddzielony był od podzamcza podwójnym murem oraz nawodnioną fosą i zdawał się być niedostępny niczym gwiazdy na nocnym niebie. Tam mieścił się refektarz, infirmeria, kancelarie, a także komnaty gościnne. Jednak największe wrażenie robił wznoszący się niemal pod samo niebo Zamek Wysoki, gdzie znajdował się strzelisty kościół Najświętszej Marii Panny oraz sala kapitularna. Na najwyższej z wież dumnie łopotał biały sztandar z czarnym krzyżem, będący wyzwaniem rzuconym całej królewskiej armii.

Jagiello najpierw osobiście objechał wokół twierdzą, a następnie rozkazał chorągwiom polskim rozstawić się na wschodzie i południu, wojskom litewskim przy podzamczu, a oddziałom z Podola i Rusi od strony Nogatu. Po raz pierwszy od dnia zwycięskiej bitwy w oczach monarchy można było dostrzec ten drapieżny błysk, którego tak obawiali się jego wrogowie. Jednak ci, którzy znali go dobrze, zauważyli pochylone nisko ramiona, zmarszczone czoło, blade oblicze i drżące usta.

- Wasza miłość, nic wam nie jest? - zapytał zatroskany Mikołaj Trąba, widząc, jak król wpatruje się w olbrzymi posąg Matki Boskiej z Dzieciątkiem umieszczony we wnęcie wschodniej ściany kościoła zamkowego. Mozaikowa rzeźba skrzyła się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Upiorne oczy Madonny z nienawiścią spoglądały na rozkładających się obozem najeźdźców, na potężne działa i maszyny oblężnicze podciągane pod malborskie mury.

- Czujesz to? - spytał drżącym głosem Jagiełło.

- Co, panie?

- Ona powróciła, Mikołaju.

- Ona?

- Moc Binah. Wciąż tu jest, silniejsza niż kiedykolwiek. - W szarych oczach monarchy pojawiło się z wątpienie. - Wojna, przelana krew, śmierć tysiąca ludzi. Wszystko na marne.

Mikołaj Trąba westchnął. Choć nie był tak silny jak Jagiełło, jednak i on wyczuwał w tym miejscu potężne źródło spaczenia. To oznaczało, że walka jeszcze się nie skończyła. A może nigdy nie miała się skończyć?

- Widocznie tak postanowił Stwórca.

- A jeśli Stwórca jest obłąkany? - rzekł król, nie spuszczać wzroku z posągu. - Uczynił świat ułomnym, a człowieka na swój obraz i podobieństwo. Tchnął w nas cząstkę szaleństwa, która płonie w nim samym. W takim razie ani świat, ani my nie zasługujemy na ocalenie. Niechaj wszystko pograży się w otchłani nicości...

- Nie ważcie się tak mówić, panie! - Podkanclerzy po raz pierwszy w życiu podniósł głos na króla. Ten spojrział na niego bardziej tym rozbawiony, niż rozłoszczony.

- Rzeknijcie nam, Mikołaju, cóż wy o tym sądzicie?

Podkanclerzy Trąba spojrział na mury, gdzie krzyżacka piechota

szykowała się już do odparcia pierwszego ataku. Między blankami poustawiano kotły z wrzątkiem, smołą i rozgrzanym piaskiem oraz nabijane kolcami kłody drewna, które podczas szturmu będą zrzucane na głowy nacierających. W niewielkich okienkach baszt pojawili się kusznicy.

Dostojnik przeniósł wzrok na niebo, na którym zbierały się burzowe chmury. Stado czarnych wron wzbiło się w górę i niespokojnie zaczęło krążyć nad zamkiem, przeczuwając nadchodzącą nawałnicę.

- Niezgłębiony jest zamysł Stwórcy, a my nie jesteśmy go w stanie rozumem ogarnąć. Może wszystko zostało ustalone u zarania dziejów, a może sami tworzymy naszą historię? Jesteśmy jeno pionkami na szachownicy, na której toczy się wojna w jestestwie Ain Sofa. Figurami zaś są moce, którym służymy i zostaliśmy przez nie w jakimś celu powołani. Jako Przebudzeni mamy do wypełnienia misję, więc uczynmy to, co do nas należy najlepiej, jak potrafimy.

Jagiełło spojrzał na swojego powiernika i pokiwał głową.

\*

Huk wystrzału z bombardy zlał się z grzmotem pioruna, który w tej samej chwili rozerwał niebo nad krzyżackim zamkiem. Może to za sprawą opatrności, może przypadkiem, wraz z rozpoczęciem oblężenia rozpętała się burza.

Kamienna kula przeleciała nad głowami przygotowanych do szturmu zbrojnych i ukruszyła całkiem spory kawał muru zewnętrznego. Jednakże było to zaledwie draśnięcie, użądlenie pszczoły dla potężnych fortyfikacji i trzeba by setki takich wystrzałów, żeby uczynić wyłom.

- Nie będzie łatwo - rzekł Dagobert, uspokajając swojego konia, który słysząc huk armat, niespokojnie zarżał.

Jakub z Kobylan westchnął ponuro i obejrzał się na stojącą za nimi



wielką chorągiew krakowską. Rycerze dosiadający dorodnych wierzchowców kopijniczych i dzierżący oręż, gotowi byli do szarży. Odkąd król Władysław wyznaczył Jakuba dowódcą chorągwi<sup>64</sup>, młody Grzymalita nie miał jeszcze okazji poprowadzenia swoich ludzi do boju. Teraz wreszcie nadarzyła się ku temu sposobność. Wolałby jednak, żeby nastąpiło to w otwartym polu, podczas walnej bitwy niż pod murami twierdzy.

Nadjechał Dobiesław z Oleśnicy wraz ze swoim pocztem i rozkazał ludziom ustawić się obok zbrojnych z chorągwi krakowskiej.

- Na co czekamy? - zapytał Jakuba.

Rycerz z Kobylan spojrzał na niego drwiąco.

- Nie wiem jak wierzchowce z hodowli oleśnickiej, ale nasze nie posiadają skrzydeł, żeby niczym pegazy wznieść się w niebo i spaść na wroga po drugiej stronie murów.

Dobiesław roześmiał się i klepnął przyjaciela w ramię.

- Nie frasuj się, Jakubie, nasi puszkarze rychło coś wymyślą.

Na potwierdzenie jego zapewnień nie trzeba było długo czekać. Na przedpole wyszedł tęgi mężczyzna przybrany w czerń, zmrużył oczy i długo przypatrywał się zamkowym murom. Michał ze Skawiny, najlepszy z królewskich puszkarzy, podrapał się po gęstej brodzie, a następnie rozkazał podciągnąć olbrzymie, zdobyte na Krzyżakach działo, to samo, które w poprzednim roku tak skutecznie przeraziło obrońców Bobrowników, że ci poddali miasto. Ponadto kazał umieścić armaty w kościele miejskim, jedynym budynku, który ocalał z pożaru.

W blasku bijących na niebie błyskawic działa zaczęły pluć ogniem i już po zaledwie kilku pacierzach w murach podzamcza pojawił się szeroki wyłom.

Na to właśnie czekał Jakub z Kobylan. Chwycił mocno drzewce

kopii i ruszył pierwszy, prowadząc szarżę dwóch chorągwi. Zbrojni przedarli się przez gruzowisko, rozsiekli pachołków, którzy nieudolnie próbowali kłodami zawalić wejście, a następnie wdarli się na dziedziniec podzamcza. W pędzie ominęli stojący pośrodku spichlerz i skierowali konie wprost na ustawioną w czworobok piechotę szwajcarską. Sprowadzeni przez Henryka von Plauena najemnicy, sławni już byli w całej Europie i namiestnik zakonu nie wątpił, że poradzą sobie z odparciem ataku.

Ustawieni w zewnętrznych szeregach Szwajcarzy odziani byli w pełne zbroje i uzbrojeni w długie piki służące do rażenia szarżujących jeźdźców. Piechurzy stojący wewnątrz dzierżyli groźne halabardy, których żeleźce składały się z ostrza, haka i szpica pośrodku, dzięki czemu można było zarówno ciąć wroga, ściągać z siodła, jak i przekłuć zbroję.

Doskonale wyszkoleni najemnicy pochyłili piki i pewni swojej siły czekali na wroga. Deszcz z łoskotem uderzał o kapaliny, woda spływała po pancerzach, a na ustach zbrojnych pojawiły się drwiące uśmiechy. Wiedzieli dobrze, że ustawiona przez nich formacja rozbije każdą szarżę i już nieraz mieli okazję przekonać się o tym rycerze francuscy, angielscy i niemieccy. Pół wieku później, gdy nastąpi zmierzch ciężkozbrojnej jazdy, właśnie zdyscyplinowane oddziały piechoty będą wiodły prym na polach bitew, ale dzisiaj wąsaci i aroganccy Szwajcarzy mieli do czynienia z tymi, którzy pod Grunwaldem zmiażdżyli krzyżacką potęgę.

Polacy, widząc najeżoną pikami ścianę, wycelowane w nich żelazne groty, nawet przez chwilę nie zawahali się, nie wstrzymali koni i w pełnym galopie natarli na piechurów. Uśmiechy na twarzach Szwajcarów zgasły.

Jeźdźcy wdarli się w pierwsze szeregi czworoboku i już kopie przebijały solidne pancerze piechurów, miecze siekły po twarzach, a wierzchowce tratowały wszystko na swojej drodze. Na nic zdały się długie piki i straszliwe halabardy, minęło bowiem zaledwie kilka uderzeń serca, gdy najemnicy zostali doszczętnie rozbici. Na placu rozległy się krzyki umierających, zlewając się w jedno z gniewnym pomrukiem burzy. Ci, którzy przeżyli, uciekali teraz przez zwodzony most do Zamku Średniego.

- Za nimi! - krzyknął Jakub, dostrzegając możliwość wtargnięcia do samego serca twierdzy. Polacy natychmiast ruszyli w pogoń, ale Krzyżacy szybko podnieśli przesłło mostu, zaryglowali bramę, pozostawiając najemników na pastwę losu. Szwajcarzy próbowali się nieporadnie bronić, ale w pojedynczych starciach przeciwko jeźdźcom nie mieli najmniejszych szans. Niektórzy padli na kolana, błagając o miłosierdzie, ale nie było litości dla tych, którzy honor sprzedali za krzyżackie złoto.

- Z koni! - rozkazał rycerz z Kobylan i pierwszy zeskoczył z siodła. Następnie dobył miecza i zaczął przeprować się przez fosę. Reszta poszła w jego ślady, na dziedzińcu podzamcza zostawiając swoje wierzchowce i trupy szwajcarskich najemników.

Nie trzeba było długo czekać, aby na murach pojawili się kusznicy. Ściana deszczu z początku ograniczała widoczność i wystrzelone bełty z upiornym świstem przecinały powietrze, przelatując nad głowami szturmujących, jednak z każdym ich następnym krokiem coraz więcej pocisków dochodziło celu.

Młody rycerz z wyhaftowanym na jace herbem Syrokomli padł z przeszytym gardłem. Nie zdołał nawet krzyknąć, pogrążając się w mętnej wodzie. Idący obok niego postawny Florian z Sulejowa zginął

trafiony w oko. Mikołajowi z rodu Ogończyk bełt rozerwał ramię i rycerz teraz klęczał, niezdolny się podnieść. Rozległy się krzyki umierających i wołania o pomoc.

Pomimo tego Jakub nadal brnął do przodu, czując, jak z każdą chwilą ogarnia go coraz większa furia i gotów choćby w pojedynkę zębami rozszarpać okowy bramy, żeby tylko dopaść wroga. Nagle poczuł, że ktoś chwyta go za ramię. Obrócił się i napotkał stalowe spojrzenie Burgundczyka.

- Nie przejdziemy - rzekł Dagobert. - Wycofaj ludzi.

- Damy radę! - Orzechowe oczy Grzymality błysnęły gniewem. - Woda w fosie sięga ledwie do pasa, a my jesteśmy już w połowie drogi.

- Rozejrzyj się! - Saint-Amand starał się przekrzyczeć nawałnicę szalejącą nie tylko na niebie, ale również w umyśle przyjaciela. - Zanim dotrzemy pod mury, Krzyżacy wystrzelają nas jak kaczkę.

- Nie!

Jakaż spaczona moc jeszcze drzemie w tym miejscu, myślał Dagobert. Zawładnęła Jakubem tak mocno, że ten gotów był posłać na zatracenie swoich ludzi.

- Już straciliśmy ponad dwudziestu, a śmierć kolejnych twoje sumienie obciążą. - Saint-Amand mocno szarpnął przyjaciela. - Prowadząc dalej szturm, czynisz to nie dla zwycięstwa, jeno dla własnej chwały. Naprawdę tego pragniesz?

Jakub zamrugał kilka razy powiekami, jego oczy ponownie zyskały łagodność spojrzenia, jakby opadła z nich jakaś mroczna zasłona. Obejrzał się na uczyniony przez artylerię wyłom.

- Gdybyśmy tylko dostali wsparcie...

- Nikt za nami nie poszedł, a sami nie damy rady.

Rycerz z Kobylan raz jeszcze spojrział na krzyżacką twierdzę. Kto wie, czy to nie była jedyna szansa na zdobycie stolicy wroga?

- Odwrót! - rozkazał.

Burza ucichła.

\* \* \*

Każdego dnia polskie armaty od świtu do nocy prowadziły ostrzał malborskiej twierdzy. W mury zamku raz za razem biły kamienne kule, wyrzucane z bombard ustawionych za Nogatem, natomiast na przedpolu ogniem pluły hufnice<sup>65</sup>, roztrzaskując wykusze, machikuły i bartyzany. W powietrzu nieprzerwanie unosił się szary, gryzący dym, pod osłoną którego pod zamek podchodzili puszkarze i oddawali salwy z hakownic<sup>66</sup>. Wtedy rozlegały się krzyki umierających na murach strażników.

Olbrzymie głazy ciskane nieprzerwanie z katapult czyniły niemałe szkody, niszcząc niemal całkowicie infirmerie. Na strzechy budynków gospodarczych spadały beczki z płonąca smoła, wzniecając trudne do opanowania pożary. Litwini z trebuszy ostrzeliwali kamiennymi blokami główną bramę, która przy każdym uderzeniu upiornie trzeszczała, jakby zaraz miała się rozlecieć.

Jednakże oblegający nie kwapili się do szturm, mimo że w obozie stało wiele szopów oraz drabin. Nie próbowano wspinać się na mury, ani wdrzeć się na zamek przez powstałe wyłomy. Zapewne liczone, że obrońcy, nie mogąc znieść trudów oblężenia, niedługo sami się poddadzą. A oni budząc się rano i widząc, że potężna warownia nadal stoi, utwierdzali się w przekonaniu, że opatrzność nad nimi czuwa i tym zacieklej się bronili. Co więcej, ośmieliło ich to do wypadów za mury.

Przodowali w tym gdańscy marynarze, którzy podczas pieszych harców zapuszczali się głęboko w szeregi wroga. Podczas jednej z

takich wycieczek przedarli się w pobliże hufnic pilnowanych przez rycerstwo ziemi wieluńskiej, ciężkimi toporami powalili Polaków, zagwoździli działa i spiesznie wycofali się do zamku.

Szczyście opuściło ich jednak następnego dnia, gdy spróbowali podobnego wypadu na armaty pilnowane przez chorągwie: oleśnicką, wiślicką i rodu Gryfów. Wydawało się, że i tym razem atak się powiedzie, ale na ich drodze stanął potężny Dobiesław, który podkasawszy rękawy, zaczął ciskać w napastników okutymi belkami do balist. Wyrzucane przez rycerza z Oleśnicy pociski miażdżyły kości, gruchotały żebra, czyniąc takie spustoszenie, jakby wystrzeliwane były z maszyny. Przerażeni Gdańszczanie zaczęli uciekać, ale niesieni bitewnym zapalem Polacy pobiegli za nimi, tnąc ich tak zażarcie, że niewielu marynarzy zdołało ująć z życiem.

Natomiast w dziesiątym dniu oblężenia nieszczęście przytrafiło się zbrojnym z chorągwi Janusza Mazowieckiego, którzy stacjonowali we wschodniej części miasta, w ruinach spalonej kamienicy. Na skutek huku wystrzałów armatnich zawaliła się jedna ze ścian budynku, grzebiąc pod rumowiskiem czterech rycerzy, a tuzin odniosło ciężkie rany.

W tym samym czasie, gdy wojska polskie stały pod Malborkiem, poddani zakonu masowo zaczęli przechodzić do obozu zwycięzcy. Pruskie miasta wyгнаły Krzyżaków, przysięgając królowi wieczną wierność i poddaństwo, znamienite rody szlacheckie oraz biskupi złożyli mu pokłon, uznając go za *pro vero domino et possessore Terre Prussiae*<sup>67</sup>. Niezdobyta pozostawała tylko malborska twierdza, samo serce zakonu.

Tymczasem w trzecim tygodniu oblężenia wielkiej armii polsko-litewskiej skończyła się żywność i pasza dla zwierząt.

\*

Sierpniowe popołudnia nad Wisłą mają to do siebie, że ciągną się w nieskończoność. Słońce praży niemiłosiernie, leniwie chyląc się ku zachodowi, wiatr lekko kołysze przybrzeżnymi trzcinami, rybitwy w ciszy krążą nad taflą wody i zdaje się wtedy, że czas zatrzymał się w miejscu. Dzisiaj jednak spokój zakłócał miarowy plusk wiosła.

Marcin Bornholm, oparty o maszt niewielkiej szynki, czujnie przyglądał się piaszczystem brzegom rzeki, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Westchnął z ulgą i przeniósł spojrzenie na niewielką flotę, którą dowodził, złożoną z barkasów, komięg, dubasów i rybackich batów. Kaper gdański oddałby wszystkie te łodzie za jedną chociaż kogę z wysmukłym kasztelem. Jednak tego typu okręty nadawały się na morze, a nie na płytką Wisłę.

Tutaj potrzebne były jednostki zwrotne, łatwo omijające mielizny, a załoga częściej używała wiosła i bosaków niż żagli. A przecież on, wilk morski, wolał czuć powiew wiatru na twarzy, przedzierać się przez olbrzymie fale i rabować kupców niż ich ochraniać. Niemal żałował, że przyjął to niewdzięczne zadanie od gdańskich rajców, ale przynajmniej dobrze płacili.

Oprócz złota z miejskiego skarbcza, całkiem sporą sumę zaoferował mu tajemniczy podróżny, który chciał szybko dostać się z Gdańska do Malborka. Kaper myślał, że będzie miał z kim przynajmniej pogadać, antałek wina opróżnić, ale niestety, srodze się zawiódł. Mężczyzna, otulony szczelnie płaszczem z narzuconym na głowę kapturem, całymi dniami przesiadywał na dziobie łodzi, do nikogo się nie odzywając. Marcin Bornholm, człowiek z natury jowialny, chętnie nawiązujący nowe znajomości, co w jego profesji było nieocenione, tym razem wolał pozostawić gościa samemu sobie. Coś drapieżnego było w ruchach,

sposobie bycia tego mężczyzny, coś, co napawało grozą.

- Trzy dni minęły odkąd z Gdańska wyszliśmy, a im bardziej gały wytrzeszczam, tym bardziej niedruga obaczyć nie mogę - rzekł ponuro kaszubski rybak o ziemistej twarzy. Właśnie skończył uszczelniać kadłub smołą, wytarł brudne ręce o lnianą koszulę i zmęczony oparł się o burtę łodzi. Sambor był jedynym człowiekiem na tej łajbie, oprócz rzecz jasna samego Marcina, który znał się na żegludze. Resztę załogi stanowili zwykli pachołkowie, wiedzący, co prawda, jak posługiwać się kordem i tasakiem, lecz z postawieniem żagla mieli nielichy problem. Cudem nauczyli się wiosłowania, jednak Bornholm musiał uczciwie przyznać, że gdy już opanowali tę trudną dla nich sztukę, wykazywali w tym względzie niezwykłą gorliwość. Woleli to od szorowania pokładu.

- Tak spieszno ci do wojaczki? - roześmiał się kaper rubasznie, aż zatrzęszy się jego okazałe bokobrody. - A któż rzekł, że w bój idziemy?

- A jakże inaczej? - zdumiał się Kaszub. - Wszak w łodziach prawie setkę zbrojnych wieziemy.

- To jeno działania zaradcze.

- Że co?

- Jak by ci to objaśnić, Samborze, aby twój rozum mógł to ogarnąć? - Marcin Bornholm zafrasowany podrapał się po głowie. - Jak zapewne wiesz, król Władysław już od miesiąca Malbork oblega...

- Pewnie, że wiem - oburzył się rybak. - Głupi nie jestem!

- Pozwolisz, iż w tym względzie pozostanę przy swoim zdaniu - zaśmiał się Gdańszczanin kontent z dobrego żartu, ale spojrzawszy w zagniewane oblicze towarzysza, zaraz spoważniał. - Wy, Kaszubi, za grosz poczucia humoru nie macie. Urazić was może byle żart lub psota. Teraz będziesz się, Samborze, dąsać niczym podfruwajka z książęcego dworu, której ptak narobił na głowę?



- Zamiast po próżnicy język strzępić, rzeknijcie lepiej, co wspólnego ma oblężenie z tym, co my robimy.

Marcin Bornholm westchnął ciężko. Jakże brakowało mu marynarzy ze starej załogi, z którymi bez wahania mógł wyjść na pełne morze w czas sztormu, wszcząć burdę w tawernie albo przy dzbanie dobrego wina toczyć dysputy o polityce do samego rana. Im niestraszne były morskie potwory, floty Danii, Norwegii i Szwecji, ani nawet najślynniejszy z bałtyckich korsarzy, Klaus Störtebeker. Oni potrafili wyzywać los, szydzić z niebezpieczeństwa i brać życie pełnymi garściami. Niestety, gdy Marcin przez trzy miesiące z rzędu nie płacił im żołdu, porzucili służbę. W tej chwili żałował swojego skąpstwa, widząc, jaka teraz załoga mu się trafiła.

- Co jest najważniejsze podczas długiego oblężenia?

Kaszub długo się namyślał zanim odparł:

- Dumam, iż bombardy, co kulami mury kruszą, zbrojni, którzy wedrą się przez uczynione wyłomy i dobry oręż, żeby wroga nim zasiekać.

- Głupis! Najważniejsze to dać ludziom jadło, a koniom paszy. Bez tego największa nawet armia pomrze z głodu.

- Racja - przyznał niechętnie Kaszub.

- Jednakże żaden wódz nie wyprawia się na wojnę z tak wielką ilością zapasów, bo wtenczas zamiast kul armatnich na wozach byłoby jeno zboże i obrok. Król Władysław w przeciwieństwie do ciebie swój rozum posiada i wysłał Tatarów, aby na Żuławach żywności szukali. I ordyńcy rozpierzchli się po okolicy, owszem zapasy pod Malbork dostarczają, ale okrutnie przy tym łupią miejscową ludność.

- Hańba! To się nie godzi.

- W czas wojny wszystko się godzi - odparł Bornholm, mając w

pamięci własne nieczne czyny. - Prawem zwycięzcy jest w ramach zadośćuczynienia brać łup wojenny, byleby nie był połączony z mordem, gwałtem lub świętokradztwem. Witold Tatarów za pysk trzyma, więc kmiotków nie wyrzynają, gwałtu białkom nie zadają, jeno dobra rabują.

- Zatem nie pojmuję, co my tu robimy?

- Bo widzisz, gdyby ordyńcy łupili jeno osady wcześniej należące do zakonu, nikt by palcem nie kiwnął. Jednakże oni zasadzają się na kupców i rabują dobra miasta Gdańska, które Wisłą są wożone.

- A więc to nasi wrogowie!

- Nie masz racji - rzekł kaper, ponownie drapiąc się po głowie. - Rajcom zależy na dobrych stosunkach z królem Władysławem i nawet złożyli mu hołd. Polskiego wysłannika niczym księcia witano w Gdańsku i przy głosach trąb i piszczałek obwożono po wszystkich uliczkach, pokazując, jak piękne jest nasze miasto. I kiedy zaczęły się łupiestwa, najsampierw wysłano do Jagiełły listy ze skargami, a gdy monarcha nic w tym względzie nie uczynił, rajcy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce i wysłali nas, żebyśmy odstraszaali Tatarów.

- Nadal nie pojmuję - rzekł Sambor, ponuro wpatrzony w nurt rzeki.

- Jeśli napotkamy Tatarów, to mamy ich bić, czy w spokoju ostawić?

Marcin Bornholm już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle na zakolu rzeki ujrzał przycumowane do brzegu kupieckie tratwy, z których ordyńcy wynosili worki ze zbożem i wytaczali beczki z solą, ładując je na wozy. Ograbiani kupcy, lamentując i złorzeczając, wymyślali coraz to okrutniejsze kary, jakie spotkają złoczyńców z rąk sprawiedliwego Boga. Tatarzy jednak nie przejmowali się groźbami ze strony bóstwa, którego nie wyznawali, a co bardziej napastliwych kupców obdarowywali kopniakami.

- Przygotować się do ataku! - zakomenderował Bornholm.

Zbrojni, siedzący do tej pory beczynnie na pokładzie, natychmiast się podnieśli, poprawili kapaliny i chwycili za broń. Ordyńcy, ujrawszy zbliżające się łodzie, wskoczyli na konie, wyciągnęli szable i czekali na wrogów. Widząc to, korsarz zaklął szpetnie, bowiem liczył na ucieczkę Tatarów. Widocznie łup był dla nich zbyt cenny, żeby oddawać go bez walki.

Gdy łodzie zaszorowały o brzeg, zbrojni przeskoczyli burty i z okrzykiem bojowym rzucili się do ataku. Ordyńcy z dzikim allowaniem również ruszyli naprzód. Zaraz na piasku wiślańskiego nabrzeża miała dokonać się rzeź, a rzeką popłynąć krew.

- Stać! - w powietrzu zawibrował władczy głos i szarżujący na siebie wojownicy zatrzymali się, jakby ktoś na nich rzucił czar. Ich spojrzenia powędrowały w stronę zakapturzonego mężczyzny, stojącego na dziobie łodzi i wznoszącego w górę królewską pieczęć.

- Jam jest Staszko z Bolumina - rzekł do ordyńców. - Ostawcie kupcom ładunek i rychło prowadźcie mnie do Jagiełły.

\*

Kiedy ostatni raz Staszko z Bolumina widział króla, miał przed sobą pewnego siebie mężczyznę i wierzącego we własne siły przywódcę. Teraz zaś stał przed nim zmęczony życiem starzec o wychudłej twarzy, podkrążonych oczach i drżących rękach. Czarna aksamitna jaka podkreślała jego bladość i wyglądał niczym śmierć, a nie władca dwóch potężnych narodów. Polski szpieg zastanawiał się, co musiało zajść, że w monarsze zaszła tak wielka zmiana.

Natomiast nic się nie zmienił Witold, który stał obok króla przybrany w swoją ulubioną purpurę. On w przeciwieństwie do swojego brata stryjecznego tryskał zdrowiem i nie ulegało wątpliwości, że wojna to

jego żywioł.

Znajdowali się po drugiej stronie Nogatu, gdzie huk armat nie był tak dokuczliwy, a przede wszystkim daleko od wścibskich uszu. Nie było tajemnicą, że Krzyżacy w obozie polskim mieli wielu wywiadowców.

- Mówcie, Staszko. - Jagiełło niespokojnie obejrzał się przez ramię, ale nikt za nimi nie szedł. Straż królewska, zgodnie z rozkazem, pozostała przy koniach.

- Niestety, miłościwy panie, nie przynoszę pomyślnych wieści - odparł szpieg, a na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. - Tak jak kazaliście, przyjechałem do Malborka na długo przed przybyciem waszej armii, przyczałem się w mieście, obserwując kto do zamku wjeżdża i kto zeń wyjeżdża. Z racji tego, iż wiele lat spędziłem u boku Ulryka von Jungingen, znałem z twarzy niemal wszystkich dostojników zakonu oraz szpiegów na usługach Krzyżaków.

- Do rzeczy! - niecierpliwił się Witold, który wolałby teraz doglądać strzelających armat, bo bardziej zajmowało go prowadzenie wojny, niż działania wywiadowcze.

- Na wezwanie Henryka von Plauen do zamku zjechali jednooki bard Oswald von Wolkenstein i wielki szafarz królewiecki, Jerzy von Wirsberg. Pierwszy to krzyżacki postrzegacz, drugi zaś ma powiązania handlowe i przyjaciół niemal w całej Europie.

- Mieliśmy okazję poznać von Wirsberga - rzekł król. - Zmyślny i niebezpieczny z niego człek. Dziwne, że podporządkował się woli zwykłego komtura ze Świecia, wszak wyżej od niego stoi w hierarchii zakonu.

- Gdy przybył do Malborka, Henryk von Plauen dzierżył już całą władzę i nie sposób było mu ją odebrać.

Jagięto pokiwał głową.

- Mów dalej.

- Dowiedziałem się, że Jerzy von Wirsberg sprzedał lub zastawił wszelkie dobra, jakie znajdowały się na malborskim zamku. Nie zawahał się nawet wziąć sreber poległego mistrza, których było tak dużo, że cztery konie z wysiłkiem je wiozły. Samych kubków srebrnych było czterysta, wiem dobrze, bo często je liczyłem...

Staszko zamilkł, gniewnie wpatrzony w zamek stojący po drugiej stronie rzeki. Spędził w nim całe lata, służąc pod rozkazami tych, których nienawidził. Tego jednak wymagała sprawa.

- Ze Starogrodu, Gołubia, Nieszawy, Torunia oraz Brodnicy wyjeżdżały wozy wypełnione kosztownościami i pewne było, że Krzyżacy chcą za nie kupić nowe szeregi najemników. Pozostawało pytanie, gdzie ich będą szukać?

- To oczywiście! - krzyknął Witold. - W Niemczech.

- Z początku też tak myślałem - odparł szpieg. - Do Gdańska wyruszył okazały tabor obładowany skrzyniami i byłem pewien, że te kosztowności, które drogą morską miały płynąć do Niemiec. Na czele pochodu dostrzegłem Oswalda von Wolkensteina, który zawsze był w dobrej komitywie z książętami niemieckimi. Podążyłem za nim.

Nagle Staszko zatrzymał się i spojrzał w oczy swojego króla.

- Wybacz mi, miłościwy panie, gdyż was zawiodłem - skłonił się nisko. - Ze strony Krzyżaków to był fortel mający zmylić szpiegów. Powinienem się prędzej domyślić, ale dopiero w Gdańsku odkryłem prawdę. W skrzyniach był jeno piasek.

- Co w takim razie stało się ze srebrem i kosztownościami?

- Zdołałem pochwylić w ciemnej portowej uliczce tego tyrolskiego barda i wydusić z niego prawdę. Rzekł mi, że Jerzy von Wirsberg

zamienił wszystkie dobra na dukaty i wziął je ze sobą do Pragi. Wacław Luksemburski obiecał darować zakonowi kolejne osiem tysięcy dukatów...

- Wacław? - zdumiał się Witold. - Darować?

- Zapewne kazał sobie wystawić rewers - uśmiechnął się krzywo monarcha. - Na co miały zostać przeznaczone dukaty?

- Na żołd - odparł Staszko. - Oswald von Wolkenstein, zanim poderżnąłem mu gardło, wyznał, iż na Śląsku i w Czechach zebrano już tysiąc kopii gotowych Krzyżakom ruszyć na odsiecz.

Jagiello chwycił się za głowę.

- Jesteśmy zgubieni.

- To nie wszystko, miłościwy królu.

- Mów.

- Inflantczycy przystąpili do wojny. Do Malborka zmierza kilka tysięcy zbrojnych pod wodzą ichniego marszałka, Berna von Hevelmann.

Król podszedł nad brzeg rzeki, ukląkł i zanurzył dłonie w zimnej wodzie. Opłukał twarz. Przez chwilę przyglądał się, jak nurt niesie liście, drobne gałązki i zastanawiał się, czy wojna, jaką rozpętał, nie jest próbą zawrócenia biegu rzeki? Jeśli wielki plan Stwórcy zakładał jego porażkę, to nic nie jest w stanie tego powstrzymać.

Czy powinien biernie czekać na to, co przyniesie los? A może przynajmniej uczynić, co w jego mocy, żeby zwyciężyć? Jeśli wszystko jest postanowione, wtedy liczą się tylko intencje.

- Spróbujmy zawrócić rzekę przy pomocy tamy - wyszeptał do siebie, a następnie wstał, otrzepując kolana z piasku.

- Witoldzie?

- Słucham was, bracie.

- Weźmiecie dwanaście chorągwi i wyjedziecie naprzeciw Inflantczykom. Nie pozwólcie im dotrzeć do Malborka.

- Miesiąc temu taki hufiec nie byłby nam straszny.

- Teraz jest inaczej - odparł Jagiełło. - Wojsku brak zapasów do walki, a nam złota na żołąd. Skarbiec królewski pustkami świeci.

- Może należy nałożyć daninę?

- To wywoła tylko bunt w kraju, a na to nie możemy sobie pozwolić.

- Monarcha przymknął powieki i zaczął masować skronie. - Staszko?

- Tak, panie.

- Pojedziesz do Torunia i powiesz, że król Polski i Litwy żąda... hmm... prosi o pożyczkę w wysokości tysiąca grzywien.

Szpieg skłonił się nisko i odszedł, żeby natychmiast wyruszyć z kolejną misją.

- Myślałem, iż przeznaczenie już się wypełniło - rzekł ponuro Witold.

- Może nigdy to nie nastąpi? A może zapisane wraz z początkiem świata, wypełni się dopiero u jego końca? Któż to wie?

- Myślałem, że wy, bracie... - Książę Litwy spojrzał z nadzieją na Jagiełłę. - Wasze wizje...

- Odeszły - odparł. - Pozostały jeno koszmary.

\* \* \*

Pierwsze dni września przyniosły ciepłą, słoneczną pogodę i choć burze nadal szalały nad ziemią pruską, przypominały raczej krótki, raptowny wybuch gniewu, po którym następowało pełne wyczekiwania milczenie.

W królewskich ogrodach rozkwitły astry w odcieniach różu, bieli i czerwieni, natomiast dzikie łąki pokryły się fioletem wrzosów. Wraz z wiatrem w powietrzu unosiły się pajęczne nici babiego lata i pogoda bardziej sprzyjała błogiemu lenistwu niż wojnie. Jednakże bombardy

pod Malborkiem ani przez chwilę nie milkły i chociaż wśród rycerzy coraz częściej podnosiły się głosy, że należy poniechać krzyżackiej stolicy, oblężenie trwało.

Dagobert stał na pagórku, obserwując oddział złożony z pięćdziesięciu zbrojnych wjeżdżający do obozu polskiego. Każdy z nich nosił dobrą kolczugę, przyłbicę, a na ramionach płaszcz z wymalowanym czerwonym, ośmioramiennym krzyżem - symbolem zakonu Kawalerów Mieczowych. Polscy rycerze z zazdrością spoglądali na rynsztunek zakonników, w nadziei, że przyjdzie im w boju się z nimi zmierzyć, pokonać i zabrać dobytek, natomiast Burgundczyk zastanawiał się, czemu Witold ich tutaj sprowadził.

Książę Litwy wyruszył na czele swoich chorągwi z zadaniem powstrzymania zbliżających się Inflanckich, ale zamiast ich rozgromić, wdał się z nimi w pertraktacje. Bern von Hevelmann przekonywał, że kawalerowie mieczowi nie przybyli do Prus toczyć wojnę, ale doprowadzić do ugody między królem Władysławem a zakonem krzyżackim. Zobowiązał się odesłać swoje wojska do Bałgi i Pokarmina, a sam z garstką przybocznych przyjechać do Malborka i namówić Henryka von Plauen do poddania twierdzy. Witold na to przystał i ogłoszono kilkudniowy rozejm.

Jednak Dagobert nie ufał marszałkowi inflanckiemu, podejrzewając, że chce jedynie zyskać na czasie, czekając na posiłki od Luksemburczyka. Nie mogło być inaczej, skoro najwyżsi dostojnicy zakonu inflanckiego przebudzeni byli w świetle Emanacji Hod.

Nagle Saint-Amand spostrzegł, że nie jest na wzgórzu sam. W cieniu wysokiego dębu, niemal niewidoczny, stał mężczyzna odziany w opończę. Burgundczyk podszedł do niego.

- Staszko z Bolumina - rzekł. - Nie zdążyłem ci podziękować.



- A ja podziękowań nie oczekiwałem.  
- Uratowałeś Gilberta i wdzięczny ci za to będę do końca moich dni.  
- Musiałem to zrobić, inaczej wydałby mnie Krzyżakom.  
- Mogłeś uciec i zostawić go na łasce von Lichtensteina - odparł Saint-Amand. - A ty uczyniłeś to, co uczyniłeś.

Szpieg skwitował to lekkim uśmiechem.

- Chłopiec wiele dla ciebie znaczy? - spytał.

Dagobert tylko skinął głową.

- To dobry dzieciak.

- Nie musisz mi tego mówić - roześmiał się Burgundczyk, ale zaraz spoważniał. - Winienem ci jeszcze jedno podziękowanie.

- Tak? - Staszko uniósł brew.

- Przed rokiem wysłałeś Gilberta, żeby mnie i Aine wyprowadził z malborskiej twierdzy. Gdyby nie ty, zapewne czekała nas śmierć, w najlepszym wypadku krzyżacka niewola.

Szpieg ukłonił się dwornie.

- Zastanawia mnie tylko jedno. - Dagobert przechylił głowę, uważnie spoglądając w szare, łagodne oczy mężczyzny. - Skąd wiedziałeś, że jesteśmy na zamku? Nasza misja była tajna, zaś ty od razu odgadłeś, że służymy królowi Władysławowi.

- Służyliście królowi i owszem... - szpieg na chwilę zawiesił głos. - Ale przede wszystkim własnym Emanacjom.

- Jesteś Przebudzonym?! - Burgundczyk wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Mężczyzna skinął głową.

- Nie wyczuwam twojej aury - Dagobert spojrzał na niego podejrzliwie.

- Ci, którzy kroczą ścieżką mojej Emanacji, jej nie posiadają.

- Daat! - Saint-Amand sięgnął do rękojeści miecza. - Słyszysz Emanacji Daat.

- Nie obawiaj się - Staszko podniósł dłoń w uspokajającym geście. - Wiem, że mieliście już do czynienia z człowiekiem takim, jak ja. Z mojej strony jednak nic wam nie grozi.

- Chcesz rzec, iż jesteś inny niż on?

- Wtedy bym skłamał - odparł mężczyzna. - Noszę w sobie tajemną wiedzę asasynów<sup>68</sup>, moje serce wypełnione jest tęsknotą za twierdzą Alamut<sup>69</sup>. Jednakże w tej wojnie jestem po tej samej stronie, co ty.

- Mam ci wierzyć? Wszak Malofiej, notariusz królewski a zarazem krzyżacki szpieg, też był przebudzony w świetle Daat.

- Daat manifestuje się pomiędzy Emanacjami, raz zbliżając się do lewej, raz do prawej strony Drzewa Życia, więc niektórzy z nas podążają ścieżką Binah, inni zaś kroczą w świetle Chokhmah. Przebudzeni, tacy jak ja, o niewykrywalnej aurze i umiejętnościach przekazywanych przez uczniów Hasana ibn Sabbah<sup>70</sup>, zostają szpiegami lub skrytobójcami. Spotkasz nas po jednej, jak i drugiej stronie.

- Dziwne to, co prawisz.

- A nie jest dziwne twoje przebudzenie i ta cała wojna pomiędzy Emanacjami?

- Nie mnie oceniać zamysły Stwórcy - rzekł Dagobert, zdejmując jednak dłoń z rękojeści miecza. - Wybacz. Uratowałeś mi życie i nie powinienem mieć względem ciebie podejrzeń.

- Zaufanie nigdy nie jest prostą sprawą.

Zamilkli, przenosząc spojrzenie na obóz, gdzie Infantczycy zdążyli już zsiąść z koni i zabrali się za rozbijanie namiotów. Na zamek mieli wejść dopiero jutro, gdy Henryk von Plauen potwierdzi gotowość do

pertraktacji.

- Co o tym myślisz? - zagadnął Saint-Amand. - Zapanuj pokój?

- Złuda to jeno - mruknął zakapturzony mężczyzna. - Dopóki istnieje spaczona moc Binah, dopóty Równowaga jest zagrożona.

- Ja też tak sądzę - Dagobert pokiwał głową. - Trzeba wdrzeć się do zamku i ponownie ujarzmić jej źródło.

- Jednakże tym razem nie tkwi ono w ziemi.

Burgundczyk spojrział na niego zdziwiony.

- Zatem, gdzie?

- W człowieku - odparł Staszko. - Nosi je w sobie Henryk von Plauen.

\*

Plan był prosty, ale jak to zwykle bywa z prostymi planami, trudny do wykonania. Dagobert i Staszko postanowili dostać się na malborski zamek i zgładzić Henryka von Plauen. Dlatego wczesnym świtem wkradli się do obozu Inflantczyków, ogłuszyli dwóch zakonników i ubrali ich stroje oraz rynsztunek. Na szczęście, lekko uniesiona zasłona hełmu zasłaniała pół twarzy, dzięki czemu trudno ich było rozpoznać.

Dopiero wtedy, gdy strażnicy opuścili zwodzony most, podnieśli główną bramę i oddział kawalerów mieczowych wjeżdżał do samego serca krzyżackiej twierdzy, Burgundczyk stwierdził, że to był plan szalony. Przecież po ściągnięciu hełmu każdy sługa na zamku mógł rozpoznać w Staszku z Bolumina byłego pokojowca wielkiego mistrza, a Henryk von Plauen wykryć aurę Dagoberta. Z drugiej strony, wielu z tych, co pamiętali polskiego szpiega, nie żyło już bądź zbiegło z Malborka, a aurę Przebudzonego tylko Aine potrafiła wyczuć na odległość większą niż sto kroków.

Trzeba było podjąć ryzyko i szybko zakończyć wojnę, bowiem z

dnia na dzień sytuacja w obozie wojsk sprzymierzonych była coraz gorsza. Polscy rycerze, zniecierpliwieni przedłużającym się oblężeniem, chcieli wracać do domów. Chodziły plotki o wielkiej armii Zygmunta Luksemburskiego zbierającej się na południe od granic Polski, szeptano o zaciężnych Czechach i Ślązakach szykujących się do ataku na Kraków. Szlachta z ziem małopolskich była coraz bardziej zaniepokojona i żądała od króla zaprzestania działań wojennych. Ponadto kończył się proch i pociski do armat, najemnicy upominali się o żołd, grożąc nawet przejściem na stronę wroga, a Litwini chorowali na biegunkę.

Dagobert i Staszko swój zamiar przedstawili radzie wojennej i mimo sprzeciwu Zbigniewa z Brzezia, którego obrzydzeniem napawało skrytobójstwo, Jagiełło przystał na ich propozycję. Był niemal pewien, że kres wojnie położyć może jedynie śmierć Henryka von Plauen.

Burgundczyk musnął dłonią brzeszczot dwuręcznego miecza przytroczonego do siodła i poczuł w palcach mrowienie. Wierzył, że uda mu się zbliżyć do wroga, a wtedy Ostrze Netzacha go nie zawiedzie i spadnie głowa krzyżackiego dostojnika. Rozmyślania przerwał mu trzask opuszczanej za nimi kraty i rycerz z Saint-Amand zrozumiał, że nie ma już odwrotu.

Wjechali na dziedziniec Zamku Średniego i Dagobert nie poznał miejsca, które jeszcze przed rokiem tętniło życiem. Teraz ujrzał doszczętnie zniszczone infirmeria, zdruzgotaną pociskami kuchnię, z której niegdyś dochodził zapach pieczonego chleba i pogorzeliska w miejscu izb gościnnych. Nietknięte wydawały się jedynie budynki zachodniego skrzydła i tam w olbrzymiej sali refektarza urządzono lazaret, a w pomieszczeniach kancelarii kwatery dla zbrojnych.

Biegący przez środek dziedzińca ogród również był w opłakanym

stanie. Piękne kwiaty zostały zdeptane przez spieszących na mury żołdaków, spacerowe ścieżki zorane kołami targańców, a na klombach urządzono składowisko kul armatnich. Niegdyś po dziedzińcu spacerowali przyjezdni goście, podziwiając kunszt budowniczych zamku, którzy na bagnach wznieśli tak potężną twierdzę, ale teraz panował tu ścisk niczym w obozie wojskowym. Najemnicy, dla których nie starczyło miejsca w kancelarii, rozbili namioty przy południowym murze, za którym piętrzył się Zamek Wysoki. Wejścia do niego pilnował zbrojny oddział, żeby nikt nie śmiał naruszyć spokoju dostojników tam urzędujących. Zapewne siedzieli teraz w kapitulacji, radząc, jak przetrwać kolejny miesiąc oblężenia.

Burgundczyk rozkulbaczył konia, zostawiając go w prowizorycznej stajni i udał się do kwater przygotowanych dla Infantczyków. Staszko zaraz zniknął w tłumie zasięgnąć języka, więc Dagobertowi nie pozostało nic innego, jak tylko czekać. Wśród grających w kości żołnierzy znalazł kawałek wolnego miejsca, oparł o ścianę dwuręczny miecz, owinął się szczelnie płaszczem i pograżył we śnie.

\*

Nagle szarpnięcie za ramię natychmiast zbudziło rycerza z Saint-Amand i ten gotów był zerwać się na równe nogi, gdyby nie przytrzymały go silne ręce Staszka z Bolumina.

- Ta ja - syknął i zaniepokojony rozejrzył się po izbie. Kilku żołdaków podniosło głowy, spoglądając na nich ponuro, lecz zaraz wrócili do turlających się po posadzce kości. Podczas wojny tylko to ich zajmowało, rozrywka pozwalająca zapomnieć o czyhającej śmierci. A wścibianie nosa w nie swoje sprawy mogło jedynie przyspieszyć spotkanie z kostuchą.

- Dowiedziałeś się czegoś? - Dagobert przetarł zaspane oczy.

- Nie będzie łatwo - odparł szpieg wyuczonym przez lata konspiracji szeptem. - Henryk von Plauen lęka się o swoje życie, jakby się czegoś domyślał. Przezornie nie opuszcza Wysokiego Zamku, a strażnicy chodzą za nim krok w krok. Ponoć w obawie przed próbą otrucia żywi się jeno chlebem i wodą.

- Trudno - Saint-Amand wzruszył ramionami. - Będziemy musieli się przebić.

Staszko spojrzał na niego drwiąco.

- Chcesz przedrzeć się przez most, pokonać wartowników, zmusić klucznika do otwarcia bramy, stoczyć na dziedzińcu bój z co najmniej dwoma dziesiątkami strażników, a następnie odnaleźć von Plauena i zgładzić go?

- Bywało gorzej.

- Jesteś szalony - westchnął szpieg. - Na szczęście jest inny sposób. Henryk von Plauen i Bern von Hevelmann mają odbyć naradę podczas wieczery w letnim refektarzu.

Oczy Burgundczyka rozbłysły, gdy uświadomił sobie, że refektarz znajduje się dokładnie nad izbą, w której obecnie przebywali.

- Zatem jest szansa go dopaść!

- Krzyżacy nie są głupcami - Staszko pokręcił głową. - Zapewne zamkną całe skrzydło, postawią wszędzie strażę i nasz oręż tu nie wystarczy. Mam lepszy pomysł.

- Tak? - W głosie Dagoberta wyczuć można było lekką drwinę. Od najmłodszych lat szkolił się na rycerza i nauczony był, że tylko mieczem rozwiązuje się problemy. Choć życie pokazało mu, że wcale tak nie jest, nadal pielęgnował w sobie stare przyzwyczajenie.

- Skoro już wiemy, gdzie von Plauen przebywać będzie w porze wieczery, nasze wojska mogą z bombard ostrzelać komnatę.

Wystarczy, że kula trafi w filar podtrzymujący sklepienie refektarza, a cały sufit zawali się, grzebiąc pod gruzami dostojników...

- To niehonorowe!

- Na honor jest miejsce w szrankach, na książęcych dworach lub w niewieścich alkowach, gdy nic to nie kosztuje. Zbyt wiele mamy do stracenia, żeby słuchać głosu sumienia. Powinieneś to wiedzieć, Burgundczyku.

Dagobert skinął głową. Nieraz zdarzało mu się porzucić wpojone w dzieciństwie ideały i złamać zasady kodeksu rycerskiego, lecz za każdym razem jego młodzieńcze serce buntowało się wobec takich praktyk. Teraz także rozsądek wziął górę nad emocjami.

- Jak przełożymy wiadomość naszym puszkarzom?

- Przed zmrokiem z zamku ma wyjechać pleban z Gdańska, starzec w podeszłym wieku, który źle znosi trudy oblężenia. Nasz król ulitował się nad biedakiem i pozwolił, żeby wraz ze świtą opuścił Malbork.

Staszko z Bolumina uśmiechnął się chytrze.

- Wyjdziemy z twierdzy tak samo, jak się do niej dostaliśmy. Dołączymy do orszaku plebana jako zwykli mnisi. Zdobyłem już dla nas habity...

- A jeśli ostrzał się nie powiedzie?

Szpieg wzruszył ramionami.

- Wszystko w rękach opatrzości.

Rycerz z Saint-Amand spojrział przez okno na mury obronne, za którymi powoli chowało się słońce. Zatęsknił za ciepłymi ramionami Aine, delikatnymi pocałunkami, zapachem włosów, samą jej obecnością. Zatęsknił za uśmiechem Gilberta, jego radością życia, wigorem.

I zatęsknił za przyjaciółmi, z którymi walczył ramię w ramię. Oni

wszyscy znajdowali się po drugiej stronie muru.

- Ja tu zostanę - rzekł cicho. - Nie możemy pokładać nadziei jeno w kuli. Niechaj puszkarze próbują, a gdy plan zawiedzie, pozostanie jeszcze mój miecz.

Polski szpieg przez chwilę spoglądał na swojego towarzysza. W swoim życiu wielokrotnie spotykał ludzi odważnych, śmiało zagląających śmierci w oczy, ale zawsze istniała ostateczna granica, której nigdy nie przekraczali. Tam nie było już nawet nadziei.

- Jesteś szalony, Burgundczyku.

Rycerz uśmiechnął się samymi kącikami ust.

- Już to mówiłeś.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. Milczeli. Pierwszy opuścił wzrok Staszko, okrył się szczelnie zakonnym płaszczem, pochylił głowę i odszedł bez słowa pożegnania. W progu obejrzał się jeszcze na człowieka, którego pozostawiał na pewną śmierć.

\* \* \*

Oblężenie dało się we znaki nie tylko obronnym murom podziurawionym jak sito przez armatnie kule, strudzonym obrońcom codziennie modlącym się do Boga o rychły ratunek, ale również skutkowało lichym jedzeniem. Marszałek zakonu kawalerów mieczowych, Bern von Hevelmann, mężczyzna w średnim wieku, o oczach drapieźnych, lecz włosach już białych niczym śnieg, z pogardą spoglądał na postawiony przed nim talerz owsianki, pajdę pszennego chleba i kielich mocno rozcieńczonego wina. Przed czterema laty, gdy po raz ostatni gościł w Malborku, na wieczerzy nie brakowało dziczyzny, baraniny, rosółów, jajek i ryb, a toasty wznoszono najprzedniejszym winem z piwnicznych zapasów wielkiego mistrza. Teraz jednak Ulryk von Jungingen nie żył, a przywództwo nad zakonem



objął przybłąda ze Świecia, którym Inflantczyk brzydził się na równi ze stojącą na stole owsianką.

- Rad jestem, że to wy po niespodziewanej klęsce i śmierci wielkiego mistrza wzięliście sprawy w swoje ręce - rzekł marszałek, kłaniając się siedzącemu naprzeciw von Plauenowi. - Męstwa i odwagi nie sposób wam odmówić, a także rozumem innych braci przewyższacie.

Krzyżak, słysząc pochlebstwa, uśmiechnął się drwiąco.

- Od waszych gładkich słów wołałbym pięć tysięcy zbrojnych, których obiecał wasz mistrz. Szkoda, że sam zmożony chorobą nie mógł do Malborka przybyć. Zapewne z dumą stanąłby na murach, broniąc czci zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny, do którego zgodnie z regułą należy.

Bern von Hevelmann poczerwieniał ze złości, mocno zaciskając pięść pod stołem. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że kawalerom mieczowym nie w smak była zależność od krzyżackich pobratymców i tak naprawdę nie chcieli angażować się w wojnę. Woleli przeczekać i zobaczyć, kto wyjdzie z niej zwycięsko. Henryk von Plauen dobrze o tym wiedział.

Inflantczyk odetchnął głęboko. Nie mógł pozwolić sobie na otwarty konflikt z człowiekiem, który niedługo może stanąć na czele obu zakonów.

- Kiedy tylko będzie to możliwe, ruszymy wam na pomoc - odparł drżącym jeszcze głosem. - Niestety, nasze ziemie nie są bezpieczne. Ośmieleni waszą klęską Rusini z Pskowa i Nowogrodu już na granicach wojska szykują.

Oczy Henryka zabłyśły złowrogo na wspomnienie przegranej bitwy.

- Gdyby Konrad von Vietinghoff wypełnił swoje powinności

względem zakonu, do klęski by nie doszło. W godzinie próby zabrakło chorągwi inflanckich na placu boju.

- A skąd wiecie, że wtenczas byśmy zwyciężyli? - marszałek uniósł lekko brew. - Wszak was też tam nie było.

- Milcz, jeśli chcesz, żebym cię żywym ostawił! - krzyknął Henryk von Plauen, opluwając przy tym swoją bujną czarno-siwą brodę.

Bern von Hevelmann skulił się, czując potężną moc emanującą od komtura ze Świecia. Wiedział, że Binah obdarzyła go swoją łaską, ale nie przypuszczał, że aż tak wielką siłą.

- Racz mi wybaczyć, panie - rzekł poblady. - Przybyłem do was jako przyjaciel i jako przyjaciel chcę was opuścić.

Udobruchany tym, że kaja się przed nim sam marszałek inflancki, von Plauen uśmiechnął się zadowolony. Przez lata jako zwykły komtur znosił upokorzenia ze strony takich zadufanych w sobie dostojników. Teraz wreszcie role się odwróciły.

- Skoro wyjaśniliśmy już sobie pewne kwestie, mów, jak się sytuacja przedstawia.

Inflantczyk odetchnął z ulgą i rozparł się wygodniej na siedzisku. W tym czasie słudzy sprzątnęli ze stołu owsiankę, podali sery i pierniki z cynamonem. Von Hevelmann sięgnął po ciastko i przegryzając, mówił z zapałem, którego wcześniej nie było w nim widać.

- Pod Knipawą zbierają się resztki wojsk krzyżackich, gotowe wam przybyć z odsieczą. Jerzy von Wirsberg zleconą przez was misję sumiennie wypełnił i tylko patrzeć, jak pod Malbork zjadą najemnicy ze Śląska i Czech. Ponadto wreszcie swoje wojska skrzyknął Zygmunt Luksemburski i lada dzień Węgry na Polskę uderzą. Jak więc widzicie, nic nie jest stracone. Wytrwajcie jeszcze, a los wojny rychło się odwróci.

- Dobre wieści przynosisz - klasnął w dłonie uradowany von Plauen.  
- Wysokie są mury Malborka i bronić się z nich będziemy, jak długo będzie trzeba. Co prawdaż, żywność nam się kończy, ale za to Jagiełło ma coraz mniej kul armatnich.

\*

Michał ze Skawiny z niepokojem zerkał na chowające się słońce, wiedząc, że zaraz nadejdzie noc i świat pograży się w ciemnościach. Podczas gdy pachołkowie oczyszczali lufę bombardy z nagromadzonego nagaru, puszkarz oceniał odległość od krzyżackiego zamku. Potrzeba było niebywale precyzji, żeby wystrzelona kula trafiła w któryś z filarów letniego refektarza. A on miał na to tylko jedną szansę. Po pierwszym nieudanym strzale Henryk von Plauen natychmiast zorientuje się w niebezpieczeństwie i zdoła zbiec.

Mężczyzna rozkazał podnieść drewniane łoże, na którym opierała się armata, uznał bowiem, że kąt jest zbyt mały i kula nie doleci. Cierpliwie odczekał, aż słudzy wykonają polecenie, wyciągnął zza pasa sakwę, przystawił do lufy i usypał sporą ilość prochu. Następnie własnoręcznie dźwignął kamienną kulę, załadował i zaklinował. Bombarda była gotowa do strzału. Michał ze Skawiny przeżegnał się, prosząc Boga o wybaczenie.

W swoim życiu wystrzelił kilka tysięcy kul, nigdy nie zastanawiając się, ilu zabiły ludzi. Zawsze widział tylko uczynione wyłomy w murach, strzaskane wykusze, zburzone wieże, zniszczone barbakany, nie myśląc o tych, którzy znaleźli się pod gruzami. Teraz było inaczej. Teraz wiedział, że celem jest człowiek.

Westchnął ciężko i przyłożył rozżarzony węgiel do panewki.

\*

Odłamek rozbitego szkła przeciął policzek von Plauena, jednak

skaleczony nie czuł bólu oraz krwi spływającej po twarzy, tylko przerażony przyglądał się kamiennej kuli, która przebiła witraż w oknie, przeleciała nad jego głową, musnęła filar podtrzymujący sklepienie, następnie odbiła się od posadzki i utkwiała w przeciwległej ścianie. Od razu zrozumiał, że nie był to przypadkowy pocisk i gdyby nie łut szczęścia, zginąłby przysypany stertą gruzu.

Zerwał się na równe nogi i pobiegł do drzwi, chcąc jak najszybciej uciec z refektarza w obawie, że Polacy rozpoczną zaraz regularny ostrzał. A wtedy lepiej być jak najdalej stąd. W progu obejrzał się na Berna von Hevelmanna, który krztusząc się piernikiem, dopiero teraz ruszył w jego ślady.

Wyskoczyli, na korytarz, wpadając na przestraszonych strażników i w ich asyście pobiegli schodami w dół. Na dziedzińcu panował harmider. Pachołkowie szukali schronienia, służący lamentowali, bracia kapłani wznosili modły, a zbrojni szykowali się do odparcia ataku. Na placu zebrali się też zaniepokojeni Inflantczycy, ale gdy ujrzeli marszałka całego i zdrowego, z lekko tylko zwichrzoną czupryną, odetchnęli z ulgą.

- Do Zamku Wysokiego! - zakomenderował komtur ze Świecia. - Mury tam grube i kule nas nie dosięgną.

Wokół dostojników natychmiast utworzono krąg. Z przodu z wyciągniętymi mieczami ustawili się krzyżaccy strażnicy, z tyłu kawalerowie mieczowi i w tak utworzonym szpalerze ruszyli w stronę bramy. Zbrojni raz za razem zerkali w niebo, obawiając się nadlatujących pocisków, ale nic nie zapowiadało dalszej kanonady. Rozglądali się też wokół, sprawdzając, czy Polacy nie przedarli się przez mury i nie czyhają na życie ich wodzów. Gdyby któremuś z nich przyszło do głowy spojrzeć do tyłu, spostrzegłby, że do pochodu

dołączył inflancki zakonnik z rozwianymi przez wiatr włosami i obnażonym dwuręcznym mieczem.

\* \* \*

Dagobert z Saint-Amand w szarudze nadchodzącej nocy dobrze widział postać otuloną w biały, krzyżacki płaszcz. Od von Plauena dzieliło go zaledwie kilka kroków. Tak niewiele. Wystarczy tylko doskoczyć, unieść ostrze, szybko ciąć i głowa komtura ze Świecia potoczy się po dziedzińcu. To, czego nie dokonała armatnia kula, uczyni Ostrze Netzacha.

Nie myślał o tym, co z nim się stanie. Może zginie rozsiekany przez krzyżackie miecze, może zakuty w kajdany i zamęczony w lochu? W tej chwili najważniejsze było zadać jeden celny cios i uwolnić świat od spaczenia.

Musiał jednak wczekać na odpowiedni moment, gdy nikt nie będzie stał na drodze między nim a von Plauenem, ale zwlekać zbyt długo też nie mógł, bo zakonnik lada chwila wyczuje obecność Przebudzonego. Na czole Burgundczyka pojawiły się kropelki potu, serce waliło jak oszalałe i musiał wziąć głęboki oddech, żeby się opanować.

Wysunął się nieznacznie przed szereg i teraz miał dostojnika krzyżackiego na wyciągnięcie miecza. Zacisnął mocno dłonie na rękojeści Ostrza Netzacha i już miał uderzyć, gdy idący po jego bokach Inflanccy przyspieszyli kroku i wyprzedzili go. W pierwszej chwili Dagobert przestraszył się, że został zdemaskowany, ale zaraz spostrzegł, że właśnie weszli na most łączący zamek Średni z Wysokim i zbrojni, chcąc się na nim zmieścić, musieli przejść do przodu. Zaklął pod nosem, wściekły, że przez swoje gapiostwo stracił okazję. Teraz musiał poczekać, aż znajdą się na dziedzińcu.

Wartownicy widząc wracającego Henryka von Plauen, szybko

podnieśli kratę i cały pochód przeszedł wąskim korytarzem prosto do serca krzyżackiej twierdzy.

Burgundczyk rozpoznał niewielki podwórzec ze studnią pośrodku, na którym przed rokiem stoczył walkę z wysłannikiem Hod. Uśmiechnął się do swoich myśli. Czyżby przewrotny los ponownie przywiódł go w to miejsce, aby odebrać darowane przed rokiem życie? A może dał mu szansę na dokończenie dzieła i ujarzmienie raz na zawsze spaczonyj mocy Binah? Jakiegolwiek były zamysły sił wyższych, przeznaczenie musiało się dopełnić.

Nie zwlekając, ruszył w stronę krzyżackiego dostojnika.

\*

Grzmot armatniego wystrzału zastał Piotra Świnkę w dormitorium, które dzielił z kilkoma młodymi mnichami i tak mocno go wystraszył, że w pierwszej chwili chciał skryć się pod łóżkiem, jednak w porę uświadomił sobie, że przecież stan rycerski do czegoś zobowiązuje. Podczas gdy braciszczkowie trzęśli się ze strachu jak osiki, polski szlachcic na usługach panów pruskich przywdział pas i wyszedł na krużganek sprawdzić, co się stało.

Przywitał go chłodny, wieczorny wiatr, blask rozpalanych pochodni i głośnie nawoływania strażników. Nie usłyszał jednak kanonady i nie dostrzegł spadających kul. Co więc oznaczał ten pojedynczy wystrzał?

Rycerz podszedł do balustrady i spojrział w dół w chwili, gdy na dziedziniec wkraczali zbrojni eskortujący komtura ze Świecia i marszałka inflanckiego. O ile Bern von Havelmann wydawał się mocno przestraszony, to rozwścieczony Henryk von Plauen miotał przekleństwa, przysięgając zemstę Jagielle i całemu narodowi polskiemu za rzekomy zamach na jego życie.

Piotr Świnka, który sam był potomkiem Lecha, postanowił dzisiaj

nie wchodzić w drogę krzyżackiemu dostojnikowi i już chciał po cichu wycofać się do swojej komnaty, gdy nagle na dziedzińcu błysnęła rozpalona pochodnia, w której blasku ujrzał oblicze jednego z inflanckich rycerzy. Zmrużył oczy, przyglądając mu się uważnie. Gdzieś już widział te młodzieńcze rysy, stalowe oczy i długie włosy opadające kaskadą na ramiona. Wtedy jednak były oblepione krwią.

W jednej chwili przypomniał sobie Kieżmark i rzeź, jaką urządziło zaledwie ośmiu rycerzy broniących życia księcia Witolda. Stawili czoło podjudzonemu tłumowi mieszkańców miasta i wyszli z tego prawie bez szwanku, pozostawiając za sobą tylko trupy. Jednym z nich był ów człowiek, który teraz z obnażonym mieczem zbliżał się do Henryka von Plauen.

- Łapcie go! - krzyknął, wskazując palcem intruza. - To człek Jagiełły!

\*

Aine rozejrzała się uważnie, a stwierdziwszy, że wokół nie ma żywej duszy, zsunęła szaty i rozpuściła włosy, pozwalając im łagodnie opaść na nagie ramiona. Następnie nasmarowała ciało mydłem, wcześniej przygotowanym z tłuszczu oraz ługu z popiołu i weszła do rzeki. Najpierw poczuła lodowate zimno, ale już po chwili tylko przyjemny chłód, przynoszący ukojenie po upalnym dniu.

Postąpiła kilka kroków po mulistym dnie. Woda delikatnie obmywała jej kształtne uda, delikatny mech łona, łaskotała w brzuch. Kobieta zanurzyła się po szyję, chcąc zmyć z siebie pył prochu, którym - jak jej się zdawało - była cała oblepiona. Miała już dosyć ciągłego huku bombard, gryzącego zapachu siarki, niekończącego się oblężenia i całej tej wojny. W jej zielonych oczach błysnęła wściekłość. Zła była na wszystko i wszystkich. Na Krzyżaków zaciekle broniących się w

twierdzy, na Polaków ospale prowadzących oblężenie, na króla niepotrafiącego zakończyć konfliktu, a przede wszystkim na Dagoberta, który po raz kolejny ruszył z misją ratowania świata.

Nie próbowała go zatrzymać, to nie miało sensu. On był wojownikiem, przebudzonym sługą Siódmej Emanacji Stwórcy i walka leżała w jego naturze. Aine mogła jedynie czekać, otoczyć ukochanego myślami, ochronnymi barierami, których nie przełamie spaczona moc Binah.

Jakże zazdrościła zwyczajnym niewiastom, które pozbawione były daru, a raczej przekleństwa widzenia. Codziennie po ciężkiej pracy w obejściu siadywały na ławie, składając dłonie na podołku i wpatrywały się w pusty trakt, czekając na swoich mężów. Z drżącym sercem modliły się o ich ocalenie, o szczęśliwy powrót z wojny, najlepiej z obfitymi łupami. I wreszcie twarze tych kobiet rozjaśniała radość, gdy mężowie pojawiali się na gościńcu, lub rozpacz na widok wozu z ich zwłokami. Ale do tego czasu mogły mieć nadzieję. A ona miała pewność, była bowiem wiedzącą.

Nastał mrok, rzeka cicho szumiała a wokół słychać było świerszcze. Aine przymknęła powieki, dając się ukołysać melodyjnym dźwiękom wieczoru, odsuwając niepokojące myśli. Zaraz będzie musiała wrócić do obozu, do codziennych zajęć, ale teraz potrzebowała wytchnienia.

Nagle poczuła straszliwy ból w piersiach, jej serce zaczęło walić jak szalone, do oczu napłynęły łzy. Wokół usłyszała szydercze śmiechy, okrutne szepty w zapomnianym przed wiekami języku. Chciała krzyczeć, zagłuszyć upiorne wizje, ale z jej gardła dobył się tylko żalospny szloch.

Czasami dusze dwojga ludzi połączone są ze sobą więzami ulotnymi jak babie lato, innym razem mocnymi jak sznur, ale bywają też takie,



które porównać można tylko z żelaznymi sztabami zespolonymi na wieki.

Aine wiedziała, że Dagobertowi grozi śmierć.

\* \* \*

Zdemaskowany Saint-Amand zaklął. Tak niewiele mu brakowało. Za ledwie kilka kroków, które teraz wydawały się być całymi milami. Mimo wszystko ruszył do ataku w nadziei, że uda mu się zaskoczyć eskortę i dopaść Henryka von Plauen.

Niestety, rycerze zakonni to nie kmiecie, którzy słysząc ostrzeżenie najpierw rozglądają się wokół, bezmyślnie wypatrując niebezpieczeństwa, a potem, gdy już je spostrzegą, czym prędzej uciekają. Rycerze zakonni to zaprawieni w boju zabójcy, którzy na niejednej wojnie krew przelewali i w obliczu zagrożenia działali niemal instynktownie.

Stojący najbliżej Dagoberta barczysty Inflantczyk wykonał błyskawiczny półobrót, ciął mieczem z całych sił, lecz ostrze nawet nie drasnęło szyi przeciwnika. Zdumiony zachwiał się na nogach i ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, był błysk klingi Burgundczyka.

Saint-Amand nie czekał. Natychmiast uderzył na odlew kolejnego z zakonników, a głowa nieszczęśnika potoczyła się wprost pod nogi von Plauena. Komtur dopiero teraz ujrzał szaleńca z dwuręcznym mieczem, rozrąbującego jego ludzi i wyczuł silną aurę Przebudzonego. Pomimo że na placu znajdowało się dziesięciu zbrojnych gotowych oddać za niego życie, a z krużganków zbiegali już knechci z pikami, żeby zakłuć zuchwalca, poblady dostojnik cofnął się przestraszony. Było w oczach zamachowca coś, co przeraziło nawet jego, noszącego w sobie potężną moc Binah. Tliła się w nich żądza mordy, ale nie taka dla samej radości zabijania, lecz zimna i bezwzględna.

Tym razem Dagoberta zaatakował jeden z Krzyżaków. Burgundczyk przyjął cios na zastawę, a następnie ciął mocno przez biodro, powalając przeciwnika na ziemię. Nie zatrzymał się jednak, żeby dobić rannego, ale zakręcił mieczem, próbując przebić się do człowieka, którego miał zabić. Poczuł, jak Ostrze Netzacha tnie skórę, ścięgnął, kości, usłyszał wrzask rannych wrogów. Wykonał zwrot i uderzył ponownie. Mocno i wściekle. Ujrzał zakrwawiony krzyżacki płaszcz i osuwającego się na ziemię brodatego zakonnika. Niestety, nie był to komtur ze Świecia, od którego dzieliło go teraz dobre dziesięć kroków i przynajmniej pięciu rycerzy.

Dagobert ani przez chwilę się nie wahał. Skoczył niczym lew na ofiary i powalił naraz dwóch wrogów, przygniatając ich do ziemi. Przeturlał się, unikając ciosów spadających z góry, błyskawicznie stanął na nogi i ciął szeroko przez pierś jednego z nacierających zakonników. Zamarkował uderzenie w stojącego najbliżej Krzyżaka, lecz zaraz zanurkował pod jego ramieniem, wykonując przewrót, czym zaskoczył przeciwników. Nagle znalazł się tuż przed Henrykiem von Plauen i podnosząc się z ziemi, pchnął z całych sił.

Sztych miecza przeciął tylko policzek komtura ze Świecia. Zakonnik syknął wściekle i cofnął się kilka kroków, trafiając na stopień schodów prowadzących na krużganki. Burgundczyk ruszył za nim, ale nagle poczuł rozdzierający ból w ramieniu. To jeden z knechtów sięgnął go piką. Na szczęście żelazny grot zatrzymał się na kolczudze, którą rycerz przezornie ubrał pod jakę. Saint-Amand chwycił się za obolałe ramię, odstąpił dwa kroki, opierając się plecami o studnię stojącą pośrodku dziedzińca. W blasku pochodni dostrzegł zacieśniający się wokół niego krąg. Zbrojni podchodzili ostrożnie, z wysuniętymi pikami, mieczami, w obawie przed obryzganym krwią szaleńcem, który w

niecałe pół pacierza zdołał powalić kilku ich towarzyszy.

Burgundczyk odchylił głowę, roześmiał się dziko, w jego stalowych oczach zalśniła furia. Zakręcił młynka mieczem. Przerażeni niemieccy rycerze cofnęli się o krok. Wiedzieli, że zanim ten człowiek padnie, jeszcze kilku z nich zabierze ze sobą do grobu. Mieli przed sobą rannego, ale rozwścieczonego tygrysa.

- Zabijcie go wreszcie! - krzyknął piskliwym głosem Bern von Hevelmann, który cały czas chował się za plecami von Plauena.

Dagobert, wznosząc miecz do ostatniego, jak sądził, w swoim życiu starcia, przywołał z pamięci obraz Aine. Chciał umrzeć, myśląc o jej kasztanowych włosach, piegach na bladej twarzy, piorunujących zielenią oczach, zmysłowych ustach i dłoniach pachnących ziołami. Tak żegnał się ze światem i tym, co było dla niego najcenniejsze.

Zbrojni ruszyli.

- Stójcie! - krzyknął komtur, ocierając dłonią zakrwawiony policzek.  
- Żywego go brać!

\*

Gdyby lochy malborskiego zamku mogły przemówić, snułyby opowieści o okrucieństwach dokonywanych przez panów pruskich, niewyobrażalnych katuszach, cierpieniu i bólu więzionych tu ludzi. Na pewno wśród nich znalazłaby się historia Maćka z rodu Belina, który przed dziesięciu laty dostał się do krzyżackiej niewoli. Rycerze zakonni najpierw wybili mu wszystkie zęby, potem zdarli skórę z rąk, obcięli nos, wargi i wykłuli jedno oko. Tak umęczonego oddali rodzinie, która zapłaciła za niego spory okup. Podczas bitwy na polach Grunwaldu jego brat, Jan, z dumą dźwiżył chorągiew ziemi kaliskiej i ponoć własnoręcznie powalił siedmiu zakonników, żadnego nie oszczędzając.

Kolejna opowieść traktowałaby o pośle litewskim, który podczas

uczty uraził krzyżackiego dostojnika. Biedaka powieszono za żebro na haku i przypalano tak długo, aż na ciele ofiary nie było jednego zdrowego kawałka. Inna o rudowłosej mieszciance Malborka, którą uwiódł zakonnik składający śluby czystości, a potem oskarżył o rzucenie na niego uroku. Zaciągnięto ją do lochu, posadzono okrakiem na koźle zakończonym ostrzem i tak długo obciążano nogi, aż cały brzeszczot zagłębił się w ciało. Następna o pewnym kapłanie przyłapanym na sodomii z młodymi klerykami, którego powieszono nogami do góry i przepiłowano na pół.

Jednak tej nocy w lochach krzyżackiego zamku znajdował się tylko jeden więzień. Obnażony do pasa, przykuty był łańcuchami do ściany i krwawił z licznych ran otrzymanych podczas niedawnej walki. W tej chwili Dagobert z Saint-Amand bardziej przypominał strzęp człowieka niż dumnego rycerza. Głowa opadła mu na piersi, spod opuchniętych powiek ledwie widział swoich oprawców. W celi znajdowało się dwóch strażników i krzyżacki dostojnik.

- Ponoć pochodzisz z Burgundii - rzekł spokojnym głosem Henryk von Plauen, trzymając w dłoniach Ostrze Netzacha. - Jednakże inskrypcja na twym mieczu wyryta jest w języku ze wschodu. Wiesz chociaż, co oznacza?

Dagobert próbował coś odpowiedzieć, ale z ust popłynęła tylko strużka krwi.

- *Krocż zawsze ścieżką Równowagi, ona zapewni ci chwałę* - zakonnik przetłumaczył napis na głowni.

Przez chwilę jeszcze z ciekawością spoglądał na brzeszczot, a potem odłożył miecz, opierając go o ścianę. Skinął strażnikom, dając znak, żeby wyszli.

- Równowaga - prychnął pogardliwie, gdy zostali sami. - Świat od

zarania dziejów jest jednym wielkim polem bitwy, na którym nie ma miejsca dla dwóch równoważnych sił. Zawsze jedna ze stron będzie silniejsza, a druga jej ulegnie. Takie jest odwieczne prawo natury.

Krzyżak zaczął spacerować po celi, przechadzając się pomiędzy przyrządami do tortur. Pogładził pieścotliwie koło do łamania kości, musnął dłonią ławę, na której rozciągano nieszczęśników, minął siedzisko nabijane kolcami i uśmiechnął się na widok trójnogu ze stożkiem, zwanego „kołyską judasza”. Henryk von Plauen uwielbiał zadawać ból, rozkoszował się wynajdywaniem coraz to wymyślniejszych tortur.

- Teraz, gdy noszę w sobie tak wielką moc Binah, w pełni pojmuję jej zamysł, którego nawet nie rozumiał Ulryk von Jungingen - rzekł, zbliżając się do Dagoberta. - Świat nie może być targany dwiema siłami, z których każda ciągnie w swoją stronę. W tej wojnie zwycięzca może być tylko jeden.

Spojrzał uważnie na więźnia.

- Czemuż Jagiełło zamiast o rozejmie ze mną rozprawiać, do poddania nawołuje? Czemuż zamiast na rozmowy zaprosić, zamach uszykował, a w miejsce posłów zabójcę przysłał? Odpowiem ci, Burgundczyku. Jagiełło dobrze wie, że cała ta Równowaga to bzdura i tylko jedna siła może rządzić światem.

Saint-Amand milczał. Nie miał siły ani ochoty odpowiadać. Tępo wpatrywał się w zakonnika, którego oczy lśniły niezdrowym, szkarłatnym blaskiem. A może tylko mu się wydawało i to, co ujrzał, było jedynie odbitym światłem łuczyw?

- Ona cię pamięta, rycerzu - rzekł złowrogo von Plauen. - Czarna Madonna pamięta śmierć swojego dziecka i pragnie zemsty. To nie przypadek, że znalazłeś się w tym samym miejscu, w którym rok

wcześniej dokonałeś zbrodni. Tak zostało postanowione, twój los już się dopełnił. Czeka cię śmierć, ale wcześniej niewyobrażalne katusze.

Krzyżak roześmiał się, a jego rechot poniósł się echem po zimnych malborskich lochach. Przeszedł go dreszcz rozkoszy na samą myśl o zadawanych mękach. Nagle spoważniał, podszedł do więźnia, chwycił go za podbródek i uniósł lekko głowę. Spojrzał w niebieskie oczy, ale nie dostrzegł w nich lęku.

- Netzach. Zwycięstwo Boga - rzekł pogardliwie. - I gdzież ono? Jego wysłannik, pobity i zakuty w kajdany, zdany jest na łaskę i niełaskę sługi Binah.

- Mylisz się, komturze - rzekł Dagobert, odnajdując w sobie resztki sił. - Netzach jest Jego cierpliwością i to ona prowadzi do zwycięstwa.

- Czyżby?

- Twój triumf to jeno złuda - szept Burgundczyka był bardzo słaby. - Poniesiesz klęskę, wystarczy jeno poczekać.

- Jednakże ty tego nie ujrzysz...

Henryk von Plauen chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle rozwarły się ciężkie drzwi celi i do środka wszedł Piotr Świnka z wartownikami.

- Czego?! - burknął zakonnik, zły, że mu się przeszkadza.

- Panie! Polacy zamek szturmują!

- Co? - zdziwił się Krzyżak - Nocą?!

- Ledwie Bern von Hevelmann twierdzą opuścił, zaraz nieprzyjaciel przystąpił do ataku.

- Nie słyszę huku bombard.

- Bo to jeno jedna chorągiew mął czyni - odparł pospiesznie polski zdrajca. - Po znakach poznałem, iż to Dobiesław z Oleśnicy z poczem przez uczyniony wcześniej włom próbuje do zamku wejść.

Henryk von Plauen natychmiast ruszył ku wyjściu, choć pragnął pozostać w zatęchłym lochu i obserwować cierpienia Burgundczyka. Jednak teraz to on był zwierzchnikiem zakonu i osobiście musiał wydać odpowiednie rozkazy.

W progu przystanął, obejrzał się i rzekł:

- Niechaj kat rozpocznie tortury.

\*

Piotr Świnka podkręcił węża, z fascynacją spoglądając, jak kat, milczący mężczyzna o przekrwionych oczach, starannie rozkłada narzędzia. Ze sporej wielkości sakwy najpierw wyciągnął obcęgi służące do szarpania kobiecych piersi, ale równie dobrze mogły zostać wykorzystane do innych celów. Następnie wyjął różnego rodzaju zakrzywione noże, dłuta, rozwierającą się za pomocą sprężyny metalową gruszkę, a na koniec zgniatacz kciuków, składający się z dwóch płyt połączonych śrubami. Oprawca rozejrzał się po celi, zastanawiając się, od czego rozpocząć całą ceremoniał i jego wybór padł na umoczoną w siarce pochodnię. Zdecydował, że najpierw przypiecze skórę skazańca, żeby ten poczuł przedsmak piekła, jakie go czeka.

- Pozwól, mistrzu, że ja to uczynię - rzekł Piotr Świnka, niemal wrywając mu z rąk rozpaloną pochodnię. - Ten człek jest mi coś winien.

Kat skłonił się nisko i nie chcąc przeszkadzać, stanął pod ścianą, obok poblądłych wartowników, którzy woleliby teraz być na murach, odpierać atak Polaków niż oglądać kaźń.

Polski zdrajca zbliżył się do Burgundczyka, uderzył go opancerzoną pięścią w twarz, następnie szarpnął za włosy, spoglądając w zakrwawione oblicze.

- Pamiętasz Kieżmark, przybłądo? - Oczy pałały mu nienawiścią. - To przez ciebie i tobie podobnym psom Witold uratował swoją skórę, a ja popadłem w niełaskę u Luksemburczyka.

Saint-Amand zdołał się lekko uśmiechnąć.

- Zygmunt ma wielu pachotków podcierających mu tyłek. Na co mu taki pokurcz, jak ty?

Kolejne uderzenie o mały włos pozbawiłoby Dagoberta przytomności. Piotr Świnka może być niewielkiego wzrostu, ale rękę miał ciężką.

- Ty psie! - ryknął z furią i przystawił pochodnię do boku więźnia.

Po celi rozszedł się smród palonej skóry i Burgundczyk mocno zacisnął zęby. Nic nie pomogło. Ból, jaki nadszedł, prawie pozbawił go zmysłów i zdawało mu się, że płonie każda cząstka jego ciała. Dagobert pragnął pograć się w mroku, stracić przytomność, uciekając od cierpienia, ale oprawca dobrze o tym wiedział i w odpowiednim momencie odsunął pochodnię.

- To dopiero początek koszmaru - zarechotał Piotr Świnka. - Reszta twojego życia będzie nieprzerwanym pasmem bólu.

- Wolę taki los niż życie zdrajcy - wyszeptał Saint-Amand i zaraz poczuł jak ogień trawi jego skórę. Głowa mu opadła, ale i tym razem nie stracił przytomności. Rycerz herbu Świnka ponownie odsunął pochodnię.

- Silny jesteś - rzekł z uznaniem.

Dagobert uniósł głowę na tyle, ile mógł.

- Nie każdy... - mówienie przychodziło mu z trudem. - Nie każdy rodzi się pokurczem.

Zdrajca wpadł w szal, odrzucił pochodnię i zaczął okładać więźnia pięściami. Burgundczykowi o to właśnie chodziło. Pozwolił ukołysać się



ciemności.

- Panie, ubijesz go! - krzyknął kat.

Piotr Świnka opanował się, spojrzał na nieprzytomnego rycerza, potem na jakę pobrudzoną krwią.

- Ja z nim skończyłem - westchnął ciężko, czując ogarniające go zmęczenie. - Ocućcie go i czyńcie swoją powinność, mistrzu. Ja wracam do dormitorium.

Odwrócił się i zamarł w przerażeniu.

\* \* \*

Powiadają, że upiory zjawiają się o północy, gdy uczciwi ludzie już śpią, a łotry się dopiero budzą. W Malborku od dawna krążyły legendy o duchu, który nawiedzał krzyżacki zamek. Widywano go, jak przemierzał dziedziniec, puste korytarze, spacerował po krużgankach zawsze odziany w długi płaszcz z kapturem narzuconym na głowę.

Piotr Świnka uważał, że to bajania dziadów i wymysły strachliwych bab, ale teraz widział ową zjawę na progu celi. Górowała nad nim blisko o głowę, oblicze miała blade, a wzrok pałający strasznym gniewem. Zdrajca chwycił za miecz, lecz upiór pchnął go na ścianę, jednym płynnym ruchem wyciągnął sztylet i przeciął gardło najbliższego stojącego wartownika. Drugi ze strażników zdołał się tylko odwrócić i już w jego sercu utkwiono ostrze puginału. Następnie zjawa doskoczyła do kata, który chwycił ze stołu dłuto i była to ostatnia rzecz, jaką zrobił. Legł na ziemi ze skrzyżowanymi rękami.

Dopiero w tej chwili przerażony Piotr Świnka zorientował się, że to nie upiór nawiedzający malborskie lochy, ale człowiek z krwi i kości. Rozpoznał w nim pokojowca Ulryka von Jungingen, człowieka, który tak haniebnie zdradził zakon. Polski rycerz odepchnął się od ściany i rzucił do ucieczki, jednak w progu zatrzymał go sztych miecza wymierzony w

jego pierś.

- Dokąd ci tak spieszo? - Głos i oręż należał do Jakuba z Kobylan także ubranego w długi czarny płaszcz. - Rzuć miecz i cofnij się.

Piotr Świnka posłusznie wykonał polecenie.

- Aine! - zawołał Grzymalita, nie spuszczać oczu ze zdrajcy. - Możesz wejść.

Do komnaty wkroczyła rudowłosa kobieta, podobnie jak mężczyźni odziana w opończę. Rozejrzała się, a gdy jej wzrok zatrzymał się na zakutym w kajdany mężczyźnie, krzyknęła ze zgrozą i zaraz do niego podbiegła.

- Żyw jest! - rzekł pospiesznie Staszko z Bolumina, widząc przerażenie na twarzy kobiety. Zdażył już zbadać Dagoberta i teraz zaczął go rozkuwać. - Jeno Krzyżacy mocno go poszczerbili.

Tymczasem Jakub związał Piotra Świnkę i bezceremonialnie rzucił w kąt izby. Zdrajcy należała się śmierć, jednak rycerz z Kobylan nie potrafił go z zimną krwią zabić, honor mu na to nie pozwalał. Podczas wojny widział wiele okropieństw, uśmiech rzadziej niż kiedyś pojawiał się na jego twarzy, ale pozostał wierny wpojonym w dzieciństwie ideałom.

Pomógł Staszкови przenieść Dagoberta na drewnianą ławę, gdzie Aine zaczęła cucić ukochanego.

Miała łzy w oczach, widząc jego rany, przypaloną skórę, zmasakrowaną twarz. Wiedziała, że rany zasklepią się, ale wspomnienia krzyżackiego lochu pozostaną. Ukoić je będzie mogła jedynie jej miłość. A ona miała jej wiele.

Po chwili Burgundczyk otworzył oczy, zamglonym wzrokiem spojrzał na Aine. Spróbował się uśmiechnąć.

- Jesteś aniołem?

Kobieta roześmiała się przez łzy, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie w żmudzkiej chacie Jawnuty.

- Nic nie mów, oszczędzaj siły - odparła. - Wszystko będzie dobrze.

- Spieszmy się - rzekł Staszko. - Niedługo Krzyżacy zorientują się, że atak Dobiesława jest jeno pozorowany. Dagobercie, dasz radę?

Saint-Amand skinął głową, stanął chwiejnie na nogi. Zaraz oparł się o ramię Jakuba. Aine chwyciła go z drugiej strony i tak ruszyli do wyjścia.

Były pokojowiec Ulryka von Jungingen spojrział na skrępowanego Piotra Świnkę.

- Idźcie, zaraz do was dołączę.

\*

Rozpaczliwy krzyk dobył się z gardła Piotra Świnki, gdy Staszko z Bolumina posadził go na krześle i nałożył na głowę żelazną obręcz, będącą swoistym imadłem. Nikt jednak nie słyszał jego wrzasków i skamlenia o litość. Nikt nie pospieszył z pomocą, gdy były pokojowiec wielkiego mistrza zaczął wolno obracać pokrętło. Chciał, żeby zdrajca cierpiał za wszystkie zbrodnie, których się dopuścił.

Piotr Świnka knuł, spiskował, dopuszczał się zabójstw, za nic mając rycerski honor i wydawał Krzyżakom własnych rodaków. Z jego rąk zginęło wielu prawych ludzi. To za jego przyczyną zakon skazał na śmierć szlachciców z Towarzystwa Jaszczurczego, którzy tak samo jak Staszko walczyli o wolność dla Prus.

Ileż to razy rycerz z Bolumina mocno zaciskał zęby, gdy Piotr Świnka donosił wielkiemu mistrzowi o swoich zbrodniach. Jakże był wtedy dumny ze swoich dokonań, jakże się nimi chełpił, a wszystko do robił dla marnych grzywien i dukatów. A Staszko cierpliwie czekał na dzień, w którym dokona zemsty.

Mocniej nacisnął pokrętko i żelazna obręcz ze zgrzytem zacisnęła się na głowie zdrajcy. Ten zaś nie miał już siły krzyknąć, oczy nabiegły mu łzami. Zaczął szeptać modlitwę, może po raz pierwszy w życiu. Oprawca nie przerywał tortury i jeszcze bardziej zwiększył nacisk obręczy na czaszkę. Piotr Świnka wrzeszczał jak opętany, ale był to ostatni krzyk w jego życiu, bo zaraz chrupnęły zęby i popękały usta. Gdy eksplodowały oczy, rycerz herbu Świnka poddał się śmierci. Teraz już jej pragnął, wyczekiwał z tęsknotą. Wierzył, że zabierze go do swojego królestwa, ukoi ból, ześle zapomnienie, uwalniając od okrutnych męczarni. Pomylił się. Po drugiej stronie czekały już dusze jego ofiar, żeby dręczyć go przez całą wieczność. Tak właśnie wygląda piekło.

Staszko z Bolumina szarpnął pokrętko do końca, dając ujście wściekłości. Następnie chwycił dwuręczny miecz Dagoberta, nałożył na głowę kaptur i opuścił celę.

\*

Zimne, wilgotne korytarze malborskich lochów zdawały się ciągnąć w nieskończoność, co chwila rozwidlały się i wtedy idący na przedzie były pokojowiec von Jungingena przystawał, świecił pochodnią, a następnie wskazywał właściwą drogę. Za nim podążali Jakub i Aine, niemalże wlokąc ledwie trzymającego się na nogach Dagoberta.

Do tej pory sprzyjało im szczęście i nie spotkali na swojej drodze żadnych wartowników. Prawdopodobnie Henryk von Plauen skierował wszystkich ludzi do obrony wylomu.

Zatrzymali się przed stromymi schodami prowadzącymi w górę. Staszko wdrapał się na szczyt, zaparł się mocno o sufit i podważył płytę. Ostrożnie rozejrzał się po skąpanym w blasku świec niewielkim pomieszczeniu, a gdy upewnił się, że jest puste, skinął na pozostałych i

po chwili cała czwórka znalazła się w kaplicy Świętej Anny.

Pogrążona w mroku świątynia sprawiała upiorne wrażenie. Zniszczona przez armatnie kule, prawie cała zawalona była gruzem. Na środku stały płyty nagrobne wielkich mistrzów, w tym Ulryka von Jungingen, którego ciało zostało tu niedawno złożone. Aine zadrżała, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to za sprawą przeciągu, który wiecznie tu panował, czy mocy drzemiącej w ziemi. Wszak wszyscy pochowani dostojnicy przebudzeni byli w świetle Binah.

Staszko i Jakub zaczęli odwalać kamienie zagradzające boczne wyjście z kaplicy, które sami tam wcześniej dla niepoznaki ułożyli. Aine posadziła Dagoberta na jednej z płyt nagrobnych i uważnie mu się przyjrzała. Burgundczyk był blady, oczy miał szkliste, czoło rozpalone. Krzywił się z bólu, widocznie rany dokuczały mu coraz bardziej. Kobieta rękawem opończy otarła mu zimny pot spływający po twarzy. Tutaj, bez ziół i łagodzących maści, nie potrafiła mu pomóc.

- Pospieszcie się - wyszeptała.

Nie minęły dwa pacierze, a do wnętrza kaplicy przez powstały otwór wdarło się chłodne, nocne powietrze. Mężczyźni chwycili Dagoberta i ostrożnie pomogli mu wyjść na zewnątrz. Znaleźli się na niewielkim, pogrążonym w ciemności placu, gdzie w bladym świetle gwiazd można było dostrzec kilka dziesiątek sterczących w niebo krzyży. To był cmentarz zakonny, na który po zmroku nie zapuszczali się nawet najodważniejsi z braci zakonnych. Ponoć nietrudno było tutaj spotkać ducha.

Gdzieś z oddali dochodził głuchy szcęk oręża, krzyki umierających, znak, że po drugiej stronie twierdzy toczyła się walka. Tutaj zaś, pomiędzy budynkiem Zamku Wysokiego a wschodnim murem obronnym, zalegała cisza przerywana jedynie przez pohukiwania sowy.

Staszko nadstawił uszu, próbując wychwycić, skąd dobiega ten właśnie dźwięk i wskazał na północ.

Ruszyli wąską aleją zamkniętą w potrzasku strzelistych murów. Uważnie rozglądali się wokół, podejrzliwie zerkając na narożną basztę, ale nigdzie nie spostrzegli wroga. Nagle natknęli się na leżącego na ziemi trupa strażnika, któremu ktoś poderżnął gardło. Pohukiwania sowy zamilkły.

- Tutaj - usłyszeli szept i ujrzeli rozmazaną w mroku sylwetkę.

- To ty, Zawiszo? - zapytał podejrzliwie Jakub.

- A któżby inny? - odparł rycerz herbu Sulima. - Co z Dagobertem?

- Żyw jest.

Zawisza poprowadził ich przez gruzowisko do niewielkiego wyłomu w zewnętrznym murze. Stanęli na skraju, próbując dojrzeć w ciemności mętną powierzchnię fosy. Pan z Garbowa wskoczył do wody i przyholował ukrytą pod murem rybacką łódź. Najpierw opuścili Dagoberta, układając go na dnie, potem na pokład weszła Aine, a na samym końcu trójka mężczyzn. Chwycili za wiosła, pragnąc jak najszybciej oddalić się od malborskiej twierdzy.

Strażnik pełniący wartę na baszcie musiał usłyszeć jakiś plusk, bowiem wyjrzał przez okno i przez dłuższą chwilę wodził spojrzeniem po ciemnej tafli wody, aż nagle krzyknął zdumiony. Zaraz wybiegł na mury, trzymając w ręku kuszę. Widząc to, polscy rycerze jeszcze mocniej zaczęli wiosłować. Tymczasem strażnik wsunął stopę w strzemiączko kuszy, naciągnął cięciwę i nałożył na łożysko bełt. Podniósł broń i wziął na cel wiosłującego przy rufie Jakuba z Kobylan.

Gdyby to był słoneczny dzień, krzyżacki pacholek, który nieraz wygrywał turnieje strzeleckie, nie miałby problemu z przeszyciem gardła nieprzyjaciela, lecz tańczące na tafli wody odbite światła

pochodni utrudniały zadanie i wystrzelony bełt trafił w prawe ramię polskiego rycerza. Jakub syknął z bólu i upuścił wiosło. Ułamał wystające z ciała drzewce z lotką, grot wyciągnie już w obozie, ale wiedział, że swobodnie ruszać ramieniem będzie mógł dopiero za kilka tygodni. Wściekły uderzył pięścią w burtę łodzi.

Tymczasem strażnik ponownie przygotował kuszę do strzału, jednak łódź uciekinierów skryła się za stojącym pośrodku fosy młynem i teraz mknęła przesmykiem na rybny staw, którego brzegi opanowane były przez wojska polskie.

- Udało się! - krzyknął uradowany Zawisza, ale uśmiech mu zgasł, kiedy spojrzał na gorączkującego Dagoberta i opartego o burtę, krwawiącego Jakuba.

Na wschodzie pojawił się szkarłatny pas świtu.

\* \* \*

Od samego rana siąpił deszcz, na niebie wisały ciężkie, burzowe chmury i choć dochodziło dopiero południe, zdawało się, że nastąpiła już noc. Porywisty wiatr targał krzyżackim proporcem zatkniętym na najwyższej z wież malborskiego zamku, jakby chciał go porwać i rozszarpać, ale ten dumnie tkwił na swoim miejscu.

Jakub z Kobylan, schowany przed ulewą pod koroną rozłożystego dębu, ze smutkiem spoglądał na opuszczających obóz polskich rycerzy. Choć nie udało im się zdobyć krzyżackiej stolicy, byli zadowoleni, bowiem na wozach wieźli mnóstwo łupów, zdartych z wroga pancerzy i kosztowności zrabowanych w pruskich miastach. Wrócą do domów jako bohaterowie, a to, że widmo zakonu niczym wrony nadal krążyć będzie nad Polską, nie miało dla nich znaczenia.

Panowie małopolscy prosili króla, żeby zaprzestał oblężenia, twierdząc, że Krzyżacy, po klęsce, jaka ich spotkała pod Grunwaldem,

już się nie podniosą, nie zdołają do zimy zebrać nowej armii, a na wiosnę polskie chorągwie wrócą do Prus i zamek zdobędą. Najbardziej o powrót do domu zabiegał Andrzej z Tęczyna, któremu spieszno było do młodej żony. Obawiał się, że w tęsknocie za mężem zacznie szukać pocieszenia w ramionach innych mężczyzn i martwił się, co ludzie powiedzą, gdyby okazała się brzemienna. Natomiast okoliczni mieszkańcy i ziemianie z Towarzystwa Jaszczurczego błagali króla, żeby nie odchodził, nie pozostawiał Prus na pastwę zakonników. W ich sercach obudziła się nadzieja na wolność i teraz miała prysnąć niczym piękny sen. Błady i schorowany Jagiełło obiecał zostać i dokonać dzieła zniszczenia zakonu, choćby to miało trwać kilka kolejnych miesięcy. Twierdził nawet, że gdy już kul zabraknie, bombardy będą ciskać odcięte krzyżackie głowy.

Jednak gdy wczorajszego dnia spod murów Malborka odeszli Litwini, którzy chcieli zdążyć do domów przed jesiennymi słońcami, a w ich ślady poszli książęta mazowieccy, szlachta małopolska zażądała natychmiastowego powrotu do kraju. Oliwy do ognia dolali krzyżacy szpiedzy, rozsiewając plotki, że Węgrzy uderzyli na Polskę oraz Piotr Szafraniec, który rozpowiadał, jakoby Zygmunt Luksemburski wypowiedział wojnę już dwa miesiące temu, a Jagiełło to ukrył przed rycerzami.

Król zebrał radę wojenną. Przez całą noc możni rozprawiali o tym, co dalej czynić, a ich wzburzone głosy słychać było w całym obozie. Zbigniew z Brzezia i Mikołaj Trąba radzili, żeby pozostać i zdławić krzyżacką zarazę raz na zawsze. Jan z Tarnowa, Krystyn z Ostrowa i Mikołaj z Michałowa proponowali zawrzeć rozejm z Henrykiem von Plauen, przekonując, że nie sposób zdobyć twierdzy, która właśnie otrzymała zbrojną pomoc ze Śląska, Czech i Niemiec. Natomiast



Sędziwój z Ostroga proponował rozpuścić wojsko do domu, przeczekać zimę i wrócić tu następnego roku. Jagiełło, wiedząc, że nie zdoła utrzymać karności w armii, przystał na tę ostatnią propozycję. Z samego rana rozkazał odwrót<sup>71</sup>.

Jakub przeniósł spojrzenie na zamek. Tam na wyszczerbionych blankach stali wynędzniali obrońcy, w milczeniu obserwując odejście Polaków. Na ich twarzach nie widać było radości, wiedzieli, że za kilka miesięcy wojna rozpęta się na nowo.

- Nie tak to się miało zakończyć. - Rycerz z Kobylan usłyszał obok siebie męski głos i spojrzał w zmartwione oblicze Staszka z Bolumina. Nie widział go od czasu uwolnienia Dagoberta. Ponoć następnego dnia dawny pokojowiec wielkiego mistrza ruszył w pogoń za plebanem z Gdańska, gdy dowiedział się, że ten wywiózł z zamku trzydzieści tysięcy florenów. Jednak nie zdołał go dopaść i starzec przekazał pieniądze komturom z Człuchowa i Świecia, a ci już wiedzieli, co z nimi zrobić. Kolejne oddziały najemników zmierzały pod Malbork.

- To prawda - pokiwał głową Jakub, spoglądając na stada kruków krążące nad zamkiem. - Wszystkie znaki na ziemi i niebie źle nam wróżą. Puszkarz, który na rozkaz króla z rusznicy ostrzeliwał posąg Najświętszej Marii Panny z Dzieciątkiem ponoć oślepl, a figury nawet nie drasnął. Niektórzy powiadali, że dojrzeli krzywy uśmiech na ustach Madonny.

- To jeno przesady. Puszkarz zapewne od ognia wzrok stracił.

- A to, że gdy rankiem przyprawdzono królowi jego cisawego konia, ten rżał głośno, bijąc kopytami, jakby jakiś zły duch go opętał? A gdy monarcha wkładał nogę w strzemień, wierzchowiec padł martwy.

- Bajania...

- Sam to widziałem na własne oczy, jako i was teraz widzę.

Staszko westchnął ciężko, powiódł spojrzeniem po okolicy. Tyle poświęcenia, lata służby w Malborku, miało pójść na marne. Cóż warta była śmierć tysięcy ludzi, przelana w bitwie krew, jeśli teraz wszystko zostało zaprzepaszczone? A może tak miało być, bo któż pojmie zamysły Stwórcy?

Odchylił poły przemoczonego płaszcza i wyciągnął dwuręczny miecz Dagoberta. Wzniósł go w górę i dłuższą chwilę przyglądał się napisom na głowni, zastanawiając się, czy te słowa to prawda, czy tylko pusta, dobrze brzmiąca sentencja.

- Nie było okazji, by mu go zwrócić - podał miecz Jakubowi. - Jak on się miewa?

- Już dobrze - uśmiechnął się rycerz. - Aine smaruje go cuchnącymi maziemi, balsamami niewiadomego pochodzenia i leżeć każe, aby ran nie pootwierał. A on do wojaczki się rwie, choć słaby jeszcze jak kocię.

Mężczyźni roześmieli się serdecznie, jak to czynią ludzie, których połączyła przyjaźń na polu walki. Jednak wesołość szybko minęła i teraz spoglądali na dogasające ogniska w opustoszałym obozowisku.

- Na mnie już czas - rzekł Staszko, wyciągając do Jakuba prawicę.  
- Pozdrów ode mnie Dagoberta i panią Aine.

- Nie pojedziesz z nami?

- Moja misja dobiegła końca. Czas wrócić do domu.

- A gdzie jest twój dom?

Mężczyzna uśmiechnął się, nałożył kaptur i ruszył na wschód.

## Rozdział 5. W blasku zwycięstwa

Szybciej niż w latach poprzednich zakwitły kasztany, drzewa jarzębiny pokryły się czerwonymi koralami, a liście lip i klonów zaczęły żółknąć, co zwiastowało nadchodzącą jesień.

Wojska polskie, mimo że nie udało im się zdobyć stolicy wroga, w glorii zwycięstwa wracały z wyprawy wojennej. Triumfalnym pochodom w zhołdowanych miastach pruskich, uroczystym mszom i ceremoniom nie było końca.

Ledwie mury Malborka znikły za widnokretem, król Władysław wrócił do zdrowia, odzyskał dawny wigor, jakby jego niemoc miała źródło za murami krzyżackiego zamku. Na jego rozkaz chorągiew Dobiesława z Oleśnicy zdobyła silnie obsadzony Radzyń Chełmiński, ostatnią przeszkodę w pełnym opanowaniu ziemi chełmińskiej. Jagiełło zadowolony z takiego obrotu sprawy, obsadził najważniejsze miasta Prus swoimi zaufanymi ludźmi, wojsko rozpuścił do domu, a sam udał się na wypoczynek do Inowrocławia.

Za to Krzyżacy nie próżnowali. Dopóki armia królewska pozostawała na terytorium państwa zakonnego, nie ośmielali się podejmować jakichkolwiek działań, lecz gdy tylko ostatni hufiec przekroczył granicę, zaraz przystąpili do ofensywy. Oddziały krzyżackie odbijały jedno po drugim utracone zamki i miasta. Najpierw padły Działdowo i Elbląg. Ten drugi obrońcy poddali za obietnicę bezpiecznego powrotu do Polski. Jednakże po otwarciu bram Krzyżacy słowa nie dotrzymali, część rycerzy wymordowali, resztę zakuli w kajdany i wtrącili do lochów. Na wieść o tym załogi w Przezmarku i

Sztumie broniły się do samego końca, z godnością witając śmierć. Nie minął tydzień, jak w rękach Jagiełły pozostało jedynie kilka miast, w tym Toruń, Brodnica i Radzyń Chełmiński. Swoich bram przed wojskami krzyżackimi nie otworzył Gdańsk, ale Henryk von Plauen wstrzymał szturm, nie chcąc zadzierać z bogatym miastem, które w każdej chwili mogło wystawić liczny poczet zbrojnych.

Ale to nie był koniec kłopotów polskiego monarchy.

Z Nowej Marchii do granic królestwa zbliżała się armia złożona z rycerzy zaciężnych oraz gości zakonu, pod wodzą Michała Küchmeistera von Sternberg, człowieka, który miał odwrócić losy wojny.

\* \* \*

Łany zboża ciągnęły się aż po horyzont i w blasku porannego słońca zdawać by się mogło, że cała dolina skąpana jest w złocie. Intensywny zapach pszenicy, której nikt przez toczącą się wojnę nie zdążył od żniw skosić, wypełniał przestrzeń, wdzierał się do nozdrzy i słodką wonią przywoływał wspomnienie lata. Szarpane przez wiatr łodygi pochylały się lekko ku ziemi, jakby chciały oddać hołd stojącemu pośrodku pola krzyżackiemu dostojnikowi.

Michał Küchmeister owinał się szczelnie zakonnym płaszczem, bowiem jesienny chłód dawał już o sobie znać i delikatnie przeciągnął dłonią po pszenicznych kłosach. I choć w Nowej Marchii zboża szumiały tak samo, niebo nad głową było tak samo błękitne, to w polskiej ziemi drzemało piękno niespotykane nigdzie indziej. To właśnie napawało zazdrością niemieckiego rycerza i pragnął za wszelką cenę zniszczyć ten kraj, pogрузić w pożodze własnej nienawiści. Tutaj, w Krajnie, na pograniczu Kujaw, Wielkopolski i Pomorza, dzielił go od tego zaledwie krok.

Odgarnął jasne włosy opadające na twarz i spojrzął na majaczące w dali Koronowo, stanowiące ostatnią przeszkodę w drodze na Bydgoszcz, a potem w głąb Polski. Mieścina nie posiadała murów obronnych, otoczona była jedynie palisadą i wydawało się, że jeden szturm powinien rozwiązać sprawę. Jednak Kùchmeister był ostrożny. Najpierw wysłał zwiadowców, żeby wiedzieć, z jakimi siłami przyjdzie mu się zmierzyć. Nie chciał ryzykować. Nie teraz, gdy zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki.

Niedługo połączy swoje wojska z hufcami Henryka von Plauen i dysponując dziesięcioletnią armią, ruszą na Płock i Warszawę. W tym samym czasie mistrz inflancki Konrad von Vietinghoff zaatakuję Wilno, a Zygmunt Luksemburski najedzie Małopolskę, Ruś Czerwoną, Wołyń i Podole. Takiej nawałnicy nic się oprzeć nie zdoła i Kùchmeister był pewien, że jeszcze tej zimy będzie ucztować zwycięstwo na Wawelu.

Nagle tętent końskich kopyt rozproszył jego myśli i skierował uwagę na zbliżającego się jeźdźca. Po zielonej jace narzuconej na kolczugę i czarnych, długich włosach wymykających się spod szłomu, wójt Nowej Marchii rozpoznał Konrada Nyempcza, śląskiego rycerza, który podczas tej wyprawy był jego prawą ręką. Mężczyzna zeskoczył z konia i skłonił się nisko.

- Panie! Nasi zwiadowcy wrócili.

- Mów!

- Nie spostrzegli w okolicy żadnych zbrojnych hufców, ani śladu rycerstwa. Na wałach jeno straż miejska wartę trzyma. Ponadto na bagnach zwiadowcy pochwycili dwóch polskich szlachciców, którzy wzięci na spytki zeznali, że w mieście stoi jeno lud tańszy<sup>72</sup>, przeważnie pieszy i z wojną nie obyty.

Michał Kūchmeister w zamyśleniu podrapał się po kilkudniowym zaroście.

- A jeśli to łgarstwo?

- Prawdę powiedzieli - odparł Ślązak. - Moi ludzie wiedzą, jak przymusić człowieka do mówienia.

- Coś jeszcze rzekli?

- Potwierdzili to, co już sami wiemy. Że Jagiełło w Inowrocławiu siedzi.

Dostojnik krzyżacki uśmiechnął się krzywo. Wiedział, że jeśli zdobędzie Koronowo, a potem Bydgoszcz, to nie będzie trudno urządzić mały wypad do Inowrocławia po głowę króla polski. A wtedy on, Michał Kūchmeister von Sternberg, zdobędzie łaskę Emanacji Binah i władzę nad zakonem.

- Jaki mamy dziś dzień?

- Piątek, dziesiątego października - odparł Nyempcz. - Dzień świętego Gereona.

- W kolońskiej katedrze widziałem niegdyś jego wizerunek - zamyślił się zakonnik. - Przedstawiał rycerza odzianego w pełną zbroję, z dumą dzierżącego chorągiew. Wiesz, co najbardziej mnie w nim urzekło?

- Nie, panie.

- Surowe oblicze i oczy. Oczy, w których nie dostrzegłem nawet cienia strachu i nie było w nich również litości dla wroga.

Krzyżak spojrział w niebo i odetchnął głęboko.

- Dzień świętego Gereona - rzekł. - To dobry dzień na bitwę.

\*

Okna największej z sal inowrocławskiego zamku wychodziły na wschód i promienie słońca, przedzierając się przez malowane witraże, delikatnie muskały stojący pośrodku dębowy tron, na którym z

zasepioną miną siedział Jagiełło. Monarcha ubrany w zwykły rycerski kaftan, z narzuconym na ramiona płaszczem podszytym sobolim futrem, ze smutkiem wpatrywał się w trzymaną w rękach koronę. Tak wiele poświęcił, żeby ją zdobyć, a potem utrzymać. Tak wielu ludzi straciło życie, żeby zniszczyć zakon. Wszystko na marne. Nad ranem posłaniec przyniósł wieści, że wojska Michała Kűchmeistera stanęły już pod Koronowem i lada dzień najadą ziemie polskie.

Stwierdzenie, że wszystko, co dzieje się w świecie materialnym ma swoje odbicie w świecie duchowym, okazało się łgarstwem. Jagiełło wygrał bitwę, Krzyżacy ponieśli druzgocącą klęskę, jednak spaczona moc Binah i tak triumfowała. Równowaga została zachwiana i już niedługo świat legnie w gruzach.

- Znikąd nadziei? - władca zadał to pytanie bardziej sobie niż zebrany w komnacie możnowładcom. Ci w milczeniu pokręcili głowami.

- Mówiliście, że Krzyżacy przed zimą nie ruszą. - Jagiełło spojrzał w twarze tych, którzy pod Malborkiem doradzali odwrót. Podkomorzy krakowski Piotr Szafraniec, Andrzej z Tęczyna i Mikołaj z Michałowa spuścili wzrok.

- Przyznaję, iż źle uczyniliśmy, odstępując od murów krzyżackiej stolicy - rzekł rycerz z Michałowa. - Ostawiliśmy w legowisku jadowitego węża, Henryka von Plauen, który nie spocznie, zanim ziemi naszej w krwi nie utopi. Rozpuściliśmy wojska i ninie do ich zebrania potrzeba czasu. Jednakże teraz, miłościwy królu, musicie myśleć o ratowaniu własnej osoby. Dzisiaj padnie Koronowo, jutro Bydgoszcz i tylko patrzeć, jak hufce Kűchmeistera zapukają do bram Inowrocławia.

- Władca dwóch potężnych i ludnych narodów ma zbiec niczym lis przed sforą wściekłych psów? - Król zerwał się z siedziska i zaczął

przechadzać się po izbie.

- Wracajcie do Krakowa! - krzyknął Piotr Szafraniec. - Węgrzy na granicy już się gotują do wojny i niedługo uderzą na Małopolskę. Lud musi wiedzieć, że monarcha ich nie opuścił, że dzieli z nimi dołę i niedolę.

Jagiello zatrzymał się, uważnie spojrzawszy w oczy możnowładcy.

- Nasz lud to również mieszkańcy Kujaw, Wielkopolski i Mazowsza. W Tucholi nadal broni się Janusz Brzozogłowy, a także w innych twierdzach polskie załogi dzielnie dają odpór nieprzyjacielowi. Nie opuścimy ich.

- Gdy padnie Koronowo, nie będzie dla was ratunku.

- Przyjmijemy z godnością, co przyniesie los.

- Błagam was, miłościwy królu, ratujcie życie - jęknął podkomorzy. - Licha załoga Koronowa nie sprostą krzyżackiej nawałnicy.

- To się jeszcze okaże. - Mocny, wdzięczny głos wzniósł się wysoko pod sklepienie komnaty.

Należał do kobiety, która bezceremonialnie wkroczyła do sali obrad. Ubrana była w zieloną, obszytą złotem suknię z głębokim trójkątnym dekoltem. Płomiennych włosów nie chowała wzorem innych niewiast pod czepcem lub bawełnianą chustą, lecz nosiła rozpuszczone, opadające kaskadą na ramiona. Chociaż nie nosiła żadnych klejnotów, a jej jedyną ozdobą były urzekające zielone oczy, nikt nie miał wątpliwości, że mogła równać się dostojnością z każdą królową. Zbliżyła się i przyklękła u stóp władcy.

- Powstań, Aine - rzekł król.

- Nic nie jest stracone, miłościwy panie. - Podniosła wzrok, a w jej oczach można było dostrzec nadzieję. - Właśnie z Koronowa przybył mój wychowanek z wielce pomyslnymi wieściami.



- Mów!

- Jakub z Kobylan i Dagobert z Saint-Amand wraz z garstką waszych nadwornych rycerzy, którzy mają bronić miasta, otrzymali niespodziewaną pomoc.

W sali rozległy się zdumione okrzyki, moiżni zaczęli między sobą gorączkowo szeptać. Nie zważając na to, Aine mówiła dalej:

- Nie wszyscy zgodnie z rozkazem waszej miłości rozjechali się do domów. Niektórzy pozostali w służbie, żeby mieć na Krzyżaków baczenie i dzisiaj o brzasku do Koronowa zjechały chorągwie wojewody poznańskiego Sędziwoja z Ostroga, wojewody brzeskiego Macieja z Łabiszyna i marszałka nadwornego Piotra Niedźwiedzkiego. Zatrzymali się w klasztorze ojców Cystersów.

- Wasza królewska mość! To ledwie dwa tysiące zbrojnych, połowa tego, co ma Kuchmeister - ponownie głos zabrał Piotr Szafraniec. - Nie zdzierżą.

Władysław Jagiełło usiadł na tronie i milcząco spoglądał na wędrujące po posadzce promienie słońca, rozpraszające zalegający w komnacie mrok. W jego sercu obudziła się nadzieja.

- Zostajemy w Inowrocławiu - odparł pewnym, mocnym głosem.

\*

W niewielkim refektarzu koronowskiego klasztoru mnisi ustawili w poprzek kilka stołów, dzięki czemu mogli ugościć śniadaniem prawie setkę wygłodniałych rycerzy. Reszta zbrojnych otrzymała posiłek na dziedzińcu. Cystersi nie żalowali jadła ani napoju tym, którzy przybyli im na ratunek. Na stołach pojawiły się kruże najprzedniejszego piwa warzonego z pszenicy, misy z owsianką, warzywa, sery, faszerowane i smażone jajka.

- Rad jestem, żeście przybyli - rzekł Jakub z Kobylan do siedzącego

obok rycerza. - Krzyżacy blisko, a nas tu ledwie trzy tuziny było.

- To o dwa tuziny za dużo. Wam by jeno jeden starczył, żeby te psy przepędzić - roześmiał się Piotr Niedźwiedzki, który znany był z wielkiej tuszy i rubasznego usposobienia. Grubym paluchem umaczanym w owsiance wskazywał po kolei siedzących przy stole. - Takiemu Dobiesławowi należałoby kopie wielkości dębu wystrugać, bo siła u niego większa niż u bawołu. Nikt zręczniejszy niż Tomasz Kalski mieczem nie robi, dziewczki zaś szepczą iż nie tylko mieczem. Mszczuj ze Skrzyńska zapewne jeszcze niejednemu wielkiemu mistrzowi łeb rozrąbie, a wy, Jakubie, jesteście jako ten huragan.

Mężczyzna nagle zamilkł, jego uśmiech zgasł, gdy spojrzał w oczy siedzącego naprzeciw rycerza.

- A was, panie Dagobercie z Saint-Amand, nigdy nie chciałbym mieć za wroga. Widziałem, jak zabijacie. Tysiąc bombard czyni mniejsze spustoszenie.

Burgundczyk uśmiechnął się lekko. Jeszcze dwa lata temu takie pochlebstwo wprowadziłoby go w dobry nastrój, teraz nappełniło smutkiem. Zbyt wiele wycierpiał przez ten czas, zbyt wiele ujrzał ludzkiego nieszczęścia i zbyt wiele przelał krwi. Zabijanie już nie było dla niego powodem do dumy, stało się nieodłącznym elementem życia. I tak będzie do końca jego dni. Skończy się jedna wojna, zacznie druga. Zmieniać się będą wrogowie i tylko krew pozostanie tak samo czerwona.

- Takie jest rycerskie rzemiosło - odparł. - Jednemu przeznaczono pług, innemu kadzidło, mnie zaś oręż.

Piotr Niedźwiedzki pokiwał głową ze zrozumieniem. Sam przez całe życie służył wojnie i nie wyobrażał sobie, że mógłby robić coś innego. Zapewne któregoś dnia zginie na polu bitwy, prowadząc do boju swoje

wojsko. Kto wie, czy ten dzień właśnie nie nadszedł? Zwiadowcy donieśli, że do Koronowa zbliża się potężny, krzyżacki hufiec.

Jego rozmyślania przerwał mnich odziany w biały habit z czarnym szkaplerzem, który postawił przed nim ryby z cebulą i pajdy pszennego chleba. Zadowolony marszałek zabrał się za jedzenie i między jednym a drugim kęsem dworował sobie z ubogiego Zakliki z Korzkwi, który gdyby nie pomoc krewniaka, biskupa płockiego, nie miałby nawet na porządną kolczugę. Podczas bitwy na polach Grunwaldu nie miał szczęścia i żadnych łupów nie zdobył, więc gdy usłyszał, że Jakub z Kobylan zbiera poczet zbrojnych do obrony Koronowa, natychmiast się zgłosił. Wierzył, że wreszcie uda mu się pokonać jakiegoś znacznieszego rycerza i wziąć za niego okup.

Jakub, korzystając z okazji, że uwaga zebranych przy stole skupiła się na Piotrze Niedźwiedzkim i młodym Zaklice, przysunął się do Dagoberta.

- Odesłałeś Gilberta do Inowrocławia - zagadnął. - A przecież zawsze pragnąłeś, żeby to on jako twój giermek pomagał ci wkładać zbroję.

- Teraz pragnę tylko, żeby żył - odparł Saint-Amand.

- Czy myślisz, że...

- Nie wiem, Jakubie. - Dagobert spojrzał w oczy przyjaciela. - Zmierza ku nam siła zbrojnych. Może śmierć nam pisana, a może chwała. Wyruszyliśmy do Koronowa z własnej woli, wiedząc, co nas czeka, zaś Gilbert to jeszcze otrok i nie może sam decydować o swoim losie.

- Racja - pokiwał głową rycerz z Kobylan. - Dufajmy, iż wiktoria będzie należeć do nas i rychło bliskich ujrzymy.

Burgundczyk uśmiechnął się na wspomnienie Aine. Ona nadal

wierzyła w zwycięstwo, w to, że spalenie można powstrzymać. Nie wiedziała, jak, ale coś jej podpowiadało, że rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki. Chciała razem z rycerzami jechać do Koronowa, lecz Dagobert stanowczo jej zabronił. Nigdy więcej nie chciał się lękać o tych, których kochał.

Gdy Saint-Amand chwycił za bochen chleba, ułamując sobie z niego całkiem spory kawał i sięgał właśnie po rybę, drzwi refektarza nagle otwały się z hukiem i do środka wpadł roztrzęsiony Jurga.

- Krzyżacy! Krzyżacy!

\* \* \*

Ze wzgórza, na które wdrapało się wojsko krzyżackie rozciągał się niezwykle malowniczy widok. Miasteczko położone nad brzegiem Brdy wydawało się wciśnięte pomiędzy niewielkie pagórki, które jesień pokryła już żółto-brązowym dywanem liści. Czerwone dachy domów mieniły się w blasku słońca, a strzeliste wieże kościoła niemalże sięgały chmur.

Jednak zamiast cieszyć oczy pięknym widokiem, Michał Küchmeister ze zmarszczonym czołem spoglądał na przedpola Koronowa, bowiem to, co ujrzał napełniło go trwogą. Zrozumiał, że polscy jeńcy kłamali, w mieście stacjonowały wojska. Przed cysterskim klasztorem stał uszykowany do boju hufiec zbrojnych jeźdźców, a za nim dobrze wyposażona piechota. I to nie była kupa ciurów, ledwie potrafiących trzymać w ręku oręż, ale straszliwe, przedchorągiewne rycerstwo spod Grunwaldu. Poznał ich po koniach kopijniczych najlepszego chowu, rynsztunku, znakach na tarczach i rodowych zawołaniach, które niczym gniewny pomruk burzy roznosiły się po okolicy.

Nie spodziewał się tu zastać takiej siły. Myślał, że przyjdzie walczyć

co najwyżej z mieszczanami na wąskich uliczkach miasta i dlatego nakazał zbrojnym pod Koronowo podejść pieszo.

- Odwrót! - rozkazał i pierwszy ruszył ścieżką w dół zbocza.

Odwagi mu nie brakowało, jednak pieszy atak mógł zakończyć się rzezią. Piechotę wroga zapewne udałoby się rozbić, ale jazda, atakując z flanki, zmiotłaby ich z powierzchni ziemi. Zakon nie mógł sobie pozwolić na kolejną klęskę.

Zgromadzeni na wzgórzu Niemcy, Ślązacy, Bawarowie, Turyngowie, Frankowie i Sasi, oburzeni wypominali, że nie po to przebyli taki szmat drogi, żeby teraz umykać przed wrogiem. Należeli do najznamienitszych rodzin szlacheckich w Europie i honor rycerski nakazywał im stanąć do walki. Żądni sławy i łupów nie pojmowali, że podczas wojny trzeba kierować się przede wszystkim rozumem. Zamilkli dopiero, gdy Küchmeister zatrzymał się i obrzucił ich wściekłym spojrzeniem.

- To szaleństwo uderzać teraz! Tylko głupiec z własnej woli wchodzi do jaskini lwa. Człek mądry zwierza wywabi, wciągnie w pułapkę i oszczepem zakłuje.

Przerwał, zaczął przechadzać się między rycerzami i uważnie wpatrywać w ich wzburzone oblicza. Niektórzy, zawstydzeni, spuścili wzrok, inni, pozbawieni wyobraźni, nadal hardo spoglądali w oczy wodza. Tych przekonać będzie najtrudniej, bo szalona odwaga rzadko idzie w parze z rozumem.

- Użyjemy fortelu. Wrócimy do koni, udając gwałtowny odwrót. Jeźdźcy zaraz za nami podążą, a my odciągniemy ich jak najdalej od miasta i piechoty, która mogłaby im udzielić wsparcia. W odpowiednim miejscu wydamy Polakom bitwę na warunkach dogodnych dla nas.

Krzyżak ujrzał, jak oblicza jego podkomendnych rozpogodziły się.

- Wtenczas w pojedynczych starciach wykazać będziecie mogli

wyższość waszego kunsztu wojennego nad owymi barbarzyńcami.

Odpowiedziały mu radosne wiwaty i teraz zbrojni ochoczo ruszyli do swoich wierzchowców. Michał Kùchmeister nie podzielał ich radości. Wiedział, jak walczą Polacy.

\*

- Jakże to? - zdziwił się Dobiesław z Oleśnicy, widząc, jak wrogowie dosiadają koni. - Sami ku nam przyszli, śniadanie przzerwali, a teraz tyły podają?

Polscy rycerze, gdy tylko dowiedzieli się, że wojska krzyżackie stanęły u bram miasta, natychmiast przywdziali zbroje, osiodłali konie, chwycili za oręż i ruszyli stawić czoło nieprzyjacielowi.

Dagobert podniósł zasłonę przyłbicy i spojrzał podejrzliwie na odjeżdżający hufiec. Nie wątpił, że był to fortel ze strony Kùchmeistera. Podjechał do Jakuba z Kobylan, cieszącego się poważaniem wśród rycerzy, którzy szybko zaakceptowali jego przywództwo.

- Co robimy? - zapytał.

- Nie wiem - Jakub wzruszył ramionami. - Teraz dowodzi Piotr Niedźwiedzki.

- To raptus! - prychnął Burgundczyk. - Ruszy za nimi i wojsko do zguby doprowadzi.

Rycerz z Kobylan opancerzoną dłonią poklepał kark wierzchowca i spojrzał na chorążego Piotra z Rytra herbu Topór. Gdy ten wzniesie w górę biały sztandar z ciemnoczerwonym podwójnym krzyżem, będzie to znak do ataku.

- A cóż innego możemy uczynić, Dagobercie? - westchnął ciężko Grzymalita. - Jeśli zamkniemy się w Koronowie, wnet Krzyżacy bombardy przywiodą. Miasto nawet murów obronnych nie ma i wtedy prócz nas ucierpią także mieszkańcy. A tak wszystko w boju się

rozstrzygnię.

Saint-Amand pokiwał głową.

- Umykają w stronę Buszkowa - rzekł. - Jeśli zaraz ruszymy w pogoń, może ich dopadniemy przed łańcuchem jezior. Potem może być już ciężko.

Piotr Niedźwiedzki jakby usłyszał jego słowa, wzniosł w górę rękę i zagrały wojenne surmy. Załopotał na wietrze polski sztandar.

\*

Strzała ze świstem przeleciała nad głową Konrada Nyempcza. Ślązak pochylił się w siodle, przywarł do końskiej grzywy i zaczął szeptać modlitwy, oddając się pod opiekę Najświętszej Marii Panny, a także miłosiernego Jezusa Chrystusa, za sprawą którego tutaj przybył. Przeświadczony, że Jagiełło zagraża całemu chrześcijańskiemu światu, nie wahał się wyruszyć na wyprawę wojenną pod sztandarem zakonu krzyżackiego. Jednak gdy przybył na miejsce i zamiast okrytych skórami pogan spotkał rycerzy, którym nieobcy był honor, a ponadto jak i on, wyznawali Chrystusa, zaczął wątpić w słuszność podjętej decyzji.

Nyempcz, słysząc za sobą tętent tysiąca kopyt, obejrzał się i dostrzegł ścigających ich jeźdźców. Na czoło polskiego hufca wysunęli się konni łucznicy, którzy raz za razem wypuszczali strzały, czyniąc spustoszenie w szeregach krzyżackich. Ślązak rozpoznał w nich Tatarów i Mazowszan puszczańskich, którzy od dziecka nawykli do łuków, potrafili strzelać szybko i celnie. Trzykrotnie tylna straż próbowała podjąć z nimi walkę i trzykrotnie, widząc to, łucznicy cofali się za ciężkozbrojnych Polaków, a gdy zagrożenie mijało, znowu wyjeżdżali nękać wroga gradem strzał.

Wojsko krzyżackie odjechało już od Koronowa przeszło milę, ale

Michał Kūchmeister nadal nie chciał stanąć do walnej bitwy. Gdy kolejna ze strzał ledwie minęła ramię Nyempcza i wbiła się w plecy jadącego przed nim rycerza z Turynгии, podjechał do dostojnika krzyżackiego.

- Wystrzelają nas tu niczym sarny!

Zakonnik już chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo przy jego drugim boku pojawił się joannita Konrad z Truklszez.

- To hańba! - krzyczał oburzony. - Rycerzom nie przystoi czmychać niczym zajęce na widok zgrai psów. Stańmy do boju, jak na szlachciców przystało!

Rozgniewany Kūchmeister nie odpowiedział, tylko zmusił swojego konia do jeszcze szybszego galopu. Prowadził hufiec, klucząc między pagórkami, niewielkimi jeziorami, omijając zagajniki i lasy, lecz nic to nie dawało, bo z każdym przebytym stajaniem Polacy coraz bardziej się zbliżali. I gdy już rycerze zaciężni myśleli, że przyjdzie im uciekać aż do Nowej Marchii, Krzyżak zatrzymał się wreszcie na wzgórzu nieopodal wsi Łęcko.

- Rozstawić szyki! - rozkazał. - Przodem do stromizny.

Zbrojni wydali okrzyk radości, ich oczy zabłyśły, bo oto mieli okazję dać zaraz pokaz swojej siły, sprawności w boju, zdobywając przy tym rycerską sławę i bogate łupy. Dla nich walka była codziennością, czymś, co kochali i z czego żyli.

Ustawili się w jednej linii. Na czele najszlachetniejsi rycerze, za nimi ich giermkowie i słudzy<sup>73</sup>. Nie zostawili Polakom zbyt wiele miejsca. Kūchmeister tak wybrał teren, żeby wojsko Jagiełły musiało szarżować pod strome wzniesienie.

Widząc to już z daleka, Piotr Niedźwiedzki, który dobrze znał te ziemie, poprowadził hufiec skrajem wzgórza, wjeżdżając na niego od



łagodniejszej strony. Nie minęły dwa pacierze, a wojsko polskie rozwinęło się naprzeciw nieprzyjaciela.

Na chwilę przed starciem zapanowała grobowa cisza, jakby rycerze stojący po obu stronach zrozumieli, że spotkali się tutaj, żeby zadawać śmierć. Zbrojni spoglądali na siebie, ale w ich oczach nie było strachu, tylko bezwzględna zaciętość. Za chwilę ruszą na siebie, ich kolorowe jak z wyhaftowanymi herbami zostaną splamione krwią, przyłbice rozbite, zbroje zmiażdżone, ciała rozsiekane przez miecze. Los zadecyduje, komu pisana śmierć, a komu chwała.

\* \* \*

Śląski rycerz odurzony widmem rychłego boju, czując, jak krew mocniej pulsuje mu w żyłach i chcąc sprostać odwiecznej tradycji harcowników, wyjechał przed krzyżackie szeregi.

- Jam jest Konrad Nyempcz, nadworny rycerz i pokorny sługa króla węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego - krzyknął w stronę Polaków. - Czy znajdzie się wśród was choć jeden śmiałek, gotów stanąć do honorowego boju? Czy już zawsze niczym kiepy chować się będziecie za plecami łuczników?

Okrzyki oburzenia podniosły się wśród polskich rycerzy i wszyscy naraz chcieli mierzyć się z zuchwalcem. Jednak najszybszy był Jan Szczycki herbu Doliwa, który pierwszy zaszarżował na wroga.

Widząc to, Ślązak uśmiechnął się krzywo. Na dworze Luksemburczyka nie miał sobie równych i nie pokona go byle szlachcic, niemający nawet porządnej zbroi, tylko połataną kolczugę. Nyempcz opuścił zasłonę i pewny swojej przewagi, spiął konia. Czarny wierzchowiec dziko zarżał, stanął dęba i niczym bełt wystrzelony z kuszy pognał naprzeciw Polaka.

Walka nie trwała długo. Wystarczyło jedno skrzyżowanie kopii, żeby

wyłonić zwycięzcę. Rozległ się trzask łamanego drzewca i zdumieni rycerze z zachodu ujrzeli leżącego na ziemi i wijącego się z bólu Ślązaka. Natomiast Jan Szczycki zawrócił konia i z dumnie podniesioną głową odjechał w stronę własnych szeregów. Polacy powitali go radośnie, przyjmując ów zwycięski pojedynek za dobrą wróżbę dla dalszych losów bitwy.

Teraz dopiero zagrały trąby, zafalowały sztandary i dwie masy wojska ruszyły ku sobie. Wnet doszło do starcia, ale bitwa w niczym nie przypominała tej stoczonej przed trzema miesiącami pod Grunwaldem. Nie było szarż rozpędzonych chorągwi, wycofywania zmęczonych hufców i wprowadzania na plac boju świeżych odwodów. Nie było strasznego ścisku, miażdżenia i tratowania. Nie było beładnej rzezi, dobijania rannych i morza krwi wsiąkającego w ziemię. Pod Koronowem stoczono ostatnią bitwę wedle starych rycerskich zasad.

Bój składał się z szeregu pojedynków, pełnych kurtuazji, szacunku dla przeciwnika i bardziej przypominał turniej rycerski niż walną bitwę. Szlachcice walczyli ze szlachcicami, giermkowie z giermkami, a słudzy ze sługami. Zawsze czekano aż konkurent opuści zasłonę, przygotuje się do boju i wtedy dopiero szarżowano. Pomimo że zbrojnych po stronie zakonu było dwukrotnie więcej, nie zdarzyło się, żeby dwóch atakowało jednego. Ci, którzy nie mieli pary, cierpliwie czekali na swoją kolej. Zastępowali rannych, zabitych lub tych, co poddali się. Wzięci do niewoli odchodzili w wyznaczone miejsce, które znajdowało się pod samotnie rosnącym, rozłożystym dębem. Tam siadali i zasępieni przyglądali się dalszemu przebiegowi bitwy. Nie było nad nimi strażników, jak również żaden z rycerzy nie był wiązany. Wystarczyło dane słowo, że nie uciekną. Bogatsi, po złożeniu obietnicy zapłacenia

okupu, mogli wrócić na plac boju, żeby raz jeszcze popróbować szczęścia.

Wszyscy walczyli z wielką odwagą, zacięciem, ale przede wszystkim z honorem. Nikt nie śmiał zaatakować w plecy ani wyciągnąć mizerykordii, żeby raptownie uderzyć w nieosłonięty kark, co zdarzało się na polach bitew. Wrogowie okazywali sobie szacunek, o jaki trudno nawet podczas gonitwy w szrankach.

A działo się tak dlatego, że w armii krzyżackiej przeważali goście z Zachodu, którzy w przeciwieństwie do okrutnych zakonników wciąż jeszcze hołowali prastarym obyczajom, zaś potomkowie Lecha również wiedzieli, co znaczy rycerski honor. W bitwie brało udział zaledwie kilku budzących nienawiść dostojników krzyżackich i tylko oni nie mogli liczyć na litość Polaków.

Jednym z nich był Michał Kuchmeister.

\*

Oczy Dobiesława rozbłysły na widok Kuchmeistera, który właśnie powalił jednego z Mazowszan. Głowa krzyżackiego wodza byłaby znakomitym prezentem dla króla Władysława. Polski rycerz już otwierał usta, żeby zgodnie z obyczajem wyzwąć zakonnika do walki, gdy tuż obok usłyszał zachrypnięty głos.

- Tyś jest Dobiesław z Oleśnicy herbu Dębno? - pytanie zadał niemłody już mężczyzna w lśniącej zbroi, która musiała kosztować majątek. Jego gniady koń o bujnej czarnej grzywie miał na piersiach ladry, a na grzbiecie solidny kropierz purpurowej barwy.

- To ja!

- Powiadają, iż wielki z ciebie mocarz i w całym chrześcijańskim świecie próżno szukać drugiego takiego siłacza.

- Skoro tak powiadają, to musi być prawda - wyszczerzył zęby

Dobiesław, który zapomniał już o Kűchmeisterze zastanawiał się, ile grzywien można dostać w Krakowie za tak dobry rynsztunek.

- Słyszałem również, że przed sześcioma laty podczas turnieju na zamku toruńskim nikt z obecnych tam rycerzy tobie nie sprostał. A ponoć byli to najlepsi z najlepszych, najwaleczniejsi z walecznych, a ich kunszt wojenny nie miał sobie równych.

- Czyżby? - Pan herbu Dębno uniósł brew, ale bardziej zainteresowany był wartością wierzchowca niż przemową jego właściciela.

- Jam jest Konrad Elkinger! Zapewne o mnie słyszałeś?

Dobiesław pokręcił głową, uważnie przyglądając się przyłbicy rycerza, wartej co najmniej pięć grzywien. W oczach Elkingera pojawił się gniew, poprawił tarczę i ujął mocniej rękojeść miecza.

- Wyzywam ciebie, Dobiesławie z Oleśnicy, na bój!

- Nareszcie - mruknął Polak. - Myślałem, że przyjdzie mi na to czekać całą wieczność.

Pierwsze potężne uderzenie zadał rycerz z krzyżackiej armii i gdyby kto inny był na miejscu Dobiesława, zwałiby się z konia, jednak pan z Oleśnicy bez wysiłku przyjął uderzenie na tarczę i zbił mieczem sztych wymierzony w twarz. A potem atakował już tylko poddany króla Polski. Na Elkingera raz za razem spadały ciosy, a on ledwie zdołał je wychwytywać. Wreszcie tarcza nie wytrzymała i rozpadła się na pół. Przerażony rycerz zrozumiał, jakim szaleństwem było rzucać wyzwanie polskiemu mocarzowi.

- Oszczędź - wyszeptał błagalnie.

Ogarnięty zapalem bitewnym Dobiesław w ostatniej chwili zdołał wstrzymać ostrze. Roześmiał się głośno.

- Potrafisz lepiej gadać niż orężem robić, Konradzie Elkingerze.

Dufam więc, iż bez trudu przekonasz swoją rodzinę do zapłacenia sowitego okupu.

Krzyżacki najemnik pokornie skinął głową i odjechał pod dąb, pod którym siedziało już wielu jego kamratów.

Joannita Konrad z Truklszez, który nosił czarny płaszcz z białym ośmioramiennym krzyżem, w walce stracił już szłom i teraz można było dostrzec jego siwe włosy pod kolczym kapturem. Dzięki doświadczeniu zdobytym w dziesiątkach bitew, zakonnik skutecznie bronił się przed nawałnicą ciosów zdawanych przez Mszczuja ze Skrzyńska. Na przemian przyjmował uderzenia na jeździecką pawężkę, lub na zastawę miecza. Co pewien czas próbował błyskawicznym sztychem wbić ostrze w gardło Polaka, ale ten, który powalił samego Ulryka von Jungingen był zbyt wytrawnym wojownikiem, żeby dać się zaskoczyć.

Walka trwała już dość długo i zmęczeni rycerze oddychali coraz ciężiej. Pot spływał im po twarzy, zalewał oczy, ręce omdlewały i pojedynki trwały tylko dzięki niezwykłej zaciekłości każdego z nich. Jednak ciosy zadawane były zbyt wolno i za słabo, żeby powalić przeciwnika. Wycieńczone konie ledwie trzymały się na nogach, ale żaden z walczących nie chciał ustąpić.

Mszczuj zaatakował raz jeszcze, resztkami sił, mocno wyprowadzając uderzenie zza głowy. Joannita i to sparował. Rozwścieczony Polak w jednej chwili odrzucił tarczę, puścił lejce i skoczył na przeciwnika, obejmując go w pół. Zaskoczony Konrad z Truklszez nie zdołał utrzymać się w siodle i obaj rycerze runęli na ziemię. Zakonnik próbował wyrwać się z żelaznego uścisku Mszczuja, ale stać go było jedynie na nagłe szarpnięcie i na powrót przywarł plecami do trawy. Westchnął ciężko, spoglądając w zimne oczy Polaka. Rycerz ze Skrzyńska uderzył zakonnika pięścią w twarz, pozbawiając

go przytomności.

W tym momencie przestrzeń wypełniła się dźwiękiem trąb.

\* \* \*

Ogłoszono chwilowy rozejm. Rycerze przerwali pojedynki, rozjechali się, żeby w cieniu drzew zdjąć potrzaskane pancerze, szłomy i legnąć na trawie. Pachołkowie opatrywali rany panów, poili konie i wymieniali zużyty rynsztunek.

Dobiesław z Oleśnicy, oparty o wysmukłą brzozę, podał bukłak z wodą Tomaszowi Kalskiemu.

- Ilu wrogów powaliłeś? - zapytał.

Rudowłosy rycerz zanim odpowiedział, ugasił pragnienie czystą źródlaną wodą, jakby to było najprzedniejsze benedyktyńskie wino. Dzień był niezwykle upalny jak na połowę października, a walka w ciężkim pancerzu kosztowała sporo wysiłku.

- Siedmiu - odparł, ocierając dłonią usta.

- Ja jedenastu! - Pan z Oleśnicy dumnie wypiął pierś. - W tym trzech w niewolę pojmałem, a że byli to możni rycerze z Niemiec, wezmę za nich sowity okup i rychło majątek pomnożę. Kto wie, czy za niedługo jakiegoś zaszczytnego urzędu nie otrzymam z rąk samego króla?<sup>74</sup> A ty czymże pochwalisz się przed swoją Anną?

Kalski spojrzał na przyjaciela, a w jego oczach błysnęły iskierki rozbawienia.

- Szlachetna białka ceni w mężu jeno dobroć i wierność, nie zaś wojenne zasługi.

- Wierność?

- Tak rzekłem.

- Zatem trudno ci będzie o jej względy - roześmiał się rycerz z Oleśnicy.

- Jakże ci to wyłożyć, Dobiesławie, abyś rozumem ogarnął? - westchnął ciężko Tomasz, drapiąc się po bujnej, rudej czuprynie. - Miłuję jeno Annę, sercem i duszą pozostaję jej wierny. Ciało zaś, jako wiesz, jest rzeczą marną i równać się duszy nie zdoła. Zatem na co jej moja wierność cielesna?

- Język masz giętki niczym u żmii i nie dziwi mnie już wcale, że wszelkie łgarstwa ci płazem uchodzą.

- Tak po prawdzie oddaję się namiętnościom z innymi białkami, ażeby z wprawy nie wyjść, bowiem, jak w mieczu tak i w sztuce miłości, należy się cały czas ćwiczyć - Tomasz kontynuował wywód. - A robię to po to, ażeby w noc poślubną nie zawieść w łóżnicy oczekiwań mojej ukochanej. Wiesz, jakie są niewiasty z rodu Ligezów?

Obaj wybuchli śmiechem na wspomnienie trzech sióstr ojca narzeczonej Kalskiego, które w młodości słynęły z wybujałego temperamentu. Nawet teraz co przystojniejsi młodzi giermkowie nie mogli się czuć bezpiecznie w ich towarzystwie.

Rycerze jeszcze jakiś czas żartowali, nic sobie nie robiąc z tego, że za chwilę znowu ruszą w bój przelewać krew i zabijać. Wojna była ich żywiołem, nieodłączną częścią życia, zupełnie jak miłość. Z taką samą pasją potrafili rozprawiać o pięknie kunsztownego oręża, jak i o niewieścich wdziękach.

W pewnym momencie podszedł do nich Dagobert i pan z Oleśnicy już chciał go zapytać, ilu wrogów powalił, ale gdy ujrzał jego obryzganą krwią zbroję, bladą i zmęczoną twarz, zrozumiał, że na pewno nie zdołał dorównać rycerzowi z Saint-Amand. Poza tym było w zimnych, stalowych oczach Burgundczyka coś, co sprawiło, że nagle opuściła go cała wesołość.

- Trzeba iść na pobojuwisko po rannych - rzekł Dagobert.

\*

Na wbitych w ziemię połamanych kikutach kopii, strzaskanych tarczach i rozbitych szłomach siedziały wrony, które jak przystało na padlinożerców natychmiast wyczuły łatwy łup. Trupów ludzi i koni było wystarczająco wiele, żeby całe stado zdołało się posilić. Odważniejsze z ptaków już dziobały zwłoki, ale szybko były przepędzane przez rycerzy przybyłych po rannych. Wówczas złe, że przerywa się im posiłek, głośno kracząc, wzbijały się w powietrze krążąc złowieszczo nad pobojo wiskiem.

- Dzielnie żeście walczyli! - krzyknął do Polaków Francuz noszący na fioletowej jace herb z czarnymi liliami. - Składam cześć waszemu męstwu.

Zbrojni z krzyżackiej armii też przyszli po swoich i dwie grupy rycerzy spotkały się na środku pola.

- Wy także pod kirysami lwie serca skrywacie - odparł Jakub z Kobylan. - Chwała wam!

- To honor i zaszczyt się z wami potykać. - Francuz przyłożył dłoń do piersi i skłonił się dwornie. - W całym chrześcijańskim świecie trudno o równych wam w kunszcie wojennym.

Grzymalita także się uklonił, choć trochę niezgrabnie, bo Polacy w przeciwieństwie do większości narodów, nie byli przyzwyczajeni do zginania karków.

- Zatem rad jestem, iż w was znaleźliśmy równych sobie.

Gość zakonu ponownie się skłonił, a stojący nieopodal Dobiesław z Oleśnicy parsknął śmiechem. Dla niego etykieta rycerska i cała ta dworność były tylko pustymi gestami, do których nigdy nie miał ciepłości. Zawsze dziwiło go okazywanie uprzejmości wrogowi, któremu za moment miało się zamiar wbić ostrze miecza w pierś i



pozbawić życia. Według niego niestosowna właśnie była ta obłuda. Uspokoił się dopiero, gdy napotkał wściekłe spojrzenia Dagoberta, który rycerską kurtuazję bardzo sobie cenił i uważał, że każdemu przeciwnikowi należy się szacunek. No, ale on był Burgundczykiem.

Podczas gdy pachołkowie odprowadzali rannych, rycerze zwaśnionych stron, częstując się jadłem i winem, rozmawiali jak przyjaciele, a nie wrogowie. Podziwiali kunsztowne pancerze, polecali sobie dobrych płatnerzy, opowiadali, co na dworach królewskich słychać i śmiali się ze sprośnych żartów. Na koniec wymieniono się jeńcami i oddano zdobyczne konie.

Kiedy trąby ogłosiły koniec rozejmu, zbrojni uściskali się serdecznie i rozjechali do swoich szyków. Za chwilę ponownie miała rozpocząć się bitwa: znikną uśmiechy, a ich miejsce zastąpi gniew, zamiast przyjacielskich pozdrowień rozlegną się okrzyki bojowe, w miejsce wina poleje się krew.

\* \* \*

Po wypoczynku rycerze dopięli rzemienie na zbrojach, nałożyli hełmy, chwycili za nowe kopie i ruszyli do walki. Po okolicy ponownie poniosł się szczeł oręża, płosząc stado wron, które teraz krążyły nad polem bitwy, cierpliwie czekając na żer. Również i tym razem żadna ze stron nie potrafiła zyskać przewagi.

Przybrany w czerń barczysty rycerz z Niemiec, posiadający w godle białego wilka i dzierżący w ręku topór jeździecki, którym rozplatał już czaszki wielu Polakom, rozglądał się za przeciwnikiem. Nikt jednak nie miał odwagi stawić czoła straszemu mocarzowi. Widząc to, Zaklika z Korzkwi rycerskim obyczajem wyzwiał go na pojedynek.

Przez pewien czas toczyli równych bój, cios za cios. Tarcze trzeszczały od potężnych uderzeń, ale żaden z walczących nie

wykazywał oznak zmęczenia. Niestety, choć w piersi młodego Polaka biło serce waleczne, zabrakło mu umiejętności i doświadczenia. Niemiec zablokował jego uderzenie toporem, sprytnie zaklinował brzeszczot i szarpnięciem wytrącił miecz z ręki rycerza z Korzkwi.

Zaskoczony Zaklika uchylił się przed ciosem topora, który niechybnie roztrzaskałby mu czerep i szarpnął wodze konia, odjeżdżając na bezpieczną odległość. Pewny zwycięstwa niemiecki rycerz ruszył w pościg. Młodzieniec, choć niewyrobiony jeszcze w boju, był niezwykle bystry, pochwycił wbity w ziemię ułomek kopii, zawrócił konia i z dzikim okrzykiem poszarżował na przeciwnika. Widząc to, Niemiec uśmiechnął się tylko, bowiem wiedział, że takim kikutem Polak go nie dosięgnie. Jednak uśmiech mu zamarł, gdy ujrzał, jak Zaklika chwyta ułamaną kopię niczym oszczep i bierze zamach. Najemnik nie zdążył zasłonić się tarczą i rzucony z bliskiej odległości kawałek drewna trafił go w pierś, przechodząc niemal na wylot. Niemiec runął bez życia na ziemię, natomiast rycerz z Korzkwi tego dnia dokonał jeszcze wielu walecznych czynów, a o jego fantazji w bitwie na koronowskim wzgórzu krążyły potem legendy.

Zaledwie staje dalej Tomasz Kalski mierzył się z dwoma Węgrami. Obaj mieli śniadą cerę, wielkie sumiaste wąsy i polski rycerz podejrzewał, że byli braćmi. Gdy pojedynkował się z pierwszym, drugi cierpliwie czekał na swoją kolej. Nie minęło jednak pół pacierza, jak obaj legli martwi na ziemi.

Tymczasem Jakub z Kobylan stoczył bój z rycerzem ze Śląska świetnie władającym nadziakiem. Ślązak drasnął Grzymalię, rozdzierając kolczugę na ramieniu, tym samym, w którym przed trzema tygodniami utkwiał bełt z kuszy krzyżackiego strażnika. Polak poczuł rozdzierający ból w niezagojonej jeszcze ranie i pociemniało mu w

oczach. Zdołał jednak uchylić się przed kolejnym ciosem i błyskawicznie wbił sztych w gardło wroga.

Nie miał jednak czasu na zajęcie się obolałym ramieniem, bowiem naprzeciw niego stał już kolejny przeciwnik. Był to Francuz w fioletowej jace, ten sam, z którym podczas przerwy w bitwie wymieniał uprzejmości i raczył się dobrym winem. Jakubowi nie zadrżała ręka. Uderzał mocno, szybko, skutecznie i nie trwało długo, a Francuz padł z rozciętą prawie na pół twarzą.

Lecz nie wszystkim polskim rycerzom wiodło się tak szczęśliwie. Jan z rodu Gryfów, który pod Grunwaldem uśmiercił trzech rycerzy zakonnych, teraz zginął przebity mieczem innego zakonnika - Michała Kùchmeistera. Ten zaś, jak dotąd, nie miał sobie równych i podczas bitwy zabił już tuzin polskich rycerzy, a tyle samo ranił lub wziął w niewolę.

Dzisiaj tylko jeden człowiek mógł mu się przeciwstawić.

Dagobert zajęty walką z czeskim najemnikiem, kątem oka dostrzegł, jak komtur niczym nawałnica czyni spustoszenie wśród jego towarzyszy. Burgundczyk dwoma ciosami powalił Czecha, zawrócił konia, gotów skoczyć na Krzyżaka, gdy nagle drogę zajechał mu jeździec na śnieżnobiałym koniu.

Burgundczyk w pierwszej chwili pomyślał, że to Kùchmeister jakimś cudem znalazł się tuż przy nim, bowiem rycerz miał na sobie zakonny płaszcz. Zaraz jednak spostrzegł, że na okryciu zamiast krzyża czarnego widnieje ośmioramienny i do tego w kolorze zielonym. Saint-Amand zaraz poczuł aurę Przebudzonego i choć zbrojny nosił zamkniętą przyłbicę w kształcie psiego pyska, nie miał wątpliwości, kim jest tajemniczy rycerz.

- Piotr des Ruaux.

Zagrały trąby, ogłaszając kolejną przerwę w bitwie.

\*

Wypoczynek niczym nie różnił się od poprzedniego. Znowu zbierano rannych, rycerze zwaśnionych stron częstowali się jadłem, napitkiem, jak również pochlebstwami. Dało się jednak zauważyć, że było ich mniej, za to więcej wron i kruków żerujących na ciałach poległych.

Piotr des Ruaux miał szlachetne rysy twarzy, ujmujący uśmiech i włosy czarne, lekko tylko przyprószone siwizną. Łagodne oczy koloru nieba bardziej pasowały do mnicha niż wojownika. Zresztą poniekąd tak było. Służył w zakonie Świętego Łazarza<sup>75</sup>, który miał nieść pomoc trędowatym. Mimo że nosił miecz, w życiu kierował się miłością bliźniego i częściej pomagał ludziom niż ich zabijał.

Teraz stał pośrodku bitewnego pola, przyglądając się Dagobertowi. Od czasu ich ostatniego spotkania na Żmudzi minęło półtora roku i przez ten czas Burgundczyk zdążył się zmienić. Wtedy był pełnym zapału młodzieńcem, poszukującym przygód, teraz Piotr miał przed sobą dojrzałego mężczyznę. Spojrzał w bladą, naznaczoną bliznami twarz przyjaciela, w niebieskie oczy, niegdyś wypełnione bez troską, teraz pełne smutku jakby widziały zbyt wiele.

- Odnalazłeś swoje przeznaczenie, Dagobercie? - spytał, pamiętając o przepowiedni starca w żmudzkiej świątyni.

- Tak - Saint-Amand uśmiechnął się na wspomnienie Aine. - Znalazłem ją.

Lazaryta wzniósł brew.

- A więc to niewiasta? - westchnął. - Niektórzy mają szczęście.

Roześmieli się jak za dawnych lat, gdy wspólnie wędrowali po Francji, wypełniając misje zleczone przez swoje Sefiry, a przy okazji wpadając w nieliczne tarapaty. Zaczęli wspominać co weselsze

przygody, które wtedy wcale wesołe nie były, jednak z biegiem lat pamięć ludzka bagatelizuje zdarzenia i stwarza złudę, że to, co minęło było lepsze od tego, co dzieje się obecnie.

Pierwszy spoważniał Dagobert i spoglądając uważnie na zakonnika, rzekł:

- Dlaczego stanąłeś między mną a Kuchmeisterem?

- Nie możesz go zabić - odparł Piotr des Ruaux. - On jeszcze nie wypełnił swojego przeznaczenia. Jest częścią boskiego planu.

Burgundczyk prychnął gniewnie.

- Czy dlatego przystałeś do Krzyżaków?

- Winny jestem posłuszeństwo zakonowi świętego Łazarza, który opowiedział się po stronie panów pruskich...

- I po stronie spaczony mocy Binah - przerwał szorstko Dagobert, jednak gdy spojrział na przyjaciela, jego oczy złagodniały. - Przecież służył Emanacji Chesed, która znajduje się po przeciwnej stronie Drzewa Życia niż Binah. Dlaczego więc, Piotrze?

Zakonnik odwrócił głowę, ogarniając wzrokiem pobojowisko, na którym trudno było znaleźć skrawek ziemi nie splamionej krwią. Wśród strzaskanych pancerzy, połamanych kopii i pękniętych mieczy leżeli ci, którzy już nigdy nie ujrzą swoich rodzin. Na zawsze spoczną we wspólnej mogile daleko od domu i pozostaną jedynie w pamięci tych, co bitwę przeżyją. Nie mieli pojęcia, o co tak naprawdę walczyli i dla jakiej sprawy poświęcili życie. Piotr des Ruaux wiedział, ale nie mógł się z tym pogodzić.

- To musi się wreszcie skończyć - rzekł ochryłym głosem. - Zbyt wiele już krwi przelano.

- Inaczej być nie może. To wszystko w imię Równowagi.

- Nadal nic nie pojmujesz, Dagobercie? - Lazaryta spojrział w oczy

Burgundczyka. - Równowagi nie można osiągnąć, wychylając wahadło w jedną bądź w drugą stronę.

Nagle Saint-Amand poczuł, jak nogi mu się uginają i krew odpływa z twarzy. Wreszcie do niego dotarło. Zaślepiiony światłem Netzach nie dostrzegał rozwiązania, które znajdowało na wyciągnięcie ręki. Dążył do zniszczenia wroga, zapominając, co jest głównym celem.

- Równowaga została przywrócona na polach Grunwaldu - kontynuował des Ruaux. - Niestety, król Władysław postanowił ruszyć na Malbork, więc moc Binah odrodziła się w Henryku von Plauen.

- Pojmuję - rzekł cicho Dagobert. - Gdyby nie to, prawa strona zdominowałaby Drzewo Życia.

- Właśnie tak - uśmiechnął się lazaryta.

Burgundczyk zastanawiał się, dlaczego nie dostrzegła tego Aine, Jagiełło i reszta Przebudzonych walczących dla sprawy? Może tak dalece byli zaangażowani w wojnę, że nie potrafili już trzeźwo spojrzeć na to, co się dzieje? Przecież przysłowie powiada, że najciemniej jest w świetle pochodni. I dopiero musiał pojawić się Piotr des Ruaux, żeby pokazać to, co oczywiste.

- Chesed obdarza swoich Przebudzonych nie tylko miłosierdziem, ale również łaską zrozumienia. Pozwala dojrzeć prawdę, odzierając ją ze złudy i wszystkiego, co zbędne - rzekł lazaryta, niemal odczytując myśli Dagoberta. - Król Władysław skupił się na niszczeniu, a nie tworzeniu, przekroczył granicę, której przekraczać nie powinien. Zamiast osiągnąć Równowagę, tylko rozkołysał wahadło.

- Jednakże jeśli dzisiaj zakon zwycięży, to Binah zdominuje Drzewo Życia.

- A jeśli zwyciężą Polacy?

- Wahadło - odparł. - Raz jedna strona będzie górą, raz druga.

- Widzę, że już pojąłeś - uśmiechnął się Piotr des Ruaux.

Burgundczyk spojrział w błękitne, czyste niebo i poczuł, że coś się zmieniło. Zrzucił niewidzialne kajdany mrocznej, potężnej siły krępującej go od miesięcy. Pozbył się gniewu. Teraz mógł na nowo spojrzeć na świat, na wojnę i swoje w niej miejsce.

- Co można uczynić? - zapytał.

- Nie wiem - zakonnik wzruszył ramionami.

- Jaką rolę ma odegrać Michał Kùchmeister?

- Tego też nie wiem.

Dagobert milczał, głęboko się nad czymś zastanawiając i dopiero po dłuższej chwili spojrział na przyjaciela.

- Kiedyś rzekłeś, iż nie podniesiesz na mnie oręża, gdy przyjdzie nam stanąć naprzeciw siebie.

- To prawda.

- Czy zatem ponownie staniesz między mną a Kùchmeisterem?

Teraz zamilkł Piotr des Ruaux, spoglądając na majaczące w oddali lasy.

- Nie uczynię tego.

Rozległy się nawoływania do wznowienia boju.

- Nawet jeśli będę chciał go zabić? - zapytał Dagobert.

- Uczynisz, co ci sumienie nakazuje. Pamiętasz słowa wyryte na Ostrzu Netzacha?

- *Krocz zawsze ścieżkę Równowagi, ona zapewni ci chwałę.*

- Pamiętaj o tym.

Rycerz zakonny wskoczył na siodło, spojrział na szykujące się do boju wojska, a potem skierował konia w przeciwną stronę.

- Porzucasz bitwę? - zdziwił się Burgundczyk.

- Moja misja dobiegła końca. Uczyniłem swoje i już niczego nie

zdołam zmienić.

- Wypowiesz posłuszeństwo swojemu zakonowi?

W oczach lazaryty zatańczyły iskierki rozbawienia.

- Nie uczynię tego.

- Więc cóż zrobisz?

- To co mi kiedyś radziłeś - Piotr uśmiechnął się szeroko. - Zostanę wielkim mistrzem zakonu Świętego Łazarza<sup>76</sup>. Teraz Dagobercie, wszystko zależy od ciebie. Bywaj!

Saint-Amand jeszcze przez chwilę spoglądał w ślad za odjeżdżającym przyjacielem, zastanawiając się, czy to przypadek sprawił, że Piotr des Ruaux znalazł się dzisiaj na koronowskim wzgórzu, czy przywiodła go tu opatrzność? Cokolwiek to było, dzięki temu Dagobert wiedział już, co musi zrobić.

\* \* \*

Po raz trzeci tego dnia przystąpiono do boju i rycerze, choć mocno już zmęczeni, z jeszcze większą zaciekleścią podjęli walkę. Pot na twarzach zlewał się z krwią, ramiona omdlewały i tylko wola zwycięstwa trzymała ich w siodłach.

Słońce chyliło się ku zachodowi, pasem czerwieni barwiąc horyzont, a już za progiem noc czekała, żeby świat pogrążyć w ciemności. I gdy wydawało się, że bitwa nigdy się nie skończy, Jan Naszan z Ostrowiec stoczył zacięty pojedynek z chorążym wojsk krzyżackich, powalając go na ziemię. Następnie pochwycił sztandar wroga i przymocował go sobie do siodła. Pokrzepieni tym widokiem polscy rycerze krzyknęli triumfalnie i niesieni bitewnym zapalem zaczęli zdobywać przewagę.

Natomiast wśród najemników i gości zakonu duch bojowy powoli słabł.

Dagobert przemierzał pole bitwy, nie przyjmując wyzwania od tych,



którym marzył się jego lśniący szmaragdem kirys, wzruszeniem ramion odpowiadał na obelgi i nazywanie go tchórzem. Nikomu nic nie musiał udowadniać, bowiem jedynie człowiek słaby szuka potwierdzenia własnej wartości w oczach innych. Dzisiejszego dnia rycerz z Saint-Amand miał do stoczenia jeszcze tylko jeden pojedynek i wybrał już przeciwnika. Będzie nim Michał Kùchmeister von Sternberg.

Odnalezienie na placu boju dostojnika krzyżackiego nie było wcale łatwe. Pod Koronowo zjechało wielu joannitów, kawalerów mieczowych, lazarytów i innych zakonników noszących białe płaszcze. Jednak Saint-Amand szukał tego, który miał na nim naszyty czarny krzyż.

Tymczasem rycerze z armii krzyżackiej zaczęli umykać, najpierw pojedynczo, później całymi grupami i było już pewne, że wiktoria należeć będzie do Polaków. Piotr Niedźwiedzki wraz z kilkoma jeźdźcami przemknął obok Dagoberta w pościgu za uciekającymi. Pogoń zapewne będzie trwała do późnego wieczora i wielu jeszcze zbrojnych ze Śląska, Czech, Węgier i Niemiec padnie w walce lub dostanie się w niewolę. Burgundczyk zastanawiał się, czy nie dołączyć do pościgu, podejrzewając, że wójt Nowej Marchii zbiegł z pozostałymi, ale nagle spostrzegł go zjeżdżającego po zachodnim stoku wzgórza.

\*

Michał Kùchmeister zrozumiał, że popełnił błąd, próbując zjechać ze stromego zbocza, gdy jego koń potknął się i przewrócił. Krzyżak szybko podniósł się, pociągnął za wodze, ale okulałe zwierzę nie zdołało już wstać. Zaczął zbiegać ze stoku, licząc, że zdoła się skryć w nadchodzącym zmierzchu.

Nadal nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Przywiódł ze sobą cztery tysiące rycerzy niemających sobie równych w wojennym

rzemiośle i nie przypuszczał, że ulegną dwukrotnie mniej licznym Polakom. Powinien za to nienawidzić wroga, ale zamiast tego, czuł tylko mimowolny szacunek.

Zakonnik wiedział, że wszystko stracone. Bitwa została przegrana, a pewnie także i wojna. Jagiełło przez zimę skrzyknie wojsko, zbierze zapasy żywności i na wiosnę uderzy na Prusy. Nikt nie zdoła go powstrzymać od zniszczenia zakonu. Ale teraz najważniejsze dla Michała Kuchmeistera było ratowanie własnego życia.

Obejrzał się, wypatrując pogoni i dostrzegł sylwetkę podążającego jego śladem mężczyzny. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś zbrojny z jego armii wpadł na ten sam pomysł ucieczki, ale nagle wyczuł obecność Przebudzonego. Przyspieszył kroku, wiedząc, że to na pewno nie jest sojusznik.

Po kilkunastu krokach ponownie się obejrzał i z przerażeniem stwierdził, że ścigający go rycerz jest coraz bliżej. Musiał być od niego młodszy i sprawniejszy. Krzyżak, czując, że brakuje mu tchu w płucach, zatrzymał się, żeby stanąć do walki, ale nie zdążył nawet sięgnąć po oręż. Napastnik chwycił go wpół, przewrócił i obaj sturlali się ze stoku. U podnóża Kuchmeister zerwał się na równe nogi i zobaczył, że jego wróg już stoi z obnażonym mieczem. Podczas upadku zgubił hełm i teraz wiatr rozwiewał jego jasne, długie włosy.

- Kim jesteś? - zapytał krzyżacki dostojnik.

- Dagobert z Saint-Amand - odparł. - Przebudzony w świetle Siódmej Emanacji Stwórcy.

- Sługa Netzach - Krzyżak uśmiechnął się szyderczo. - Chcesz się równać z tym, który nosi w sobie moc Binah?

- Równać? - Burgundczyk uniósł w górę brwi. - Jestem tu, by cię pokonać.

Küchmeister ryknął wściekle, wyciągnął miecz i zaatakował.

\*

Niebo pociemniało, zupełnie tracąc kolor purpury i tylko na zachodzie, gdzie niedawno skryło się słońce, widniał jeszcze granatowy pas zmierzchu. Wieczorną ciszę wokół Koronowa zakłócał tętent końskich kopyt. To polscy rycerze tropili niedobitki krzyżackiej armii. Tymczasem u stóp wzgórza, na którym rozegrała się bitwa, w blasku wschodzącego księżyca można było dostrzec dwie walczące ze sobą postacie.

Zdawać by się mogło, że bój toczą herosi z antycznych legend, gdyż każdy z ciosów zadawany był z miażdżącą siłą, sztychy z szybkością błyskawicy. Jednak byli to tylko ludzie.

Dagobert w ostatnim momencie uniknął szerokiego cięcia krzyżackiego miecza i natychmiast zadał cios w głowę Küchmeistera. Ten zdołał przyjąć uderzenie i odpowiedział atakiem w nogi. Bez powodzenia. Rycerze zaczęli krążyć wokół siebie niczym dwa tygrysy uważnie obserwujące swoje ruchy i w każdej chwili gotowe do skoku.

Zasłona w przyłbicy zakonnika poluzowała się i raz za razem opadała na twarz. Rozdrażniony Krzyżak zdjął hełm i ukazało się zroszone potem, blade oblicze. Ciężko oddychając, Küchmeister zerknął na przeciwnika i nie dostrzegł u niego najmniejszych nawet oznak zmęczenia. Zrozumiał, że jeśli szybko nie zakończy walki, polegnie. Mocno zacisnął dłoń na rękojeści miecza, zebrał w sobie wszystkie siły i ruszył do natarcia. Uderzał raz za razem, próbując przebić zasłonę Burgundczyka, ale ten z łatwością zbijał jego ciosy.

Oczy zakonnika zaszyły mgłą. Wiedział, że z wyczerpania zaraz padnie bez tchu na ziemię, ale nawet na chwilę nie przerwał ataku. Nagle niczym ranny lew ryknął na całe gardło, ale nie było w tym furii,

gniewu, tylko bezsilna złość. Wiedział już, że przegrał.

Dagobert, widząc, że przeciwnikowi zabrakło sił, doskoczył do niego i uderzył głowicą miecza w twarz. Michał Küchmeister padł oszołomiony na trawę. Z jego nosa ciekła krew, zalewając usta i podbródek. Próbował się jeszcze podnieść, ale zaraz poczuł sztych miecza na gardle.

- Na co czekasz? - wykrztusił. - Dobij!

\* \* \*

Od chóralnych wiwatów zatrzęsa się największa z sal inowrocławskiego zamku. Po raz dwudziesty tego wieczora wzniesiono toast na cześć polskich rycerzy, którzy rozbili dwukrotnie silniejszą krzyżacką armię.

Uczta trwała od wczesnego przedpołudnia i rozpoczęła się zaraz po tym, jak u bram miasta zjawilo się zwycięskie wojsko. Wśród gromkich okrzyków i braw pierwsi wjechali bohaterowie koronowskiej bitwy. Rycerze siedzieli w siodłach dumnie wyprostowani, podkrecając wąsy, wiedząc, że świat należy do nich. Przez najbliższe dni zbierać będą wyrazy szacunku od notabli, dary dziękczynne od mieszczan i pocałunki od niewiast, które, jak wiadomo, zawsze lgną do zwycięzców.

Za nimi podążali pachołkowie, ciągnąc zdobyczne konie. Piękne kasztanki meklemburskie, gniade wierzchowce holsztyńskie, kruczoczarne francuzy, siwki armorykańskie i mnóstwo innych, których pozazdrościć mógł niejeden monarcha. Następnie jechały wozy obładowane łupami wojennymi: rynsztunkiem zdartym z poległych wrogów, pasami rycerskimi, biżuterią i złotem.

Na samym końcu szli jeńcy z opuszczonymi nisko głowami. Dwie setki dumnych Niemców, Czechów, Węgrów, Francuzów, Sasów, którzy wyruszyli po sławę, a znaleźli hańbę i wstyd. Teraz zostaną

rzuceni do stóp Jagiełły, zdani na łaskę tego poganina, którego zakonnicy przedstawiali na kształt diabła. Jakież było zatem ich zdziwienie, gdy po przybyciu na zamek monarcha rozkazał zdjąć im więzy, opatrzyć rany i zaprosił na ucztę.

I dopiero siedząc przy suto zastawionych stołach, uczując wraz z polskimi możnowładcami, dostojnikami, rycerzami, zrozumieli, że mają do czynienia nie z dzikimi barbarzyńcami, jak zapewniali Krzyżacy, ale z chrześcijanami w dworności nikomu nie ustępującymi.

- Wiwat król Polski Władysław Jagiełło! - Konrad Elkinger wstał i wznosił kielich, lekko się przy tym zataczając, bowiem dla przybysza z zachodu wino było zbyt słabo rozcieńczone. - Jeśli kiedyś dane mi będzie powrócić w moje rodzinne strony, rodaków obaczyć i kumotrów najserdeczniejszych, rzeknę im, iż w całym chrześcijańskim świecie nie znajdą bardziej miłosiernego, dobrego i mądrego władcy niżli wasza królewska mość. Zapewniam was, miłościwy królu, gdyby obecni tutaj rycerze znali niesprawiedliwe postęпки panów pruskich, a słuszną waszej miłości sprawę, nie podnieśli by na was oręża. A co więcej, stanęliby w tej wojnie u waszego boku.

Jagiełło, ubrany w czarną atłasową szatę z luźnymi rękawami i tego samego koloru płaszcz ze złotymi zdobieniami, skinął głową. Na jego ustach pojawił się uśmiech, który nie gościł tam już od dawna. Dzisiaj monarcha mógł odetchnąć z ulgą, niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a na wiosnę zbierze armię, zdobędzie Malbork i raz na zawsze zetrze zakon krzyżacki z powierzchni ziemi. Dzisiaj mógł nawet pozwolić sobie na wyrozumiałość wobec wrogów.

- Radzi jesteśmy słyszeć te słowa z ust waszych - rzekł Jagiełło. - Postanowiliśmy bowiem jutro wolnymi was wszystkich puścić.

Po sali rozległ się szmer zdziwienia, okrzyki radości jeńców i głosy

oburzenia wśród polskich rycerzy, którzy liczyli na znaczne okupy.

- Nie trwóście się, moi mili - rzekł król, unosząc uspokajająco dłoń. - Każdego z was, dzielnych obrońców królestwa, obdarzę darami tak hojnymi, że z nawiązką wynagrodzą poniesione straty.

Sala po raz kolejny zatrzęsa się od donośnych wiwatów, wino polało się strumieniami i raz za razem wznoszono kielichy na cześć najmądrzejszego z władców. Mikołaj Trąba nachylił się do Jagiełły i szepnął:

- Czy to rozsądne, miłościwy panie?

Monarcha uśmiechnął się chytrze.

- Niechaj wracają do domów, a po drodze rozgłaszają wieści o sile polskiego oręża, naszym miłosierdziu, wyrozumiałości i hojności dla tych, co nam służą. Dojdzie to uszu królów, papieży i książąt. Następnym razem dwukrotnie zastanowią się, po której stronie stanąć.

\*

Na stołach pojawiły się misy z dziczyzną upolowaną przez samego króla w inowrocławskich lasach, garnce z rosółami, kurczęta w potrawkach, owoce z zamorskich krajów i najprzedniejsze słodycze. Dzisiaj gościom niczego nie żałowano.

Rycerze, którzy na dzisiejszą okazję włożyli odświętne jak i, a nawet kolorowe, miękkie buty uszyte z owczych, kozich lub sarnich skór, radowali się, pili, tańczyli z niewiastami przy skocznych melodiach. Tylko Janusz Brzozogłowy siedział markotny, co jakiś czas szarpiąc swoje posiwiałe kępkami włosy. On jako jedyny miał powód do zmartwienia.

Oblegający Tucholę Krzyżacy zdolali go przekonać, że pod Koronowem armia zakonu rozgromiła polskie wojsko, na dowód czego pokazali obrońcom zamku pojmanyh jeńców. Potem okazało się, że

byli to przebrani w zdobyczne szaty krzyżaccy knechci, ale z daleka każdy dałby się zwieść. Brzozogłowy jako dowódca tucholskiej twierdzy musiał podjąć ciężką decyzję. Czy bronić zamku do samego końca, a tym samym skazać na pewną śmierć siebie i swoich ludzi? Czy poddać miasto i zgodnie z zapewnieniami Krzyżaków odejść wolnym? Pozbawiony nadziei na pomoc, wybrał to drugie. Dopiero w Inowrocławiu dowiedział się, że pod Koronowem Polacy odnieśli wspaniałe zwycięstwo, a on został podstępnie oszukany.

- Nie frasuj się, przyjacielu - klepnął go w plecy Dobiesław z Oleśnicy. - Dzisiaj się radujemy, na smutki zawsze jest czas.

Janusz Brzozogłowy ścisnął mocno łyżkę od rosołu.

- Nie mogę zdzierżyć, że ja, mąż na wojnach doświadczony i znający się na żołnierskim rzemiośle, dałem się zwieść niczym otrok. Oddając w ręce wroga Tucholę, okryłem się hańbą.

- To Krzyżacy okryli się hańbą, kłam zadając, a nie ty, wierząc rycerskiemu słowu. A na cóż im Tuchola, jeśli wojska nie mają, żeby obsadzić miasto? - roześmiał się Dobiesław. - Wnet król Władysław nową wyprawę ogłosi i będziesz miał okazję porachować się z tymi, którzy cię oszukali.

Brzozogłowy odłożył zgiętą wpół łyżkę, sięgnął po kielich z winem i przypił do Dobiesława. Przez dłuższą chwilę mężczyźni z przyjemnością spoglądali na płasające w tańcu niewiasty. Na szczęście moda z Zachodu na bezbarwne suknie kloszowe nie zdążyła jeszcze dotrzeć na Kujawy i rycerze mogli podziwiać zgrabne sylwetki panien w czerwonych, niebieskich i zielonych, odpowiednio dopasowanych sukniach.

- Konrad Elkinger, którego pojmałem, a król Władysław w swojej łaskawości wraz z resztą tej hołoty obdarzył wolnością - Dobiesław

wskazał brodą upojonego winem rycerza, który mocno gestykulując, tłumaczył coś Mszczujowi ze Skrzyńska - rzekł mi, iż Zygmunt Luksemburski na granicę wysłał dwanaście chorągwi i tylko patrzeć, jak Węgrzy na Polskę uderzą. A wiesz, kto nimi dowodzi?

- Kto?

- Polak - uśmiechnął się krzywo Dobiesław - druh twój, Ścibor ze Ściborzyc.

Brzozogłowy zacisnął mocno pięść.

- Ścibor ze Ściborzyc już dawno przestał być Polakiem i moim przyjacielem.

\*

Dagobert poprawił aksamitną jakę z filcowanym podbiciem, zakupioną przed rokiem w Krakowie, a której nie miał okazji wcześniej założyć i przeczesał dłonią włosy.

- No idź już - ponagliła Aine, a w jej oczach tańczyły iskierki rozbawienia.

- Nie możemy tego uczynić wspólnie? - spytał i zerknął na króla siedzącego przy drugim końcu stołu. - Ty lepiej mu to wyłożysz.

Pokręciła głową.

- Opatrzność tobie wyznaczyła zadanie. Pamiętaj, że ja również nie dostrzegłam tego, co było oczywiste.

- Nie wiem, czy zdołam go przekonać. - Saint-Amand raz jeszcze zerknął na Jagiełłę. - On już planuje kolejną wojnę.

Kobieta chwyciła ze stołu soczyste czerwone jabłko i ugryzła je, delektując się smakiem.

- Po prostu rzeknij mu to samo, co mnie.

Burgundczyk westchnął ciężko.

- No to idę.



- Idź.

Dagobert wstał od stołu, raz jeszcze poprawił jakę i już gotów był iść, gdy nagle zmarszczył brwi jakby coś mu się przypomniało.

- Aine?

Kobieta już go nie słyszała. Odwróciła się do siedzącej obok żony Piotra Niedźwiedzkiego, podziwiając złotą kolię wysadzaną szafirami i diamentami, którą ta otrzymała w prezencie od męża na okoliczność udanej wyprawy wojennej.

Saint-Amand machnął zrezygnowany ręką i czując, jak nogi się pod nim uginają, wolnym krokiem ruszył w stronę monarchy. Podeszedł do ubranego w czarny kabat dworzanina, prosząc o królewskie posłuchanie. Sługa spojrzał na niego surowo, niemal z niechęcią i szepnął kilka słów podkanclerzemu Trąbie. Ten, rozgniewany, obejrzał się na intruza, ale gdy spostrzegł, że to Dagobert, uśmiechnął się ciepło. Wstał od stołu, żeby z nim porozmawiać. Burgundczyk w kilku słowach wyjaśnił, z czym przychodzi, nie bojąc się mówić otwarcie, ponieważ podkanclerzy był również Przebudzonym.

Nie minął kwadrans, a Saint-Amand został zaproszony do komnaty, w której miał czekać na monarchę. Postanowił, że rozmowę z królem zacznie od argumentu z wahadłem.

\* \* \*

Z okien sypialni wielkiego mistrza rozciągał się przepiękny widok na przyprószone śniegiem drzewa, mającące w oddali zamarznęte pola i pokryty zaspami trakt. Chociaż był to dopiero początek listopada, zima już nadeszła, obejmując świat w swoje mroźne władanie.

Henryk von Plauen poprawił na ramieniu płaszcz podbity sobolim futrem, z satysfakcją spoglądając na naszyty na nim złoty krzyż, który mógł od dziś już oficjalnie nosić i skierował wzrok na dwóch obecnych

w komnacie mężczyzn. Pierwszym był Bern von Hevelmann, który usłyszawszy o pogromie pod Koronowem, zaraz przybył do Malborka radzić, co dalej, a drugim Konrad Elkinger, rycerz, który opowiedział właśnie dostojnikom o przebiegu bitwy i o tym, co później miało miejsce.

- I Jagiełło kazał wypuścić wszystkich jeńców? - zdumiał się von Plauen.

- Tak, wielki mistrzu - odparł rycerz, pamiętając o nowej funkcji byłego komtura ze Świecia. - Nazajutrz po świętej Jadwidze, po spisaniu imion i godności, wszystkim pozwolił odejść, prócz jednego człowieka, którego w więzach rozkazał do zamku w Chęcinach odstawić.

- Kogóż to?

- Michał Kuchmeister.

Krzyżacki dostojnik w zamyśleniu pogłodził się po brodzie. Nie miał wątpliwości, że akt łaski dla jeńców nie wynikał z królewskiego miłosierdzia, a z politycznych pobudek. Już teraz do Malborka dochodziły słuchy, że książęta i grafowie z Zachodu bardziej przychylni są Polsce niż zakonowi, ale von Plauena równie mocno niepokoiło uwięzienie Kuchmeistera. Wiedział, że Jagiełło jest wytrawnym graczem i na pewno ma jakiś plan.

- Wieści, które nam przywieźliście napawają nas smutkiem, jednak są niezwykle cenne - zwrócił się do Konrada Elkingera. - Dufam, iż pozostaniecie z nami i aby pomścić swoją hańbę, przyłączycie się do wyprawy szykowanej na Polskę.

- Dziękuję, wasza dostojność, za zaproszenie, jednakże z niego nie skorzystam - odparł Konrad. - Nie jest dla mnie hańbą ulec w boju rycerzom równym sobie, którzy są do tego chrześcijanami, mającymi

szacunek dla wroga. Jeśli pozwolicie, wielki mistrzu, wyruszę natychmiast do domu, gdzie czeka mnie rodzina.

Elkinger uklonił się nisko i na przyzwalające skinienie dostojnika zakonnego, opuścił komnatę. Dopiero wtedy oblicze Henryka von Plauen wykrzywiło się w grymasie wściekłości.

- Niechaj diabli porwą Jagiełłę! - uderzył pięścią w stół. - Wygrał potyczkę, ale jeszcze nie wojnę!

Bern von Hevelmann westchnął ciężko i rozsiadł się wygodnie na siedzisku.

- Mylisz się, to koniec - rzekł, przyglądając się swoim paznokciom. - Dyscyplina w armii jest żadna, oddziały na pograniczu odmawiają wykonywania rozkazów, mnożą się ucieczki. Nie możemy liczyć na najemników, rycerzy-gości, ani nawet na własnych poddanych. Wojna jest przegrana.

- Jeszcze w naszych rękach znajduje się Tuchola...

- Dziś rano, gdy w kościele Najświętszej Marii Panny kapituła obwoływała cię wielkim mistrzem<sup>77</sup>, przybył posłaniec z wieściami, donosząc, że wojska polskie odbiły Tucholę. Ponadto kilka chorągwi pod wodzą Janusza Brzozogłowego wdarło się na teren państwa zakonnego, pustosząc pogranicze.

Henryk von Plauen ryknął jak wściekły niedźwiedź, strącając ze stołu cynowe talerze, misy i krużę z wodą. Inflanctczyk tylko uśmiechnął się krzywo. Zdołał przyzwyczaić się do wybuchów gniewu nowego mistrza zakonu krzyżackiego. Niezrażony tym, mówił dalej:

- W okolicach Nieszawy gromadzą się liczne oddziały polskie i litewskie, gotowe lada dzień ponownie Prusy najechać.

Bern von Hevelmann błagalnie spojrział w oczy krzyżackiego dostojnika.

- Prośmy Jagiełłę o pokój.

- Nie! - odparł von Plauen, niespokojnie chodząc po komnacie. - Binah nie dopuści do naszej klęski.

- Jednakże na zwycięstwo szans nijakich nie mamy. Zawrzyjmy pokój z Polakami, a gdy zbierzemy siły, uderzymy ponownie.

Wielki mistrz zatrzymał się wreszcie, splótł dłonie za plecami i wyjrzał przez okno. Zza chmur wychyliło się słońce, muskając promieniami wirujące w powietrzu płatki śniegu. Wyglądało na to, że zima zagościła już na dobre. Mimo że podłoga w zamku była podgrzewana, wielki mistrz zadrżał, czując przenikliwe zimno.

- Nadzieja w Luksemburczyku - rzekł cicho. - Jeśli on zawiedzie, będziemy rozważać zawarcie pokoju.

\*

Wojewoda siedmiogrodzki Ścibor ze Ściborzyc, przytulony do końskiej grzywy, pędził przez zaspy śnieżne jakby go sam diabeł gonił. I poniekąd tak było. Za nic w świecie nie chciał dostać się w ręce Janusza Brzozogłowego.

Obejrzał się, ale nie dostrzegł ścigających go Polaków. W mroku nadchodzącej nocy majaczyły tylko ponure konary drzew. A może to nie były drzewa tylko leśne potwory obudzone przez tętent końskich kopyt?

Wyobraźnia podsuwała mu obrazy maszkar, przerażających istot żyjących na pograniczu światów. Jakby tego było mało, rozległo się wycie wilków. Zdjęty grozą wojewoda siedmiogrodzki zmusił swojego wierzchowca do jeszcze szybszego galopu. Miał nadzieję, że już za chwilę ujrzy światła strażnic któregoś ze spiskich miast. Tam, za warownymi murami, będzie bezpieczny. Zostawi za sobą ścigających go Polaków, leśne stwory, wilki i koszmar dzisiejszego dnia.

A przecież nic nie zapowiadało nieszczęścia.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia na rozkaz Zygmunta Luksemburskiego poprowadził dwanaście chorągwi do ataku na ziemię sądecką. Polscy rycerze broniący przygranicznych twierdz zawsze na święta zjeżdżali do domów, więc nie było trudno wedrzeć się w samo serce ziemi małopolskiej. Trzy tysiące Węgrów napadło na Stary Sącz, pałac i łupiąc miasto. Zostawili po sobie pożogi, liczne trupy i zrabowane domostwa. Jednak wkrótce zwiadowcy donieśli, że idą ku nim wojska polskie pod wodzą Jana ze Szczekocin.

Ścibor, nie chcąc wdawać się w otwartą bitwę, wycofał hufiec na Węgry, żeby tam spokojnie poczekać kilka dni, a potem znowu uderzyć. Nie przypuszczał, że Polacy rozwścieczeni tą śmiałą napaścią rzucą się za nimi w pogoń i przekroczą granicę.

Dogonili ich pod Bardyowem.

Rozgorzała bitwa, która wkrótce przerodziła się w rzeź, bo ludzie Ścibora nie mogli sprostać polskim rycerzom. Nic nie zostało z dumnych chorągwi Luksemburczyka, a nieliczni Węgrzy, którym udało się wyrwać z matni, rozpierzchli się po okolicy. Niektórzy uciekali na południe, byle dalej od żądnych zemsty Polaków, inni na zachód, tak jak wojewoda siedmiogrodzki, żeby szukać ocalenia na Spiszu.

Zapadła zupełna ciemność i w bladym świetle gwiazd trudno było dostrzec trakt. Ścibor ze Ściborzyc zwolnił i dopiero teraz poczuł przeszywające, okrutne zimno. Wiedział, że z każdą chwilą mróz będzie narastał i jeśli szybko nie znajdzie jakiegoś schronienia, niechybnie zamarźnie na szlaku. Wyprostował się, próbując dostrzec w oddali światła, kontury wieśniaczych chat, ale widział tylko aksamitną czerń nieba.

Ponownie obejrzał się za siebie. Na szczęście, nikt za nim nie

jechał. Może Polacy poniechali pościgu? Płonne nadzieje. Zbyt dobrze znał Janusza Brzozogłowego i wiedział, że ten nie odpuści, dopóki go nie dopadnie.

W pierwszej chwili rycerz ze Ściborzyc zdziwił się, widząc go podczas bitwy, przekonany, że Brzozogłowy jest na Kujawach, ale potem przypomniał sobie, że przecież ma w Krakowie rodzinę. Zapewne przyjechał tu na święta, a usłyszawszy, że Węgrzy pustoszą Stary Sącz, zaraz stawił się pod komendę Jana ze Szczekocin. W ten sposób przyszło im się spotkać pod Bardyowem. Dawni przyjaciele, którzy nieraz sobie nawzajem życie ratowali, stanęli naprzeciw siebie. Zanim podnieśli kopie, ich spojrzenia zwały się w straszliwym boju i nie było w nich choćby cienia szacunku, tylko straszna nienawiść. Już mieli ruszać na siebie, gdy rozdzielił ich tłum Węgrów pierzchających z pola bitwy. Wojewoda siedmiogrodzki zrozumiał, że klęska jest nieunikniona, a oprócz honoru może stracić jeszcze życie, zbiegł więc wraz z nimi.

I nadal uciekał.

Szczękając z zimna zębami, czuł, jak szron osiada mu na brwiach, policzkach i wąsach. Skórzane wodze wbijały się w zmarznięte dłonie, powieki powoli opadały i jedyne, czego Ścibor teraz pragnął, to pograć się we śnie, który przyniesie ukojenie. Przytulił się do końskiego grzbietu. Powoli zniknął mróz, w zapomnienie odchodził strach.

Nagle jak spod ziemi wyrosło przed nim kilku jeźdźców. Zawrócił wierzchowca, próbując uciec, ale wrogowie otaczali go ze wszystkich stron. Skostniałą dłonią sięgnął po miecz, gotów bronić się do ostatniej kropli krwi, lecz zamarł z przerażenia. W bladym świetle gwiazd ujrzał oblicza swoich nieprzyjaciół. Spod szłomów wyłoniły się pozbawione skóry czerepy, obnażone zęby kłapały, jakby chciały go pożreć, a puste

oczodoły płonęły szkarłatem. Żywe szkielety kościstymi rękami sięgnęły po oręż i po chwili zardzewiałe kordy, miecze, tasaki zaczęły opadać na jego głowę.

Wojewoda siedmiogrodzki zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Ocknął się, leżąc w śnieżnej zaspie. Podniósł głowę i przerażony rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł prześladowców. Jego koń stał kilka kroków dalej, lekko parskając. Odetchnął głęboko. To był tylko sen. Ścibor próbował się roześmiać, ale z gardła wydobył się jedynie zdławiony charkot. Podniósł się z trudem, podszedł do wierzchowca i resztkami sił wdrapał się na siodło. Spojrzał w niebo, na gwiazdy i zgodnie z ich wskazaniem ruszył na zachód.

Przejechał zaledwie staje, gdy się pojawili. Wyłonili się z za drzew, cicho niczym zjawy Jeźdźcy zatoczyli krąg wokół niego, a on nie miał siły krzyczeć, nie miał jej nawet na tyle, żeby się bać. Wreszcie podjechali bliżej i Ścibor zamiast koszmarnych twarzy ujrzał oblicza wąsatych rycerzy. Jednak ich wykrzywione gniewem rysy i płonące nienawiścią oczy były straszniejsze od tych ze snu.

Nie próbował się bronić. Po raz pierwszy od wielu lat przeżegnał się. Wiedział, że za krzywdy wyrządzone rodakom czeka go okrutna śmierć.

Przed szereg wyjechał Janusz Brzozogłowy i długo mu się przyglądał. Może chciał ujrzeć w Ściborze starego przyjaciela, z którym przed laty wyruszał na dwór Zygmunta Luksemburskiego? Tam mieli nauczyć się rzemiosła wojennego, aby w godzinie próby stanąć na czele królewskich chorągwi. W chwili gdy wybuchła wojna z zakonem, Janusz bez wahania odrzucił oferowane przez Luksemburczyka zaszczyty, majątki, złoto i powrócił do Polski, żeby stanąć u boku Jagiełły. Ścibor się na to nie zdobył, pozostając na Węgrzech. Co

więcej, wystąpił przeciw własnym ziomkom i własnej ojczyźnie.

Brzozogłowy podjechał bliżej i plunął wojewodzie siedmiogrodzkiemu w twarz. Ten starł plwocinę, uśmiechając się gorzko.

- Jak mniemam, to początek tortur?

- Ich początek a zarazem koniec - odparł. - Jesteś wolny.

- Co?!

- Spójrz! - Janusz wskazał świetlistą łunę mającą nad horyzontem. - Tam znajdziesz pomoc. To Kieżmark.

- Kieżmark - powtórzył Ścibor bezwiednie. Dwukrotnie w swoim życiu został poniżony i dwukrotnie stało się to w pobliżu tej miejscowości.

Polski oddział zbierał się do odjazdu. Ścibor ze Ściborzyc przytrzymał dawnego przyjaciela za rękaw.

- Dlaczego?

- Nigdy nie zrozumiesz. - Brzozogłowy zawrócił konia i odjechał.

Wojewoda siedmiogrodzki spoglądał w ślad za polskimi rycerzami, patrzył na ich dumnie wyprostowane sylwetki, na mającą w ciemności chorągiew z białym orłem w koronie. W oczach zatańczyły mu łzy.

Zrozumiał.

\* \* \*

Pierwszego lutego 1411 roku bezceremonialnie wygnano z Kępy Bazarowej<sup>78</sup> wszystkich kupców, którzy po przybyciu do Torunia zazwyczaj właśnie tutaj zatrzymywali się i składowali swoje towary. Teraz musieli wynieść się na przedmieścia, gdzie zimą łatwiej o rozbójników niż dobrych nabywców.

A na wyspie służba wnet odgarnęła śnieg, rozstawiła namioty i



zaroilo się od straży, które miały czuwać nad bezpieczeństwem czcigodnych gości. Od samego rana przez Małą Wisłę raz za razem kursował prom, przywożąc na Kępę Bazarową kolejnych delegatów.

Najpierw przybyli najwyżsi dostojnicy zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie oraz ich inflanccy konfratry z zakonu Kawalerów Mieczowych. Nie mogło wśród nich zabraknąć obu wielkich mistrzów: Henryka von Plauen i Konrada von Vietinghoff. Następnie zjawili się otuleni w najlepsze futra dwaj książęta mazowieccy i reprezentanci miast polskich: Krakowa, Sandomierza, Poznania, Kalisza, Brześcia Kujawskiego i Włocławka. W dalszej kolejności do brzegu przybili przedstawiciele Zygmunta Luksemburskiego, grafów niemieckich i legatów papieży, którym nagle zaczęło zależeć na przywróceniu ładu między chrześcijanami.

Dopiero na sam koniec przybył wielki książę Litwy, Witold, w towarzystwie doradców i najzacniejszych z gości, oraz król Polski, Władysław Jagiełło. Wraz z pierwszymi uderzeniami dzwonów wybijających południe, zebrani na wyspie możnowładcy weszli do olbrzymiego namiotu i zajęli miejsca przy dębowym stole. Teraz mogli zacząć rozprawiać o pokoju.

Z początku żadna ze stron nie chciała ustąpić ani na krok. Jedni i drudzy wyliczali krzywdy, jakich doznali w czasie wojny, wygłaszali długie tyrady o spalonych wsiach, grabionych plonach i własnych poddanych wziętych w niewolę. Nawzajem oskarżali się o zbrodnie i gwałty czynione w zdobyczych miastach, jako dowody przedstawiając zeznania świadków spisane w dziesiątkach grubych ksiąg.

Jednak z godziny na godzinę, w drodze mozolnych negocjacji, zaczęto wreszcie dochodzić do porozumienia. Krzyżacy, którzy dotychczas nie przegrali z Polską i Litwą żadnej wojny, musieli

przełknąć swoją dumę i przyznać przed całym światem, że ponieśli klęskę. Co prawda, ich oczy płonęły żądzą zemsty i gdyby tylko dano im pomoc oraz nadzieję, natychmiast rozpętałiby wojnę na nowo. Jednak nikt w Europie nie miał odwagi zdrzeć z nowo narodzoną potęgą - przymierzem Polski i Litwy.

Poczerwieniały ze złości Henryk von Plauen w milczeniu obserwował, jak do aktu dopisywane są kolejne żądania Jagiełły, a delegaci Luksemburczyka, papieży i książąt niemieckich bez zmrżenia oka się na to godzą. Wielki mistrz uświadomił sobie, że na nikogo nie może liczyć. Zakon przypominał teraz tę samotną wyspę, na której obradowali. Tak jak ona otoczona była wodą, tak państwo krzyżackie otaczali wrogowie.

Tymczasem Władysław Jagiełło wydawał się pogrążony w drzemce, ale spod zmrużonych powiek uważnie przyglądał się von Plauenowi. Widział jego wykrzywione w grymasie wściekłości usta, oczy płonące żądzą zemsty i wiedział, że sprawa nie zakończy się tutaj, na Kępie Bazarowej. Mógłby jeszcze kilkakrotnie rozbić zakonne hufce, zdobyć krzyżackie twierdze i miasta, a spaczenia nie pokona. Nie tędy wiodła droga do przywrócenia Równowagi. Ale monarcha miał coś w zanadrzu.

Z siedziska podniósł się Jakub Gliniany, zaufany pisarz księcia Witolda i zaczął odczytywać uzgodniony traktat pokojowy:

- Władysław, król Polski oraz brat Henryk von Plauen, wielki mistrz pruski oświadczyli, iż nieprzyjaźń i niezgoda między nimi ustąpi. Ponadto uzgodniono, iż wszystkie zdobyte podczas wojny zamki i miasta zostaną zwrócone właściwym stronom, a przy ich oddawaniu nie wolno ich burzyć, zaś mieszkańcy nie mogą doznać szkody lub grabieży. Jeńcy każdej ze stron zostaną wydani, bez wypłacania za

nich okupu. W pierwszej zaś kolejności uwolniony ma być miły druh wielkiego mistrza, Michał Kűchmeister von Sternberg, na którego czeka juź urząd marszałka zakonu.

Na ustach Jagiełły pojawił się lekki uśmiech.

- Jednakże najważniejsze, co następuje - kontynuował pisarz - Polska odzyska ziemię dobrzyńską, a Siemowit Mazowiecki zatrzyma Zawkrze bez zwrotu sum zastawnych. Źmudź pozostanie przy Litwie na czas życia króla Władysława i księcia Witolda, potem zaś wróci do wielkiego mistrza. Nadto zakon krzyżacki wypłaci królestwu polskiemu sto tysięcy kóp szerokich groszy praskich jako zadośćuczynienie za straty wojenne.

Henryk von Plauen mocno zacisnął pięść, ale słowem się nie odezwał.

- Te oraz inne, pomniejsze jeszcze warunki ułożonego wzajem pokoju, zapieczętowano i podaniem ręki zatwierdzono.

Wojna była zakończona.

\* \* \*

Otulona w opończę, zakapturzona postać wspinała się krętymi schodami na szczyt więziennej wieży. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że to strażnik niosący skazańcowi posiłek, ale w blasku łuczyw można było dostrzec szlachetne rysy twarzy owego człowieka. Na górze przystanął, jakby jeszcze się zastanawiał, coś rozważał, ale po chwili wyciągnął klucze. Zgrzytnęła żelazna zasuwka, drzwi celi rozwarły się na oścież.

W nikłym świetle powoli wypalających się świec przybysz spostrzegł siedzącego na łożu brodatego mężczyznę. Przykurczone ramiona, zapadłe policzki i zgasłe oczy nie wskazywały na to, że to ten sam człowiek, który pół roku wcześniej poprowadził cztery tysiące

zbrojnych w śmiałym ataku na Polskę. Jednak wyblakły już krzyż na poszarzałej houppelande nie pozostawiał wątpliwości, że był zakonnym dostojnikiem. Michał Kűchmeister von Sternberg obrzucił przybysza znudzonym spojrzeniem.

- Czego?

Nieznajomy przekroczył próg celi i dopiero wtedy uniósł głowę, ukazując swoje oblicze.

- Wasza miłość. - Krzyżak zerwał się na równe nogi i zgiął w pokłonie.

Król Władysław Jagiełło nie odpowiedział, zsunął kaptur, zbliżył się do okna i zapatrzył na pogrążoną w mroku stromą ścieżkę prowadzącą do zamku od strony Chęcín. Ponoć każdej nocy rozlega się na niej tętent końskich kopyt, jednak nie widać jeźdźca. Wielu próbowało zacząć się na tajemniczą zjawę. Na próżno. Nigdy nie zdołali go dostrzec. Król był ciekaw, co to za upiór nawiedza chęcínski zamek i rad byłby się kiedyś dowiedzieć, ale dzisiaj przybył tu w ważniejszej sprawie.

- Pamiętasz, co wam rzekliśmy w Inowrocławiu? - zapytał Kűchmeistera. - O wahadle wprowadzonym w ruch?

Zakonnik skinął głową.

- Binah spaczyła światło, chcąc zdobyć panowanie nad światem. Jednakże skutkiem tego było zachwianie Równowagi mogące doprowadzić do zagłady - mówił król, nie odrywając wzroku od ścieżki.

- Zdawało nam się, iż wystarczy zniszczyć zakon, aby przywrócić Równowagę. Nic bardziej mylnego.

- Unicestwienie zakonu tylko pogorszyłoby sytuację, prawda? - uśmiechnął się krzywo dostojnik krzyżacki. - Emanacja Chokhma, której wy, miłościwy panie, służycie, zdominowałaby świat.

Równowaga zostaje zachwiana, tyle że z winy prawej strony Drzewa Życia. Czyż nie jest to ironia, losu?

- Losu? - zdziwił się monarcha. - Wypełniamy tylko wolę Stwórcy.

- A czego on od nas oczekuje?

- Przywrócenia Równowagi.

- Jakże mamy to uczynić? - Krzyżak rozłożył bezradnie ręce. - Niedługo wybuchnie nowa wojna, bowiem Henryk von Plauen nie spocznie, póki nie zwycięży...

- Właśnie on jest problemem. Nosi w sobie spaczoną moc Trzeciej Emanacji. - Jagiełło spojrział na zakonnika. - Jednakże ty rozumiesz prawo Równowagi, masz w sobie to, czym powinna być Binah.

Michał Kuchmeister pobladł.

- Cóż chcecie, żebym uczynił?

- Jutro skoro świt zostaniesz uwolniony. Opuścisz chęciński zamek i udasz się do Malborka. Wielki mistrz przywita cię z otwartymi ramionami, bo ponoć to twój wielki przyjaciel.

Krzyżak prychnął drwiąco.

- Henryk von Plauen nie ma przyjaciół.

- Nadeszły ciężkie czasy dla zakonu - odparł król. - Niewielu pozostało tych, co służą Binah. Wielki mistrz potrzebuje każdego Przebudzonego.

- To prawda.

- Wkradniesz się w łaski Henryka von Plauen i w odpowiedniej chwili odsuniesz go od władzy. Potem zamiast ku wojnie poprowadzimy oba państwa ku pokojowi. Do przywrócenia Równowagi potrzebne jest pojednanie.

- Wiem, do czego zmierzacie, miłościwy panie. - Kuchmeister zmrużył podejrzliwie oczy. - Skłócony, pogrążony w wojnie domowej

zakon łatwiej zdołacie pokonać.

- Obiecać wam możemy, że Polska nie zaatakuje Prus.

- A skąd pewność, że mnie nie oszukacie?

- Musimy sobie zaufać, bowiem nic innego nam nie pozostało - westchnął król, założył kaptur i skierował się do drzwi.

- Miłościwy królu?

- Tak? - Monarcha odwrócił się w progu.

Dostojnik krzyżacki zbliżył się do okna i wskazał brodą ścieżkę, której niedawno przyglądał się Jagiełło.

- Zapewne słyszeliście opowieści o upiorze ze szlaku - rzekł. - Codziennie widuję go cwałującego na czarnym koniu. To potępieniec skazany na wieczną tułaczkę pomiędzy światami za to, że za życia nie wypełnił tego, co powinien.

- A ty, zakonniku? - zapytał Jagiełło. - Uczynisz, co powinienes?

Michał Küchmeister odpowiedział lekkim uśmiechem.

\* \* \*

Zbliżało się lato, a wraz z nim noc kupały. Rok temu tego właśnie dnia wznowiono działania wojenne i ludzie z lękiem wypatrywali hufców zbrojnych, po przejściu których pozostawały tylko zgliszcza. Teraz bez obaw palili ogniska, bawili się i tańczyli. Widmo wojny oddaliło się i wszyscy, na przekór temu, czego uczy historia, głęboko wierzyli, że pokój trwać będzie wiecznie.

Dzisiaj oprócz kupalnocki, w niewielkiej przygranicznej osadzie odbywało się jeszcze jedno święto: zaślubiny Jurgi i Dobrosułki. Mszczuj ze Skrzyńska, który swojego giermka niemalże usynowił, wniósł za niego wiano, ale także wytargował u ojca dziewczyny należyty posag, zaprosił na wesele wielu swoich przyjaciół. Na rozległym podwórku, przy dębowych stołach zaszczytne miejsce zajęli

najznakomitsi rycerze w całym królestwie.

Był wśród nich Jakub z Kobylan, który za zasługi w wojnie z Krzyżakami otrzymał kasztelanię bielską. Wszystkie panny oczy za nim wypatrywały, choć wiedziały, że dostojnością i urodzeniem ustępowały damom, które młody rycerz spotykał na dworze królewskim. Jednak on uśmiechał się do nich, podziwiając śliczne, opalone buzie i wodził wzrokiem po jędrnych pośladkach oraz pełnych dekoltach.

Obok niego siedział Zawisza Czarny, który dopiero co wrócił z Węgier, gdzie posłował do Zygmunta Luksemburskiego. Jan Farurej dokuczał mu, że powoli z rycerza staje się dyplomata i niedługo zamiast siodła miłsze mu będą wyściełane atłasem siedziska. Na to Zawisza strasznie się oburzył i przysiągł, że śmierć w boju znajdzie, a nie w łożu.

Nie mogło zabraknąć również Domarata z Kobylan i Janusza Brzozogłowego. Obaj rycerze, dzierżąc w dłoniach kruże z piwem, z tęsknotą wspominali minioną wojnę, poważnie zastanawiając się, jak tutaj Krzyżaków sprowokować i raz jeszcze ich pobić.

Tomasz Kalski najpierw nieśmiało klaskał w dłonie do skocznych melodii granych na bębenkach i skrzypkach, ale wreszcie nie wytrzymał, zerwał się i zaczął pisać w tańcu z niewiastami. A gdy je obejmował, piszczały i krzyczały, żadna jednak nie próbowała się oswobodzić.

Dobiesław z Oleśnicy kazał sobie z obory przyprowadzić byka i chwyciwszy go za rogi, zaczął się z nim mocować. Zebrane wokół dzieciaki z szeroko otwartymi buziąmi oglądały pokaz siły polskiego mocarza i w głębi ducha współczuły biednemu zwierzęciu, które ledwie trzymało się na nogach.

Na wesele zostali również zaproszeni Dagobert i Aine, która na dzisiejszą okazję ubrała adamaszkową suknię z wysokim kołnierzem. Zrezygnowała z ozdób, nie chcąc onieśmielać przybyłych na uroczystość niewiast, których nie stać było na tak bogaty ubiór. Jednak wymyślny strój, burza rozpuszczonych rudych włosów oraz promienny uśmiech powodowały, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety wpatrywali się w nią jak w boginię.

Z twarzy Aine zniknęła troska, wygładziły się zmarszczki wokół oczu. Po tylu latach wreszcie poczuła ulgę. Dokonało się to, co się miało dokonać i teraz już wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Wojna się skończyła, a ona odnalazła swoje szczęście. Przytuliła się do Dagoberta, czując ciepło jego ciała, rozkoszując jego obecnością. Dzisiaj nie musiała lękać się o jego życie, obawiać się, że zaraz ruszy w bój. Wreszcie miała go całego tylko dla siebie.

Spojrzała w łagodne oczy ukochanego i odnalazła w nich spokój. On wiedział, że wypełnili to, co było im przeznaczone i teraz mogą sami decydować o własnym życiu. Wolni od zobowiązań względem Sefir, mogą udać się, gdzie tylko zapragną. Aine delikatnie przeciągnęła dłońią po jego twarzy, dotykając palcami świeżych jeszcze blizn. Odpowiedział uśmiechem.

Kobieta oderwała wzrok od Burgundczyka i spojrzała na Gilberta siedzącego po drugiej stronie stołu. Chłopiec z dumą nosił podarowaną mu przez Dagoberta zieloną jakę, na której widniała biała, siedmioramienna gwiazda - symbol Netzacha. Nie wiedział jeszcze, co ten symbol oznacza, ale Aine była przekonana, że kiedyś Gilbert zostanie przebudzony i dokona wielkich czynów. Teraz jednak wiercił się niespokojnie, chcąc pobawić się z rówieśnikami, lecz obawiał się, że giermkowi to nie przystoi.



Nagle muzyka ucichła, śmiechy i rozmowy zamarły, bo oto nowożeńcy wrócili z kościoła, gdzie ksiądz udzielił im ślubu. Dobrosułka miała na sobie modrą suknię, podkreślającą kolor jej oczu, ozdobny naszyjnik, kilka srebrnych bransolet i pierścieni. Zgodnie ze słowiańskim obyczajem włosy splotła w dwa długie warkocze, a na głowę założyła wianek z polnych kwiatów. Jurga, szczęśliwy i dumny z posiadania tak pięknej żony, ubrał tunikę herbową oraz tradycyjny kapelusz z piórkiem.

Nad parą młodą rozpostarto białą zasłonę, pod którą raz jeszcze złożyli sobie małżeńską przysięgę. Następnie rodzice dziewczyny udzielili im błogosławieństwa, a goście weselni wręczyli ślubne podarki. Muzykanci ponownie chwycili za instrumenty i zabawa zaczęła się na całego.

Skoczne melodie miały już przygrywać do samego rana. Na stole co chwila pojawiały się półmiski z nowymi daniami, wytaczano przywiezione specjalnie na tę okazję beczki z winem i nie ustawały toasty. W taneczne płąsy ruszyli wszyscy. Młodzieńcy podskakiwali, popisując się przed pannami siłą i zręcznością, a one kołysały uwodzicielsko biodrami. Starzy, którym zdrowie już nie pozwalało na tańce, klaskali w dłonie, zachęcając innych do zabawy.

Wraz z nastaniem zmierzchu, gdy słońce powoli chowało się za widnokręgiem, nowożeńcy udali się na pokładźmy do spichlerza jako symbolu wszelkiego urodzaju. Goście weselni czekali przed drzwiami, żeby po wszystkim wspólnie poszukać śladów krwi na koszuli panny młodej. Co prawda Dobrosułka dziewictwo straciła już wcześniej, ale Jurga był sprytnym młodzieńcem i na pewno wymyśli coś, żeby tradycji stało się zadość.

Tymczasem niedaleko spichlerza stały trzy wierzchowce

obladowane jukami i gotowe do drogi. Dagobert pomógł wsiąść Aine na konia i właśnie poprawiał popręg przy siodle Gilberta, gdy podszedł do niego Jakub.

- Nie poczekacie chociaż do oczepin? - zapytał.

- Na nas już czas - odparł Burgundczyk. - Zanim zapadną zupełne ciemności, chcemy dotrzeć do miasta. A z samego rana ruszamy dalej.

- Wierzę, że dotrzecie tam, gdzie zamierzacie.

- Jestem tego pewien.

Mężczyźni mocno uścisnęli sobie prawice. Między przyjaciółmi nie potrzeba wielkich słów. Wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć, bowiem więzy między nimi są nie do zerwania.

- Bywaj - rzekł Saint-Amand, wskakując w siodło.

Rycerz z Kobylan wzniosł dłoń, żegnając Gilberta, uśmiechnął się do Aine, która miała łzy w oczach. Jako pierwsza dała koniowi ostrogę. Nie lubiła pożegnań.

Jakub długo patrzył za odjeżdżającymi przyjaciółmi, zastanawiając się, czy po tym wszystkim, co uczynili dla sprawy polskiej, zostaną zapamiętani? Czy w kronikach znajdą się ich imiona i wzmianka o tym, czego dokonali? A może pamięć o nich przeminie niczym letnia burza?

Sylwetki jeźdźców stawały się coraz mniejsze, aż znikły zupełnie.

\* \* \*

Starucha z bielmem na oku przyglądała się szalejącej nawałnicy. Wiatr szarpał jej rzadkie włosy, smagając niczym bicz pomarszczoną twarz, ale ona pozostawała w miejscu, mocno trzymając się dębowego stołu, przy którym siedziała. Wichura zrywała liście z drzew, łamała gałęzie i wyrywała z korzeniami dziko rosnące krzewy na polanie. Błysnęło. Po okolicy echem poniósł się grzmot, dźwięczący jeszcze długo w uszach staruchy. W jej zdrowym oku błysnęła wściekłość.

Spojrzała w stalowe niebo, na którym kłębiły się setki wirów, pochłaniając coraz większe jego połacie. Wiedziała, że w innym czasie i przestrzeni działo się coś, co miało odmienić losy świata. Pozostało tylko czekać...

\*

...królowi Władysławowi, bowiem dzisiaj nadszedł ten dzień. Dzisiaj wszystko się wypełni.

Jagięto wszedł do katedry wawelskiej i nie chcąc, żeby mu przeszkadzano, zamknął za sobą drzwi. Pogrążając się w mroku i ciszy pomieszczenia, jednocześnie pogrążał się w wypełniającej go mocy. To tutaj biło serce Polski, w każdym kamieniu drzemała potężna siła, zdolna natchnąć cały naród do wspaniałych czynów.

Wśród ludów Dalekiego Wschodu krąży legenda, że Bóg, chcąc obdarować ludzkość, zrzucił na ziemię siedem magicznych kamieni. Z miejsc ich upadku miała się dobywać boska energia. Ponoć jeden z tych klejnotów spadł w miejsce, na którym potem wybudowano Wawel.

Monarcha przymknął powieki i zaraz spłynęło na niego ukojenie. Poczuł więź łączącą go z całym wszechświatem, stał się jego częścią. Mógł dostrzec rzeczy dziejące się tysiące mil stąd, mógł być wszędzie, chłonąć obrazy, dźwięki, a także ludzkie emocje.

Ujrzał korytarze malborskiego zamku...

\*

...gdzie Henryk von Plauen pod strażą prowadzony był do celi, w której sam torturował jeńców. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Nie mógł uwierzyć, że zaufany człowiek, którego uczynił powiernikiem tajemnic, obsypał największymi godnościami, tak bezczelnie go zdradził. Nie mógł uwierzyć, że Michał Kűchmeister przez cały czas knuł za jego plecami. Dopiero teraz wielkiemu mistrzowi otworzyły się

oczy.

To pewnie za jego namową wojska zebrane pod Lidzbarkiem Warmińskim odmówiły ataku na Polskę<sup>79</sup>. Wielki mistrz nie miał też wątpliwości, że Kùchmeister współdziałał z rycerzami z Towarzystwa Jaszczurczego i układał się z Polakami. Jednak namawiając kapitułę do wydania na Henryka nakazu aresztowania, wbił mu sztylet w samo serce.

Von Plauena po raz pierwszy w życiu ogarnęło poczucie bezradności. Zawsze potrafił wybrnąć z najgorszych opresji, ale teraz czuł, że to koniec. W jednej chwili opuściła go cała moc Binah. Odeszła nagle, niczym zawiedziona kochanka, nie pozostawiając mu żadnych nadziei i złudzeń.

Pociemniało mu w oczach, nogi się pod nim ugięły. Zapobiegliwy strażnik w porę go pochwycił i wlokąc na oczach przerażonych dostojników, księży oraz sług zakonu, zaciągnął do celi. Tutaj bez ceregieli zdarto z niego płaszcz ze złotym krzyżem, dając do zrozumienia, że od tej chwili przestał być wielkim mistrzem. Henryk von Plauen nie miał wątpliwości, kto nim zostanie.

Michał Kùchmeister von Sternberg<sup>80</sup> ...

\*

...siedząc przy obiedzie w refektarzu królewieckiego zamku, zrozumiał, że się dokonało. Odstawił talerz i sztućce, podszedł do okna, otworzył je na oścież. Wciągnął głęboko w płuca rześkie, zimowe powietrze i poczuł, jak wypełnia go moc Binah. Nie była to jednak ta sama zaborcza siła, jaką odczuwał przez całe swoje życie, jaka emanowała od krzyżackich zamków i od dostojników zakonnych. Było w niej coś innego, świeżego, budującego.

Przymknął oczy, wystawiając twarz do słońca. Ciepłe promienie

delikatnie muskały jego policzki niczym czułe matczyne dotknięcia. W jego serce wdarła się nie skrępowana radość, oczyściła z brudu, który oblepiał je od lat.

Binah odzyskała swój dawny blask.

Światło na Drzewie Życia znów zaczęło płynąć.

\*

Starucha wyszczerzyła się radośnie, a jej naznaczona siecią zmarszczek twarz raptem się wypogodziła. Klasnęła w powykręcane reumatyzmem dłonie i raz jeszcze zerknęła w niebo.

Straszliwe wiry znikaly jeden po drugim, a ich miejsce zajmował czysty jak łąza błękit. Jeszcze gdzieniegdzie błyskało, ale burza powoli cichła. Wiatr osłabł zupełnie i tylko lekki wietrzyk owiewał twarz staruchy.

- Wypełniło się - wyszeptała. - Po raz kolejny.


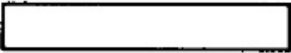









Chwyciła za kostur oparty o stół i przy jego pomocy z ciężkim westchnieniem podniosła się z ławy. Zgarbiona i utykająca, opuściła polanę, docierając do rozwidlenia dróg. Tutaj przystanęła, przez dłuższy czas zastanawiając się, którą ze ścieżek wybrać.

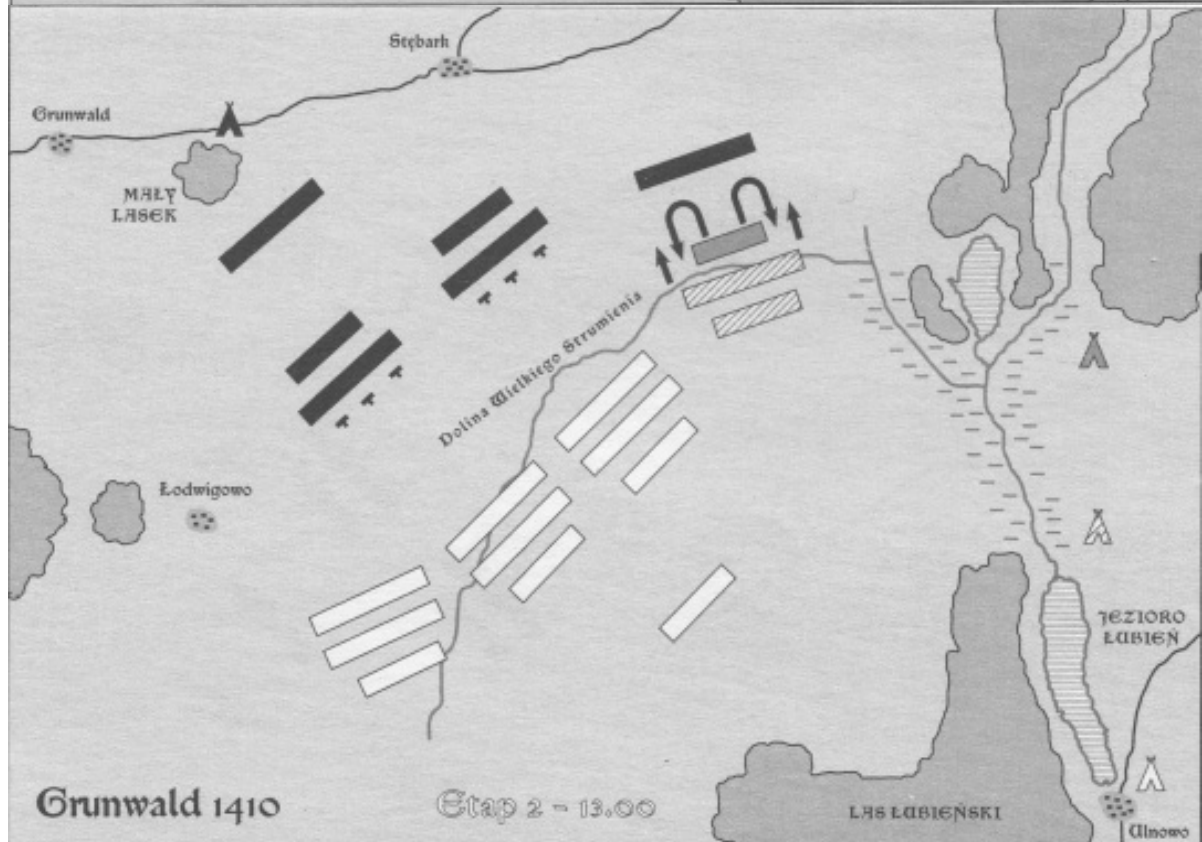
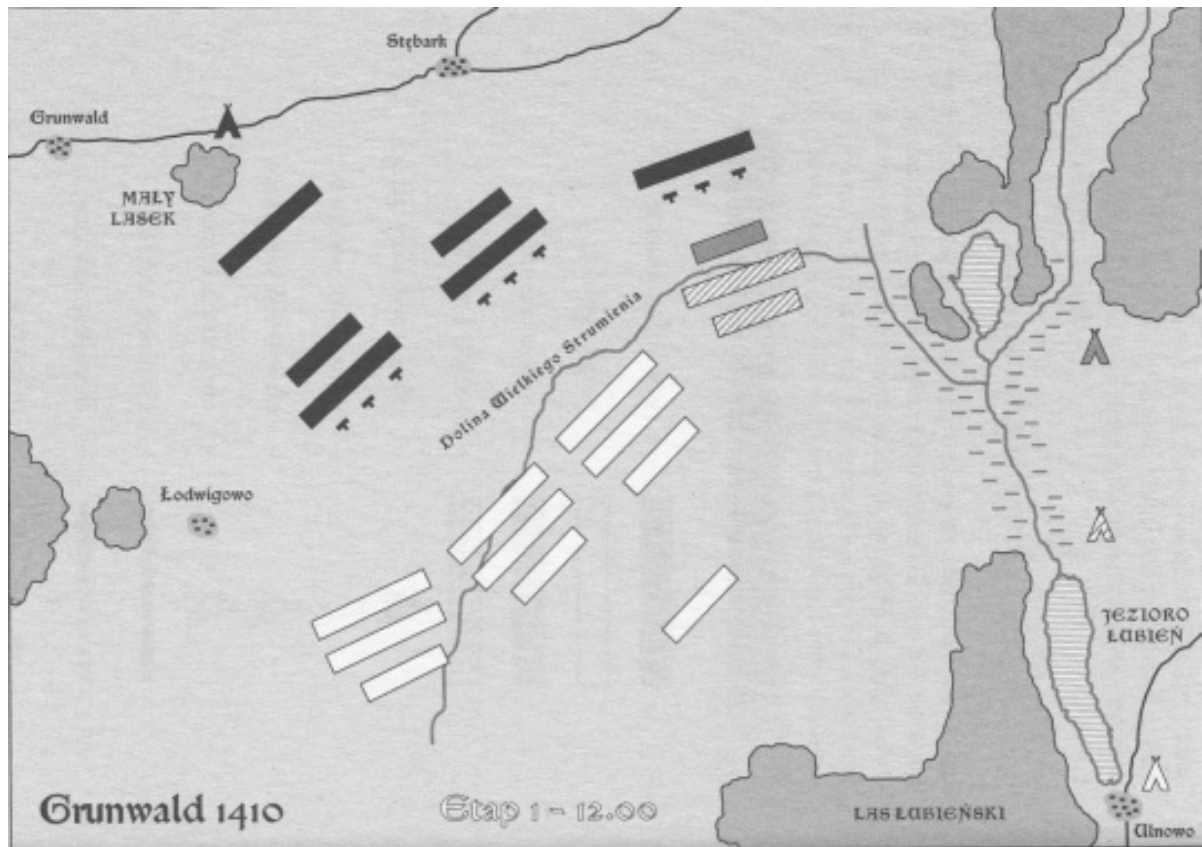
Wreszcie dokonała wyboru i jej szyderczy śmiech rozniósł się po okolicy.

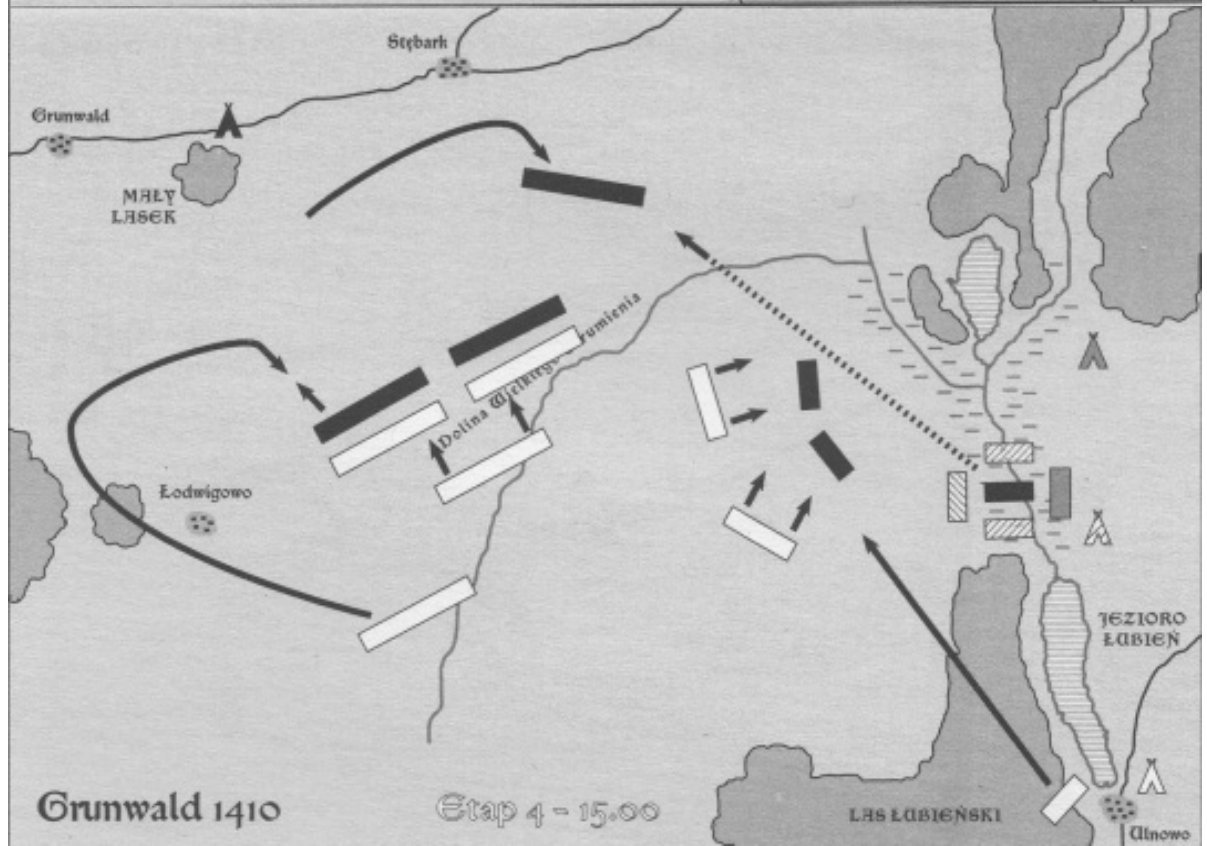
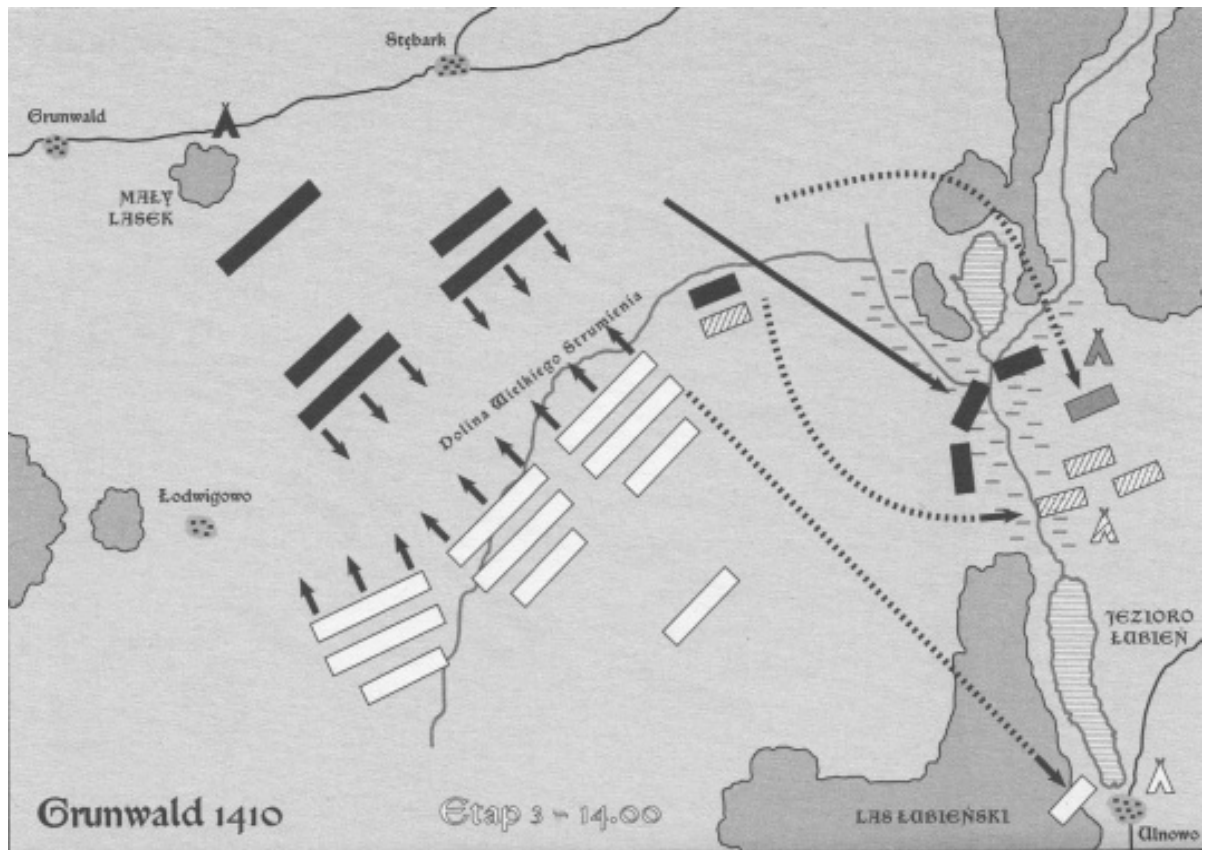
*Koniec*

# Mapy

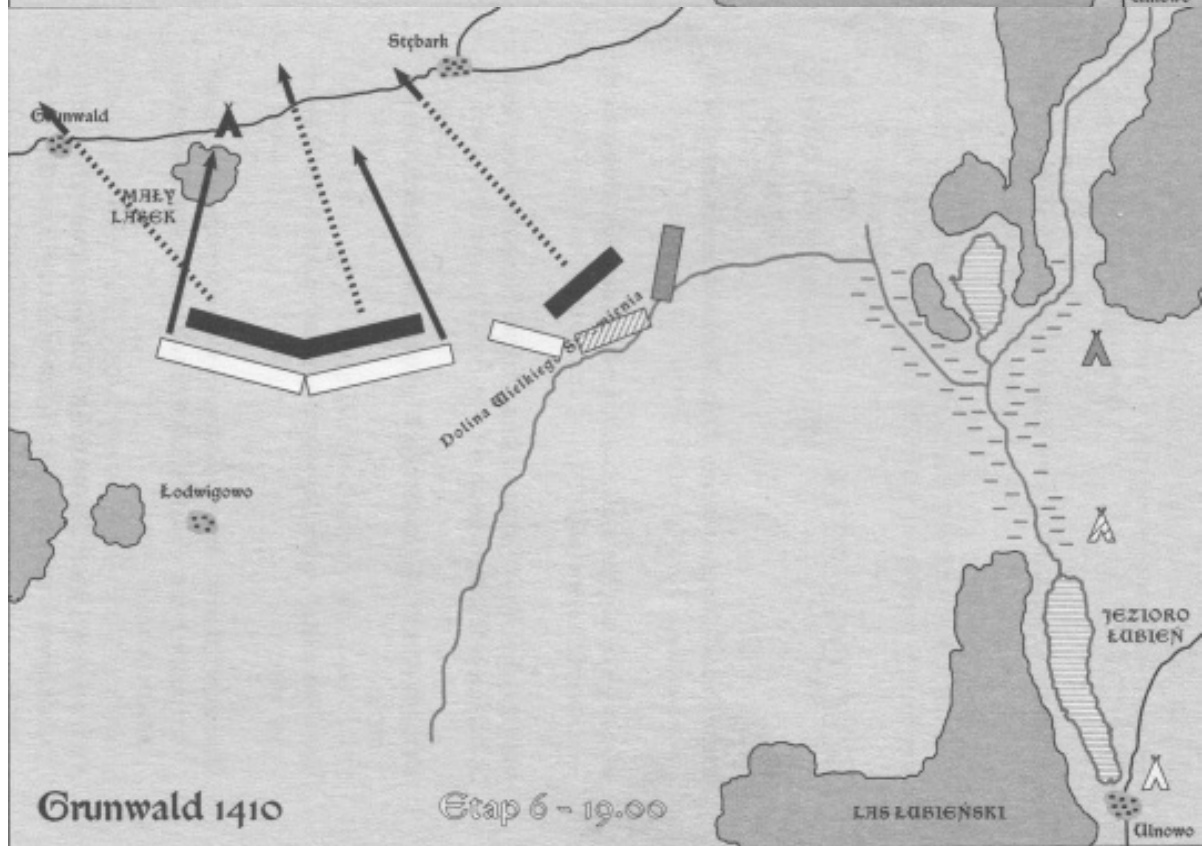
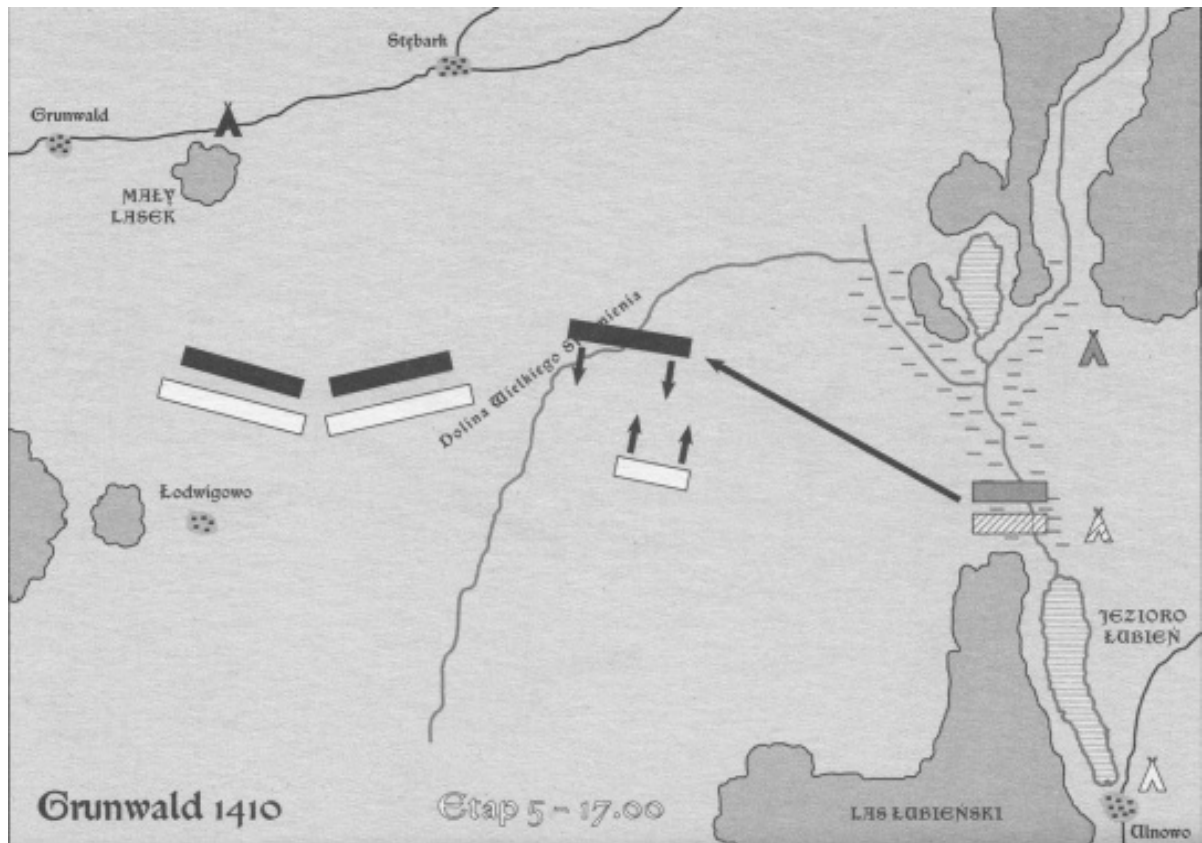
## L E G E N D A

	-	wojska krzyżackie
	-	wojska polskie
	-	wojska tatarskie
	-	wojska litewskie
	-	obóz wojsk krzyżackich
	-	obóz wojsk polskich
	-	obóz wojsk tatarskich
	-	obóz wojsk litewskich
	-	kierunek natarcia
	-	kierunek odwrotu
	-	bombardy









## Bibliografia

Piotr Derdej. *Koronowo 1410*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2004.

Marek Derwich, Marek Cetwiński. *Herby, legendy, dawne mity, kaw*, Warszawa 1989.

Jan Długosz. *Bitwa grunwaldzka*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2003.

Karol Górski. *Dzieje Malborka*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1973

Paweł Jasienica. *Polska Jagiellonów*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2007.

Sławomir Józwiak. *Wywiad i kontrwywiad w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach*, Muzeum Zamkowe w Malborku, Malbork 2004.

Andrzej Klein, Piotr Nowakowski. *Bandera Apud Grunwald - Chorągwie krzyżackie pod Grunwaldem*, Alexander, Łódź 2000.

Andrzej Klein, Nicholas Sekunda, Konrad A. Czernielewski. *Bandera Apud Grunwald - Chorągwie polskie pod Grunwaldem*, Alexander, Łódź 2000.

Eugeniusz Koczorowski. *Pogrom krzyżackiej armady*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2003.

Stefan Kuczyński. *Wielka wojna z zakonem krzyżackim w latach 1409-1411*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1980.

Zdzisław Kuksewicz. *Zarys filozofii średniowiecznej*, PWN,

Warszawa 1973.

Władysław Łoziński. *Życie polskie w dawnych wiekach*, Wydawnictwo Literackie Kraków, Kraków 1978.

Witold Mikołajczak. *Grunwald 1410. Krok od klęski*, Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2007.

Andrzej Nadolski. *Broń i stój rycerstwa polskiego w średniowieczu*, Ossolineum, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk, 1979.

*Grunwald 1410*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2003.

*Uzbrojenie w Polsce średniowiecznej 1350-1450*, Polska Akademia Nauk - Instytut Historii Kultury Materialnej, Łódź 1990.

Andrzej Nowakowski. *Wojskowość w średniowiecznej Polsce*, Muzeum Zamkowe w Malborku, Malbork 2004.

Dariusz Piwowarczyk. *Poczet rycerzy polskich XI i XV wieku*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2004.

*Obyczaj rycerski w Polsce późnośredniowiecznej (XIV-XV)*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2006.

*Słynni rycerze Europy. Rycerze Chrystusa*, Iskry, Warszawa 2007.

Leonard Ratajczyk. *Historia wojskowości*, Wyd. mon, Warszawa 1980.

Zdzisław Skrok. *Świat piratów morskich*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1982.

Krystyna Turska. *Ubiór dworski w Polsce w dobie pierwszych Jagiellonów*, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1987.

Praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Nadolskiego. *Polska technika wojskowa do 1500 roku*, Oficyna Naukowa, Warszawa 1994.

*Studia grunwaldzkie* tom I i II, Polska Akademia Nauk Społecznych Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie,

Olsztyn 1991.

# Przypisy

# Notes

[←1]

Unia polsko-litewska, zawarta w Krewie 14 sierpnia 1385 roku, przewidywała małżeństwo wielkiego księcia Litwy, Jagiełły z królową Polski, Jadwigą i objęcie przez niego polskiego tronu. W zamian Jagiełło obiecał przyjąć chrzest, schryścianizować Litwę oraz „ziemie swoje litewskie i ruskie na wieczne czasy do korony królestwa polskiego przyłączyć”. Główną przyczyną powstania unii było zagrożenie ze strony zakonu krzyżackiego, który jako państwo urósł w siłę i stanowił zagrożenie dla terytorium Polski, jak również dla Litwy, bowiem rejzy krzyżackie docierały aż pod Wilno. Jak na tamte czasy, takie porozumienie było rzeczą wyjątkową, czymś na kształt współczesnej Unii Europejskiej i NATO. Wielonarodowy twór polityczny zaczął kształtować się w XIV wieku i przetrwał czterysta lat, aż do zaborów. Polska i Litwa wspierały się w zakresie polityki, gospodarki, kultury i, rzecz jasna, w kwestiach militarnych.

[←2]

Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie powstał w latach 1189-1190 podczas oblężenia Akki przez wojska krzyżowe. W Niemczech chętnie widziano stworzenie zakonu rycerskiego, który dopomógłby w szerzeniu się wpływów politycznych i gospodarczych panów feudalnych oraz kupców niemieckich na Wschodzie, gdzie w tamtym czasie prym wiodli Francuzi, Anglicy, Genueńczycy, Wenecjanie. Bezpośrednim pretekstem do powstania zakonu szpitalników była potrzeba udzielania pomocy chorym i rannym krzyżowcom, ale wyłącznie pochodzenia niemieckiego. Na ten cel mieszczanie z Lubeki i Bremy podarowali jeden ze swoich statków, na którym powstał szpital. Jednak Bliski Wschód interesował Niemców tak długo, dopóki istniała tam możliwość zdobyczy terytorialnych i handlowych. Z chwilą gdy panowanie chrześcijan dobiegało końca, skończyło się również zainteresowanie Krzyżaków Ziemią Świętą. Rycerze zakonni zamiast bronić pustynnych piasków przed Saracenami, skierowali swoje chciwe spojrzenia na żyzne ziemie Europy. Na zaproszenie króla Andrzeja II osiedlili się w Siedmiogrodzie, gdzie mieli bronić Węgry przed najazdami koczowniczego ludu Kumanów. Jednakże, gdy chcieli się uwolnić od zależności lennej i założyć własne państwo, król Andrzej II wygnał ich. Niestety, równymi walorami rozumu nie wykazał się książę Konrad Mazowiecki, który za namową swojej pobożnej małżonki, Jadwigi Śląskiej, zaprosił Krzyżaków na swoje terytorium, nadając im w dzierżawę ziemię chełmińską. Do ich zadań należała obrona północnych rubieży Mazowsza i chrystianizacja Prus. Rycerze zakonni z wielkim zapałem wzięli się do powierzonych im obowiązków, a ich działania można określić jako iście hitlerowskie i stalinowskie wedle współczesnych pojęć. Najeżdżali plemiona pruskie, grabiąc i niszcząc, a pojmanych zmuszali do ciężkiej, niewolniczej pracy. Wymordowali Pomeran, przesiedlili Jadźwingów, a na ich miejsce sprowadzali kolonizatorów z Niemiec. Zakon krzyżacki był przytułkiem dla

młodszych synów szlachciców niemieckich, którzy nie mieli szans na ojcowiznę, a przede wszystkim różnych „czarnych owiec”, których rodzina chciała się pozbyć, wszelkiego rodzaju wyrzutków, morderców, gwałcicieli, dla których nie było miejsca w Rzeszy. Taki zbiór indywidualiów stanowili właśnie rycerze zakonni, którymi mogli zostać tylko i wyłącznie synowie szlachty niemieckiej. Stanowili najwyższą kastę i sprawowali rządy. Po złożeniu ślubów zakonnych mieli prawo do noszenia białego płaszcza z czarnym krzyżem, a wielki mistrz zakonu miał krzyż w kolorze złotym. Niższą klasę stanowili półbracia, którzy nie złożyli ślubów, bądź nie byli Niemcami. Mogli nosić na szatach połowę krzyża w kształcie litery T. Natomiast bracia kapłani, zamknięci w klasztorach, modlili się o powodzenie krzyżackich misji.



[←3]

Władysław II Jagiełło (1362-1434) - syn Olgierda Giedyminowicza, wielki książę litewski w latach 1377-1381 oraz 1382-1401, król Polski i najwyższy książę litewski w latach 1386-1434. Założyciel dynastii Jagiellonów. Gdy wstąpił na tron Polski, przyjął chrzest i przybrał imię Władysław. Długosz tak go opisuje: „Wzrostu był mizernego, twarzy ściągłej, u brody nieco zwężonej. Głowę miał małą, prawie łysą, oczy czarne i małe, niestatecznego wejrzenia i ciągle biegające. Uszy duże, nos gruby, mowę prędką, kibić kształtną, lecz szczupłą, szyję długą”. Trzeba jednak zaznaczyć, że Długosz nie był zwolennikiem króla Władysława i był mu w swoich kronikach nieprzychylny, próbując umniejszyć jego zasługi. Ale z kart historii wyłania się wytrawny wódz i zmyślny polityk. Doprowadził do fenomenalnego jak na tamte czasy sojuszu dwóch państw - Polski i Litwy, dzięki czemu możliwe stało się skruszenie krzyżackiej potęgi. Żonaty cztery razy: z Jadwigą Andegaweńską, Anną Cylejską, Elżbietą Granowską i Zofią (Sonką) Holszańską. Co ciekawe, wszystkie, oprócz Elżbiety, były podejrzewane o zdradę. Jednym z nawyków króla były codzienne długie kąpiele, co zadziwiało współczesnych. Kilka razy dziennie uczestniczył w mszach. Jego pasją były polowania. Ponoć gdy nie polował, lubił długo spać. Nie jadał jabłek, gdyż był podobno uczulony na ich zapach. Pijał tylko wodę.

[←4]

Kraina historyczna na zachód od Bydgoszczy, którą to nazwą jej mieszkańcy posługują się do dziś. Nazwa Krajna pochodzi od położenia tego regionu na rubieży kraju - Pomorza. Obecnie znajduje się na terenie województw kujawsko-pomorskiego, pomorskiego i wielkopolskiego.

[←5]

Kraina na wschód od Odry, na północ od dolnej Warty i Noteci. W roku 1402 po nieudanej próbie Polaków wykupu jej z rąk Zygmunta Luksemburskiego, została oddana w zastaw zakonowi krzyżackiemu. Krzyżacy szybko zdołali odbudować jej potęgę gospodarczą, wykupując z rąk mieszczaństwa i rycerstwa młyny oraz ziemię. W okresie opisywanym w powieści, Nowa Marchia - wciśnięta klinem pomiędzy Pomorze a Polskę - stanowiła strategiczne zagrożenie dla królestwa.

[←6]

Zygmunt Luksemburski (1368-1437) - margrabia brandenburski od 1378, król Węgier od 1387, król Niemiec od 1410, księżę Luksemburga i król Czech od 1419, król Włoch od 1431 i cesarz rzymsko-niemiecki od 1433. Nietuzinkowy władca o wysokiej inteligencji, niezwykle energiczny i ambitny. Ocena jego rządów nadal pozostaje gorącym tematem dyskusji historyków. Z jednej strony obrońca chrześcijaństwa próbujący zjednoczyć narody Europy przeciw muzułmańskiemu zagrożeniu, podejmujący krucjaty przeciw Turkom otomańskim, z drugiej zaś wykorzystywał instrumenty religijne do realizacji własnych dynastycznych planów. Polityka Zygmunta prowadziła do licznych wojen i w znacznej mierze przyczyniła się do osłabienia rządzonych przez niego państw. Nielubiany na Węgrzech, nałożył wysokie podatki, które doprowadziły do buntów chłopskich w Transylwanii. Nielubiany również przez Czechów, którzy ostro protestowali przeciw objęciu przez niego tronu po zmarłym bracie Wacławie IV. Powodem było jego przewrotne postępowanie w sprawie Jana Husa, którego spalono na stosie. Doprowadził do wybuchu wojen husyckich. Planował rozbiór Polski w 1392, ale wtedy sprzeciwili się temu Krzyżacy. Jednak w roku 1410, po wybuchu wielkiej wojny, bardzo chętnie widzieli go w swoim obozie.

[←7]

Chodzi o lenników Polski: Janusza Mazowieckiego, księcia warszawskiego i Siemowita IV, księcia płockiego.

[←8]

Witold (1350-1430) - syn Kiejstuta i Biruty, kapłanki bogini Praurime. Legenda głosi, że kiedy Kiejstut ją ujrzał, z miejsca zapragnął poślubić. Ona jednak odmówiła, tłumacząc, że już bóstwom została przyrzeczona. Wzburzony książę porwał ją, zniewolił i uczynił swoją żoną. Miał z nią ośmioro dzieci, a jednym z nich był właśnie Witold. Poparł swojego ojca w walce przeciw stryjecznemu bratu - Jagielle, gdy ten objął władzę na Litwie po śmierci Olgierda. Uwięziony wraz z Kiejstutem w Krewie, najpierw ucieka do Janusza Mazowieckiego, a potem do Malborka. Tam w 1384 roku został przez Krzyżaków ochrzczony. W roku 1385 on i Jagiełło zawierają pokój. Przez następne lata toczy walkę o władzę ze Skirgiełłą - bratem Jagiełły. Wielki książę litewski od 1401 roku.

[←9]

Ulryk von Jungingen (1360-1410) komtur Bałgi w latach 1396-1404, później wielki marszałek i komtur Królewca. W roku 1407, po śmierci swojego brata Konrada został wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego. W przeciwieństwie do brata, który był zwolennikiem ekspansji zakonu na północ i uczynienia z niego potęgi morskiej, Ulryk dążył do konfrontacji z unią polsko-litewską. Za bezcen oddał królowej Małgorzacie Gotlandię i wszystkie siły skupił na wojnie z Jagiełłą. Miłośnik słodczy, specjalnie dla niego sprowadzano cukierki anyżowe drogą morską.

[←10]

Pogańskie święto związane z letnim przesileniem obchodzone w najkrótszą noc roku. Zwane również kupalnocką, sobótką, nocą świętojańską. Jest to święto ognia, wody, słońca, księżyca, urodzaju, młodości oraz płodności obchodzone przez ludy słowiańskie, bałtyjskie, germańskie i celtyckie. Słowo „kupała” pochodzi prawdopodobnie z indoeuropejskiego „kump” i oznacza grupę, zbiorowość w sensie gromadzenia się, a nie, jak chcą tego chrześcijanie, od rosyjskiego słowa określającego „kąpiel”, na cześć Jana Chrzciciela, który stosował chrzest w formie rytualnej kąpieli.



[←11]

Staropolska miara długości. Około 893 m.

[←12]

Modelowany kaftan męski szyty z miękkich tkanin jedwabnych, aksamitu i sukna. Mszczuj ze Skrzyńska miał na sobie jakę rycerską typu ochronnego. Ubiór taki wzmocniano od spodu metalowymi płytami bądź kolczugą wszywaną między warstwę płótna i waty.

[←13]

Grajkowie używający instrumentów podobnych do skrzypiec.

[←14]

Wędrowni minstrel, błaźni, akrobaci.

[←15]

Wino pijane w średniowieczu było najczęściej białe lub jasnoczerwone, rozcieńczane wodą i znacznie słabsze od tego, jakie znamy dzisiaj (porównywalne z dzisiejszym piwem). W średniowieczu zapomniano o wypracowanym przez Rzymian systemie kanalizacji i miejskie studnie zostały skażone ściekami dlatego pito wino wymieszane z wodą. Zawarta w winie ilość alkoholu wystarczała do dezynfekcji zanieczyszczonej wody.

[←16]

Mowa o pokoju zawartym 8 października 1409 roku w przygranicznej warowni nad Brdą. Scena zawarcia rozejmu opisana została w drugim tomie cyklu, „*Aksamitny dotyk nocy*”.

[←17]

Kopia to najmniejsza jednostka organizacyjna konnicy rycerskiej w ówczesnej Europie łacińskiej. W jej skład wchodził rycerz-kopijnik, zazwyczaj okryty lepszym pancerzem niż pozostali, wyspecjalizowany w walce wręcz przy użyciu długiej broni drzewcowej (kopii). Towarzyszyli mu lżej zbrojni strzelcy, posługujący się bronią zasięgową (łuki bądź kusze). Przyjmowało się, że na kopię składało się trzech wojowników: jeden kopijnik i dwóch strzelców, ale najnowsze badania dowodzą czegoś innego. Dla kopii krzyżackich przyjmuje się skład dziewięcioosobowy. Każdemu rycerzowi-zakonnikowi towarzyszyło ośmiu pocztowych sług uzbrojonych jako strzelcy. Natomiast wśród rycerstwa pełniącego na rzecz zakonu służbę wojskową z tytułu posiadania ziemi, skład kopii wahał się od jednego do kilku zbrojnych pachotków. Kilkanaście lub kilkadziesiąt kopii łączono w tak zwane chorągwie, podstawowe jednostki organizacyjne jazdy rycerskiej. Chorągwie zazwyczaj formowane były na zasadzie terytorialnej i skupiały w swoich szeregach ogół zbrojnych wystawionych z terenu jednego komturstwa, wójtostwa, miasta. Często występowały również chorągwie rodowe, skupiające w swoich szeregach rycerzy z jednego rodu i chorągwie nadworne. Chorągwie łączono w większe jednostki zwane hufcami lub bataliami.

[←18]

Zakon założony został w 1202 roku przez biskupa ryskiego, Alberta von Buxhövdena, w oparciu o regułę templariuszy. Siedzibą była Ryga. W roku 1237 Kawalerowie Mieczowi połączyli się z zakonem krzyżackim, przyjmując jego regułę, zachowując jednak w Inflantach swoją administrację. W okresie opisywanym w książce, tak naprawdę nie istniał już zakon Kawalerów Mieczowych, a można mówić jedynie o inflanckiej gałęzi zakonu krzyżackiego, jednak dla większego kolorytu powieści postanowiłem pozostać przy tej nazwie. Po 200 latach, gdy Krzyżacy zostali osłabieni wojnami z Polską i Litwą, doszło do ponownego rozłamu zakonów.



[←19]

Drzewo Życia jest mistycznym organizmem, który odpowiada całości bytu. Ukazane w schematycznym diagramie, obrazuje powstanie i budowę Wszechświata, jak również atrybuty Boga. Znajduje się na nim dziesięć Sefir (czasami występuje jeszcze jedenasta Daat - Wiedza, mediująca między Chokhmah i Binah). Sefiry przejmują światło kolejnej wyższej Emanacji i przesyłają je niżej za pomocą dwudziestu dwóch ścieżek spinających całe Drzewo. Najniższa z nich, Malkuth, odbija blask i posyła go z powrotem w górę.

**Sefira 1 Kether** (Korona, Jedność)

Boskie Imię: Jestem, Który Jestem.

Ścieżka: środkowa - równowagi

Jest źródłem całego światła przepływającego przez Drzewo Życia, czystą, niepodzielną istotą, wolą Stwórcy. Pierwsza Sefira zawiera wszystko, co było, jest i będzie. Nazywana bywa nicością, bo zawiera tajemnicę stworzenia z niczego.

**Sefira 2 Chokhmah** (Mądrość, Miłość, Moc)

Boskie Imię: Jah

Ścieżka: prawa - męska

Pierwotna, czysto męska zasada aktywności w świecie. Jednym z jej tytułów jest Abba - Ojciec. Aktywna Sefira ukryta za wszystkim, co pozytywne, dynamiczne, napierające. Jest wszędzie tam, gdzie obserwujemy zmiany i ruch. Stanowi impuls dający początek działaniu.

**Sefira 3 Binah** (Zrozumienie, Życie, Forma)

Boskie Imię: Jahwe

Ścieżka: lewa - żeńska

Pierwotna, czysto żeńska zasada bierności w świecie. Jednym z jej tytułów jest Aima - Matka. Jest intelektem w jego biernym i refleksyjnym charakterze. Jej cechą jest bierność i czułość, znajdujące się u podłoża wszystkiego, co potencjalne, nierzeczywiste i stałe.

**Sefira 4 Chesed** (Łaska, Miłosierdzie)

Boskie Imię: El

Ścieżka: prawa - męska

Jest siłą nadającą kształt rzeczom, wprowadza porządek, odpowiada za świadomość zmian i różnic. Odpowiedzialna za tworzenie form, jakie ma przyjmować energia. To łaska opatrności, która obdarza wszystkim, co potrzebne.

**Sefira 5 Geburah** (Srogość, Sprawiedliwość, Surowość, Siła, Lęk)

Boskie Imię: Eloah

Ścieżka: lewa - żeńska

To surowy osąd boży, równoważący twórczą aktywność Chesed aktywnością destrukcyjną. Odpowiada za świadomość zmian i różnic, ale w przeciwieństwie do Chesed odpowiedzialna jest za zniszczenie form, jakie przyjmować może energia.

**Sefira 6 Tiphereth** (Piękno, Harmonia, Ozdoba)

Boskie Imię: Elohim

Ścieżka: środkowa - równowagi

Reprezentuje stan harmonii pomiędzy Sefirami. Z jednej strony promieniuje ciepłem na ludzi, zwierzęta i uprawy łaskawością Chesed, ale z drugiej smaga je i niszczy srogością Geburah.

**Sefira 7 Netzach** (Zwycięstwo, Wieczność)

Boskie Imię: JHVH Cewaot

Ścieżka: prawa - męska

Jest wytrzymałością, hartem ducha i nieustającą cierpliwością Boga. Reprezentuje energię nieposiadającą formy, rozkwitanie mimo przeciwności. Jest mocą przyciągania i spójności świata. Ta Sefira to zwycięstwo płynące z doświadczenia. Jest to świadomość człowieka, który uczy się lekcji fizycznego świata, zwracając się ku temu, co samo się ku niemu zwraca.

**Sefira 8 Hod** (Chwała, Odbicie, Majestat)

Boskie Imię: Elohim Cewaot

Ścieżka: lewa - żeńska

Symbolizuje wyższe zdolności umysłowe, wnikliwość, wyobraźnię, rozum, logikę i ograniczenia narzucone umysłowi przez wykształcenie i wychowanie. Reprezentuje świadomość

form, jakie przyjmuje energia. Odpowiada za tworzenie w świadomości uporządkowanych obrazów świata materialnego. W przeciwieństwie do Netzach reprezentującej świadomość czystej energii, Hod musi się zmanifestować w rzeczywistości.

**Sefira 9 Yesod** (Fundament, Podstawa, Roztropność)

Boskie Imię: Szadaj

Ścieżka: środkowa - równowagi

Miejsce łączenia wszystkich aktywnych sił. Często utożsamiana z księżycem, ponieważ odbija światło wszystkich innych Sefir w Malkuth. Jest początkiem samoświadomości, tu zacierają się granice pomiędzy „ja” i „nie ja”.

**Sefira 10 Malkuth** (Królestwo, Panowanie)

Boskie Imię: Adonaj Ścieżka: środkowa - równowagi

Oznacza materię bądź obecność Boga w świecie materialnym. Jest sferą ziemi i królestwem fizyczności, koncentruje się na człowieku. Ostatnie naczynie Boga i środek, dzięki któremu pozostałe Sefiry urzeczywistniają swój potencjał. Jest uwiecznieniem Emanacji i całego procesu stwarzania świata.

Dzieła średniowieczne odbierają jej pierwotny sakralny charakter i opisują jako Sefirę upadłą, skażoną materią. Natomiast kabała luriańska umieszcza Malkuth w centrum stworzenia.

[←20]

Przywódca piratów bałtyckich zwanych braćmi witalijskimi (Vitelienbruder), którzy atakowali zarówno okręty Hanzy, jak i Danii. Postać Klause Störtebekera znamy dzięki ludowym opowieściom, w których występuje jako sprawiedliwy korsarz, oraz dokumentom Hanzy, gdzie znajdujemy o nim wzmiankę jako o człowieku przebiegłym i okrutnym. Pochodził z Roztoki i pływał na statkach tamtejszych patrycjuszy, ale skrzywdzony przez jednego z nich, nie mogąc znaleźć sprawiedliwości u sędziów, przyłączył się do „wrogów ludzi i przyjaciół Boga”, czyli witalijczyków. Wraz z załogami swoich okrętów przez długie lata siał spustoszenie na Bałtyku. Wreszcie ujęto go podczas bitwy morskiej u wybrzeży Helgoland, a wraz z nim siedemdziesięciu jego ludzi. Wszyscy zostali skazani na ścięcie. Legenda głosi, że Störtebeker miał prosić o łaskę dla tylu jego kompanów, obok ilu po ścięciu, z odrąbaną głową, zdoła jeszcze przebiec. I ponoć bezgłowy pirat biegł szpalerem skazańców, a gdy minął już pięciu, przerażony kat rzucił mu pod nogi katowski pieniek i wtedy dopiero korsarz się przewrócił.

[←21]

Potoczna nazwa holka, średniowiecznego żaglowca, używanego do celów handlowych na Bałtyku i Morzu Północnym. Wywodził się z mniejszej kogi, które w XV wieku ostatecznie wyparły. Początkowo okręt jednomasztowy, potem dwu i trzymasztowy. Posiadał przedni i tylni kasztel.

[←22]

Chodzi tutaj o podziemia Bazyliki św. Janów na Lateranie.  
Niegdyś siedziba papieży.

[←23]

Miało to nastąpić za pontyfikatu Sylwestra II i mówiono, że jeden Sylwester potwora uwięził, a drugi go wypuści. Oczywiście, wraz z nadejściem Nowego Roku, katastrofa nie nastąpiła i euforia ogarnęła lud. Bawiono się i tańczono do rana, a od tego czasu z tej okazji, w ostatni dzień roku urządza się huczne zabawy sylwestrowe.

[←24]

Mikołaj Trąba (1358-1422) - jedna z najwybitniejszych postaci średniowiecza. Zaufany doradca króla Władysława Jagiełły. Podkanclerzy koronny w latach 1403-1412, arcybiskup halicki 1410-1412, arcybiskup gnieźnieński od 1412 i pierwszy prymas Polski. Brał udział w bitwie pod Grunwaldem. W 1415 roku przewodniczył polskiej delegacji na soborze w Konstancji i tam został wysunięty jako kandydat na papieża. Tam też, wbrew stanowisku polskiej delegacji, nie potępił szkalującej Polaków satyry Jana Falkenberga oraz wyroku skazującego na śmierć Jana Husa. Można przypuszczać, iż uczynił to, chcąc zjednać sobie sojuszników w celu zostania papieżem. Pogubił się w swojej polityce i nawet przyłączył do koalicji antypolskiej. Jednak nic mu to nie dało, bo zarówno cesarz, jak i Krzyżacy obawiali się Polaka na tronie piotrowym i wybrano Włocha, który przyjął imię Marcin V. Ów papież ofiarowywał Mikołajowi Trąbie godność kardynalską, którą ten odrzucił, nie chcąc podlegać wyłącznej władzy papieskiej. Zatem papież nadał mu tytuł - prymas Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego i pierwszy książę. Po powrocie do kraju dostojnik musiał się tłumaczyć ze swojego zachowania na soborze i został zmuszony do złożenia przysięgi oczyszczającej go z zarzutu zdrady.



[←25]

Z niemieckiego die Struter - zwiadowca.

[←26]

Postać wzorowana na Marcinie z Golina, o którym pisał w swoich kronikach Piotr z Dusburga. Wyczyny Marcina datowane są jednak na koniec lat 70. i początek 80. XIII wieku. Postać była na tyle barwna i interesująca, że przenieśliśmy ją do początku XV wieku, ubarwiając jedynie w niewielkim stopniu jego życiorys.

[←27]

Wyprawa łupieżcza (od niemieckiego Reise) na Litwę i Żmudź, dokonywana przez zakonników oraz zaproszonych krzyżackich gości.

[←28]

Tajna organizacja szlachty chełmińskiej założona w 1397 roku w celu ochrony własnych interesów przed zakonem krzyżackim. Jeśli chodzi o nazwę, nawiązuje ona do zwinnych ruchów i uników, które kojarzą się z jaszczurką. Krzyżacy traktowali Prusy jako własną kolonię i ograniczali udział miejscowych we władzy. Szlachta ziemiańska żądała więcej praw i dopuszczenia do współdecydowania. Organizacja była podstawą do powstania Związku Pruskiego.

[←29]

Dżalal ad Din (1380-1412) - jeden z pretendentów do tronu Złotej Ordy, ale po początkowych klęskach w walce o przywództwo, schronił się na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego i został lennikiem księcia Witolda. Uczestnik bitwy pod Grunwaldem. W 1411 roku pokonał dotychczasowego chana Timura, objął rządy nad Złotą Ordą i panował aż do śmierci.

[←30]

Imię księcia Litwy, jakie nadali mu w stepie Tatarzy, a oznaczało obrońcę islamu i praw muzułmańskich, bowiem Witold cieszył się szacunkiem mahometan i zawsze był im przychylny.

[←31]

Pierwsze prymitywne odprzodowe działa artyleryjskie miotające kamienie, zwane „burzycielami murów”, bo jak sama nazwa wskazuje, głównie do tego ich używano. Jednak były bardzo drogie w użytkowaniu. Do kosztów związanych z produkcją należało dodać opłaty dla ludwisarzy, kowali, kamieniarzy, puszkarzy oraz za transport. Do przewiezienia bombardy ważącej 1,5 tony potrzebny był zaprzęg złożony z tuzina koni. Z obliczeń wynikało, że jeden strzał z bombardy kosztował 3,5 grzywny, co było równowartością czterech krów. A należy pamiętać, że wtedy bombardarda mogła oddać najwyżej dwa strzały dziennie.

[←32]

Wizerunek jeźdźca z uniesionym do ciosu mieczem to litewska Pogoń, która od 1384 roku stała się herbem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Natomiast Słupy Giedymina to znak rodowy księcia Giedymina, a następnie jego syna, Kiejstuta i wnuków, Jagiełły i Witolda.



[←33]

Janusz I Starszy (ok. 1346-1429) - książę warszawski, lennik Polski i sojusznik Władysława Jagiełły. Utrzymywał również przyjazne stosunki z księciem Witoldem, nawet w okresie, gdy ten był skonfliktowany z królem Polski. Przez to stał się wrogiem Krzyżaków i został nawet w roku 1393 przez nich porwany ze Złotorii i uprowadzony do Malborka, przed oblicze Konrada von Jungingen. Został w końcu uwolniony, ale ów incydent wpłynął na dalsze stosunki zakonu i Mazowsza.

[←34]

Siemowit IV (Ziemowit, ok. 1352-1426) - książę płocki, który w przeciwieństwie do brata Janusza, wybrał politykę konfrontacji z Polską. Po śmierci Ludwika Węgierskiego pojawił się pomysł obsadzenia na tronie mazowieckiego Piasta - Siemowita. Problem w tym, że według ustaleń tron polski miała objąć młodociana Jadwiga. Stronnicy Siemowita umyślili sobie, że doprowadzą do jego ślubu z Jadwigą, jednak sprzeciwili się temu Małopolanie (z wojewodą krakowskim Janem Tęczynem na czele), obawiając się, że przez to wzrośnie potęga Wielkopolan oraz dlatego, że mieli już w planie unię z Litwą. Zdesperowany Siemowit próbował porwać Jadwigę, by ją gwałtem poślubić, ale panowie małopolscy, dowiedziawszy się o tym, pokrzyżowali mu plany. Później Siemowit próbował siłą podbić kraj, paląc majątki przeciwników politycznych w Książu, opanowując Kujawy i oblegając Kalisz. Część szlachty obwołała go nawet królem, ale Małopolanie do pomocy ściągnęli oddziały węgierskie, a nawet brat opowiedział się przeciwko niemu, co ostatecznie zniechęciło go do sięgania po koronę.

[←35]

Czytelnika może zdziwić, że wcześniej w powieści jest mowa o chorągwi świętego Jerzego występującej po stronie krzyżackiej. Oczywiście, nie jest to błąd. W bitwie grunwaldzkiej występowały dwie chorągwie o tej samej nazwie. Krzyżacka złożona była z gości zakonu pochodzących z „różnych szczepów i ziem niemieckich” i prawdopodobnie miała biały krzyż na czerwonym polu. Natomiast w polskiej walczyli rycerze czescy i morawscy, a sztandar miał barwy zamienione, czyli czerwony krzyż na białym polu.

[←36]

W maju 1409 roku wybuchło powstanie na Żmudzi i w ciągu miesiąca udało się Żmudzinom wygnać z kraju wszystkich zakonników. Więcej o żmudzkim powstaniu można przeczytać w pierwszym tomie cyklu, „*Delikatne uderzenie pioruna*”

[←37]

Om - setka tatarskich jeźdźców.

[←38]

Metalowe osłony nakładane na głowę, pierś i zad wierzchowca.

[←39]

Dawniej kobiece narządy. Określenie oznaczające  
zniewieściałego mężczyznę.

[←40]

Ślad takiej surowości znaleźć można jeszcze w XVI wieku w pismach hetmana Jana Tarnowskiego.



[←41]

Wydarzenie miało miejsce 3 lipca 1410. Niegdyś święto Nawiedzenia Najświętszej Marii obchodzone było 2 lipca, obecnie obchodzi się je 31 maja.

[←42]

Tłum. „Bez Końca”. W kabale określenie Boga  
Nieskończonego.

[←43]

Obszar jestestwa Ain Sof, z którego się wycofał,  
przeznaczając go na Kreację.

[←44]

Kapa okrywająca całego wierzchowca, mająca zapewnić jego ochronę. Kropierze wykonywano z różnych tkanin, skór, wzmocniano kolczą plecionką lub pikowano. Ze względu na swoje rozmiary idealnie nadawały się do umieszczania na nich herbów, jednak w bitwie nie stanowiły wystarczającej ochrony.

[←45]

Chodzi o żonę księcia Witolda, Annę Światosławowną,  
księżniczkę smoleńską.

[←46]

Rodzaj chorągwi w kształcie prostokątnej płachty z wyciętymi trójkątnymi „ogonami” i godłem umieszczonym prostopadle do drzewca.

[←47]

„Bogurodzica” - transkrypcja rękopisu z 1408 roku, znalezionej na wyklejce tylnej okładki rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, zawierającego łacińskie kazania spisane w 1407 roku.

[←48]

Koń kopijniczy (*equus hastarius*) wyróżniał się spośród innych wielkością, wytrzymałością i siłą. Rycerz najczęściej dysponował dwoma końmi: pochodowym i bojowym, zwanym właśnie kopijniczym, na którego przesiadał się, ruszając w bój.



[←49]

Ceremonialne nakrycie głowy biskupa w postaci niskiej stożkowej czapki przeciętej przez środek.

[←50]

Bitwa pod Crecy rozegrała się 26 sierpnia 1346 roku pomiędzy wojskami angielskimi króla Edwarda i francuskimi króla Filipa VI. Stała się jedną ze spektakularnych klęsk rycerstwa francuskiego podczas wojny stuletniej i pokazała, jak potężną bronią jest długi łuk. Przed bitwą obie armie dysponowały podobną liczebnością, ale Francuzów poległo kilka tysięcy, zaś Anglików nie więcej niż trzystu.

Walczący po stronie Filipa VI król czeski Jan Luksemburski był wtedy już całkiem ślepy. Na wieść o nieuchronnej klęsce kazał przywiązać się do dwóch rycerzy i z okrzykiem: „Nie będzie to, żeby czeski król z pola uciekał!” zaszarżował na angielskich łuczników.

[←51]

Zwany również gacnym pasem. Spodni pas noszony na biodrach pod nogawkami, zastępujący gacie.

[←52]

Machina miotająca pociski stromotorowo, wykorzystująca zasadę dźwigni z przeciwwagą. Używana od starożytności, charakteryzowała się dużą celnością przy niewielkim zasięgu. W średniowieczu używana najczęściej do ostrzeliwania bram lub miotania płonących pocisków do wnętrza twierdz.

[←53]

Pancerz lamelkowy wykonany był z płytek żelaznych zachodzących na siebie krawędziami, tworzących charakterystyczne pasy (segmenty). Zbrojniki nie były zamocowane do podkładu, ale łączono je przy pomocy wiązań rzemieniem lub drutem przewlekanym przez niewielkie otwory w narożnikach zbrojników. Pancerze lamelkowe skonstruowano w Azji, a do Europy przywieźli je Awarowie. Powszechne były na Rusi, ale nosili je także Bałowie, Czesi, Węgrzy. Wiemy, że w Polsce używano ich od drugiej połowy XIV wieku na Mazowszu, o czym świadczy ikonografia na pieczęciach lokalnych dynastów.

[←54]

Bitwa pod Płowcami miała miejsce 27 września 1331 roku i rozegrała się pomiędzy wojskami Władysława Łokietka a wojskami krzyżackimi prowadzonymi przez komtura chełmińskiego Ottona von Luterberg, marszałka zakonu Dietricha von Altenburg i wielkiego komtura Ottona von Bollschorf, podczas próby zajęcia przez Krzyżaków Kujaw i włączenia ich do państwa zakonnego. Sama bitwa składała się jakby z dwóch etapów. Pierwszym był atak głównych sił polskich na tylną straż krzyżacką pod Radziejowicami, podczas którego Łokietek odniósł sukces, zdobywając wielką chorągiew zakonu i biorąc znaczne łupy oraz jeńców (w tym wielkiego marszałka). Druga faza miała miejsce pod Płowcami i ta bitwa taktycznie nie była rozstrzygnięta. Wojska polskie późnym popołudniem wycofały się, jednak pole bitewne zasłane było trupami poległych Krzyżaków, których niemiecki kronikarz obliczył na ponad cztery tysiące. Widząc taki pogrom, wściekły Otto von Luterberg rozkazał wymordować wszystkich jeńców, a potem nie pozostało mu nic innego jak wycofać się do Torunia, bowiem jego armia była wyczerpana walką i przetrzebiona. Bitwa pod Płowcami, mimo nierozstrzygnięcia, stała się strategicznym sukcesem Polaków, gdyż Krzyżacy nie zdobyli Kujaw i od tej pory musieli się liczyć z siłą polskiego oręża.

[←55]

Oba oryginalne miecze spod Grunwaldu przechowywano przez kilka wieków w skarbcu na Wawelu jako ważną pamiątkę z przeszłości. W roku 1795, po upadku powstania kościuszkowskiego, Prusacy ograbili skarbiec, ale pozbawiony bogatych ozdób oręż uszedł ich uwadze. Po tym wydarzeniu miecze zostały przeniesione do puławskiej kolekcji księżnej Izabeli Czartoryskiej. Po upadku powstania listopadowego zostały odnalezione przez policyjne władze rosyjskie, skonfiskowane jako broń (sic!) i zaginęły definitywnie.

[←56]

Według niektórych źródeł Mikołaj z Ryńska poddał Polakom chorągiew ziemi chełmińskiej bez walki. Natomiast według krzyżackiej propagandy, przytoczonej przez Długosza w „Banderia Prutenorum”, walczyła ona dzielnie do samego końca, a Mikołaj z Ryńska, gdy został pojmany, prosił króla Władysława o pokazanie mu sztandaru, pod którym przez całą bitwę tak dzielnie sobie poczynał. Wreszcie, gdy ujrzał go, objął, upadł i zmarł. Tak naprawdę Mikołaj Ryński był jednym z przywódców opozycji krzyżackiej na ziemiach pruskich i na rozkaz wielkiego mistrza Henryka von Plauen został w roku 1411 pochwycony pod zarzutem zdrady, po czym ścięty na rynku w Grudziądzu.



[←57]

Opisane w tym fragmencie powieści ustawienie zwane jest szykiem kolumnowo-klinowym. W pierwszym szeregu stało od 3 do 9 jeźdźców, w następnym dwóch więcej itd. W ten sposób tworzył się pięcioszeregowy „klin” zwany również szpicem. Za nimi formowano kolumnę złożoną z reguły z trzydziestu kilku szeregów. Szyk kolumnowo-klinowy, przy zachowaniu odpowiedniej zwartości, zapewniał dużą siłę przebicia i zdolność manewrową. Po nieudanej szarży można było wycofać z frontu poszczególne chorągwie dla wypoczynku, wymiany zmęczonych koni, uzupełnienia zużytej broni (połamanych kopii, bełtów). Dzięki temu ustawieniu łatwo było też odtwarzać odwody. Jedynym minusem wydaje się możliwość uderzenia w bok formacji. Bitwa toczona takim sposobem, składała się z szeregu manewrów i przypominała ruch falowy. Głównym celem było zmuszenie przeciwnika do wcześniejszego zużycia odwodów, aby dobić go następnie wprowadzeniem odwodu własnego. Tylko dzięki zastosowaniu szyku kolumnowo-klinowego możliwe było toczenie wielogodzinnych bitew wielkich mas kawalerii. W bitwie pod Grunwaldem zarówno strona polska, jak i krzyżacka zastosowały tego typu ustawienie.

[←58]

Bitwa pod Worską odbyła się 12 sierpnia 1399 roku pomiędzy wojskami litewsko-ruskimi dowodzonymi przez księcia Witolda, wspieranymi przez zakon krzyżacki i rycerstwo polskie, a wojskami tatarskimi pod wodzą Edygeja. Witold chciał pomóc Tochtamyszowi w odzyskaniu tronu Złotej Ordy, licząc na znaczne korzyści terytorialne i w przyszłości zawarcie sojuszu z Ordą przeciw Księstwu Moskiewskiemu. Bitwa okazała się klęską wojsk sprzymierzonych, które straciły blisko 20 000 ludzi, natomiast Edygej co najwyżej 4 000. Więcej o przebiegu samej bitwy można przeczytać w „*Delikatnym uderzeniu pioruna*”.

[←59]

Oddział tatarski złożony z 10 000 jeźdźców.

[←60]

Jest to najstarsza pieśń religijna pochodząca z początku XII wieku, znana we wszystkich chrześcijańskich krajach. Autorem jest prawdopodobnie augustianin z Pasawy (Passau). Poniżej polska wersja tej pieśni, której autora i czasu powstania nie ustalono.

*Chrystus zmartwychwstan jest,  
nam na przykład dan jest,  
iż mamy z martwych powstać,  
z Panem Bogiem królować.*

*Alleluja!*

*Leżał trzy dni w grobie,  
dał bok przebić sobie,  
bok, ręce, nogi obie,  
na zbawienie tobie.*

*Alleluja!*

*Trzy Maryje poszły,  
drogie maście niosły,  
chciały Chrysta pomazać,  
Jemu cześć i chwałę dać.*

*Alleluja!*

*Gdy na drodze były,  
tak sobie mówiły:  
Jest tam kamień niemały,  
a któż nam go odwali?*

*Alleluja!*

*Powiedz nam Maryja,  
gdzieś Pana widziała?  
Widziałam go po męce,  
trzymał chorągiew w ręce.*

*Alleluja!*

*Gdy nad grobem stały  
rzekł im anioł biały:  
Nie bójcie się, Maryje,*

*z martwych wstał Pan i żyje!*

*Alleluja!*

*Jezusa szukacie?*

*Tu go nie znajdziecie,*

*Wstał-ci z martwych, grób pusty.*

*Oto śmiertelne chusty.*

*Alleluja!*

*Łukasz z Kleofasem,*

*obaj jednym czasem*

*szli do miasteczka Emaus,*

*Spotkał ci ich Pan Jezus.*

*Alleluja!*

*Bądźmy więc weseli*

*jak w niebie anieli,*

*czegośmy pożąдали,*

*tegośmy doczekali.*

*Alleluja!*

[←61]

Chodzi o Małgorzatę I (1353-1412) władczynię Danii, Norwegii i Szwecji, która w 1397 doprowadziła do zawarcia unii kalmarskiej. Dzięki temu targana wojnami Skandynawia doczekała się stabilizacji. Unia kalmarska zapewniała niezależność prawną trzech królestw, ale łączył je „wieczny” sojusz i wspólna polityka zagraniczna. Królem unii został Eryk Pomorski, ale tak naprawdę rządy sprawowała Małgorzata. Jej zręczna polityka spowodowała wzrost znaczenia Danii i dopiero rządy jej następców doprowadziły do rozkładu dzieła politycznego królowej.

[←62]

Mowa o konflikcie polsko-krzyżackim trwającym od czerwca do października 1414 roku nazwanym „wojną głodową”. Krzyżacy po przykrym doświadczeniu bitwy grunwaldzkiej nie odważyli się stanąć do walki z Polakami w otwartym polu, ale nagromadziwszy zapasy żywności, zamknęli się w twierdzach, skąd atakowali polskie konwoje z żywnością. Jagiełło zdobywał jedną po drugiej krzyżackie warownie, aż w październiku 1414 roku wyczerpany wojną zakon poprosił o pokój.

[←63]

Pisanie i czytanie w języku polskim na początku XV wieku było bardzo problematyczne ze względu na nieskodyfikowaną ortografię. Język polski miał dużą liczbę głosek, do których nie przypisano żadnego znaku. Efektem była dwujęzyczność słowa pisanego, gdyż czasami łatwiej było posługiwać się łaciną.



[←64]

Jakub z Kobylan został dowódcą wielkiej chorągwi krakowskiej w miejsce Zyndrama z Maszkowic, który został pozbawiony tej funkcji. Prawdopodobnie przyczyną był epizod podczas bitwy pod Grunwaldem, gdzie z winy Zyndrama prawie doszło do straty najważniejszego sztandaru polskiej armii.

[←65]

Mniejsze bombardy, początkowo transportowane na wozach, później na lawetach. Działa polowe służące do wspierania ogniem poczynań własnych wojsk.

[←66]

Broń ręczna, palna, służąca najczęściej do rażenia wroga z murów twierdz.

[←67]

Tłum. Uznany za trwałego posiadacza Prus.

[←68]

Z arabskiego al-hasziszijjin, co oznacza „zjadacze haszyszu”, inny źródłostów podaje, iż assa to „strażnik twierdzy”. Między bajki należy włożyć opowieści, jakoby zabijali swoje ofiary po uprzednim spożyciu haszyszu oraz opowieści Marco Polo o ogrodzie w pobliżu Alamutu, w którym mieli zażywać narkotycznych i seksualnych rozkoszy będących namiastką rajy czekającego ich po śmierci. Gdy w XII wieku rozpuszczono plotki o przybyciu dwójki asasynów do Francji, w całym kraju wybuchła panika. Przez historyków określani mianem protoplastów współczesnych terrorystów. Od angielskiej wymowy tego słowa (hassasin) wzięło się amerykańskie określenie mordercy na zlecenie: assassin.

[←69]

Twierdza położona w górach Elbrus, około 100 km od dzisiejszego Teheranu. Powstała w IX wieku, a w latach 1090-1256 była ośrodkiem politycznym asasynów. W 1256 zamek został zniszczony w czasie inwazji mongolskiej. Twierdza Alamut znana jest przede wszystkim jako siedziba legendarnego „Starca z Gór”.

[←70]

Hasan ibn Sabbah (urodzony w połowie XI wieku - 1124) - nazywany „Starcem z Gór”, pierwszy przywódca nizarytów, w Europie zwanych asasynami. W Dajlamie, gdzie pozyskał twierdzę Alamut, oraz okolicach Rudbaru utworzył coś na kształt niezależnego państwa, z powodzeniem opierając się wojskom sułtana. W tym czasie nizaryci zaczęli na dużą skalę używać skrytobójstwa jako broni politycznej. Ich ofiarami padło wielu dostojników seldżuckiego imperium, w tym wezyr Nizam al-Mulk. W twierdzy Alamut trzymano księgę, w której spisywano zabójstwa dokonane przez wysłanników Hasana, ich ofiary oraz sprawców zwanych przez nizarytów fida'i (oddanymi sprawie). Podczas rządów Hasana ibn Sabbah odnotowano ponad 50 takich politycznych zabójstw.

[←71]

Nastąpiło to 19 września 1410 roku.



[←72]

Chodzi o mieszane drużyny mieszczan i wieśniaków.

[←73]

W bitwie pod Koronowem wojska ustawione były w tak zwany „płat” (en haye). W pierwszym szeregu stawali rycerze, w drugim giermkowie, w trzecim konni łucznicy i piesza służba. Tylko niekiedy wykorzystywano piechotę, grupując ją na flankach albo między rycerzami. Jak sama nazwa formacji wskazuje, ustawienie przypominało płat, z tym że drewniane deski zastępowały zbrojne kopie. Walki toczono na zasadzie indywidualnych pojedynków, jeden na jeden, sparowanych zgodnie ze stanem, urodzeniem i majątkością walczących (giermek z giermkim, rycerz z rycerzem, wódz z wodzem).

[←74]

Męstwo Dobiesława z Oleśnicy nie pozostało niezauważone. Rok później objął urząd kasztelana wojnickiego. W swoim życiu piastował ponadto urząd kasztelana lubelskiego (1433), sandomierskiego (1435), starosty krakowskiego (1438) oraz podczaszego krakowskiego (1438-1439). W roku 1413 wziął ślub z Katarzyną z domu Gojarską, z którą miał jedenaścioro dzieci.

[←75]

Zakon Rycerzy i Szpitalników św. Łazarza z Jerozolimy został założony w Ziemi Świętej w 1098 roku przez Gerarda de Martigues. Na początku był to zakon szpitalny, ale gdy konieczna stała się ochrona hospicjów przed rabusiami, powstała milicja utworzona przez rycerzy-pacjentów z zakonów joannitów, bożogrobców, templariuszy. Uczyli oni lazarytów sztuki walki i wkrótce przekształcili zgromadzenie w zakon rycerski (pierwsza wzmianka o tym pochodzi z 1154 roku). Ich symbolem stał się prosty zielony krzyż, a ich powołaniem opieka nad trędowatymi. Zakon istnieje do dziś.

[←76]

Piotr des Ruaux został wielkim mistrzem zakonu rycerzy świętego Łazarza w 1413 i był nim do roku 1454.

[←77]

Henryk von Plauen został wielkim mistrzem 9 listopada 1410 roku.

[←78]

Wyspa pomiędzy Wisłą a jej odnogą Małą Wisłą, zlokalizowana dokładnie naprzeciwko zespołu staromiejskiego. Jedyna zachowana z wielu tzw. kęp (zalesionych wysp) w okolicach Torunia istniejących przed regulacją rzeki w XIX wieku. Nazwa prawdopodobnie pochodzi od zatrzymujących się tu w średniowieczu kupców. Powierzchnia wyspy zajmuje 70 ha. Ciekawostką może być fakt, że w XVI i XVII wieku Kępa Bazarowa stała się miejscem osadzenia wypędzonych z miasta nierządnic. Wkładano im na głowę słomiany wieniec, sadzano tyłem na osła i po opłaceniu myta, przepędzano mostem na wyspę. Od tego czasu Kępa Bazarowa nazywana jest również Małpim Gajem.

[←79]

Miało to miejsce we wrześniu 1413 roku.



[←80]

Michał Kuchmeister odsunął od władzy von Plauena i 7 stycznia 1414 roku został wielkim mistrzem. Złagodził politykę wewnętrzną państwa krzyżackiego, współpracując z Towarzystwem Jaszczurczym. Zobowiązał się ukrócić nadużycia państwowych urzędników. Był zwolennikiem rozwiązań pokojowych w konflikcie z Polską. W marcu 1422 roku złożył rezygnację z urzędu wielkiego mistrza.